

Autor EWANGELII KRWI i EKSPEDYCJI

JAMES ROLLINS



OKO BOGA

O książce

KONIEC ŚWIATA NASTĄPI ZA CZTERY DNI...

Tajemnicza przesyłka

Watykański naukowiec otrzymuje od zaginionego przyjaciela przesyłkę – czaszkę i księgę. Badania DNA wykazują, że pochodząca z XIII wieku czaszka należała do Czyngis-chana, a księgę oprawiono w jego skórę. To jeszcze nie koniec rewelacji. Napis na czaszce przepowiada datę apokalipsy. Bardzo bliską.

Zatrważająca wizja

Tymczasem na orbicie ziemskiej pojawia się kometa. Amerykański satelita, zwany Okiem Boga, po zetknięciu z koroną jej ogona – tuż przed tym, jak spada na Ziemię – przesyła mrozący krew w żyłach obraz: całe Wschodnie Wybrzeże jest totalnie zniszczone. Prawdopodobnie kometa zaburzyła zakrzywienie czasoprzestrzeni i Oko Boga zarejestrowało projekcję czekającej Ziemię katastrofy, która ma nastąpić wkrótce.

Brawurowa misja

Jedyną nadzieją na uratowanie świata wydaje się odnalezienie rozbitego satelity i grobowca Czyngis-chana. A kto mógłby wykonać to zadanie lepiej niż doborowa ekipa Sigmy, agencji rządowej, która już niejednokrotnie ratowała ludzkość przed globalnymi zagrożeniami? Komandor Gray Pierce i jego ludzie, wraz z młodą astrofizyk, watykańskim naukowcem i włoską policjantką, wykonując swoją misję – w Makau, Korei, nad Jeziorem Aralskim, w Mongolii i wreszcie nad Bajkałem – walczą z czasem...

I z nieznanym przeciwnikiem...

JAMES
ROLLINS
OKO BOGA

Z angielskiego przetoczył

PAWEŁ WIECZOREK

Wydanie elektroniczne



JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolarz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne (**Mapa Trzech Mędrców**, **Czarny zakon**, **Wirus Judasza**, **Klucz zagłady**, **Ołtarz Edenu**, **Kolonia Diabła**, **Linia krwi**), których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata – dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

www.jamesrollins.com

Tego autora

LODOWA PUŁAPKA
BURZA PIASKOWA
AMAZONIA
OŁTARZ EDENU
EKSPEDYCJA
PODZIEMNY LABIRYNT

Sigma

MAPA TRZECH MĘDRCÓW
CZARNY ZAKON
WIRUS JUDASZA
KLUCZ ZAGŁADY
OSTATNIA WYROCNIA
KOLONIA DIABŁA
LINIA KRWI
OKO BOGA

James Rollins, Rebecca Cantrell
EWANGELIA KRWI

Tytuł oryginału:
THE EYE OF GOD

Copyright © James Czajkowski 2013
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2015

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2015

Redakcja: Monika Strzelczyk

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-7985-200-0

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hlonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakkolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em](#)

Spis treści

[Podziękowania](#)

[Komentarz historyczny](#)

[Komentarz naukowy](#)

[Prolog](#)

[Część pierwsza. Katastrofa i pożoga](#)

[Część druga. Święci i grzesznicy](#)

[Część trzecia. Zabawa w chowanego](#)

[Część czwarta. Ogień i lód](#)

[Nota od autora](#)

*Dla Taty
Który dał nam skrzydła... i niebo całe, by wzlecieć wysoko*

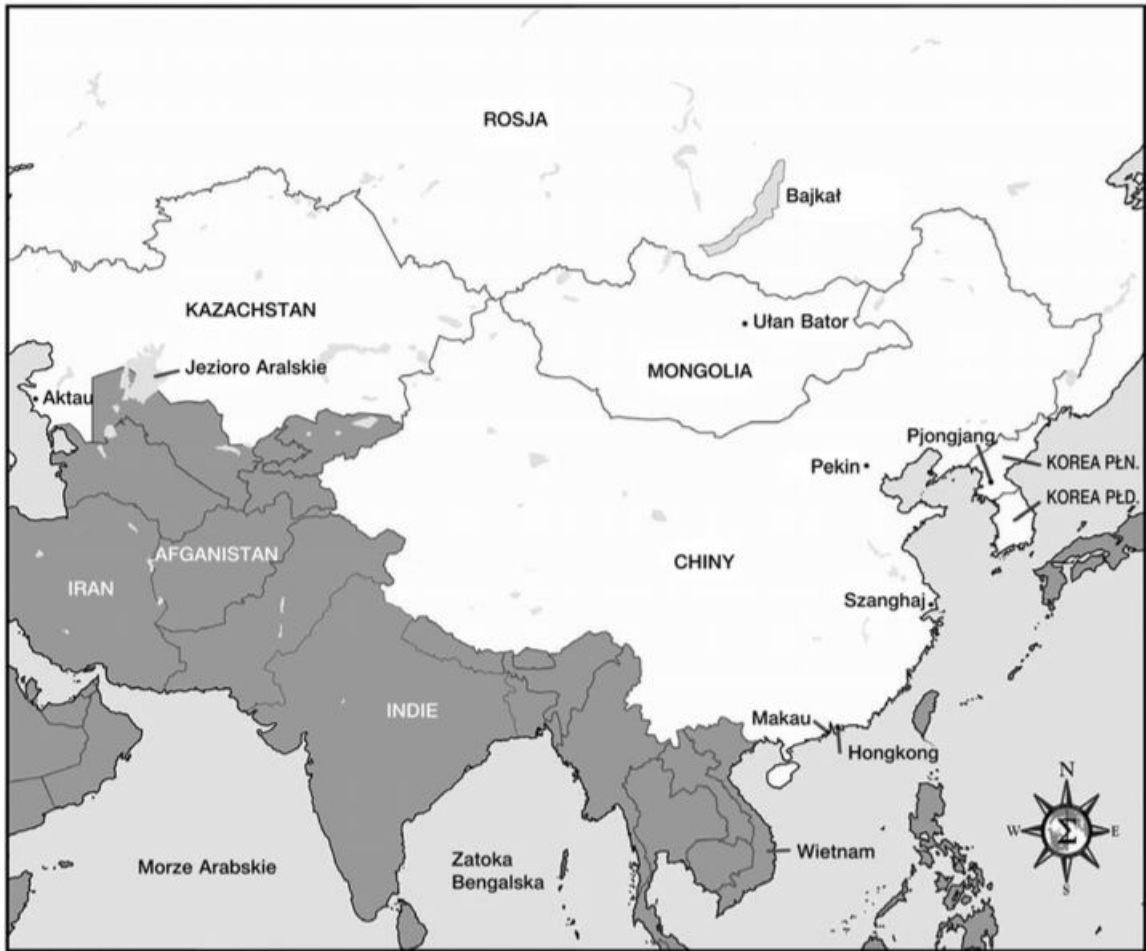
(...) różnica między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością jest tylko uparcie obecną iluzją.

ALBERT EINSTEIN

Podziękowania

Pełna lista działań wymienionych niżej osób, które pomogły przy tworzeniu tej książki, zajęłaby wiele stron. Każda z nich zasługuje na pochwalne fanfary – jeśli nie na tusz całej sekcji instrumentów dętych. Przejdźmy do konkretów. Na początek muszę podziękować pierwszym czytelnikom i redaktorom oraz kilku najlepszym przyjaciołom: Sally Barnes, Chrisowi Crowe’owi, Lee Garrettowi, Jane O’Rivie, Denny’emu Graysonowi, Leonardowi Little’owi, Scottowi Smithowi, Judy Prey, Willowi Murrayowi, Caroline Williams, Johnowi Keese’owi, Christianowi Rileyowi i Amy Rogers. I jak zawsze: specjalne podziękowania dla Steve’a Preya za piękne mapy (teraz i w przeszłości) oraz dla Cherei McCarter za wszystkie smakowite kąski, które pojawiają się w mojej skrzynce e-mailowej! Dziękuję Carolyn McCray, która zarówno inspiruje, jak i wymaga, gdy chodzi o szczegóły, oraz Davidowi Sylvianowi za spełnianie wszystkiego, o co się go poprosi, oraz sprawianie, że nieustannie byłem na bieżąco w sprawach komputerowych! Avery’emu i Josie Limom dziękuję za pomoc lingwistyczną. Shawnie Coronado i wszystkim z Państwowego Laboratorium Przyśpieszania Cząstek Elementarnych im. Enrica Fermiego (Fermilab) dziękuję za zorganizowanie mi wycieczki po tym wspaniałym obiekcie, który mnie zainspirował i gdzie mogłem zadać szereg głupich pytań. Dziękuję wszystkim w HarperCollins za osłanianie mnie przed światem: Michaelowi Morrisonowi, Liate Stehlik, Danielle Bartlett, Kaitlyn Kennedy, Joshowi Marwellowi, Lynn Grady, Richardowi Aquanowi, Tomowi Egnerowi, Shawn Nicholls i Anie Marii Alessi. Na koniec, oczywiście, szczególne podziękowania osobom odgrywającym zasadniczą rolę na każdym etapie produkcji: mojej redaktor Lyssie Keusch i jej koleżance Amandzie Bergeron; Laurie McGee za ostre korektorskie oko; moim agentom Russowi Galenowi i Danny’emu Barorowi (oraz jego córce Heather Baror). Jak zawsze muszę podkreślić, że wszelkie błędy w tej książce – których, mam nadzieję, nie ma zbyt wiele – dotyczące faktów lub szczegółów obciążają tylko i wyłącznie mnie.

EURAZJA



Komentarz historyczny

Co jest prawdziwe? Jeśli chodzi o przeszłość, odpowiedź nie jest łatwa. Winston Churchill stwierdził kiedyś, że „historię piszą zwycięzcy”, więc jeśli miał rację, któremu historycznemu dokumentowi można wierzyć bez zastrzeżeń? Dzieje ludzkości zapisujemy od mniej więcej sześciu tysięcy lat, co dokumentuje jedynie ich ułamek – a nawet w tym jest tyle luk, że historia przypomina wyżarty przez mole gobelin. Co ciekawsze, przez dziury wypadło w niebyt mnóstwo historycznie ważnych tajemnic. Na ponowne odkrycie czeka długa lista wydarzeń – w tym liczne punkty zwrotne historii, wyjątkowe momenty, które zmieniły losy cywilizacji.

Jeden z nich nastąpił w roku 452, gdy plądrująca Europę armia Hunów pod dowództwem Attyli szła przez północne Włochy, niszcząc na swej drodze, co popadnie. Barbarzyńskie hordy zamierzały zwrócić się przeciwko Rzymowi – bezbronnemu, skazanemu na upadek. Wtedy papież Leon I Wielki wyruszył na spotkanie z Attylą, do którego doszło w okolicy Mantui, niedaleko południowego brzegu jeziora Garda. Rozmawiali potajemnie, prywatnie, spotkanie nie zostało udokumentowane na piśmie. Po rozmowie z papieżem Attyla kazał swoim wojskom zawrócić, rezygnując z pewnego zwycięstwa i zajęcia Rzymu, po czym szybko wycofał się z Włoch.

Dlaczego? Co w trakcie spotkania skłoniło Attyłę do rezygnacji z pewnego zwycięstwa? Zapisy historyczne nie dają na to odpowiedzi.

Na stronach tej książki odkryjesz, jak blisko byliśmy samozniszczenia, a zachodnia cywilizacja niemal się rozpadła od ciosu mieczem zwanym Mieczem Boga.

Komentarz naukowy

Co jest rzeczywiste? Odpowiedź jest zarówno dziecinnie łatwa, jak i nieskończenie trudna. W *Państwie* Platon opisał prawdziwy świat jako migoczący na ścianie jaskini cień. Może to dziwne, ale ponad dwa tysiące lat później naukowcy widzą to podobnie.

Kartka (albo czytnik książek elektronicznych), na której napisano to, co teraz czytasz, składa się głównie z niczego. Zajrzawszy do wnętrza ciała stałego, ujrzymy strukturę atomową. Po rozłożeniu atomów na kawałki uzyskamy małe jądra, składające się z protonów i neutronów, otoczone pustymi powłokami, w których krążą nieliczne elektrony. Także te cząstki elementarne można rozdzielić: na kwarki, neutrino, bozony i tak dalej. Zagłębiając się dalej, wkroczymy do dziwnego świata wibrujących strun, które nie są cząsteczkami, lecz energiami. Może to one są źródłem ognia tworzącego platonowskie, migoczące na ścianie cienie.

Z podobnymi cudami mamy do czynienia w przypadku nocnego nieba: niepojętego ogromu, bezgranicznej otchłani, nakrapianej miliardami galaktyk. Być może jednak ta potęga to tylko jeden wszechświat z wielu, które – stale się rozszerzając – tworzą wieloświat. A co z naszym wszechświatem? Jedną z najnowszych teorii zakłada, że wszystko, czego doświadczamy – od najmniejszej drgającej struny energii po gigantyczną galaktykę wirującą wokół kłębowiska rozszarpujących rzeczywistość czarnych dziur – może być hologramem, trójwymiarowym złudzeniem, i tak naprawdę wszyscy żyjemy w wykreowanej symulacji. Czy to możliwe? Czy Platon mógł mieć rację, mówiąc, że jesteśmy ślepi na otaczającą nas rzeczywistość i nie znamy czegokolwiek „innego oprócz cieni, które ogień rzuca na przeciwległą ścianę jaskini”¹?

Przewróć kartkę (jeśli masz przed sobą książkę, a nie czytnik) i odkryj zatrwającą prawdę.

PROLOG

Środkowe Węgry
Lato, rok 453

Król w małżeńskim łóżu umierał zbyt wolno.

Skrytobójczyni klęczała nad nim. Córka burgundzkiego księcia, związana z barbarzyńskim władcą sakramentem małżeństwa i potęgą intrygi, była jego siódmą żoną, którą poślubił poprzedniego wieczoru. Ildiko – tak miała na imię – oznaczało w jej ojczystym języku „nieposkromiona wojowniczką”, jednak truchlejąc u boku umierającego mężczyzny – krwawego tyrana, który zdobył przydomek *Flagellum Dei*, Bicz Boży, posługującego się mieczem, stworzonym ponoć przez samego scytyjskiego boga wojny – nie czuła w sobie nic wojowniczego.

Bano się go tak, że sam dźwięk imienia – Attyla – otwierał bramy miast i przełamywał oblężenia, teraz jednak, nagi i umierający, nie wydawał się ani trochę groźniejszy od pierwszego lepszego człowieka. Był nieco wyższy od Ildiko, ale z powodu grubych kości i masywnych mięśni, typowych dla nomadyjskiego ludu, z którego pochodził, robił wrażenie niskiego. Szeroko rozstawione i głęboko osadzone oczy, zaczerwienione od licznych kielichów wina wypitych w trakcie wesela sprawiały, że kojarzył jej się ze świnia – zwłaszcza gdy tępo się gapił, biorąc ją w nocy w sposób niezbyt odbiegający od parzenia się zwierząt.

Teraz ona się w niego wpatrywała, oceniała każde zduszone westchnienie i próbowała oszacować, kiedy śmierć wreszcie go zabierze. Tak, zbyt oszczędnie obeszła się z trucizną wręczoną jej przez biskupa Walencji – który dostał ją od arcybiskupa Wiednia za zgodą króla Burgundów, Gunderyka. Pohamowała ją obawa, że tyran wyczuje gorycz w weselnym pucharze.

Ścisnęła w dłoni do połowy pustą szklaną fiolkę. W spisku musiały maczać palce osoby znacznie wyżej postawione od króla Gunderyka i Ildiko przeklinała to, że na jej drobne ramiona złożono tak wielki ciężar. Jak los świata – zarówno obecnego, jak i przyszłego – mógł zależeć od niej, dziewczyny liczącej sobie zaledwie czternaście wiosen?

O konieczności dokonania tego strasznego czynu poinformował ją zamaskowany człowiek, który zjawił się u wrót domu ojca pół księżyc temu. Była wtedy obiecana barbarzyńskiemu królowi, ale zaprowadzono ją do tajemniczego obcego. Na jego lewej dłoni błysnęła kardynalski złoty pierścień, lecz mężczyzna szybko go ukrył. Opowiedział, jak barbarzyńskie hordy Attyli przed niecałym rokiem ruszyły na Padwę i Mediolan, wyrzynając każdego, kto stanął im na drodze. Mężczyzn, kobiety, dzieci. Przeżyli tylko ci, którym udało się uciec w góry albo na nadmorskie bagna, i to od nich dowiedziano się o niesłychanej brutalności najeźdźców.

– Od jego pogańskiego miecza miał paść także Rzym – powiedział siedzący przy wygasłym kominku kardynał. – Świadom pewnego nieszczęścia, Jego Świątobliwość papież Leon opuścił swój ziemski tron i spotkał się z tyranem w okolicy Mantui, nieopodal jeziora Garda. Siłą kościelnej potęgi udało mu się odpędzić bezlitosnego Huny.

Ildiko wiedziała, że barbarzyńców odstraszyła nie tylko „kościelna potęga”. Bardzo pomógł zabobonny strach króla Hunów.

Przeżazona nie mniej niż Attyla podczas rozmowy z papieżem, spojrzała na skrzynkę stojącą na cokole u stóp łoża, będącą zarówno darem od papieża, jak i groźbą. Przedmiot był niewielki, krótszy i mniejszy od jej dziewczęcego przedramienia, ale krył w sobie klucz do losu świata. Bała się go dotknąć i otworzyć, wiedziała jednak, że będzie musiała to zrobić, gdy świeżo poślubiony mąż umrze.

Teraz musiała się skupić na nim.

Z niepokojem popatrzyła ku zamkniętym drzwiom królewskiej komnaty weselnej. Niebo za oknem blade na wschodzie, zapowiadając nowy dzień. Z nadejściem świtu pojawią się ludzie króla. Attyla musiał do tego czasu wyzionąć ducha.

Patrzyła, jak z każdym ciężkim oddechem z jego nozdrzy wypływa odrobina spienionej krwi. Słuchała chrapliwego bulgotu leżącego na plecach mężczyzny. Ze słabym kasznięciem pojawiła się krew na wargach; strużka spłynęła po uczesanej w dwa szpice brodzie i zebrała się w zagłębieniu pod jabłkiem Adama. Powierzchnia ciemnego jeziora drżała w rytm uderzeń serca, pokazując, że każde kolejne jest słabsze od poprzedniego.

Ildiko modliła się, aby umarł. Szybko.

Spał się w płomieniach piekła, gdzie twe miejsce...

Jakby niebiosy wysłuchały prośby – z zalanego krwią gardła wydobył się ostatni szarpany oddech, z ust bluznęła kolejna porcja krwi, pierś opadła po raz ostatni i więcej się nie uniosła.

Ildiko załkała cicho z ulgi i przestała powstrzymywać łzy. Zadanie wykonane. Bicz Boży odszedł. W najbardziej odpowiednim czasie. Nie będzie więcej niszczył świata.

W domu jej ojca kardynał opowiedział Ildiko o planie Attyli, by ponownie skierować wojska przeciw Włochom. Podobne pogrożki słyszała podczas wesela – pyszałkowate zapowiedzi splądrowania Rzymu, zrównania miasta z ziemią i wyrżnięcia wszystkich co do nogi. Barbarzyńskie miecze miały na zawsze zgasić jasno świecącą latarnię cywilizacji.

Jej czyn ocalił teraźniejszość.

Nie wolno jej było jednak na tym poprzestać.

Zagrożona była przyszłość.

Odsunęła się od łoża, sunąc po podłodze na gołych kolanach, po czym wstała. Zbliżyła się do skrzynki, bała się bardziej niż wtedy, gdy sypała truciznę do kielicha.

Skrzynkę wykonano z czarnego żelaza, boki miała płaskie, górę na zawiasach. Nie była zdobiona, jedynie na wierzchu umieszczono kilka symboli. Ildiko nie знаła tego pisma, kardynał powiedział jednak, czego ma się spodziewać. Przekazał, że to litery języka, jakim posługiwali się dawni przodkowie Attyli – nomadyczne plemiona z Dalekiego Wschodu.

Ildiko dotknęła pierwszego symbolu składającego się z kilku prostych linii.

木木

– Drzewo – szepnęła, próbując znaleźć w sobie siłę. Symbol rzeczywiście mógł się kojarzyć z drzewem. Z rewerencją dotknęła niemal identycznego sąsiedniego symbolu – drugiego drzewa.

Dało jej to siłę, by dotknąć pokrywy i otworzyć skrzynkę. W środku znajdowała się druga skrzynka – z połyskującego srebra. Napis na wierzchu był dość toporny, ale na pewno nie

z powodu braku umiejętności rytownika.



Składający się z niewyszukanych kresek symbol oznaczał: „rozkaz” albo: „instrukcja”.

Choć czas naglił, Ildiko uspokoiła drżące palce i uniosła wieczko srebrnej skrzynki, w której była trzecia – złota. Jej powierzchnia migotała, w świetle świec wydawała się płynna. Wryty symbol wyglądał jak połączenie znaków na żelazie i srebrze. Jakby nałożono je na siebie, aby utworzyły nowe słowo.



Kardynał ostrzegł, co znaczy trzeci znak.

– Zakazane... – powtórzyła, wstrzymując oddech.

Z wielką ostrożnością otworzyła złotą skrzynkę. Wiedziała, co znajdzie w środku, jednak widok sprawił, że na ramionach dostała gęsiej skórki.

Żółta kość czaszki niemal się jarzyła. Brakowało dolnej szczęki, puste oczodoły gapiły się ślepo w górę, jakby chciały dostrzec niebo. Kość ozdobiono napisem. Zaczynał się na szczycie czaszki i spływał w dół ciasną spiralą. Wykonano go w innym języku niż napisy na skrzynkach. Starożytnym pismem Żydów – tak przynajmniej powiedział kardynał. Wyjaśnił także przeznaczenie relikwii.

Czaszka była niezwykle ważnym elementem starożytnej żydowskiej magii – służyła zaklinaniu Boga i błaganiu Go o łaskę i ocalenie.

Papież Leon podarował tę czaszkę Attyli, po czym poprosił o oszczędzenie Rzymu. Ostrzegł także, iż w Rzymie znajduje się wiele równie potężnych talizmanów, chronionych w tym wspaniałym mieście przez gniew Boga, i każdy, kto ośmieli się zburzyć mury miasta, skaże się na śmierć. Na dowód przypomniał o losie przywódcy Wizygotów, króla Alaryka I, który czterdzieści lat wcześniej zajął Rzym i wkrótce po wyjeździe z miasta nieoczekiwanie zmarł.

Obawiając się przekleństwa, Attyla uciekł z Włoch z cennym skarbem, najwyraźniej jednak czas złagodził jego obawy i podsycił chęć ponownego zaatakowania Rzymu – sprawdzenia, czy jego legenda oprze się gniewowi Boga.

Ildiko popatrzyła na nieruchome ciało.

Miała przed sobą dowód, że wielki wódz przegrał.

Nawet najpotężniejsi nie uciekną przed śmiercią.

Sięgnęła po czaszkę. Jej spojrzenie spoczęło na zadrapaniach znajdujących się pośrodku spirali. Inkantacja na czaszce była prośbą o ocalenie przed tym, co zapisano w tym właśnie miejscu.

„Zadrapania” określały datę końca świata.

Klucz do fatum leżał pod czaszką, ukryty pod żelazem, srebrem, złotem i kością. Jego

znaczenie poznano jeden księżyc temu, po pojawieniu się u bram Rzymu nestoriańskiego kapłana przybyłego z Persji. Usłyszał on o darze dla Attyli wydobytym ze skarbców Kościoła i przekazanym kiedyś Rzymowi przez samego Nestoriusza, patriarchę Konstantynopola. Kapłan poinformował papieża Leona, co kryje się pod osłoną trzech metali i kości, w jaki sposób przedmiot dotarł z leżącej daleko na wschodzie krainy do Konstantynopola i dlaczego wysłano go do Wiecznego Miasta, gdzie miał zostać bezpiecznie schowany.

Na koniec kapłan poinformował papieża, czyja czaszka znajduje się w środku.

Palce Ildiko ponownie dotknęły relikwii i znów zadrżały. Choć oczodoły były puste, miała wrażenie, że wwierca się w nią surowe spojrzenie, a dawno zmarły człowiek ocenia jej wartość – człowiek, który jeśli nestoriański kapłan mówił prawdę, kiedyś spoglądał na jej Pana, na własne oczy oglądał żywego Jezusa Chrystusa.

Zawahała się przed podniesieniem świętej relikwii i natychmiast została ukarana – rozległo się pukanie do drzwi komnaty. Zaraz potem usłyszała gardłowy okrzyk. Nie rozumiała języka Hunów, było jednak oczywiste, że nie słysząc odpowiedzi króla, ludzie Attyli zaraz wejdą do środka.

Oby się nie okazało, że czekała zbyt długo.

Pobudzona do działania, podniosła czaszkę, aby odsłonić to, co leżało pod nią... niczego jednak nie było. Na dnie skrzynki znajdował się jedynie złoty odcisk w kształcie tego, co kiedyś się tam znajdowało: starożytny krzyż, relikwia, która rzekomo spadła z nieba.

Nie było go jednak. Został skradziony.

Ildiko popatrzyła na martwego męża. Znano go nie tylko z brutalności, ale także z umiejętności tworzenia błyskotliwych strategii. Uważano, że miał oczy i uszy szeroko otwarte. Czyżby król Hunów dowiedział się, co nestoriański kapłan ujawnił w Rzymie? Zabrał niebiański krzyż i go schował? Czy dlatego nagle ponownie uwierzył w możliwość zdobycia Rzymu?

Krzyki za drzwiami stawały się coraz głośniejsze, łomot był coraz bardziej natarczywy.

Zrozpaczona Ildiko włożyła czaszkę z powrotem do skrzynki i pozamykała wszystkie trzy wieka. Opadła na kolana i zasłoniła twarz dłońmi. Gdy drzwi zaczęły pękać z trzaskiem, wstrząsnęło nią łkanie.

Łzy zalały jej gardło jak krew gardło jej męża.

Do sali weszli mężczyźni. Na widok martwego króla pokrzykiwania się nasiliły. Po chwili rozległo się zawrodozenie.

Nikt nie śmiał dotknąć Ildiko, rozpaczającej młodej żony kiwającej się na kolanach obok łoża. Sądziło się, że oplakuje męża, martwego króla, jednakże się mylili.

Opłakiwała świat.

Świat skazany na to, że spłonie.

Czasy współczesne

Rzym, 17 listopada, godz. 16.33 czasu miejscowego

Nawet gwiazdy sprzymierzyły się przeciwko niemu.

Opatulony *monsignore* Vigor Verona szedł zacienioną stroną Piazza della Pilotta. Drżał mimo grubego wełnianego swetra i płaszczka – nie z zimna, lecz z lęku, który narastał, im dłużej *monsignore* przyglądał się miastu.

Na zmierzchającym niebie jarzyła się kometa wisząca dokładnie nad najwyższym punktem Rzymu – kopułą Bazyliki Świętego Piotra. Niebiański gość – najjaśniejszy od wieków – świecił tak mocno, że nie dało się dostrzec Księżycy, który właśnie wszedł i rzucał na gwiazdy cień długiego, migotliwego ogona. Na przestrzeni wieków taki widok często uważano za zwiastun nieszczęścia.

Vigor Verona modlił się, aby tym razem sprawy potoczyły się inaczej.

Mocniej oplótł ramionami pakunek. Po otwarciu owinął go dość nieporadnie papierem, w którym został przysłany, na szczęście nie musiał iść daleko. Widział już fasadę Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego z bocznymi skrzydłami i przybudówkami. *Monsignore* Verona ciągle jeszcze był członkiem Papieskiego Instytutu Archeologii Chrześcijańskiej, ale wykładał tylko gościnnie. Służył obecnie Stolicy Apostolskiej jako prefekt Archivio Segreto Vaticano – Tajnych Archiwów Watykanu. Brzemię, które niósł, nie wiązało się jednak z jego pracą na uczelni czy archiwum, lecz z przyjaźnią.

Dar od martwego przyjaciela.

Dotarł do głównego wejścia uniwersytetu i ruszył szybkim krokiem przez atrium z białego marmuru. Zgodnie z przynależnym mu prawem miał w budynku gabinet. A przychodził tu bardzo często – by katalogować i zaopatrywać w odnośniki ogromny księgozbiór uniwersytetu. Ponad milion woluminów, w tym wiele tekstów starożytnych i rzadkich wydań, mieściło się w stojącej nieopodal głównego budynku sześciopiętrowej wieży, czyniąc z niej godnego rywala nawet rzymskiej Biblioteki Narodowej.

Nic stąd i z Archiwów Watykanu nie mogło się jednak równać z woluminem, który Vigor Verona miał przy sobie – ani z tym, co dołączono w paczce. Właśnie dlatego poprosił o radę jedyną osobę w Rzymie, której w pełni ufał.

Po pokonaniu kilku kolejnych klatek schodowych i wąskich korytarzy zaczęły mu dolegać kolana. Mimo sześćdziesięciu paru lat na karku kilkadziesiąt lat pracy archeologa w terenie sprawiło, że utrzymywał niezłą formę fizyczną, niestety ostatnio przesiadywał zbyt długo w archiwach, był więziony za biurkami i stertami książek, przykuty odpowiedzialnością wobec papieża.

Czy podołam temu zadaniu, Panie?

Będzie musiał.

W końcu dotarł do wydziałowego skrzydła uniwersytetu i dostrzegł znajomą postać, opartą o drzwi jego gabinetu. Siostrzenica go ubiegła. Musiała przyjść prosto z pracy, miała bowiem na sobie mundur carabinieri – granatowe spodnie z czerwonymi lampasami i lamowaną szkarłatą kurtkę ze srebrnymi epoletami. Nie miała jeszcze trzydziestu lat, a już była porucznikiem Comando Carabinieri Tutela Patrimonio Culturale, czyli jednostki policyjnej wyspecjalizowanej w ochronie dóbr kultury – zwalczającej handel kradzionymi dziełami sztuki i relikwiami.

Na jej widok poczuł dumę. Wezwał ją zarówno z miłości, jak i ze względu na wiedzę. Nikomu nie ufał bardziej niż Rachele.

– Wuju Vigorze... – Uścisnęła go, odsunęła się, założyła ciemne włosy za ucho i przyjrzała mu się bystrych oczami barwy karmelu. – Co to za pilna sprawa?

Vigor Verona rozejrzał się po korytarzu, o tej jednak porze, zwłaszcza w niedzielę, nie było widać żywej duszy, a wszystkie gabinety były ciemne i wyglądały na zamknięte.

– Wejdz, to wyjaśnię.

Otworzył drzwi i wprowadził Rachele do środka. Choć *monsignore* piastował wysokie stanowisko, jego gabinet był ciasnym pomieszczeniem, zastawionym spiętrzonymi skrzyniami, z których wysypywały się książki i sterty czasopism. Małe biurko stało oparte o ścianę z oknem wąskim jak otwór strzelniczy. Książyc rzucał na wszechobecny chaos snop srebrnego światła.

Dopiero gdy zamknął drzwi, Vigor Verona odważył się zapalić lampę. Uspokojony znajomym otoczeniem, westchnął cicho z ulgą.

– Pomóż mi nieco sprzątnąć na biurku.

Kiedy pojawił się kawałek wolnej przestrzeni, odłożył swe brzemie i odwinął szary pakowy papier, ukazując drewnianą skrzynkę.

– Przyszła dziś w ciągu dnia – powiedział. – Bez adresu zwrotnego, jedynie z nazwiskiem nadawcy.

Przekreślił owijający paczkę papier, tak aby pokazać ją Rachele.

Ojciec Josip Tarasco

– Ojciec Josip Tarasco – przeczytała Rachele. – Powinam wiedzieć, kto to?

– Nie. – Vigor popatrzył na siostrzenicę. – Ponad dziesięć lat temu uznano go za zmarłego.

Zmarszczyła czoło i lekko zeszywniała.

– Paczka jest w zbyt dobrym stanie, aby mogła być tyle czasu zagubiona. – Odwzajemniła się wujowi nie mniej wnikliwym spojrzeniem. – Czy ktoś mógł w ramach okrutnego żartu sfalszować podpis?

– Nie widzę powodu. Sądzę raczej, że nadawca właśnie dlatego zaadresował przesyłkę ręcznie, abym wiedział, od kogo pochodzi. Byliśmy z ojcem Tarasco serdecznymi przyjaciółmi. Porównałem pismo na paczce z kilkoma starymi listami od niego, które przechowuję. Charakter się zgadza.

– Więc jeśli żyje, to dlaczego uznano go za zmarłego?

Vigor westchnął.

– Ojciec Tarasco zaginał w trakcie wyprawy naukowej na Węgry. Pisał szeroko zakrojoną pracę o tamtejszych polowaniach na czarownice na początku osiemnastego wieku.

– O polowaniach na czarownice?

Vigor skinął głową.

– Tuż po tysiąc siedemsetnym roku Węgry nawiedziła trwająca dziesięć lat susza, której towarzyszyły głód i zaraza. Potrzebny był kozioł ofiarny, ktoś, na kogo można było zrzucić winę. W ciągu pięciu lat zabito ponad czterysta osób obu płci oskarżonych o paranie się czarami.

– A twój przyjaciel? Co z nim?

– Gdy Josip wyjechał na Węgry, kraj wyrwał się spod sowieckiej władzy. Sytuacja była niestabilna, a zadawanie zbyt wielu pytań, zwłaszcza w regionach wiejskich, okazało się niezbyt bezpieczne. Po raz ostatni słyszałem jego głos na nagraniu, które zostawił mi na automatycznej sekretarce. Ponoć trafił na ślad czegoś niepokojącego, dotyczącego grupy czarowników i czarownic, sześciu mężczyzn i sześciu kobiet, spalonych w małym miasteczku na południu Węgier. Brzmiał, jakby był równocześnie przerażony i podniecony. Potem już się nie kontaktował. Nie dał znaku życia. Policja i Interpol prowadziły śledztwo przez rok, po kolejnych czterech latach milczenia uznano go za zmarłego.

– Czyli się ukrywał. Ale dlaczego? A co ważniejsze: dlaczego ujawnił się dziesięć lat później? Akurat teraz?

– Odpowiedź na twoje ostatnie pytanie daje nam to, co przysłał. Podejdz i spójrz!

Vigor nabrał głęboko powietrza i otworzył pokrywę skrzynki. Ostrożnie wyjął pierwszy z dwóch znajdujących się w niej przedmiotów i położył go na biurku, w świetle księżyca.

Rachele odruchowo cofnęła się o krok.

– To czaszka? Ludzka... czaszka?

– Owszem.

Opanowując zaskoczenie, Rachele podeszła bliżej. Od razu dostrzegła napis, wyglądający jak wydrapany kurzem pazurem i trzymając palec kilka centymetrów nad czaszką, zakreśliła krzywą zgodną ze spiralnym przebiegiem tekstu.

– A te napisy?

– Język judeo-aramejski. Moim zdaniem to relikwia związana z wczesną talmudyczną magią praktykowaną przez babilońskich Żydów.

– Magią? Czyli z czarami?

– W pewnym sensie. Zaklęcia służyły odpędzaniu demonów albo błaganiu o pomoc. Archeologowie odkryli tysiące podobnych artefaktów, głównie misek z inkantancjami, ale też czaszek. Dwie są w Muzeum Pergamońskim w Berlinie, kilka znajduje się w rękach prywatnych.

– A ta? Powiedziałeś, że ojciec Tarasco interesował się czarownicami, co, jak przypuszczam, oznaczało także zainteresowanie obiektami okultystycznymi.

– Może, choć nie sądzę, żeby to był autentyk. Talmudyczną magię zaczęto praktykować w trzecim wieku, a zaprzestano około siódmego. – Vigor poruszył dłoń nad czaszką, jakby rzucał zaklęcie. – Podejrzewam, że ten artefakt nie jest tak stary. To góra czternasty, może trzynasty wiek. Aby to potwierdzić, posłałem ząb do uniwersyteckiego laboratorium.

Rachele powoli skinęła głową, zastanawiając się w milczeniu nad tym, co usłyszała.

– Przystudiowałem także napis – powiedział Vigor. – Dobrze znam ten wariant aramejskiego. W transkrypcji jest wiele poważnych błędów: odwrócone znaki diakrytyczne, źle postawione lub brakujące akcenty. Jakby ktoś wykonał kiepską kopię oryginalnego napisu, ktoś nieznający dobrze tego starożytnego języka.

– Więc to fałszerstwo?

– Moim zdaniem twórcy tego obiektu nie kierowali się złymi intencjami. Stawiałbym na to, że zrobiono go nie dla oszustwa, lecz dla swego rodzaju archiwizacji. Ktoś bał się, że zawarta

w napisie wiedza może zostać utracona, robił więc kopie, aby zachować starożytny przekaz.

– Jakiego rodzaju?

– Zaraz do tego przejdę.

Vigor sięgnął do skrzynki, wyjął drugi przedmiot i położył go obok czaszki. Była to starożytna księga, szeroka jak dłoń mężczyzny i dwa razy dłuższa, oprawiona w surową skórę, ze stronicami zszytymi nierównym ścięciem grubym sznurkiem.

– Oto przykład tego, co z hiszpańska nazywa się *bibliopegia antropodérmica*.

– A to znaczy...? – Rachele wykrzywiła usta.

– Że książka jest oprawiona w ludzką skórę i zszyta ludzkimi ścięgniemi.

Rachele ponownie cofnęła się o krok, tym jednak razem nie wróciła do biurka.

– Po czym to poznałeś?

– Nie poznałem. Przesłałem próbkę skóry do tego samego laboratorium, do którego posłałem ząb, i poprosiłem o analizę DNA oraz datowanie. – Vigor wziął do ręki makabryczny wolumin. – Jestem jednak przekonany, że się nie mylę. Obejrzałem księgę pod mikroskopem. Pory ludzkiej skóry wyraźnie się różnią wielkością oraz kształtem od porów zarówno skóry świńskiej, jak i cielęcej. A jeśli przyjrzeć się bliżej, to pośrodku okładki...

Przeciągnął paznokciem po znajdującym się dokładnie pośrodku śladzie, wyglądającym jak przecięcie albo gruba fałda.

– Przy odpowiednim powiększeniu da się dostrzec mieszki włosowe rzęs.

Rachele zbladła.

– Rzęs?

– Na okładce znajduje się powieka ludzkiego oka zaszyta cienkimi pasemkami ścięgniemi.

– Co to jest? – spytała siostrzenica Vigora, gdy przełknęła głośno ślinę. – Jakiś okultystyczny tekst?

– Tak sądziłem, zwłaszcza biorąc pod uwagę zainteresowanie Josipa węgierskimi czarownicami, ale nie, nie jest to demoniczny manuskrypt. Choć w pewnych kręgach jego treść uważa się za bluźnierczą. – Vigor ostrożnie otworzył księgę, starając się nie nadwyręzać szycia. Karty były zapisane łaciną. – To gnostyczna księga Biblii.

Rachele, która dobrze знаła łacinę, przysunęła się i przetłumaczyła pierwsze słowa.

– „To są tajemne słowa, które Jezus żywy wypowiedział...”² – Rozpoznając tekst, spojrzała na wuja. – Ewangelia Tomasza.

Monsignore Verona pokiwał głową.

– Świętego, który wątpił w zmartwychwstanie Jezusa.

– Ale dlaczego oprawiono tekst w ludzką skórę? Dlaczego twój zaginiony przyjaciel miałby ci przysyłać coś tak makabrycznego?

– Ku przestrodze.

– Przed czym?

Vigor popatrzył na czaszkę.

– Umieszczone tu zaklęcie jest prośbą do Boga o niedopuszczenie do końca świata.

– Zdecydowanie jestem za, tyle tylko, że...

– I jeszcze jedno. Na czaszce napisana jest także przepowiadana data apokalipsy – przerwał jej wuj. – W centrum jej spirali. Przeliczyłem liczby ze starożytnego żydowskiego kalendarza na naszą miarę czasu. – Dotknął środka spirali. – Z tego właśnie powodu ojciec Josip wyszedł z ukrycia i przesłał mi te przedmioty.

Rachele czekała na puentę.

Vigor Verona wyrzął przez okno na jarzącą się na nocnym niebie kometę, dość jasną, aby zawstydzić księżyc. Widok zapowiadającego nieszczęście niebiańskiego zjawiska wywołał w nim dreszcz.

– Koniec świata nastąpi... za cztery dni.

CZĘŚĆ PIERWSZA
KATASTROFA I POŻOGA

Σ

Los Angeles Air Force Base
Baza Wojskowa Sił Powietrznych w Los Angeles
oraz El Segundo w Kalifornii
17 listopada, godz. 7.45 czasu miejscowego

Pojawiły się oznaki paniki.

Dla Paintera Crowe'a stojącego na platformie obserwacyjnej nad centralą dowodzenia pierwszym sygnałem niepokoju było to, że nagle ucichła paplanina między technikami. Nerwowe spojrzenia pomknęły w górę łańcucha dowodzenia oraz zaczęły omiatać wnętrze SMC, Ośrodka Systemów Kosmicznych i Pocisków Raketowych. O tak wczesnej porze obecni byli jedynie najwyżsi rangą członkowie personelu bazy oraz kilku szefów wydziałów badawczych Departamentu Obrony.

Pomieszczenie w dole wyglądało jak zminiaturyzowana wersja Centrum Kontroli Misji NASA. Od wiszących na tylnej ścianie trzech gigantycznych monitorów LCD odchodziły szeregi konsol komputerów i pulpity sterowania satelitami. Środkowy ekran ukazywał mapę świata, na której świeciły się trzy linie odwzorowujące trajektorie dwóch wojskowych satelitów i komety.

Ekran po bokach ukazywały obraz na żywo z kamer satelitów. Na lewym widać było krzywiznę kuli ziemskiej, lekko drgającej na tle kosmosu. Prawy ekran wypełniał blask ogona komety, rzucający jarzącą się poświatę na gwiazdy za nim.

– Coś jest nie tak – szepnął Painter Crowe.

– A konkretnie? – spytał jego szef, stojący tuż obok.

Gregory Metcalf był dowódcą DARPA, działu badawczo-rozwojowego Departamentu Obrony. Niedawno skończył pięćdziesiąt pięć lat; był Afroamerykaninem i absolwentem West Point. Przyszedł w mundurze.

Jakby dla kontrastu, Painter Crowe był w czarnym garniturze i butach kowbojkach, dzięki którym wyglądał bardziej na luzie. Jako pół-Indianin powinien się raczej wzdragać przed noszeniem tego rodzaju butów, podobały mu się jednak, zwłaszcza że przypominały o narzeczonej, której nie widział już cały miesiąc.

– Coś zaniepokoiło wice – wyjaśnił Painter, wskazując na zastępcę szefa dowodzenia operacją, który siedział w drugim rzędzie konsol.

Do jego stanowiska podchodził właśnie główny specjalista operacji.

Metcalf machnął ręką.

– Poradzą sobie. Taka ich praca. Wiedzą, co robią.

Generał powrócił do konwersacji z dowódcą 50. Skrzydła Wojsk Kosmicznych stacjonującego niedaleko Colorado Springs.

Zaniepokojony Painter uważnie przyglądał się kumulacji niepokoju. Zaproszono go, żeby obserwował operację wojskową o kodzie czarnym nie tylko dlatego, że był dyrektorem Sigmy,

operującej pod egidą DARPA, ale głównie jako twórcę pewnego elementu wyposażenia, znajdującego się na pokładach obu wojskowych satelitów.

Obiekty, które otrzymały kodowe symbole IoG-1 i IoG-2, wysłano w przestrzeń przed czterema miesiącami. Skrót IoG pochodził od nazwy Interpolation of the Geodetic Effect – interpolacja efektu geodetycznego, a wymyślili go wojskowi fizycy, którzy stworzyli ten właśnie projekt badań nad grawitacją. Jego celem było wykonanie pełnej analizy zakrzywiania się czasoprzestrzeni wokół Ziemi, co miało służyć udoskonaleniu algorytmów korygowania trajektorii satelitów i pocisków raketowych.

Już samo to było przedsięwzięciem bardzo ambitnym, ale odkrycie przed dwoma laty przez dwóch astronomów amatorów zbliżającej się do Ziemi komety spowodowało błyskawiczną zmianę głównego celu projektu – zwłaszcza po odkryciu w pobliżu komety anomalii energetycznej.

Painter spojrzął w bok, na sąsiada po lewej – energiczną badaczkę z Obserwatorium Astronomicznego Instytutu Smithsona.

Jada Shaw, licząca sobie dopiero dwadzieścia trzy lata doktor astrofizyki, była wysoka i miała szczupłą sylwetkę biegaczki. Jej idealnie gładka skóra wyglądała jak ciemna mokka, a fryzura – ostrzyżone na zapałkę kruczoczarne włosy – podkreślała długą linię szyi. Spod białego kitla laboratoryjnego wystawały dżinsy; pani doktor nerwowo gryzła paznokieć kciuka.

Przed siedemnastoma miesiącami znaleziono ją na Harvardzie i zaangażowano do supertajnego projektu wojskowego. Choć robiła, co mogła, by to ukryć, wiele aspektów pracy jeszcze ją przytłaczało.

Niedobrze, nie miała bowiem powodu aż tak się denerwować. Zdobyła już międzynarodowe uznanie za swoją pracę: za pomocą równań kwantowych – metod obliczeniowych, o których Painter nie miał zielonego pojęcia – stworzyła niezwykłą teorię dotyczącą ciemnej energii, tajemniczej siły wypełniającej trzy czwarte wszechświata i odpowiedzialnej za jego coraz szybsze rozszerzanie się.

Kolejnym dowodem jej przenikliwości był fakt, że jako jedyny fizyk dostrzegła drobne anomalie podczas zbliżania się jaśniejącego na nocnym niebie kosmicznego gościa: komety nazwanej IKON.

Półtora roku temu doktor Shaw podłączyła się do strumienia informacji zbieranych przez niedawno skonstruowaną w amerykańskim Fermilabie kamerę ciemnej energii – urządzenia z matrycą o rozdzielczości 570 megapikseli, które zamontowano w obserwatorium na szczycie jednej z chilijskich gór. Analizując obserwowany przez kamerę lot komety, doktor Shaw odkryła anomalie mogące, jej zdaniem, dowodzić, że emituje ona albo zakłóca znajdującą się na trasie przelotu ciemną energię.

Pod pretekstem konieczności dbania o bezpieczeństwo narodowe jej praca natychmiast została utajniona. Tego rodzaju nowe źródło energii mogło mieć ogromny potencjał – zarówno z gospodarczego, jak i wojskowego punktu widzenia.

Od tej chwili supertajny projekt IoG służył tylko jednemu celowi: badaniu potencjalnej ciemnej energii komety. Powstał plan, aby satelita IoG-2 przeleciał przez jej ogon, spróbował wchłonąć odkrytą przez doktor Shaw energię i przekazał ją do orbitującego wokół Ziemi bliźniaczego satelity.

Na szczęście realizacja zadania wymagała jedynie nieznaczącej modyfikacji konstrukcji satelity. Pierwotny projekt przewidywał umieszczenie w jego wnętrzu idealnie gładkiej kuli kwarcu – po wejściu satelity na orbitę miała ona zostać wprawiona w ruch obrotowy, tak by

doprowadzić do efektu żyroskopowego, który zamierzano wykorzystać do mapowania otaczającej kulę ziemską krzywej czasoprzestrzeni. Gdyby założenie, że wokół komety istnieje czarna energia, okazało się słuszne, przesłanie jej z jednego satelity do drugiego powinno spowodować drobne zakłócenie krzywej czasoprzestrzeni.

Założenie eksperymentu było zuchwałe. Nawet skrót IoG zaczęto żartobliwie rozwijać w określenie „Eye of God” – „Oko Boga”. Painterowi podobało się ono i z przyjemnością wyobrażał sobie wirującą idealną kulę, czekającą na odpowiedni moment, by zajrzeć za kulisy tajemnic wszechświata.

– Satelita wejdzie w ogon za dziesięć minut! – zawołał główny specjalista.

Rozpoczęło się odliczanie. Oczy doktor Shaw wpatrywały się nieruchomo w strumień danych na gigantycznym ekranie.

– Mam nadzieję, że się pan pomylił, dyrektorze – powiedziała. – Z tym, że coś jest nie tak. Nie czas na pomyłki, teraz, gdy włączamy się w strumień energii, mającej związek z narodzinami wszechświata.

Tak czy owak, pomyślał Painter, nie ma już odwrotu.

Godz. 7.55

Przez sześć skrupulatnie śledzonych minut IoG-2 powoli wnikał coraz głębiej w strumień zjonizowanych gazów i pyłów. Ekran z prawej strony – pokazujący na żywo obraz z kamery satelity – w końcu zasnuła biel. Satelita leciał teraz na ślepo, wyłącznie opierając się na danych telemetrycznych.

Painter starał się chłonąć wszystko równocześnie, wychwytywać panujące w centrali dowodzenia podniecenie, poczuć historyczne znaczenie chwili.

– Rejestruję nagły skok energii w IoG-2! – zawołał technik systemów elektrycznych, środowiskowych i komunikacyjnych.

Rozległy się podniecone głosy, waga chwili szybko jednak sprawiła, że ucichły. Odczyt mógł być błędny.

Wszystkie oczy obróciły się w kierunku innej konsoli – obsługiwanej przez inżyniera lotnictwa i kosmonautyki nadzorującego IoG-1. Pokręcił głową, co oznaczało, że pochłaniana przez pierwszego satelitę energia nie została przekazana do jej orbitującego wokół Ziemi bliźniaka...

Inżynier nagle skoczył na równe nogi.

– Mam coś! – wrzasnął.

Podbiegł do niego oficer dowodzący operacją.

Gdy wszyscy czekali na potwierdzenie, doktor Shaw wskazała palcem na mapę świata, przez którą przepływał strumień danych telemetrycznych.

– Jak na razie, wygląda to obiecująco.

Jeśli tak uważasz...

Painter nie ogarniał strumienia danych. A płynęły coraz szybciej. Po kolejnej pełnej napięcia minucie cyfry sunęły tak szybko, że zaczęły się rozmywać.

Technik systemów elektrycznych i komunikacyjnych skoczył na równe nogi. Próbował nadzorować przejście IoG-2 przez ogon komety, ale na jego ekranach głównie zapalały się i gasły ostrzeżenia i komunikaty o błędach.

– Majorze, parametry energii przekroczyły skalę, wszystkie są w czerwonych strefach! Co mam robić?

– Wyłącz go! – polecił oficer dowodzący.

Technik na stojąco zaczął szybko pisać coś na klawiaturze.

– Nie mogę, majorze! Nawigacja i sterowanie satelity nie reagują!

Prawy ekran nagle pociemniał.

– Straciliśmy też przekaz z kamery – powiedział technik.

Painter próbował wyobrazić sobie IoG-2 odlatującego w nieznaną przestrzeń – zimny i ciemny kawał kosmicznego śmiecia.

– Majorze! – zawołał inżynier monitorujący IoG-1. – Mam nowe odczyty. Powinien pan na nie spojrzeć.

Doktor Shaw przysunęła się do poręczy na platformie obserwacyjnej, próbując dostrzec, co się dzieje. Painter zrobił tak samo, podobnie jak większość zgromadzonych oficerów.

– Efekt geodetyczny się zmienia – wyjaśnił inżynier, wskazując na ekran. – Odchylenie zero koma dwa procent.

– To jest możliwe – mruknęła doktor Shaw. – Chyba że czasoprzestrzeń wokół Ziemi się marszczy.

– Proszę spojrzeć tutaj! – mówił inżynier. – Żyroskopowy pęd Oka rośnie, znacznie przekroczył szacunki przedstartowe. Mam nawet sygnaturę ciągu napędowego!

Doktor Shaw mocniej ścisnęła poręcz. Sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała skoczyć w dół.

– To niemożliwe, jeżeli Oka nie zasila zewnętrzne źródło energii.

Painter był pewien, że chciała powiedzieć „ciemnej energii”, ale oparła się chęci wyciągnięcia przedwczesnych wniosków.

Rozległ się kolejny głos – tym razem ze stanowiska oznakowanego jako NADZÓR.

– Tracimy orbitalną stabilność IoG-1!

Painter odwrócił się w kierunku ekranu ukazującego mapę świata oraz trajektorie satelitów. Sinusoida trajektorii IoG-1 wyraźnie się spłaszczyła.

– Siły żyroskopowe wewnątrz satelity prawdopodobnie muszą go spychać z orbity – wyjaśniła doktor Shaw głosem, w którym słyszało się zarówno przerażenie, jak i ekscytację.

Krzywizna kuli ziemskiej na lewym ekranie rosła, wypełniała coraz bardziej obraz, zasłaniała ciemną otchłań kosmosu. Satelita wypadał z orbity – powoli rozpoczynał się jego katastrofalny powrót do studni grawitacji, z której przybył.

Gdy wkroczył w górne warstwy atmosfery, przekazywany obraz szybko stracił ostrość, pojawiły się smugi artefaktowych danych i... „duchy”. Obraz się podwajał i potrajał jak widziany oczami pijanego.

Przemykały kontynenty, kłębowiska chmur, turkusowe połączenia oceanów.

Chwilę później ekran poczerniał.

W centrali zapadła ciężka cisza.

Biegąca przez mapę świata linia przelotu satelity podzieliła się na kilka strzępków – komputer próbował ekstrapolować różne trajektorie spadania, uwzględniając liczne zmienne: ruch górnych warstw atmosfery ziemskiej, kąt wejścia w nie, szybkość dezintegracji satelity.

– Wygląda na to, że odłamki spadną wzdłuż wschodniej granicy Mongolii – powiedział specjalista do spraw telemetrii. – Część może nawet w Chinach.

– Możecie się założyć, że Pekin szybko je pozbiere – mruknął pod nosem dowódca 50.

Skrzydła Wojsk Kosmicznych.

Painter podzielał jego zdanie. Chiny wyśledzą każdy kawałeczek płonącego kosmicznego śmiecia lecący w ich kierunku.

Generał Metcalf popatrzył ostro na Paintera, a ten dobrze wiedział, o co chodzi. Zaawansowana technologia wojskowa znajdująca się na pokładzie satelity była ściśle tajna. Nie mogła się dostać w obce ręce.

Lewy ekran na ułamek sekundy zamigotał, po czym ponownie zgasł – umierający satelita czknął po raz ostatni.

– Ptak się skończył! – oznajmił oficer dowodzący. – Wszystkie przekazy zostały przerwane. Jest teraz spadającym głazem.

Strumień danych telemetrycznych sunął po mapie świata coraz wolniej, a w końcu znieruchomiał.

Doktor Shaw chwyciła Paintera za ramię.

– Muszą wyświetlić ostatni obraz! – powiedziała. – Zanim satelita zniknął.

Musiła dostrzec coś niezwykłego w danych, coś, co ją przeraziło.

Metcalf usłyszał jej słowa.

Painter popatrzył na szefa.

– Zróbcie to – powiedział generał. – Odtwórzcie obraz.

Rozkaz przeszedł przez kolejne stopnie hierarchii dowodzenia i inżynierowie oraz technicy rozpoczęli swoje czary. Po kilku długich minutach, potrzebnych na wyostrenie i oczyszczenie krótkiego mignięcia, pojawiło się ono na wielkim ekranie – w końcowej wersji.

Przez centralę przepłynęła fala westchnień.

Metcalf przysunął usta do ucha Paintera.

– Jeśli zachował się choć mały kawałeczek tego satelity, musi zostać odnaleziony. Nie może wpaść w ręce wroga.

Doskonale rozumiejąc logikę generała, Painter nie oponował.

– Mam w regionie kilku agentów.

Metcalf popatrzył na niego ze zdziwieniem, nie rozumiejąc, jak to możliwe.

Zwykle szczęście.

Painter powinien jak najszybciej wykorzystać okazję i natychmiast zmobilizować oddział ratunkowy, ale w tym momencie gapił się w ekran, niezdolny odwrócić wzrok.

Zdjęcie Wschodniego Wybrzeża Stanów Zjednoczonych zostało wykonane, w chwili gdy satelita leciał po niebie, ciągnąc za sobą ognistą smugę. Było wystarczająco szczegółowe, aby rozróżnić główne nadmorskie miasta.

Boston, Nowy Jork, Waszyngton.

Wszystkie zamieniły się w dymiące ruiny.

Makau, Chińska Republika Ludowa
17 listopada, godz. 23.58 czasu miejscowego

Przejechali pół świata w pogoni za duchem.

Komandor Gray Pierce zszedł ze statku w tłumie typowym dla tej pory i skierował się do terminalu promowego. Szybki katamaran pokonał drogę z Hongkongu na półwysep Makau w niewiele ponad godzinę. Czekanie w zatłoczonym budynku na kontrolę paszportową Gray wykorzystał na rozciągnięcie mięśni pleców, w których poczuł lekkie napięcie.

Ludzie zjeżdżali masowo na półwysep na Festiwal Latarni Wodnych zorganizowany ku czci wiszącej na niebie komety. Z nadejściem nocy rozpoczęła się ogromna impreza, w ramach której na jeziora i rzeki puszczano pływające latarnie – ofiary dla duchów zmarłych przodków. Na otaczającej terminal wodzie unosiły się setki lampionów wyglądających jak świecące kwiaty.

Stojący przed Grayem pomarszczony starzec niósł klatkę z trzciny z żywą gęsią. Człowiek i ptak wyglądali ponuro, co pasowało do nastroju Graya po siedemnastogodzinnej podróży.

– Dlaczego ta kaczka ciągle się na mnie gapi? – spytał Kowalski.

– Myślisz, że to zwykła kaczka? – rzucił Gray.

Towarzysz Graya, w dżinsach i długim płaszczu, był olbrzymi. O głowę wyższy, co oznaczało, że patrzył z góry na ludzi w terminalu. Niektórzy fotografowali amerykańskiego giganta o pobrużdżonej twarzy i ostrzyżonych na zapałkę włosach, jakby był Godzillą.

Gray odwrócił się do trzeciego członka ich grupy.

– Raczej mało prawdopodobne, że dowiemy się czegoś od naszego człowieka. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Seichan wzruszyła ramionami, pozornie obojętna, jednak pionowa zmarszczka między jej brwiami zdradzała, jak jest napięta. Dotarli aż tu, by osobiście wypytać informatora. Spotkanie z nim było ostatnią nadzieją na poznanie losów jej matki, którą dwadzieścia dwa lata wcześniej zabrali z domu w Wietnamie uzbrojeni ludzie, zmuszając ją do pozostawienia dziewięcioletniej córki. Seichan od lat uważała, że matka nie żyje, ale cztery miesiące temu pojawiły się informacje, z których wynikało, że może jest inaczej. Aby dotrzeć do źródła informacji, musieli wykorzystać wszystkie możliwości Sigmy.

Najprawdopodobniej była to ślepa uliczka, musieli jednak sprawdzić trop.

W końcu obsłużono stojących przed nimi ludzi i Seichan podeszła do znużonego celnika. Miała na sobie czarne dżinsy, buty do jazdy na motocyklu i luźną jedwabną bluzkę w takim samym odcieniu szmaragdu co oczy; na to narzuciła kaszmirową kamizelkę, bo noc była dość chłodna.

Pasowała do otoczenia, gdzie dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi było pochodzenia azjatyckiego. Dodatek europejskiej krwi stanowił w jej przypadku element egzotyki. Szczupła twarz i wysokie kości policzkowe wyglądały jak wykute w bladym marmurze, oczy w kształcie migdałów błyszcząły niczym wypolerowany jadeit. Jedyнным miękkim elementem postaci były

spadające luźną kaskadą włosy, czarne jak skrzydła kruka.

Nic z tego nie umknęło uwagi celnika.

Gdy podeszła, tłuścioch, którego brzuch niemal rozrywał guziki munduru, wyprostował się. Poruszając się z lwim wdziękiem, łączącym pokaz siły i groźbę, Seichan zmierzyła się z nim wzrokiem. Podała mu paszport. Tak samo jak dokumenty Graya i Kowalskiego, był fałszywy, ale sprawdzili się w Hongkongu, dokąd przylecieli z Waszyngtonu.

Nie chcieli, by Chińczycy poznali ich prawdziwą tożsamość. Gray i Kowalski byli agentami terenowymi Sigma Force, tajnego skrzydła DARPA, które miało za zadanie neutralizowanie zagrożeń globalnych. Do oddziału werbowano byłych komandosów sił specjalnych, po czym szkolono ich w wybranych dziedzinach. Seichan była kiedyś skrytobójczynią pracującą dla międzynarodowej organizacji przestępczej – do chwili gdy okoliczności sprawiły, że związała się z Sigmą. Choć oficjalnie nie pracowała dla agencji, działała na jej rzecz niczym cień.

Przynajmniej w tej akcji.

Gdy Gray i Kowalski przeszli przez kontrolę celną, cała trójka opuściła terminal i próbowała złapać taksówkę. Czekać, aż któraś przebije się przez zbity tłum i podjedzie do krawężnika, Gray rozglądał się po półwyspie i okolicznych wysepkach. Wszędzie zapraszająco migotały neony, nęciły stłumione echa ludzkiego gwaru i dudniąca muzyka.

Makau, dawna portugalska kolonia, była nowym miastem grzechu południowych Chin i mekką hazardu. W obrotach z gier prześcignęła już Las Vegas. Kilka kroków od terminalu promu wznosiła się złota wieża jednego z największych kasyn w mieście – Sands Macau. Podobno koszty budowy kompleksu, trzysta milionów dolarów, zwróciły się w niecały rok. Nieustannie pojawiały się nowe jaskinie hazardu i jak grzyby po deszczu wyrastały kolejne kasyna. W sumie było ich już trzydzieści trzy – w mieście o powierzchni jednej szóstej Dystryktu Kolumbii.

Atrakcje Makau nie kończyły się na hazardzie. Hedonistyczne rozkosze miasta – jedne legalne, inne nie – wykraczały daleko poza pociąganie za dźwignie jednoręcznych bandytów i rzucanie sztonów na stoliki do pokera. Stare przysłowie Las Vegas miało zastosowanie także tutaj: „Co się dzieje w Makau, pozostaje w Makau”.

Gray zamierzał się tego trzymać, więc uważnie obserwował tłum. Gdy podjeżdżała taksówka, ktoś spróbował go odepchnąć, on jednak bez pardonowo odprawił intruza ramieniem. Kowalski wcisnął się na przednie siedzenie, a Gray i Seichan wsiedli z tyłu.

Seichan pochyliła się do kierowcy i zaczęła mówić po kantońsku, wyrzucając słowa z szybkością karabinu maszynowego.

Gdy po chwili ruszyli, opadła plecami na oparcie kanapy i podała Grayowi jego portfel.

– Skąd go...? – spytał zaskoczony.

– Zostałeś namierzony przez kieszonkowca. Musisz tu na siebie uważać.

Kowalski parsknął śmiechem, co zabrzmiało jak rżenie konia.

Gray pamiętał twarz mężczyzny, który próbował się przed niego przepchnąć, więc spojrzął za siebie, by wyłuskać go z tłumu. To on odwrócił jego uwagę, a współnik uwolnił Graya od portfela. Na szczęście Seichan dysponowała umiejętnościami, zdobytymi na ulicach niewiele różniących się od tych, którymi jechali.

Po zaginięciu matki Seichan spędzała dzieciństwo w kolejnych nędznych sierocińcach w różnych miejscach Azji Południowo-Wschodniej – aż ją zrekrutowano i nauczono zabijać. Kiedy ona i Gray spotkali się po raz pierwszy, postrzeliła go w pierś, co trudno było nazwać miłym zawarciem znajomości. Kartel, dla którego pracowała, rozgromiono, a Seichan została

pozostawiona na pastwę losu, pozbawiona korzeni.

Była znakomicie wyszkoloną zabójczynią bez gruntu pod nogami.

Nawet Gray by się nie zdziwił, gdyby zniknęła i nigdy więcej się nie pojawiła. Choć w ciągu ostatnich czterech miesięcy zbliżyli się do siebie, ramię w ramię szukając tropów, które pozwoliłyby odnaleźć jej matkę, w dalszym ciągu wyrastał między nimi mur. Seichan akceptowała towarzystwo Graya, jego wsparcie, raz nawet wylądowali razem w łóżku. Co nie znaczy, że cokolwiek się wydarzyło. Po prostu pracowali do późna i tak wyszło. Gray nie mógł zasnąć, leżał obok i słuchał jej oddechu, niemal liczył drobne drgnięcia jej ciała przez sen.

Była niczym dzika bestia – kapryśna i czujna.

Gdyby zadziałał zbyt szybko, najprawdopodobniej by się wystraszyła i czmychnęła.

Teraz siedziała sztywna, napięta jak struny wiolonczeli. Wyciągnął rękę, położył dłoń na jej plecach i przyciągnął do siebie. Poczul, jak stal w jej ciele powoli mięknie. Oparła się o niego rozluźniona. Palcami jednej dłoni bawiła się wisiorkiem na szyi – maleńkim srebrnym smokiem. Druga dotknęła dłoni Graya i powiodła opuszką po bliźnie na jego kciuku.

Było to maksimum, na co mógł liczyć do chwili, aż Seichan znajdzie swoje miejsce w nowym świecie. Wyczuwał, co napędzało ją podczas czteromiesięcznych poszukiwań matki: szansa, by odkryć się na nowo, nawiązać ponowny kontakt z jedyną osobą, która ją chroniła i się nią opiekowała, odbudować utraconą rodzinę. Prawdopodobnie dopiero wtedy będzie mogła odwrócić się od przeszłości i spojrzeć w przyszłość.

Chciał tego i był gotów zrobić wiele, żeby tak się stało.

– Jeśli on cokolwiek wie, wydobędziemy to z niego – obiecał na głos.

Godz. 0.32

– Są w drodze – powiedział dzwoniący. – Powinni dotrzeć do celu za kilka minut.

– Potwierdziłeś ich tożsamość, Tomaz?

Ju-long Delgado chodził wzdłuż biurka z masywnego cejlońskiego mahoni. Drewno było rzadkie i drogie, tak jak lubił. Gabinet urządzono antykami – częściowo portugalskimi, częściowo chińskimi – co komponowało się z jego rodowodem.

– Próbowaliśmy niższemu ukraść dokumenty, ale włączyła się kobieta – rzekł Tomaz. – Jakimś sposobem zabrała nam portfel.

A więc wiele umiała.

Ju-long zatrzymał się i dotknął jednego z trzech zdjęć na biurku. Kobieta, tak jak on, była produktem wymieszania się kultur, Euroazjatką, a stawił na połączenie krwi wietnamskiej z francuską.

Zatrzymał wzrok na swoim odbiciu w ciemnym ekranie komputera. Nosił nazwisko ojca, by dać świadectwo obecności swojej rodziny w Makau od wojen opiumowych na początku dziewiętnastego wieku. Imię jego wywodziło się z linii matki. Po ojcu odziedziczył okrągłe oczy i silny zarost na twarzy, który golił na milimetr, po matce – delikatne rysy i gładką skórę. Choć przed kilku laty przekroczył czterdziestkę, powszechnie uważano go za młodszego. Wielu ludzi, patrząc na jego młodzieńczy wygląd, posądzało go o brak doświadczenia, a największym błędem, jaki popełniali, była próba wykorzystania tego do swoich celów.

Nikt nie popełnił tego błędu dwa razy.

Ju-long skupił wzrok na kobiecie na zdjęciu. Była tak dobrą skrytobójczynią, że za jej

głowę wyznaczono sowitą nagrodę. Najwyższą cenę oferował izraelski Mosad – w związku z jakimś dawnym przestępstwem – pod warunkiem że nikt nie powiąże ich z tym zabójstwem.

Na tym właśnie polegał największy talent Ju-longa: umiał poruszać się niewidziany, manipulować z dystansu, wykorzystywać nadarzające się okazje.

Popatrzył na zdjęcie żołnierza, byłego rangera. Miał on mocno opaloną twarz, w kącikach szarobłękitnych oczu zmarszczki od słońca; mocną szczękę pokrywał ciemny dwudniowy zarost. Oferta za jego głowę ciągle rosła, a szczególnie skoczyła w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Mężczyzna musiał mieć wielu wrogów – albo znać tajemnice wielkiej wagi. Nieważne. Ju-long handlował towarami, nie informacjami. Jak na razie, najwyższą sumę oferował anonimowy kupiec z Syrii.

Trzeci członek grupy – o twarzy goryla – najwyraźniej był tylko ochroniarzem. Kimś, kogo należy usunąć z drogi przed sięgnięciem po nagrodę.

Na razie nie wolno było spuszczać ich z oka.

Zdjęcie tej trójki w terminalu promu byłoby łatwe, tyle że porwanie w miejscu publicznym ściągnęłoby jednak zbyt wiele uwagi. Od kiedy Chińczycy w 1999 roku przejęli kontrolę nad Makau, trzeba było działać dyskretnie. Na szczęście prowadzone przez nowy rząd działania oczyściły półwysep z większości walczących ze sobą chińskich triad, eliminując konkurencję i pozwalając zwiększyć zakres wpływów organizacji Ju-longa. Jako Boss Makau – jak niektórzy go nazywali – trzymał rękę na pulsie i kontrolował niemal wszystko, a chiński rząd dyskretnie odwracał głowę – dopóki urzędnicy dostawali cotygodniową wypłatę.

Im bardziej Makau się bogaciło, tym bardziej bogacił się i on.

– Twoi ludzie zajęli pozycje w Casino Lisboa? – spytał Tomaza, aby nie było jakichkolwiek nieporozumień. – Są gotowi na ich przyjęcie?

– *Sim, senhor.*

– Świetnie. Jakiego spodziewasz się oporu?

– Nie mają broni palnej, choć przypuszczamy, że wszyscy mają noże. Nie powinno to jednak mieć znaczenia.

Ju-long z zadowoleniem skinął głową.

Gdy zakończył rozmowę, spojrzął na plazmowy telewizor stojący na antycznym portugalskim kufrze marynarskim. Tego dnia Tomaz przekupił ochroniarza z Casino Lisboa, co dało im dostęp do sieci nadzoru wewnętrznego. Ju-longa szczególnie interesował obraz z jednej z sal dla VIP-ów, znajdującej się poza głównym piętrem dla graczy. W Makau było mnóstwo takich prywatnych pomieszczeń, obsługujących wysoko obstawiających graczy, którzy chcieli mieć stół tylko dla siebie albo spędzić czas z którąś z miejscowych elitarnych prostytutek.

W pokoju znajdował się tylko jeden człowiek; siedział na obitej czerwonym jedwabiem kanapie. Przez kilka ostatnich dni rozpowiadał o nocnym spotkaniu i czekającej go fortunie. Gdy pojawiały się pogłoski o pojawieniu się dużych pieniędzy, zwłaszcza pochodzących z zagranicy, prędzej czy później docierały one do Ju-longa Delgado, a on szybko poznawał tożsamość przybyszy, którzy chcieli je wydać.

Gdy płyną pieniądze, można zarobić.

Ju-long stanął za biurkiem. Z okien jego rodzinnej posiadłości rozpościerał się widok na plac Leal Senado, historycznie kolonialne serce Makau, gdzie przez wieki paradowały portugalskie oddziały, a obecnie w świąteczne dni tańczyły chińskie smoki. Na drzewach wisiało mnóstwo latarni i klatek ze śpiewającymi ptakami. Po drugiej stronie placu poustawiano na małych nagrobkach gliniane miski, w których pływały zapalone świece, aby oświetlić drogę

duchom tych, którzy odeszli.

Największy płomień wisiał jednak na niebie, migoczący i jaskrawy: srebrzysty ogień komety.

Zadowolony Ju-long usiadł na fotelu i skupił się na plazmowym ekranie, gotów wziąć udział w nocnej rozgrywce w Casino Lisboa.

Godz. 0.55

Nie było to Makau, jakie pamiętała.

Seichan wysiadła z taksówki i rozejrzała się. Minęło ponad piętnaście lat od jej ostatniego pobytu w tym miejscu. W drodze z portu, przypominającej jazdę tunelem duchów w lunaparku, ledwie dostrzegała ślady dawnego sennego portugalskiego miasteczka, pełnego wąskich zaułków, kolonialnych posiadłości i barokowo ozdobionych placów.

To wszystko zginęło pod dominującymi, sięgającymi nieba budynkami z neonowym oświetleniem. W dawnych czasach nawet Casino Lisboa było zaniedbane i w niczym nie przypominało zaprojektowanego od nowa tortu urodzinowego. Przed laty nikomu do głowy by nie przyszło, że może powstać coś takiego jak jego najnowsze wcielenie: Grand Lisboa, trzystumetrowa złota wieża w kształcie kwiatu lotosu.

Zdecydowanie nie było to Makau, jakie pamiętała.

Z dawnymi sennymi czasami kojarzyły się jedynie tysiące lampionów, migoczących na jeziorze Nam Van. Na brzegach palono kadzidła, więc łagodną bryzę wypełniały aromaty goździków, anyżu i drewna sandałowego. Tradycję oddawania szacunku zmarłym kultywowano od tysiącleci.

Seichan puściła wiele takich lampionów, by uczcić pamięć matki.

Może już nie będzie musiała tego robić.

Gray spojrział na zegarek.

– Zostało pięć minut – powiedział, dając do zrozumienia, że muszą się spieszyć. – Spóźnimy się.

Szedł z Kowalskim przodem, Seichan podążała krok z tyłu – nie dlatego, że uważali ją za mniej ważną w tej misji, lecz by pilnować pleców mężczyzn. Makau może schowało dawną twarz za blaskiem neonów i migoczących świateł, ale tam, gdzie na małą przestrzeń spływa wielkie bogactwo – zwłaszcza w regionie świata, który nigdy nie znał dobrobytu – przestępczość i korupcja są głęboko zakorzenione. Seichan czuła, że stare Makau – arena wojen między gangami, handlu żywym towarem i morderstw – w dalszym ciągu żyje w cieniu nowego.

Dostrzegła stojącą w pobliżu wejścia grupę tajlandzkich prostytutek. Jedna z nich ruszyła w kierunku Graya, prawdopodobnie zwabiona jego wyglądem i amerykańską gotówką, Seichan jednak twardo spojrzęła na jej umalowane oczy i kobieta szybko się wycofała.

Przez nikogo nienękani, przeszli pod migoczącymi pasmami neonów Casino Lisboa i znaleźli się w środku. Natychmiast uderzył w nich odór dymu papierosowego, zakłuł w oczy i gardła. W powietrzu unosiła się błękitnawa chmura, podkreślając mrok i ponury wygląd głównego poziomu kasyna.

Zagłębiali się w serce ciemności.

Nie było tu luksusowego blasku w stylu Las Vegas. Grano wedle zasad starej szkoły, jakby świat wrócił do ery Rat Pack³. Sufity były niskie, światło – słabe. Z sąsiedniego pomieszczenia

dochodziły migotanie i dzwonięcie jednoręcznych bandytów. Główna sala mieściła stoły do bakarata, pai gow, sic bo, fan tan. Wokół nich tłoczyli się mężczyźni ze śladami trądziku na twarzy i ponure kobiety, uwięzieni tu zarówno przez uzależnienie, jak i nadzieję. Wszyscy odpalali papierosa od papierosa albo pocierali szczęśliwe talizmany. Pod sufitem wisiało dwanaście smoków – każdy ścisnął w łapach migoczącą kulę o zmieniających się barwach. Dwie kule się nie świeciły – najwyraźniej nikt nie zadbał o konserwację.

Atmosfera działała na Seichan relaksująco – podobały jej się nastrój gotowości do podejrzenia komuś gardła i bezpretensjonalność. Jakby ta mroczna przestrzeń była dobrym kumplem.

– Windy są tam – powiedział Gray, wskazując na szereg kabin po lewej.

Musieli wjechać wyżej – w głąb mrocznych peryferii kompleksu, serca labiryntu VIP-owskich sal, gdzie przepływało prawdziwe bogactwo. W prywatnych pomieszczeniach było znacznie więcej stołów do gry niż w głównej sali.

Po wejściu do kabiny Gray wcisnął przycisk trzeciego piętra. Pokoje na wyższych piętrach obsługiwały wyspecjalizowane agencje – prywatne firmy zapewniające bogatym graczom przelot z Chin kontynentalnych lub dowolnego innego miejsca; dostarczały wszelkich, nawet najbardziej ekstrawaganckich, rozrywek i spełniały dowolne żądania klienta. Pasaż handlowy w podziemiach budynku kasyna pełnił funkcję giełdy prostytutek, gdzie na kiwnięcie palcem można było mieć piękne młode kobiety.

Interesy w prywatnych pokojach robiło dwadzieścia firm, w tym kilka należących do syndykatów przestępczych, dla których pranie brudnych pieniędzy było codziennością. Tutejsza anonimowość i dyskrecja odpowiadały Grayowi i Seichan. Udawali klientów, zamierzających grać na wysokie stawki graczy. Pieniądze ich informatorowi miał przekazać ktoś inny, tak by oni mieli czyste ręce. Cel był prosty i wyraźnie określony: zdobyć informacje, zapłacić, wyjechać.

Winda otworzyła się na korytarz. Wszystko było tu czerwone lub złote i choć miało dawać wrażenie przepychu, wyglądało tandetnie. Przed niektórymi drzwiami stali potężnie zbudowani mężczyźni.

Kowalski przyglądał się im niczym rozdrażniony byk.

– Tędy – powiedziała Seichan, wyprzedzając swych towarzyszy.

Tak blisko celu zaczęło się jej spieszyć. To mogła być ostatnia szansa na poznanie losów matki – inne tropy rozpląwały się jeden po drugim jak dym. Z trudem panowała nad niepokojem. Przez ostatnie cztery miesiące korzystała z tego, co jej wpojono podczas szkoleń: zachowaj maksymalną czujność, nie pozwalaj myślom uciekać, skupiać się na niepokojach, nadziejach i rozpaczach. Dlatego trzymała Graya na dystans, chociaż on wyraźnie chciał stać się częścią jej życia.

Nie mogła stracić panowania nad sytuacją.

Wyznaczona im sala dla VIP-ów znajdowała się na końcu korytarza. Po obu stronach drzwi stali potężni mężczyźni z wybrzuszeniami pod marynarkami – ochroniarze z firmy wynajmującej lokal.

Seichan pokazała im dokumenty.

Gray i Kowalski zrobili to samo.

Dopiero wtedy jeden z goryli zapukał do drzwi i je otworzył. Seichan weszła pierwsza i szybko zlustrowała wnętrze. Ściany pomalowano na złoto, dywan był w szkarłatno-czarne wzory. Z lewej strony stał stół do bakarata z zielonym sukniem, z prawej ustawiono obite czerwonym jedwabiem krzesła, kanapę i fotele. W pokoju znajdowała się tylko jedna osoba.

Doktor Hwan Pak.

To z jego powodu musieli być tak ostrożni i użyć tylu wybiegów. Pracował jako główny naukowiec w Centrum Nuklearnych Badań Jądrowych Jongbjon w Korei Północnej, ośrodku wzbogacania uranu wykorzystywanego w koreańskim programie atomowym. Był poważnie uzależniony od hazardu, choć wiedziało o tym jedynie kilka agencji wywiadowczych.

Doktor Hwan Pak zduślił papierosa w popielniczce i wstał z kanapy. Miał zaledwie metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i był chudy jak szczapa. Na powitanie lekko się uklonił, patrząc na Graya, jakby wyczuwał, że to on dowodzi. Zignorował Seichan – w końcu była tylko kobietą.

– Spóźnił się pan – powiedział grzecznie, ale zdecydowanie. Jego akcent był ledwie wyczuwalny. Sięgnął do kieszeni i wyjął telefon komórkowy. – Kupił pan godzinę mojego czasu. Za osiemset tysięcy, jak ustalone.

Seichan skrzyżowała ramiona na piersi i czekała, aż Gray wpisze kod transferu ustalony w porozumieniu z firmą obsługującą salę.

– Czteryście tysięcy teraz – rzekł Gray. – Reszta, gdy zadowolą mnie pańskie informacje.

Cenę ustalono w dolarach hongkońskich, co równało się około osiemdziesięciu tysiącom dolarów amerykańskich. Gdyby się okazało, że mężczyzna naprawdę wie coś konkretnego o jej matce, Seichan z radością zapłaciłaby dziesięć razy więcej. Cień desperacji w oczach Paka świadczył o tym, że zgodziłby się na sumę znacznie niższą od oferowanej. Musiał wyrównać spore długi u niezbyt przyjemnych ludzi – tak duże, że nawet oczekiwana nagroda nie mogła pokryć ich w całości.

– Nie będzie pan rozczarowany – powiedział Koreańczyk.

Godz. 1.14

Gdy Hwan Pak zaprosił gości, aby usiedli, Ju-long Delgado, rozparty w fotelu w znajdującym się niemal po drugiej stronie Makau gabinecie, uśmiechnął się szeroko. Na ekranie dokładnie było widać, że wielkolud trzyma się nieco na uboczu, podchodzi do stołu do bakarata, przysiadła na nim i zaczyna mechanicznie skubać filc.

Dwa wartościowe cele – skrytobójczyni i były żołnierz – usiadły na obitych czerwonym jedwabiem fotelach.

Ju-long chętnie posłuchałby rozmowy, niestety transmisja szła tylko w wersji wideo.

Szkoda.

W obliczu spodziewanych zysków była to tylko drobna niedogodność.

Doskonale znał powiedzenie: Wszystko, co dobre trafia do tych, którzy czekają.

Godz. 1.17

Seichan pozwoliła Grayowi prowadzić przesłuchanie Hwan Paka. Wobec mężczyzny naukowiec z Korei Północnej powinien być mniej oporny.

Szowinistyczna świnia...

– A więc zna pan kobietę, której szukamy? – zaczął Gray.

– Ye – odparł Pak, kiwając głową. Zapalił kolejnego papierosa i wydmuchnął długą smugę dymu. Był wyraźnie zdenerwowany. – Nazywa się Guan-yin. Choć nie sądzę, że to jej prawdziwe imię.

Bo nie jest, pomyślała Seichan. A przynajmniej dawniej nie było.

Jej matka naprawdę nazywała się Mai Fuong Li.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, Seichan coś się przypomniało. Była dziewczynką, leżała na brzuchu nad małym ogrodowym stawem, próbując zwabić złotego karpia, i nagle tuż obok, w lustrze wody, pojawiła się twarz matki; otoczona płatkami kwiatów wiśni pływającymi na zmarszczonej drobnymi falami powierzchni.

Patronki matki.

Kwiaty wiśni.

Seichan zamrugała, by powrócić do rzeczywistości. Nic dziwnego, że matka przybrała nowe imię. Uciekała, musiała się ukrywać, a nowe imię pozwalało rozpocząć nowe życie.

Korzystając z pomocy Sigmy, Seichan odkryła, kto porwał jej matkę: agencji wietnamskiej tajnej policji, eufemistycznie zwanej Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego. Dowiedzieli się o jej związku z amerykańskim dyplomatą – ojcem Seichan – i o tym, że zwykły flirt przerodził się w miłość, i postanowili wydobyć z niej amerykańskie tajemnice.

Matkę Seichan uwięziono w obozie karnym pod miastem, które nazywało się wtedy Ho Chi Minh, skąd uciekła rok później, gdy wybuchł tam bunt. Przez krótki czas – z powodu urzędniczej pomyłki – uważano ją za martwą, jedną z ofiar tego buntu. Dzięki temu szczęśliwemu przypadkowi zgubiła prześladowców i udało jej się opuścić Wietnam i zniknąć w dalekim świecie.

Seichan dręczyły tysiące pytań.

Szukała mnie? Uważała, że nie żyję?

– Guan-yin – powiedział Pak. Na jego ustach pojawił się ślad uśmiechu, drwiącego i gorzkiego. – Tak piękne imię zdecydowanie do niej nie pasowało... gdy spotkaliśmy się osiem lat temu.

– Co pan ma na myśli? – spytał Gray.

– *Guan-yin* oznacza „bogini miłosierdzia”. – Pak uniósł lewą dłoń. Brakowało jednego palca. – Tak wygląda jej łaskawość.

Seichan przysunęła się bliżej i po raz pierwszy się odezwała.

– Jak ją pan poznał? – spytała lodowato.

Pak sprawiał wrażenie, że zamierza zignorować to pytanie, po chwili jednak lekko zmrzył oczy. Przyjrzał się uważniej Seichan, jakby dopiero teraz ją dostrzegł. W jego spojrzeniu pojawiła się podejrzliwość.

– Brzmisz jak... Właśnie wtedy... nie, to niemożliwe.

Gray pochylił się i spojrzał Koreańczykowi w oczy.

– To droga godzina, doktorze Pak. Proszę odpowiedzieć na pytanie tej pani. Jak poznał pan Guan-yin? Kim była?

Naukowiec wygładził kłapy marynarki, jakby to mogło mu pomóc się uspokoić.

– Kiedyś prowadziła ten właśnie lokal – powiedział, lekko kiwając głową dla zaakcentowania, że ma na myśli pokój, w którym się znajdowali. – Jako Głowa Smoka triady *Duàn zhī* z Kowloonu.

Na dźwięk tej nazwy Seichan drgnęła.

– Twierdzi pan, że Guan-yin była szefem chińskiej triady? – spytał Gray z niedowierzaniem.

– *Ye* – rzucił ostro naukowiec. – Jest jedyną kobietą, która kiedykolwiek została Głową Smoka. Dla osiągnięcia tego celu musiała być skrajnie bezlitosna. Powinienem wiedzieć, że nie

należy zaciągać u niej pożyczki. – Potarł kikut palca.

– Kazała obciąć panu palec? – spytał Gray.

– *Aniyo* – zaprzeczył Koreańczyk. – Zrobiła to osobiście. Przyjechała z Kowloonu z młotkiem i dłutem. Nazwa jej triady znaczy „złamana gałąź”. To typowy dla niej sposób zachęcania do szybkiego spłacania długów.

Gray skrzywił się na myśl o takiej brutalności.

Seichan również poczuła niesmak. Obraz obcinanego dłutem palca tak klócił się z obrazem matki opiekującej się gołębiem ze złamanym skrzydłem, że z trudem chwytiała powietrze. Koreańczyk na pewno jednak nie kłamał.

Gray nie był o tym aż tak bardzo przekonany.

– Skąd pan wie, że ta szefowa triady jest kobietą, której szukamy? Jaki może pan dać dowód? Ma pan zdjęcie ukazujące was razem?

Rozpuszczając wieść o poszukiwaniu, Sigma opublikowała zdjęcie matki Seichan pochodzące z akt wietnamskiego więzienia, w którym ją przetrzymywano, oraz komputerową symulację, jak może wyglądać obecnie, po dwudziestu latach. Wymieniła także listę możliwych miejsc jej pobytu, nie była ona jednak zbyt dokładna, bo obejmowała spory region Azji Południowo-Wschodniej.

Doktor Pak chwycił jednak przynętę.

– Zdjęcie? – Pokręcił głową i zapalił kolejnego papierosa. – Ona nie pokazuje się publicznie. Jej twarz widziało jedynie kilka najwyższej postawionych osób w hierarchii jej triady. Jeżeli ujrzy ją ktokolwiek niepowołany, nie pożyje wystarczająco długo, aby o tym opowiedzieć.

– Więc w jaki sposób...?

Pak dotknął swojego gardła.

– Smok. Ujrzałem go, gdy zamachnęła się młotkiem. Dyndał jej na szyi, srebro błyszczało zimno, bezlitośnie jak kobieta, która go nosiła.

– Taki jak ten? – Seichan sięgnęła za kołnierzyk i wyciągnęła zawieszkę ze smokiem. W aktach wywiadowczych zamieszczono jego zdjęcie, był bowiem kopią wisiorka matki. Pamięć o nim Seichan miała wrytą głęboko i nieraz pojawiał się w jej snach...

...w których leżała w ramionach matki na łóżku pod oknem, zza którego dolatywał śpiew ptaków, a spoczywający w zagłębieniu matczynej szyi smok z każdym jej oddechem migotał w świetle księżyca niczym marszcząca się woda...

Hwan Pak musiał mieć inne wspomnienia, bo skulił się, jakby chciał się zapaść pod ziemię.

– Musi być wiele podobnych smoków – stwierdził Gray. – Pańskie słowa to żaden dowód. To jedynie wspomnienie sztuki biżuterii widzianej osiem lat temu.

– Jeżeli chce pan prawdziwego dowodu...

Seichan przerwała Koreańczykowi w pół słowa. Wstała i energicznym ruchem schowała wisiorek za kołnierz. Dała znak Grayowi, że chce porozmawiać z nim w cztery oczy.

Odeszli za stół do bakarata i zaczęła mu szeptać do ucha. Przed podsłuchaniem dodatkowo chroniły ich szerokie bary Kowalskiego.

– On mówi prawdę – powiedziała. – Musimy przejść do następnego etapu przesłuchania i dowiedzieć się, gdzie jej szukać w Kowloonie.

– Seichan, wiem, że chcesz mu wierzyć, ale pozwól mi...

Ścisnęła Graya za biceps.

– Nazwa triady. *Duàn zhī*.

Widząc wyraz twarzy Seichan, Gray zamilkł i pozwolił jej dokończyć.

– Nazwa... złamana gałąź. – Od samego brzmienia tych słów coś w niej pękało.
Czekał, nie rozumiejąc, pozwalał jej jednak wyjaśniać do końca.

– Moje imię... – powiedziała z wahaniem, zdając sobie sprawę, że odsłania kawałek siebie

– to, które dała mi matka... to, które odrzuciłam, aby pozostawić za sobą dzieciństwo...
brzmiało Chi.

Nowe imię dawało szansę rozpoczęcia nowego życia...

– A więc naprawdę nazywasz się Chi.

– Nazywałam się.

Dziewczynka o tym imieniu umarła dawno temu.
Seichan wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić.

– Po wietnamsku „chi” oznacza „gałąź”.

Gray od razu zrozumiał. Matka Seichan nazwała triadę od imienia córki.

Zanim zdążył odpowiedzieć, za drzwiami rozległo się ostre kasłanie, nie pochodziło jednak z ludzkiego gardła. Na korytarzu z głuchymi tapnięciami zwały się na podłogę ciała ścięte salwami z broni z tłumikiem.

Gray już po sekundzie odwracał się w kierunku zagrożenia. Pociągnął Kowalskiego za sobą.

– Chciał pan mieć dowód! – zawołał Pak, wskazując zapalonym papierosem w kierunku drzwi. – Oto dowód!

Seichan natychmiast pojęła grę Koreańczyka. Powinna domyślić się wcześniej. Skłęła się za głupotę. Kiedyś nie dałaby się tak omamić. Kontakt z Sigmą zmiękczał ją.

Pak zaczął się cofać od drzwi, nie wyglądał jednak na przestraszonego. Zaplanował tę grę. Miała mu zapewnić znacznie większą zapłatę niż ta oferowana przez Graya, taką, która umożliwi mu spłatę wszystkich długów. Drań zdradził ich w sprytny sposób, odwrócił sytuację na ich niekorzyść, sprzedał triadzie matki Seichan, dając ostrzeżenie kobiecie, która starannie dbała o to, aby ukryć przed światem swoją twarz.

Kobiecie, która zniszczy każdego, kto dotrze zbyt blisko prawdy.

Seichan doskonale to rozumiała.

Sama zrobiłaby tak samo.

Aby przeżyć, trzeba podejmować konieczne kroki.

Godz. 1.44

Ju-long Delgado nie wykazywał podobnego zrozumienia dla nagłego obrotu sytuacji w Casino Lisboa. Wstał i wziął do ręki telefon komórkowy.

Obserwował na ekranie plazmowego monitora reakcję trójki obcych na zamieszanie za drzwiami VIP-owskiej sali. Dwaj Amerykanie przewrócili stół do bakarata i zasłonili się nim jak tarczą. Koreańczyk nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego, wycofał się jednak w odległy kąt, aby zejść nieszczerście z drogi.

Ju-long, korzystając z szybkiego wybierania, połączył się z przebywającym w Casino Lisboa Tomazem. Przed akcją dał mu wyraźne polecenie, aby nie atakować obiektów, dopóki doktor Pak nie opuści pomieszczenia. Nie chciał zadzierać z Koreańczykami z Północy. Miał z ich rządem wiele lukratywnych powiązań, zwłaszcza w zakresie przewozów prominentnych koreańskich funkcjonariuszy na trasie Korea–Makau–Korea. Nieraz osobiście odwiedzał

Pjongjang, aby pielęgnować układy.

Tomaz natychmiast zaczął zdawać sprawozdanie. Dyszał, jakby biegł.

– Też to widzieliśmy, na monitorach ochrony, *senhor*. Strzelanina. Idę na górę. Ktoś atakuje salę dla VIP-ów.

Ju-long poczuł słuszne oburzenie. Czyżby ktoś chciał mu ukraść towar? Niezadowolony partner postanowił ominąć aukcję i samemu sięgnąć po wygraną?

– Naszym zdaniem to jedna z triad – powiedział Tomaz.

Ju-long zacisnął pięść.

Przeklęte chińskie psy...

Jego plan musiał dotrzeć do niepowołanych uszu.

– Co robić, *senhor*? Wycofujemy się czy kontynuujemy zgodnie z planem?

Ju-long nie miał wyboru. Jeżeli nie weźmie odwetu, triady uznają to za oznakę słabości i przez lata będzie musiał prowadzić wojny o terytorium. Nie mógł się zgodzić na poniesienie takich kosztów – zwłaszcza na osłabienie jego pozycji w oczach chińskich oficjeli rządzących Makau.

Musiał działać zdecydowanie.

– Zamknijcie Lisboę – polecił, zamierzając przykładowo ukarać intruzów. – Sprowadźcie więcej ludzi. Wszyscy obecni w obiekcie ludzie triady, zamieszani w sprawę lub nie, mają zginąć na miejscu. I każdy podejrzany o współpracę, każdy, kto mógł pomagać zorganizować atak albo o nim wiedział.

– A obiekty?

Ju-long przez chwilę ważył za i przeciw. Oba obiekty przyniosłyby spory zysk, ale ich śmierć mogła posłużyć jako ważna lekcja. Zabijając ich, zademonstruje, że dla zachowania autorytetu i pozycji jest gotów poświęcić profit. A dla Chińczyków honor i zachowanie twarzy mają znaczenie nie mniejsze niż oddychanie.

Złość ustąpiła; skupił się na realiach. Co się stało, to się nie odstanie.

Poza tym martwe ciała też mogły przynieść niezłą sumkę.

Niewielki zysk zawsze jest lepszy niż żaden.

– Zabić ich – rozkazał. – Zabić całą trójkę.

Baza Wojskowych Sił Powietrznych
El Segundo w Kalifornii
17 listopada, godzina 9.46 czasu miejscowego

W SMC, Ośrodku Systemów Kosmicznych i Pocisków Raketowych panował chaos.

Minęły niemal dwie godziny od chwili, gdy na wielkim monitorze pojawił się satelitarny obraz zmienionych w zgliszcza miast Wschodniego Wybrzeża. Personel bazy natychmiast sprawdził faktyczną sytuację i otrzymał potwierdzenie, że Nowy Jork, Boston i cały Dystrykt Kolumbii są bezpieczne. Życie trwało tam bez jakichkolwiek problemów.

Ulga w centrali dowodzenia była wyraźnie wyczuwalna. Painter poczuł ją również. Na całym Wschodnim Wybrzeżu miał kolegów i przyjaciół, najbardziej cieszyło go jednak, że narzeczona przebywa w Nowym Meksyku. Niemal widział twarz Lisy, okoloną blond włosami, i jej nieco szelmowski uśmiech, który zawsze przyprawiał go o szybsze bicie serca. Gdyby cokolwiek jej się stało...

W każdym razie na Wschodzie nic złego się nie działo.

Co więc pokazał satelita w chwili upadku?

Było to podstawowe pytanie minionych dwóch godzin. W centrali dowodzenia pojawiały się kolejne teorie. Może obraz był efektem komputerowej ekstrapolacji? Symulacją ataku atomowego? Inżynierowie zgadzali się jednak, że coś takiego wykracza poza możliwości oprogramowania satelity.

Co więc się stało?

Painter stał przed olbrzymimi ekranami z doktor Jadą Shaw, garstką inżynierów i kilkoma wysokiej rangi wojskowymi.

Na jednym z ekranów wyświetlił się satelitarny obraz Manhattanu. Młody technik skierował wskaźnik laserowy na czerwony przesuwający się punkt w poprzek wyspy.

– Ten obraz pochodzi z satelity NRO i został uchwycony w momencie, gdy płonący IoG-1 mijał Wschodnie Wybrzeże. Widzicie tu państwo siatkę ulic, stawy w Central Parku. Teraz pokażę cząstkowe zdjęcie tego samego miejsca zrobione przez IoG-1. – Nacisnął guzik pilota i obok pierwszego zdjęcia pojawiło się drugie. Nowe ujęcie było powiększeniem tego samego fragmentu Manhattanu, który uwiecznił spadający satelita. – Po nałożeniu na siebie obu obrazów...

Technik wykonał kilka czarów, aby zgrać cały przekaz. Mimo dymu i płomieni wyraźnie było widać, że siatki ulic pokrywają się idealnie, podobnie jak stawy w Central Parku.

W tłumie rozległ się pomruk.

Doktor Shaw, ze sceptycznie zmarszczonym czołem, zrobiła krok do przodu, aby przyjrzeć się bliżej.

– Jak państwo widzicie – kontynuował technik – to Nowy Jork, nie faksowa kopia. Pokazywane zniszczenia to nie cyfrowe zakłócenia przypadkiem wyglądające, jakby Wschodnie

Wybrzeże płonęło. Obraz jest zbyt dokładny.

Dla podkreślenia swoich słów wykonał zbliżenia kluczowych miejsc wyspy. Obraz zrobił się ziarnisty, ale wszystko wskazywało na to, że co do najdrobniejszego szczegółu przedstawia Manhattan. Tyle tylko, że Empire State Building zamienił się w pochodnię, dzielnica finansowa w krater, a most Queensboro w chaotyczną płataninę stalowych belek i wsporników. Wyglądało to jak znakomitej jakości makieta do filmu katastroficznego.

Boston i Dystrykt Kolumbii wyglądały nie lepiej.

W głowach obecnych rodziły się pytania. Gdy obrazy zostały rozdzielone, doktor Shaw przysunęła się do ekranu i z dłonią na podbródku patrzyła to na jeden, to na drugi.

Generał Metcalf zawołał do siebie Paintera. Był wyraźnie zirytowany.

– Dyrektorze Crowe, można na chwilę?

Painter podszedł do szefa stojącego przed mapą świata.

– To ostatnie i maksymalnie dokładne dane telemetryczne – powiedział Metcalf, wskazując trajektorię spadania satelity. – Miejsce upadku znajduje się mniej więcej tutaj, w bezludnej okolicy Mongolii. Jak pan widzi, niedaleko są granice chińska i rosyjska. Jak na razie, oba kraje słowem nie pisnęły o katastrofie.

– A co z ludźmi, którzy mogli to zaobserwować?

Metcalf pokręcił głową.

– To górski i odludny region. Zamieszkaany jedynie przez nomadyczne plemiona.

– W takim razie mamy szansę dotrzeć na miejsce i znaleźć płonące kawałki sprzętu wojskowego, zanim Rosja i Chiny dowiedzą się o prezencji.

– Otóż to.

Painter popatrzył na ekran z boku. Nikt nie miał pojęcia, co wytworzyło mrozący krew w żyłach obraz, wszyscy zdawali sobie jednak sprawę, że odpowiedzi tkwią w rozbitych resztkach Oka Boga. Oczywiście, ważne było także, aby nikt postronny nie przejął zaawansowanej technologii satelitarnej.

– Kazałem już kapitan Kat Bryant, znajdującej się teraz w dowództwie Sigmy, zacząć logistyczne przygotowanie akcji grupy poszukiwawczej – oznajmił Painter.

– Świetnie. Chcę, by wrócił pan pierwszym samolotem do Waszyngtonu. Pańska maszyna właśnie jest tankowana. To priorytet. Znaleźć i zabezpieczyć wrak.

Metcalf odwrócił się do Paintera plecami, odprawiając go w ten sposób.

Stojąca nieco z boku doktor Shaw pochyliła się nad technikiem. Ten patrzył na ekran i potakiwał ruchami głowy. Po chwili zamarł z przerażoną miną.

Co się dzieje?

Ruszył w kierunku stanowiska inżynierskiego, przywołując kolegów.

Painter podszedł do obserwującej ekran doktor Shaw.

– W dalszym ciągu uważam, że to kometa – powiedziała, widząc jego zainteresowanie.

– Doktor Shaw, wciąż sądzi pani, że to konsekwencja działania ciemnej energii?

– Proszę mi mówić po imieniu. A jeśli chodzi o pańskie pytanie, to tak. Z ostatnich danych otrzymanych z satelity wynika, że efekt geodetyczny miał odchylenie pięć koma cztery stopnie.

Wyraz jej oczu świadczył o tym, że oczekiwała, iż Painter pojmie znaczenie tego faktu.

Przeceniała go.

– Co to właściwie oznacza? – spytał.

Westchnęła sfrustrowana. Spędziła dwie godziny na debatach z generałami, próbując skłonić ich, żeby wysłuchali, co ma do powiedzenia, i najwyraźniej traciła cierpliwość do

otaczających ją idiotów.

– Proszę sobie wyobrazić kulę do kręgli leżącą na cienkim płacie elastycznej tkaniny – powiedziała. – Masa kuli powoduje zagłębienie w powierzchni tkaniny. To właśnie robi Ziemia z tym, co ją otacza. Zakrzywia przestrzeń i czas. Udowodniono to zarówno teoretycznie, jak i eksperymentalnie, a efekt geodetyczny stanowi jakby linijkę mierzącą zakrzywienie. Jeśli dane wykazują odchylenie od oczekiwanej wartości, oznacza to pojawienie się zmarszczki w czasoprzestrzeni. Zgodnie z moją teorią może się to wydarzyć, jeśli IoG-1 otrzyma impuls ciemnej energii. W najsmielszych snach nie spodziewałam się jednak zmarszczki aż tak dużej.

Między brwiami zaniepokojonej doktor Shaw pojawiła się głęboka bruzda.

– To, co pani zaobserwowała, jest aż tak bardzo niepokojące?

– W najgorszym przypadku spodziewałam się drgnięcia efektu geodetycznego. W granicach góra jednej dziesiątej procenta, do tego krótkiego na nanoskali czasu. Odchylenie o ponad pięć procent, do tego trwające niemal minutę... – Pokręciła głową.

– Wspomniała pani o tym, że, teoretycznie, znaczący impuls ciemnej energii mógł wyrwać dziurę w czasoprzestrzeni i na chwilę otworzyć okno do alternatywnego wszechświata, równoległego do naszego. I to właśnie w tym alternatywnym wszechświecie mogło dojść do zniszczenia Wschodniego Wybrzeża.

Przez chwilę w milczeniu obserwowała ekran.

– Mogło to też być spojrzenie w naszą przyszłość.

Tej niepokojącej możliwości doktor Shaw dotychczas nie formułowała głośno.

– Czas nie jest funkcją liniową – powiedziała, jakby myślała na głos. – To jedynie kolejny wymiar. Jak „góra-dół” albo „prawo-lewo”. Strumień czasu może zostać zmodyfikowany przez grawitację lub prędkość. Jeśli czasoprzestrzeń została naderwana albo się zmarszczyła, mogło dojść do skoku czasowego, czegoś w rodzaju skoku igły gramofonowej na nierówności płyty winylowej. – Strach w jej oczach się spotęgował.

– Odkąd wy, dzieciaki, znowu słuchacie winyli? – spytał Painter.

Spiorunowała go wzrokiem; jej niepokój przeszedł w oburzenie.

– Może powinien pan wiedzieć, że mam kolekcję płyt jazzowych, która jest porównywalna z najlepszymi zbiorami na świecie. B.B. King, John Lee Hooker, Miles Davis, Hans Koller.

– Jasna sprawa. – Painter ugodowo uniósł dłonie.

– Nic nie może się równać z winylem – zakończyła doktor Shaw ze słusznym oburzeniem.

Painter nie zamierzał się spierać.

Od dalszej dyskusji uratowało go pojawienie się technika.

– Miała pani rację – powiedział, sprawiając wrażenie bardziej przestraszonego, niż był wtedy, gdy odchodził.

– W czym? – spytał Painter.

Technik wrócił do wielkiego ekranu, ponownie wyświetlił zdjęcie zrobione przez satelitę NRO i nałożył je na obraz uzyskany z IoG-1. Przekładał je tak, że z góry było raz jedno, raz drugie.

– Tak jak pani podejrzewała, cienie się nie zgadzają. Nie tylko tutaj. Sprawdziliśmy kilka miejsc w Bostonie i zauważyliśmy identyczną anomalię. – Wskazał na zgromadzoną przy jego miejscu pracy grupkę inżynierów i techników. – Robimy zbliżenia różnych punktów na Wschodnim Wybrzeżu i obliczamy wariancję.

Doktor Shaw skinęła głową.

– Trzeba obliczyć różniczkę czasu – rzuciła.

– Jesteśmy w trakcie.
Painter nie nadażał.
– Co jest nie tak?
Wskazała w kierunku wielkiego ekranu.
– Cienie na obu zdjęciach się nie pokrywają. Są odrobinę przesunięte.
– To znaczy?
– Gdyby zdjęcia zrobiono w tym samym momencie, cienie byłyby takie same. Tak jak w przypadku zegara słonecznego sfotografowanego dwa razy w tym samym momencie. Te nie nakładają się na siebie. Są różne, więc...
– ...pozycja Słońca była przy każdym ze zdjęć inna. – Painter poczuł, jak po jego plecach przechodzi dreszcz, który mógł oznaczać tylko jedno: przecucie nieszczęścia.
Doktor Shaw wzięła głęboki wdech.
– Oko Boga sfotografowało Manhattan w innej chwili niż ta, którą instrumenty zarejestrowały jako moment katastrofy satelity.
Painter wyobraził sobie igłę gramofonową, skaczącą na rysie płyty winylowej.
– Technicy próbują określić, jaka data i godzina pasują do pozycji Słońca uchwyconej na zdjęciu satelitarnym. Triangulacja punktów obliczeniowych na Wschodnim Wybrzeżu powinna pozwolić określić dokładny czas.
Przy konsolocie inżynierskiej narastał harmider.
Główny technik wyprostował się i wbił wzrok w Jadę.
– Wariancja... osiemdziesiąt osiem... – Ktoś pociągnął go za rękaw, technik pochylił się do ekranu, po czym ponownie wyprostował. – Dziewięćdziesiąt godzin od teraz.
Niecałe cztery doby.
Podszedł generał Metcalf.
– O co właściwie chodzi? – spytał.
Painter popatrzył na Jadę Shaw; jej mina potwierdzała to, czego się obawiał.
– To zdjęcie – wskazał na obraz zniszczeń – nie jest efektem zakłócenia. Za cztery dni tak będzie wyglądał świat.

Rzym

Godz. 18.54 czasu miejscowego

Dzwonek telefonu obudził Rachele w chwili, gdy śniło jej się, że tonie. Wyrwała się na powierzchnię, zaczęła chwytać powietrze; potrzebowała chwili na uzmysłowienie sobie, że nie leży we własnym łóżku, a na kanapie w gabinecie wuja. Zasnęła, czytając o świętym Tomaszu.

W powietrzu unosiły się jeszcze zapachy pesto i czosnku, jedzenia na wynos, które dla nich zamówiła. Pudełka stały na biurku, tuż przy łokciu Vigora.

– Możesz odebrać? – spytał *monsignore*.

Siedział pochylony nad czaszką, okulary do czytania podciągnął na czoło. Trzymał cyrkiel, za pomocą którego mierzył kość nosową. Zapisał coś na arkuszu papieru.

Gdy telefon ponownie zadzwonił, Rachele wstała i podeszła do biurka. Przez wąziutkie okienko popatrzyła na księżyc rozjaśniony światłem z ogona komety.

– Robi się późno, wujku. Możemy dokończyć rano.

Vigor machnął cyrkiem.

– Sypiam tylko kilka godzin. A najlepiej mi się pracuje, gdy jest cicho, tak jak teraz.

Rachele podniosła słuchawkę.

– Pronto?

– Sono Bruno Conti, dottore di recerco da Centro Studi Microcitemia – usłyszała zmęczony męski głos.

Zakryła słuchawkę dłonią.

– Wujku, to doktor Conti z laboratorium.

– Długo im to zajęło. – Vigor machnął ręką, dając znak, żeby podała słuchawkę.

Gdy *monsignore* wdał się w rozmowę z genetykiem, Rachele zapatrzyła się w czaszkę. Wykryty na niej niewyraźny napis, określający fatalną datę mógł uzasadniać niecierpliwość wuja. Sama podchodziła do tego dość obojętnie, wiedziała bowiem, że ludzie od początku istnienia ludzkości przepowiadają koniec świata. Robili to zarówno starożytni Majowie, którzy stworzyli proroczy kalendarz, jak i ci, którzy w dwutysięcznym roku zapowiadali nieszczęście przełomu tysiącleci.

Czym wyróżniała się akurat ta przepowiednia?

Vigor mówił coraz bardziej nerwowo, a w końcu gwałtownie odłożył słuchawkę.

– Jakie wieści z laboratorium? – spytała Rachele, dostrzegając ciemne kręgi pod oczami wuja.

– Potwierdzili moje szacunki dotyczące wieku czaszki i księgi.

Wskazał oprawioną w ludzką skórę Ewangelię Tomasza. Rachele po raz setny zadała sobie pytanie, z jakiego powodu ktoś wybrał tak makabryczną oprawę. To prawda, że kiedyś uważano tę księgę za heretycką, odrzucała bowiem religijną ortodoksję jako jedyną drogę zbawienia; zgodnie z jej słowami droga do Boga tkwiła w każdym człowieku i wystarczy otworzyć oczy, aby nią podążyć.

Szukajcie, a znajdziecie.

Herezja lub nie, ale dlaczego oprawiać księgę w ludzką skórę?

– Więc z jakiego są okresu?

– Laboratorium datuje oba artefakty na trzynasty wiek.

– Więc nie trzeci, jak sugerowałby aramejski tekst. Zatem to nie jest oryginalny żydowski talizman, jakie znajdowali czasami archeologowie.

– Nie. Podejrzewałem, że to kopia. Nawet sama czaszka nie jest żydowska.

– Skąd wiesz?

Dał znak, by podeszła.

– Gdy spałaś, postudiowałem struktury czaszek i schematy anatomiczne. Po pierwsze, ta jest średnioczaszkowa.

– To znaczy?

– Jest szeroka i ma średnią wysokość. Zauważ, jak grube są kości jarzmowe, oczodoły zaokrąglone, a kości nosa płaskie i szerokie. – Uniósł czaszkę i odwrócił ją szczęką do góry. – Spójrz na zęby. Siekacze mają kształt łopatowy, co bardzo je różni od śródziemnomorskich.

– Więc skąd ona pochodzi?

Vigor patrzył uważnie na siostrzenicę, stukając cyrklem w notes.

– Na podstawie różnych parametrów, rozstawu oczu, głębokości dołu przednosowego, stopnia wysunięcia zuchwy do przodu powiedziałbym, że pochodzi z Azji Wschodniej i kiedyś nazwano by ją mongoloidalną.

Rachele słuchała z respektem, mając świadomość, że wuj jest nie tylko duchownym.

- Więc ta czaszka pochodzi z Dalekiego Wschodu?
- Podobnie jak księga.
- Księga?

Vigor popatrzył na siostrzenicę znad okularów.

- Zdawało mi się, że słuchałaś mojej rozmowy z doktorem Contim.

Rachele pokręciła głową.

Monsignore zatrzymał dłoń kilka centymetrów nad pomarszczoną skórzaną oprawą z makabrycznym zaszytym okiem.

- Z analizy doktora Contiego wynika, że skóra na księdze i czaszka mają to samo DNA.

Gdy dotarło do niej, co to oznacza, Rachele poczuła w ustach smak żółci. Ten, kto zrobił talizmany, posłużył się tym samym ciałem. Najpierw użył skóry jakiegoś nieszczęśnika, aby oprawić książkę, a następnie wypreparował jego czaszkę.

– Poprosiłem laboratorium o kontynuację pracy nad tworzeniem profilu rasowego z wykorzystaniem DNA autosomalnego i mitochondrialnego, co może pozwoli zawęzić pochodzenie relikwii. Ojciec Josip musiał je przysłać z określonym zamiarem. Gonił go czas. Wiedział, że mam dostęp do zasobów, z których on nie może skorzystać.

- Na przykład do laboratorium badającego DNA.

Vigor potaknął skinieniem głowy.

- Dlaczego nie napisał listu?

- Kto powiedział, że tego nie zrobił?

Rachele jęknęła.

- W takim razie, czemu nie...?

– Odkryłem go dopiero przed kwadransem. Badając czaszkę. Chciałem dokończyć pomiary, ty potrzebowałaś snu. Potem zadzwonił telefon i rozkojarzyły mnie wieści z laboratorium.

Rachele wpatrywała się w czaszkę.

- Pokaż.

Vigor odwrócił czaszkę i wskazał na miejsce wejścia rdzenia kręgowego. Wziął do ręki ołówkową latarkę i zaświecił do środka.

- Gdzie indziej można by ukryć podobną tajemnicę?

Rachele pochylili się i zajrzała do czaszki. Do wewnętrznej powierzchni przyklejono ciemnoczerwony wosk i przyciśnięto go jak pieczęć na papieskim liście. W wosku wryto małe literki układające się w napis po łacinie. Próbowała sobie wyobrazić ojca Josipa wydrapującego każdą literkę ostrym długim instrumentem przez małe otwory w czaszce.

- Po co taka tajemnica? Czy ten człowiek miał paranoję?

Wpatrywała się w wiadomość.



– „Pomocy. Przybądźcie nad Jezioro Aralskie” – przetłumaczyła Rachele na głos.

Dziwne. Jezioro Aralskie znajdowało się w Azji Środkowej, na granicy między Kazachstanem a Uzbekistanem, na całkowitym odludziu. Wuj określił region pochodzenia czaszki jako „Azję Wschodnią”. Czyżby ojciec Josip doszedł do takiego samego wniosku i przeniósł poszukiwania z Węgier na Wschód? Jeśli tak, to czego szukał i skąd ta tajemniczość?

Po uważnym przyjrzeniu się dostrzegła pod literami szereg słabo widocznych cyfr.

Vigor domyślił się, co przyciągnęło uwagę siostrzenicy.

– Dane dotyczące długości i szerokości geograficznej – powiedział.

– Określają konkretne miejsce. Ojciec Josip chce, żebyś się tam z nim spotkał?

– Na to wygląda.

Rachele zmarszczyła czoło. Nie chciała, aby wuj jechał na koniec świata na podstawie niejasnych instrukcji zbłąkanego księdza, który zaginął przed prawie dziesięciu laty.

Vigor odłożył czaszkę na biurko.

– Wyruszam o świcie – oznajmił. – Chcę złapać pierwszy samolot odlatujący w kierunku Kazachstanu.

Chciała zaprotestować, z doświadczenia wiedziała jednak, że wuj jest nieprzekonywalny. Postanowiła iść na kompromis.

– Nie beze mnie. Mam mnóstwo niewykorzystanego urlopu, więc bez wymówek.

Monsignore uśmiechnął się.

– Miałem nadzieję, że tak powiesz. Zastanawiam się, czy nie powinniśmy skontaktować się z dyrektorem Crowe’em i spytać, czy mógłby udzielić nam wsparcia.

– Chcesz zaangażować w to Sigmę? Z powodu napisu z trzynastego wieku na czaszce? Jakiejś starej przepowiedni? – Przewróciła oczami.

Ona i wuj mieli już do czynienia z Sigmą i nie miała nic przeciwko spotkaniu z komandorem Grayem Pierce’em. W ciągu kilku minionych lat łączył ich to nasilający się, to słabnący romans, który w końcu przeszedł w fazę przyjaźni. Było miło, zgodnie doszli jednak do wniosku, że związek na odległość się nie sprawdza. Chociaż... Rachele przez chwilę się zastanawiała, czy nie skorzystać z pomocy komandora, w końcu jednak odrzuciła pomysł. Nie powinni zwracać głowy naukowo-wojskowym ekspertom Sigmie takim drobiazgiem.

– Uważam, że moglibyśmy skorzystać na ich doświadczeniu – powiedział Vigor. – Poza tym wydaje mi się, że zaczynamy wyścig z czasem.

Jakby na potwierdzenie jego słów rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Na biurko spadła garść okruchów. Od kamiennej wnęki okienka odbił się metalowy przedmiot i potoczył w kierunku drzwi.

Vigor skulił się i zamarł, na szczęście wyrobione podczas szkoleń odruchy sprawiły, że Rachele natychmiast zaczęła działać. Objęła wuja wokół talii, odciągnęła za biurko, popchnęła na podłogę i zasłoniła własnym ciałem.

Granat eksplodował.

Przestrzeń powietrzna nad Kalifornią
Godz. 10.18 czasu miejscowego

Rozległy obszar Los Angeles zniknął pod skrzydłami odrzutowca rozpoczynającego lot do Waszyngtonu. Painter Crowe poprosił pilota o nieoszczędzanie paliwa i wykorzystanie mocy bombardiera globala 5000 do granic możliwości. Luksusowe wyposażenie wnętrza, pełny barek i skórzane kanapy, w niczym nieprzypominające samolotowych foteli, mogły mylić niewprawne oko, ale maszyna miała silniki z najwyższej półki i mogła osiągnąć prędkość prawie tysiąca kilometrów na godzinę.

Painter zamierzał sprawdzić zapewnienia producenta – zwłaszcza że do zniszczenia Wschodniego Wybrzeża pozostały niecałe cztery doby.

Generał Metcalf kazał mu odłożyć na bok wszelkie spekulacje na temat tego, co się dzieje, i zlecił konkretne zadanie. Painter miał się zająć satelitą IoG-1. Rozkaz wciąż brzmiał mu w uszach:

„Znajdźcie wrak satelity. To pański priorytetowy cel. Obrazem z satelity zajmą się technicy. W ramach środków ostrożności zarządziłem przeprowadzenie analizy zagrożeń dotyczących Wschodniego Wybrzeża”.

Każdy miał swoją rolę do odegrania.

Opuszczając przestrzeń powietrzną Los Angeles, samolot położył się na skrzydło. Kometa świeciła na tyle jasno, że widać ją było na niebie za dnia. W nocy jej jasny gruby ogon zasłaniał gwiazdy. Kometa przelatywała obok Ziemi powoli; miała być widoczna ponad miesiąc.

Do Paintera dosiadła się Jada Shaw ze szklanką coli w dłoni. Byli jedynymi pasażerami na pokładzie.

Przed odlotem przedstawiła generałowi Metcalfowi swoją teorię krótkotrwałego skoku czasowego spowodowanego zmarszczką czasoprzestrzeni. Teoria ta pozwalała wyjaśnić powód przesunięcia cieni na zdjęciu i sugerowała, że ujrzano przyszłość, od której dzieliło ich dziewięćdziesiąt godzin.

– Nie sądzę, byśmy przekonali generała – powiedział Painter, odwracając się do Jady.

– Nawet nie wiem, czy sama jestem przekonana.

Painter nie ukrywał zaskoczenia.

– Gra tu rolę wiele zmiennych – wyjaśniła, kręcąc się, jakby było jej niewygodnie. – Jak już wspominałam, może to być obraz z przyszłości alternatywnej, niekoniecznie naszej. Nie chcę wierzyć w to, że przyszłość jest zapisana jak w kamieniu. Fizyka kwantowa zaprzecza liniowości ścieżek czasu. Sam fakt obserwacji może zmienić los jak w przypadku kota Schrödingera.

– To znaczy?

– To klasyczny przykład z mechaniki kwantowej. W ramach myślowego eksperymentu umieszczamy kota w skrzyni razem z granulką trucizny, która z prawdopodobieństwem pół na pół może go zabić albo nie. Dopóki skrzynia jest zamknięta, należy uważać kota za obiekt w stanie zawieszonym: jest równocześnie żywy i martwy. Faktyczny stan kota można ustalić

dopiero po otwarciu skrzyni. Niektórzy wysunęli wręcz teorię, że w chwili otwierania skrzyni wszechświat dzieli się na pół. W jednym kot żyje, w drugim jest martwy.

– I co z tego wynika?

– To samo może dotyczyć zdjęcia zrobionego przez satelitę, w chwili gdy zmarszczyła się wokół niego czasoprzestrzeń. W jednym wszechświecie świat płonie, w drugim nie.

– Więc mamy szansę pół na pół, że przeżyjemy. Z jakiegoś powodu, pewnie dlatego, że na szali leży los ludzkości, nie wydaje mi się, że pięćdziesiąt procent szansy to szczególnie dużo.

– Zwłaszcza że strumień czasu robi się mniej wyraźny. Fakt, że satelita zrobił zdjęcia, a my je obejrzelśmy, jest obserwacją. Nasze działania mogą zmienić los, choć nie wiemy, czy w kierunku zwiększenia czy zmniejszenia prawdopodobieństwa katastrofy.

– Brzmi to tak, jakbyśmy przez następne cztery dni mieli być jak koty Schrödingera, uwięzieni w stanie zawieszenia między życiem a śmiercią.

Jada skinęła głową. Minę miała tak samo nietęgą jak Painter.

– Jesteśmy skazani na zagładę niezależnie od tego, czy zadziałamy, czy nie.

Wzruszyła ramionami.

– To pokrótce streszcza fizykę kwantową.

– Co, pani zdaniem, powinniśmy zrobić?

– Znaleźć satelitę. To najważniejszy cel.

– Mówi pani jak generał Metcalf.

– Bo on ma rację. Moje teorie to jedynie domysły, ale na podstawie analizy wraku może będę mogła powiedzieć coś więcej. – Spojrzała Painterowi w oczy. – Wiem, że nie jest pan zwolennikiem przyłączenia mnie do zespołu, który ma w Mongolii szukać wraku, nikt jednak nie wie o tym satelicie więcej ode mnie. Jeśli mnie tam nie będzie, możemy stracić wartościowe dane... albo i gorzej.

– Gorzej?

Jada ciężko westchnęła.

– Mówiłam już o tym, że impuls ciemnej energii prawdopodobnie zmarszczył czasoprzestrzeń. Choć nastąpiło to w większym stopniu, niż zakładały szacunki, dodatkowe obliczenia ostrzegają przed czymś znacznie groźniejszym.

– To znaczy?

– Istnieje ryzyko, że doszło do zagięcia czasoprzestrzeni i że resztki satelity mogą być z nim splątane na poziomie kwantowym.

– Splątane?

– To określenie na sytuację, w której w wyniku interakcji dwa obiekty wchodzą w taki sam stan kwantowy i nawet gdy zostaną rozdzielone, ich stany kwantowe pozostają w określonych zakresach połączone. Zmiana stanu kwantowego jednego z nich powoduje natychmiastową zmianę stanu kwantowego drugiego. Nawet na duże odległości.

– To chyba zaprzecza logice.

– I pogwałca założenia dotyczące prędkości światła. Prawdę mówiąc, trochę zdenerwowało to Einsteina. Nazwał ten efekt *spukhafte Fernwirkung*, czyli: „upiorne działanie na odległość”. To zjawisko jest potwierdzone nie tylko laboratoryjnie na poziomie atomowym, ostatnio grupa chińskich naukowców zademonstrowała je na dwóch diamentach. Na tyle dużych, że były widoczne gołym okiem. Wszystko, czego do tego potrzeba, to wystarczająca ilość energii.

– Na przykład impuls ciemnej energii.

– Właśnie. Jeżeli w krzywiźnie czasoprzestrzeni wokół Ziemi istnieje zagięcie, a jej stan

kwantowy został splątany z satelitą, to nieodpowiednie obejście się z resztkami satelity może sprawić, że zagięcie wyrwie dziurę w przestrzeni kosmicznej, sięgającą do powierzchni Ziemi.

– A to nie byłoby dobre.

– Nie byłoby... Jeżeli lubi pan życie na tej planecie.

– Przedstawia pani ofertę nie do odrzucenia, doktor Shaw.

Zanim Painter zdążył wypowiedzieć tę konkluzję, zadzwonił jego telefon satelitarny. Dzwoniła z waszyngtońskiej centrali dowodzenia Sigmy kapitan Kathryn Bryant, jego zastępczyni. Specjalizowała się w zbieraniu informacji wywiadowczych, teraz jednak prowadziła wstępne prace logistyczne związane z formowaniem grupy mającej się zająć poszukiwaniem rozbitego satelity.

Jakiś czas temu krótko rozmawiali. Wstępny plan zakładał, że grupa komandora Pierce'a wyruszy prosto z Chin do stolicy Mongolii, Ułan Bator, gdzie spotka się z dwójką agentów wysłanych z Waszyngtonu.

Kat sugerowała, żeby w misji wzięło udział jak najmniej osób, ponieważ miejsce upadku satelity znajdowało się w Parku Narodowym Chan Chentej, do którego dostęp był ściśle ograniczony – szczególnie dla obcokrajowców. Na dodatek Mongołowie uważali okoliczne tereny za święte. Wystarczyłby jeden fałszywy krok i grupa zostałaby deportowana.

Szczegóły logistyczne zmieniały się z minuty na minutę.

Odbierając telefon, Painter miał nadzieję usłyszeć od Kat dobre wieści.

Jej pierwsze słowa rozwiały te nadzieje.

– Dyrektorze, mamy kolejny problem.

Oczywiście, jakżeby inaczej...

– Właśnie przechwyciłam za pomocą kanałów wywiadowczych informację o ataku we Włoszech. Szczegóły nie są jeszcze jasne, ale wszystko wskazuje na to, że ktoś wstrzelił granat o napędzie raketowym do uniwersyteckiego gabinetu *monsignore* Verony.

– Co z Vigorem? Nic mu się nie stało?

– Nie. Prawdę mówiąc, czeka w kolejce do łącza konferencyjnego z tobą. Nieco go przetrzepało, ale w trakcie ataku była z nim siostrzenica i wyciągnęła *monsignore* ze strefy zagrożenia. Vigor bardzo chce z tobą rozmawiać i sądzę, że powinieneś posłuchać, co ma do powiedzenia.

Painter miał mocno napięty harmonogram, był jednak winien Vigorowi tę uprzejmość.

– Połącz mnie z nim.

Po chwili usłyszał znajomy głos *monsignore* Verony.

– *Grazie*, dyrektorze. – Biorąc pod uwagę to, co się stało, Verona brzmiał zaskakująco spokojnie, ale w końcu był zaprawiony w bojach. – Wiem, że jesteś zajęty, mam jednak pewne poważne obawy, z którymi chciałbym się z tobą podzielić.

– Co się dzieje?

– Mówiąc prosto z mostu, uważam, że świat zbliża się do poważnego kryzysu.

Painter poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

– Dlaczego tak uważasz?

Monsignore zaczął mówić o tajemniczej przesyłce od uważanego za zmarłego kolegi archeologa: czaszce i oprawionej w ludzką skórę księdze. Opowiedział o węgierskich czarownicach, talmudycznych magicznych relikwiach oraz o napisie, w którym kolega błagał o ratunek.

Powoli chłód na plecach Paintera zniknął. Zastąpiła go ulga. Historia relacjonowana przez

Vigora nie miała nic wspólnego z wydarzeniami, których świadkiem był w centrum kosmicznym.

– Po tym ataku zaczynam podejrzewać, że wiem, dlaczego ojciec Josip zaczął się ukrywać – powiedział Vigor. – Czymkolwiek było to, co próbował odkryć, jego działania zwróciły uwagę jakiejś groźnej grupy, kogoś, kto chce ukryć przed światem to, do czego docierał ojciec Josip. Poprosił mnie, abyśmy się spotkali w Azji Środkowej, niedaleko Jeziora Aralskiego, i miałem nadzieję, że mógłbyś mi dać wsparcie. Bo musisz wiedzieć, że walczymy z czasem.

Painter chciałby mu coś zaoferować, biorąc jednak pod uwagę, jakie zadania czekały Sigmę, nie mógł się zgodzić na podział sił.

– Przykro mi...

– *Monsignore*, sądzę, że powinieneś powiedzieć dyrektorowi, dlaczego, twoim zdaniem, zaczyna brakować czasu – przerwała Painterowi Kat Bryant.

– *Mi dispiace* – przeprosił Włoch. – Zdawało mi się, że już to zrobiłem, teraz jednak uświadamiam sobie, że przekazałem to tylko tobie.

– O co chodzi? – spytał Painter.

– Napis na czaszce, ten, w którym ojciec Josip prosi o ratunek... to prośba o uratowanie świata.

– Wspominał pan o tym.

– Tak, ale nie powiedziałem, kiedy ten przepowiadany koniec świata ma nastąpić.

Painter ponownie poczuł wpełzający po plecach lodowaty dreszcz.

– Niech zgadnę – powiedział. – Za cztery dni.

– Si – odparł Vigor z wyraźnym zaskoczeniem. – Skąd pan wie?

Painter postanowił nie odpowiadać. Kazał Kat przełączyć Vigora Veronę na tryb oczekujący i poprosił ją o kilka słów sam na sam.

– Co sądzisz? – spytał.

– Uważam za intrygujące, że w relikwii został przepowiedziany ten sam moment końca świata, co w SMC.

Najwyraźniej Kat już wiedziała o wiadomościach z Zachodniego Wybrzeża. Nie powinno go to zaskakiwać. W tym właśnie się specjalizowała – w zbieraniu wiadomości. Nic nie uchodziło jej uwagi.

– Czy to nie zwykły zbieg okoliczności? – spytał. – Stać nas na odrywanie części sił od realizacji głównego celu? Na kierowanie je na coś, co może się okazać jedynie archeologicznym szukaniem wiatru w polu?

– Skłaniam się do tego, aby powiedzieć „tak”. Po pierwsze, niekoniecznie musi to oznaczać odrywanie się od realizacji głównego celu. Podane przez *monsignore* Veronę współrzędne określają punkt w Azji Środkowej, a traf chce, że leży on na drodze z Waszyngtonu do Mongolii. Zespół wyruszający ze Stanów mógłby bez problemu zrobić krótki przystanek nad Jeziorem Aralskim i przyjrzeć się tajemnicy. Nie zaburzy to znacząco harmonogramu. Druga część ekipy może tam dotrzeć jeszcze szybciej i przeprowadzić wstępny rekonesans.

– Masz na myśli Graya, Kowalskiego i Seichan?

– Z Hongkongu do Ułan Bator to kilka godzin lotu.

– Brzmi to tak, jakbyś wszystko przemyślała. Musisz jednak wiedzieć, że do zespołu startującego ze Stanów może dołączyć trzeci członek. – Painter popatrzył na Jadę. – Cywil, który mnie przekonał, że jego wiedza może być potrzebna.

– Żaden problem. Pomoc doktor Shaw może się okazać bardzo cenna.

Painter uśmiechnął się. Jak zwykle Kat Bryant czytała w jego myślach.

– Będzie jeszcze jedna korzyść – powiedziała. – Współpraca z *monsignore* i jego tajemniczym kolegą da nam idealną przykrywkę do prowadzenia poszukiwania w Parku Narodowym Chan Chentej.

– Jasne. Mogą udawać, że są archeologami.

– Właśnie. Zwłaszcza jeśli *monsignore* zechce polecieć do Mongolii... a wygląda na to, że mamy wspólny cel.

Uratować świat...

– No to uruchamiaj maszynę. Dzwon do Graya i każ jego grupie ruszać...

Kat westchnęła z irytacją.

– Zrobiłabym to, gdybym mogła nawiązać z nim kontakt...

Makau, Chińska Republika Ludowa
18 listopada, godz. 2.02 czasu miejscowego

W Casino Lisboa wybuchła trzecia wojna światowa. Przynajmniej tak to wyglądało z perspektywy ludzi Sigmy. To, co zaczęło się na korytarzu pojedynczymi strzałami z broni automatycznej z tłumikami, szybko eskalowało do frontalnej wymiany ognia.

Echa salw dolatywały zewsząd, także z daleka.

Gray kucał za zaimprovizowaną barykadą. Przenieśli z Kowalskim stół do barkata i zablokowali nim wejście. Seichan przysunęła obitą czerwonym jedwabiem kanapę i wzmocniła ją fortyfikacje. Jediną drogą ucieczki było wąskie okno, trudno jednak bezpiecznie lądować na asfalcie po locie z trzeciego piętra.

Doktor Hwan Pak skulił się w najgłębszym kącie pokoju. Jego euforia zamieniła się w przerażenie. Najwyraźniej coś poszło nie tak. Gray początkowo miał nadzieję, że ochrona hotelowa próbuje pokrzyżować szyki napastnikom, gdy jednak walka coraz bardziej się nasilała i rozległy się serie z karabinków szturmowych oraz charakterystyczne „kasłanie” broni maszynowej, doszedł do wniosku, że chodzi o wojnę gangów.

Z nami jako nagrodą.

Było jasne, że ich barykada długo nie wytrzyma. Ktoś zdobędzie przewagę. Jakby na potwierdzenie tego faktu strzał ze strzelby dużego kalibru wyrwał w drzwiach dziurę wielkości pięści.

– Teraz albo nigdy, Kowalski! – wrzasnął Gray.

– Łatwo ci mówić, próbuj robić to z opadającymi spodniami!

Podczas gdy Gray i Seichan siedzieli oparci plecami o kanapę, kryjąc się za grubym siedziskiem, potężny komandos klęczał na czworakach pośrodku pokoju.

Zdjął pasek od spodni i położył go – zwinięty w okrąg – na podłodze. Zapiął klamrę i zamocował do niej odbiornik sygnału radiowego. Kowalski był w Sigmie specjalistą od demolki. Wjeżdżając do Chin, nie mogli ryzykować wwożenia broni, ale Kowalski podróżował z asem w rękawie, a raczej w pasku.

Wysokiej mocy lont detonujący został stworzony w DARPA. Umieszczono go w rurce z grafenu, dzięki czemu lotniskowe detektory go nie wykrywały.

– Gotowe – powiedział Kowalski i odturlał się do tyłu, dołączając do pozostałej dwójki. Ciągnął za sobą fotel.

– Co robicie? – zawołał Pak.

Cała trójka schowała się za fotelem.

– Ogień w dziurze! – wrzasnął Kowalski i wcisnął przycisk trzymanego w dłoni przekaźnika.

Eksplozja wstrząsnęła pokojem tak mocno, że Grayowi zadzwoniło w głowie. Buchnął dym. Strzelanina zamarła na chwilę – wszyscy uczestnicy starcia zamarli na nieoczekiwany

dźwięk wybuchu.

– Ruchy! – wrzasnął Gray i pchnął fotel na bok.

Miał tylko nadzieję, że lont detonujący zrobił swoje. Jeśli nie, będzie kiepsko, był to bowiem jedyny zapas materiałów wybuchowych Kowalskiego.

Przez dym widać było żarzące się resztki wykładziny dywanowej. W podłodze zionęła dziura; większe metalowe belki stropu pozostały wprowadzić całe, ale pomiędzy była pusta przestrzeń.

Gray spojrział w dół. Wiedział, że drugie piętro ma podobny rozkład jak trzecie, na którym się znajdowali. Na szczęście sala VIP-owska tuż pod nimi była pusta.

Gdy na korytarzu ponownie rozległy się strzały, jeszcze bardziej zaciekle, Gray dał znak Seichan, żeby uciekała pierwsza. Prześlizgnęła się między belkami i zwinnie zeskoczyła piętro niżej.

On i Kowalski ruszyli za nią, na co Hwan Pak zaczął błagać, by wzięli go ze sobą. Kowalski machnął pięścią, jakby pozbywał się natarczywej muchy. Rozległ się trzask łamanej kości. Pak poleciał do tyłu, wylądował na tyłku i zamarł z krwawiącym nosem.

Po chwili Gray stanął obok Seichan przy drzwiach wejściowych pokoju na drugim piętrze. Zaraz potem za ich plecami ciężko wylądował Kowalski.

– Chyba jest czysto – powiedziała Seichan z uchem przy drzwiach. – Ale trzeba się spieszyć. Szybko rozpoznają zmyłkę.

– Musimy znaleźć drogę ucieczki z tej strefy wojny – odparł Gray. – Wszystkie wyjścia z hotelu będą obstawione.

– Może znam drogę.

Seichan otworzyła drzwi, wystawiła głowę na zewnątrz i wybiegła na korytarz.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o informowanie nas – rzucił Kowalski, gdy obaj ruszyli w jej ślady.

Seichan dobiegła do schodów pożarowych, otworzyła prowadzące na nie drzwi i natychmiast nadziała się na człowieka z bronią, który zbiegał z góry, pokonując po dwa stopnie naraz.

Pochyliła się, uderzyła nisko i przerzuciła sobie przeciwnika przez plecy.

Gray, stojący dwa kroki za nią, okręcił się na dużym palcu stopy i kopnął, trafiając lecącego w powietrzu mężczyznę w szczękę, tak że głowa odskoczyła mu gwałtownie do tyłu i zwałił się na podłogę.

– Przypomnij mi, żebym nigdy nie wpadł na pomysł, by zostać twoim wrogiem – rzekł Kowalski.

Gray odebrał mężczyźnie – prawdopodobnie zbirowi z triady – broń – karabinek szturmowy AK-47, kałasznikowa. Szybko przeszukał i znalazł jeszcze jedną sztukę broni – chiński pistolet wojskowy. Rzucił go Kowalskiemu.

– Już Gwiazdka? – spytał wielkolud, szybko sprawdzając sprzęt.

– Ruszamy! – zawołała Seichan, patrząc na schody prowadzące na dół.

Gray dołączył do niej z karabinkiem w dłoniach i pomknęli razem, skacząc z podestu na podest. Odgłosy strzelaniny na górze lekko słabły. Gdy dotarli na parter, drzwi przed nimi zaczęły się otwierać. Graya nie interesowało, czy ktoś szuka schronienia, czy pojawiło się wsparcie – puścił serię, robiąc z drzwi rzeszoto.

Natychmiast się zamknęły.

Kilka stopni wyżej rozległ się strzał z pistoletu. To Kowalski posłał kulę w górę klatki

schodowej, aby zniechęcić ewentualnych prześladowców.

Seichan zignorowała drzwi na parter i biegła dalej w dół, do podziemi. Gray wiedział z rozpoznania, że pod Casino Lisboa znajduje się rozbudowany system tuneli, w którym mieściło się wiele sklepów. Ponieważ miejsce było także znane z szerokiej oferty prostytutek, nazywano je Pasażem Dziwek.

Gdy Seichan dotarła do piwnicznych drzwi, uchyliła je tylko na tyle, aby dało się wyrzeć. W porównaniu z rozróbą na górze było tu upiornie cicho.

– Tak jak przypuszczałam, wszystkie sklepy są zamknięte na cztery spusty – powiedziała cicho.

Najwyraźniej właściciele pozamykali interesy wraz z wybuchem strzelaniny.

Plan Seichan mógł zadziałać. Wszystkie wejścia dla klientów były prawdopodobnie obstawione, ale pewnie nikt nie pomyślał o pilnowaniu ramp załadunkowych i drzwi towarowych. Podobnie jak ludzie triady, Seichan wiedziała, że sklepikarze sami zadają o swój dobytek i dobrze go zabezpieczą.

Więc jak...?

Zdjęła wełnianą kamizelkę i odrzuciła ją na bok. Rozerwała jedwabną bluzkę, aż guziki poleciały na boki, i było widać czarny biustonosz i płaski brzuch. Na plecach wyciągnęła z dzinsów rąbek koszulki i zmierzwiła sobie włosy.

– Jak wyglądam?

Graya zatkało, Kowalskiego również.

Seichan przewróciła oczami, otworzyła drzwi i zniknęła za nimi.

– Poczekajcie tu na mnie.

Gray stanął przy drzwiach.

Kowalski klepnął go w ramię.

– Szczęściarz z ciebie, Pierce.

Gray nie zamierzał się spierać.

Godz. 2.14

Ju-long Delgado przeklinał swój pech.

Stał w gabinecie przed wielkim plazmowym telewizorem i wpatrywał się w dymiącą dziurę w podłodze VIP-owskiego salonu. Najchętniej zwaliłby winę za niepowodzenie na wiszącą na niebie kometę, nie miał jednak skłonności do zabobonów. Znał prawdziwe źródło porażki.

Nie docenił zwierzyni.

Pierwszy i ostatni raz.

Przed chwilą był świadkiem, jak wielki Amerykanin zdetonował nietypową bombę. Ju-long mógł jedynie bezradnie się przyglądać, jak troje ludzi uciekło niczym przestraszone szczury.

Jedyna pozostała osoba kulila się w kącie.

Doktor Hwan Pak.

Obserwując naukowca, Ju-long stukał palcem w krawędź portugalskiego kufra marynarskiego, na którym stał telewizor, i analizował różne scenariusze, zastanawiając się, który przyniesie mu najwięcej korzyści.

W końcu się zdecydował.

Jakiś czas temu próbował nawiązać kontakt ze znajdującym się w Casino Lisboa Tomazem,

aby poinformować go o ucieczce Amerykanów, nie udało się jednak. Prawdopodobnie walki trwały w różnych częściach kasyna. Sam rozkazał Tomazowi walczyć, nie mógł więc mieć do niego pretensji, że się na tym skupia.

Niech i tak będzie.

Wcisnął klawisz telefonu. Gdy odebrano, przekazał zwięzły rozkaz:

– Podstaw mi samochód.

Po chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi gabinetu. Gdy się odwrócił, drzwi się otworzyły i do środka weszła drobna kobieta w krótkiej jedwabnej tunice. Z burzą miodowych włosów wyglądała jak niebiańska istota. Gdy podeszła do Ju-longa, przyłożył dłoń do jej pękatego brzucha.

– Natalio, kochanie, powinnaś być w łóżku.

– Twój syn nie daje mi spać – odparła z czułym uśmiechem i zapraszającym spojrzeniem błyszczących oczu. – Może gdyby jego ojciec leżał obok mnie...

– Nawet nie wiesz, jak bardzo bym chciał, muszę jednak dopilnować ważnej sprawy.

Kobieta wydeła wargi.

Podszedł do niej, osunął się na kolana i pocałował brzuch, w którym drzemał ich syn.

– Niedługo wrócę – obiecał obojgu, pocałował kobietę w policzek i delikatnie wypchnął ją za drzwi.

Naprawdę chciałby być z nią w łóżku, ale już jako mały chłopiec siedzący na kolanach ojca nauczył się jednej rzeczy: zarówno na wojnie, jak i w interesach człowiek czasem musi pobrudzić sobie ręce.

Godz. 2.16

Seichan miała wrażenie, jakby ściany wokół niej się zamykały.

Im dłużej tkwili w Casino Lisboa, tym bardziej malały szanse na ucieczkę.

Wychodząc z klatki schodowej do pasażu handlowego, starała się nie myśleć o rozpaczliwym położeniu. Udając, że lekko kuleje, przekonująco odgrywała cierpienie; udawała, że jest jedną z tutejszych prostytutek, która znalazła się nieoczekiwanie w strefie walki.

Szarpała się za włosy i darła po kantońsku, prosząc o pomoc. Biegała zapłakana od jednych zaryglowanych drzwi do drugich, waliła w nie pięściami, błagając, by wpuszczono ją do środka, by ktoś ją uratował.

Zdawała sobie sprawę, że – jak w wielu podobnych miejscach – między właścicielami sklepów a krążącymi po piwnicznym poziomie prostytutkami istnieje niepisane porozumienie. Sklepy przyciągały klientów prostytutek, prostytutki zwabiały klientów sklepów. Wielkie koło życia.

Seichan miała tylko nadzieję, że ta relacja jest wystarczająco silna, by obie strony były gotowe nawzajem się chronić. Gdy dotarła do sklepu spożywczego, osunęła się na kolana i oparła o stalową kratę. Dygotała i jęczała; wyglądała naprawdę na zagubioną i przerażoną.

Tak jak oczekiwała żalosne wrzaski w końcu wywabiły kogoś z ukrycia. Do kraty nieśmiało podszedł niski siwy mężczyzna w brudnym fartuchu. Niestety tylko machnął ręką, by przegonić dziewczynę.

Nie odeszła. Wczepiła się w kratę, zawisała na niej w teatralnym pokazie rozpacz i strachu, i błagała sklepikarza.

Kiedy ten zorientował się, że „dziwka” nie odejdzie, przyklęknął na jedno kolano. Spojrzał przez ramię, by się upewnić, że jest sam, i zaryzykował otwarcie kraty.

Gdy tylko krata zaczęła się podnosić, Seichan dyskretnie dała znak Grayowi i Kowalskiemu.

Stalowe drzwi cicho skrzypnęły i rozległ się tupot stóp.

Sklepiarz zrobił wielkie oczy. Spróbował ściągnąć kratę w dół, Seichan jednak szybko wślizgnęła się do środka. Uderzyła łokciem starszka, a drugą ręką szarpnęła kratę do góry.

Gray, który pierwszy dotarł do sklepu, przesunął się pod kratą na kolanach.

Kowalski wturlał się do środka zaraz za nim i wylądował w stercie skrzynek pomarańczy.

Gray wycelował w sklepiarza z karabinka.

– Zamknij kratę – poleciła Seichan. Wyprostowała się, już nie była „dziwką”.

Niski mężczyzna błyskawicznie wykonał polecenie i zaryglował kratę.

– Powiedz mu, że nie zamierzamy go skrzywdzić – poprosił Gray.

Przetłumaczyła jego słowa, ale jej zimne spojrzenie i kamienna mina wcale nie uspokoiły Azjaty. Zadała mu szybko kilka pytań, po czym zwróciła się do Graya:

– Tylne wyjście z magazynu jest tam – powiedziała i ruszyła we wskazanym kierunku.

Szli wzdłuż długiej lady zastawionej skrzynkami owoców i warzyw. Z drugiej strony przejścia stał ciąg akwariów z rybami, żółwiami, żabami i skorupiakami.

Korytarz przechodził w betonową rampę załadunkową kończącą się przy dużej bramie dla ciężarówek dostawczych. Drzwiami z lewej strony wchodzili dostawcy.

Zadowolony, że pozbędzie się intruzów, sklepiarz otworzył je i wyraźnie zły, zaczął machać ręką, by znikali w mroku nocy.

Gray ruszył pierwszy. Tuż za nim do wąskiego zaułka wyszła Seichan.

Ze wszystkich stron dolatywało wycie syren samochodów różnych służb, jadących w kierunku Casino Lisboa, ale tłum wypełniający teren wokół jeziora Nam Van i okoliczne ulice uniemożliwiał im szybką reakcję.

Większość pijanych hulaków na ulicach nie zdawała sobie sprawy z toczącej się tuż obok walki. Wokół jeziora bez przerwy wystrzelivano race, które eksplodowały nad wodą, rzucając snopy światła na pływające na jeziorze tysiące lampionów. Przed kasynem Wynn dysze olbrzymiej fontanny wystrzeliwały wodę w rytm muzyki Beatlesów.

– Co teraz? – spytał Kowalski mocno podniesionym tonem.

– Musimy się szybko stąd wydostać – odparł Gray, kierując się w stronę otaczającego jezioro tłumy. – Choć trudno będzie złapać taksówkę, a nie mamy szansy wtopić się w tłum.

– Ja mam – powiedziała Seichan.

Szybko doprowadziła do porządku rozerwaną bluzkę, zawijając jedną połę na drugą jak sarong i wtykając końce w dzinsy.

– Wy czekacie tutaj – poleciła. – Trzymajcie się w cieniu, aż wrócę.

Godz. 2.28

Gray zatrzymał się u wylotu zaułka i uważnie obserwował tłum. Kowalski stanął dalej, pilnując, by nikt nie zakradł się od tyłu.

Przed chwilą zamienili się bronią. Długi płaszcz wielkiego Kowalskiego pozwalał lepiej ukryć kałasznikowa. Gray trzymał pistolet przy udzie i zasłaniał go ciałem.

Wycie syren narastało coraz bardziej.

Z prawej strony wokół jeziora ciągle było pełno amatorów hulanek, ale z lewej tłum zaczynał się przerzedzać; ludzie wracali do domu albo zaludniali kasyna lub bary.

W którymś momencie ludzki gąszcz na jednej z najbliższych ulic zaczął się rozpiezchać niczym przestraszone gołębie.

Przez kakofonię muzyki i ludzkiej wrzawy przebił się ostry tembr dwusuwowego silnika. Spomiędzy ludzi wyjechał motocykl prowadzony przez znajomą postać. Nie dbając o kunszt jazdy, Seichan parła przez tłum jak pług, zmuszając opornych do uskakiwania z drogi.

Dopiero po chwili Gray zorientował się, że to riksha: z przodu motocykl, z tyłu budka na małych kółkach. Takie pojazdy nazywano tu *trishaw*. Widział wiele podobnych, gdy jechali do kasyna. W Makau, mieście o jednej z największych gęstości zaludnienia na świecie, *trishaw* są znacznie praktyczniejsze od samochodów.

Może niekoniecznie wtedy, gdy na człowieka polują uzbrojone po zęby triady.

Seichan zahamowała tuż obok z długim poślizgiem.

– Wsiadajcie! I schylcie głowy!

Nie mając wyboru, Kowalski i Gray posłuchali jej. Gray miał wrażenie, że są wyeksponowani jak na wystawie, zwłaszcza że ich twarze były czymś wyjątkowym wśród Azjatów.

Kowalski najwyraźniej podzielał jego opinię, bo próbował zasłonić się płaszczem i zapaść w siedzenie.

– Kiepski pomysł... – mruknął.

Gdy mężczyźni się usadowili, Seichan zawróciła pojazd o sto osiemdziesiąt stopni i pomknęła brzegiem jeziora Nam Van, oddalając się od Casino Lisboa.

– To najlepsze, co udało mi się zorganizować! – wrzasnęła. – W całym mieście ulice są zablokowane. Nie było nic większego.

Po kilkuset metrach jazdy brzegiem jeziora Gray zorientował się, że oddalają się od terminalu promowego.

– Dokąd jedziesz?

– Na most. – Wskazała na wyspę Taipę. Prowadził na nią jasno oświetlony długi most. – Po drugiej stronie, niedaleko hotelu Venetian, jest mniejsza przystań, z której odpływają promy. Mało prawdopodobne, że ktoś nas tam będzie szukał. Ostatni prom jest za dwadzieścia minut.

I musimy się na niego dostać.

W Makau zrobiło się zbyt gorąco. Gdyby tu zostali, mogliby sobie równie dobrze namalować na plecach tarcze strzeleckie.

Kiedy znaleźli się na prowadzącej na most jezdni, Gray wcisnął się jeszcze głębiej w siedzenie. Seichan jechała wężykiem, kluczyła między wolno poruszającymi się rowerzystami i wszechobecnymi pieszymi.

Jazda mostem oznaczała trzy kilometry prostej jak strzała drogi. W kilku miejscach przejazd zwały zatory, nie spowalniały jednak Seichan ani na jotę. Pędziła, wymijając przeszkody i unikając zderzeń. Po obu stronach widać było rozświetloną księżycowym światłem deltę Rzeki Perłowej, pokrytą migotaniem tysięcy kołyszących się lampionów, które zdążyły wypłynąć daleko ku morzu. Wyglądało to, jakby w wodzie odbijało się całe niebo.

Wyspa Taipa jarzyła się neonami, mocno kontrastując ze spokojnym pięknem święta na półwyspie.

W niecałe dziesięć minut pokonali most. Jeszcze kilka minut i zagłębią się w wąskie ulice

miasta.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się potężny SUV Cadillac Escalade – i masywna przednia atrapa uderzyła w bok rikszy. Mały pojazd zawirował wokół własnej osi i z impetem zderzył się z metrowym murem oddzielającym jezdnię od morza.

Gray i Kowalski polecili w powietrze.

Spadli po drugiej stronie muru na kamienistą plażę i przeturlali się kilka razy. Na szczęście Grayowi udało się nie zgubić broni. Gdy znieruchomiał na plecach, natychmiast wycelował z niej w blokującego jezdnię cadillaca.

Z samochodu zaczęli wyskakiwać ludzie – Chińczycy i Portugalczycy – trzymali się jednak na tyle nisko, że mur ich zasłaniał. Zwartą grupą pobiegli w lewo. Dopiero wtedy Gray zorientował się, że nigdzie nie ma Seichan.

Przetoczył się na kolana i opanowując pulsowanie w krtani, zaczął strzelać. Trafił jednego z napastników w ramię; następne trzy strzały okazały się niecelne. Nagle dostrzegł, że atakujący mają Seichan. Wleki ją do cadillaca, oszołomioną, z twarzą zalaną krwią.

Gray zaklął i wstrzymał ostrzał.

Przeciwnicy nie byli tak powściągliwi.

Wokół Graya rozprysnął się piasek.

Kłęczącemu kilka metrów dalej Kowalskiemu wreszcie udało się dobyć karabinek. Trzymając go w jednej ręce, puścił serię w kierunku muru, zmuszając dwóch ostrzeliwujących ich ludzi do cofnięcia się. Drugą ręką wskazywał w kierunku najbliższej estakady mostu.

Byli całkowicie odsłonięci, musieli się schować.

Ruszyli biegiem do osłony. Gray kilka razy strzelił za siebie w kierunku cadillaca. Obok SUV-a stał wysoki mężczyzna z brodą, który nie zwracał najmniejszej uwagi na rykoszetujące od kuloodpornych szyb pociski. Przejął kulejącą Seichan i wepchnął ją na tył samochodu.

Trzasnęły drzwi i cadillac ruszył z piskiem opon. Kilku mężczyzn zostało i ostrzeliwało Graya i Kowalskiego; ci dotarli już jednak do mostu i skryli się pod estakadą.

– Mówiłem, że to kiepski pomysł – rzucił Kowalski.

– Nie zatrzymuj się.

Pochyleni, przeszli pod estakadą. Mieli bandziorów na karku i musieli się ich pozbyć. Gray wrócił do muru oddzielającego plażę od jezdni i przeszedł na drugą stronę. Korek na moście powoli się rozładowywał.

Gray przebiegł ulicę i zaczął się rozglądać. Ciężko dyszący Kowalski podążał za nim.

– Seichan? – spytał wielkolud.

– Nie zastrzelili jej na miejscu – odparł Gray.

Dzięki Bogu i za to.

Przebiegli jakieś czterysta metrów, mniej więcej równoległe do linii brzegowej, lekko oddalając się od głównej ulicy. Tłum zdecydowanie się przerzedził, ale ludzi w dalszym ciągu było dużo i dwie białe twarze od razu rzuciły się w oczy na tle azjatyckich. Łatwe zadanie dla myśliwych.

Nie mogli się zatrzymać ani na chwilę.

– Jaki jest plan? – spytał Kowalski.

Słuszne pytanie. Do tej chwili kierowała nimi głównie adrenalina. Najwyższy czas ustalić strategię.

Ktokolwiek zorganizował atak, sprytnie założył, że mogą spróbować dostać się na drugą przystań promową. Najprostsza droga na Taipeę prowadziła przez ten akurat most, więc czekanie

na zjeździe, aż zwierzyna się pojawi, było i logiczne, i dziecinnie proste.

– Na pewno będą pilnować przystani – rzekł Gray. – Będziemy musieli znaleźć inny sposób na dotarcie do Hongkongu.

– A Seichan? Tak po prostu ją zostawimy?

– Nie mamy wyboru. Nawet gdybyśmy wiedzieli, dokąd ją zabrali, nie mamy wystarczającej siły ognia, by próbować ją odbić. A nie możemy poruszać się po Makau, nie wzbudzając podejrzeń.

– Więc będziemy uciekać?

Na razie tak, pomyślał Gray.

Skręcił nieco, tak że kierowali się z powrotem ku brzegowi. Ruchem głowy wskazał na znajdującą się kilka przecznic dalej marinę.

– Potrzebujemy łodzi.

Wszedł w tłum rozbawionych ludzi idących wzdłuż brzegu. Kowalski trzymał się tuż za nim. Gdy dotarli do mariny, weszli przez otwartą bramę na jej teren. Na wodzie między cumującymi jachtami i motorówkami pływały lampiony. Szli wzdłuż nabrzeża, aż zauważyli smukłą ciemnogrnatową motorówkę wyglądającą na bardzo szybką. Kręciła się przy niej para w średnim wieku. Mąż i żona – sądząc po akcencie, brytyjscy emigranci – najprawdopodobniej szykowali się do powrotu do domu po festynie.

Gray podszedł do nich.

– Przepraszam...

Para zamarła i przerwała kłótnię w połowie zdania.

Uśmiechnął się z zażenowaniem. Przeczesał palcami włosy, jakby konieczność wypowiedzenia następnych słów sprawiała mu ból.

– Zastanawiałem się, czy wracacie państwo do Hongkongu. Bo jeśli tak, to może zechcielibyście pomóc dwóm nieszczęśnikom, którzy przegrali ostatnią koszulę w pai gow. Nie zostało nam nawet na prom do Koulun.

Mężczyzna, wyraźnie podejrzliwy, choć podпиты, wyprostował się.

– Jesteście Jankesami – rzucił z zaskoczeniem nie mniejszym, niż gdyby miał do czynienia z liliputami. – Normalnie powiedziałbym „tak”, dobrzy ludzie, ale musicie zrozumieć...

Gray pokazał pistolet, Kowalski rozchylił płaszcz, ukazując kałasznikowa.

– A teraz? – spytał Gray.

Mężczyzna oklapł, jakby spuszczone z niego powietrze.

– Żona nigdy mi tego nie wybaczy.

– Mówiłam, że powinniśmy wracać wcześniej – wypomniała mu wściekła, krzyżując ramiona na piersi.

Mąż wzruszył ramionami.

Po związaniu i zakneblowaniu Anglików i zostawieniu ich na stojącym obok ciemnym jachcie Gray cicho i powoli wyprowadził motorówkę z mariny. Gdy znaleźli się na otwartej wodzie, otworzył przepustnicę i pomknął po ciemnej powierzchni w kierunku Hongkongu.

Kiedy światła Makau zaczęły znikać w tyle, oddał ster Kowalskiemu.

– Stań za sterem.

Kowalski, były marynarz, z przyjemnością zajął miejsce Graya. Z radością zatarł dłonie.

– Sprawdźmy, do czego ta mała jest zdolna.

W normalnych okolicznościach zaniepokoiłoby to Graya, miał jednak na głowie ważniejsze problemy.

Wyjął z kieszeni telefon; w poczcie głosowej było kilka wiadomości z dowództwa Sigmy. Wyciszył telefon przed dotarciem do Casino Lisboa i nie miał wolnej chwili, by rzucić okiem na komórkę.

Zamiast odsłuchiwać wiadomości, zadzwonił do dowództwa w Waszyngtonie. Aparat miał oczywiście zainstalowane najnowsze programy szyfrujące, mające zniechęcić ewentualnych podsłuchujących.

Kat Bryant odebrała natychmiast.

– Najwyższy czas – rzuciła.

– Byłem nieco zajęty.

– Co się dzieje? – Z tonu jego głosu od razu odczytała, że stało się coś złego.

W telegraficznym skrócie opowiedział o ostatnich wydarzeniach.

Kat zadała kilka pytań, by ocenić, na ile poważna jest sytuacja.

– Nie mogę ci nikogo wysłać – powiedziała w końcu. – A już na pewno nie tak szybko, by zdziałać coś od ręki, zwłaszcza że nie wiadomo, gdzie ją trzymają.

– Rozumiem. Nie dlatego dzwonię. Chciałem tylko złożyć raport.

Na wypadek gdyby coś miało się spaprać.

– My też mamy kryzys – odparła Kat. – Dlatego próbowałam cię złapać. Dyrektor Crowe chce, żebyście polecili zespołem do Mongolii.

Do Mongolii?

Szybko opowiedziała o satelicie i zdjęciu ukazującym płonące Wschodnie Wybrzeże.

– Nie mogę tam lecieć – odparł Gray. – Przynajmniej nie teraz.

– Oczywiście. Okoliczności się zmieniły. Co zamierzasz? Nie masz wsparcia, a przestępczość zorganizowana w Makau jest bezlitosna i dysponuje dużymi funduszami.

– Mam plan.

– Jaki?

Gray zapatrzył się w daleki blask na horyzoncie.

– Zwalczyć ogień ogniem.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii
17 listopada, godz. 18.04 czasu miejscowego

Jada wstrzymała oddech.

Co ja tu robię?

Czuła się tak, jakby się znalazła po drugiej stronie lustra Alicji z Krainy Czarów.

Stojący obok Painter Crowe przyłożył dłoń do panelu dotykowego windy; błękitna linia zeskanowała jej wnętrze i kabina zaczęła zjeżdżać pod ziemię.

Odrzutowiec przemierzył kraj w niecałe pięć godzin. Po wylądowaniu nieoznakowany samochód zawiózł ich do National Mall i zatrzymał się przed najstarszym budynkiem Instytutu Smithsona, zwanym Zamkiem, na którego najwyższej wieży jak zwykle powiewała flaga. Gdy Jada wysiadła z samochodu, ujrzała całkiem nowymi oczami historyczny budynek z czerwonego piaskowca z wieżyczkami i iglicami. Ukończona w 1855 roku budowla jest uważana za jeden z najwspanialszych przykładów neogotyku w Stanach Zjednoczonych i służy obecnie jako centrala zarządzająca grupą muzeów, które tworzą Instytut Smithsona.

Jako dziewczynka Jada, która dorastała w Congress Heights, nieco biedniejszej dzielnicy na południowym wschodzie Waszyngtonu, często odwiedzała Zamek. Wstęp do muzeów był bezpłatny, a matka – samotnie ją wychowująca – w każdy możliwy sposób starała się urozmaicać edukację córki.

– Nie miałam pojęcia, że pod spodem jest coś takiego – powiedziała Jada ściszym głosem, gdy winda zanurzyła się w podziemny świat pod Zamkiem.

– Te podziemia miały kiedyś służyć jako bunkry i schronienie przed opadem promieniotwórczym. Podczas drugiej wojny światowej używano ich jako siedziby doradców naukowych. Potem zapomniano o tym miejscu.

– O takiej pierwszorzędnej waszyngtońskiej nieruchomości? – Jada uśmiechnęła się ironicznie.

Painter odpowiedział jej uśmiechem. Jak na kogoś starszego od niej o dwadzieścia lat, prezentował się znakomicie – ciemne włosy rozjaśniało tylko jedno siwe pasmo, do tego te szarobłękitne oczy... Po długiej rozmowie w trakcie lotu Jada uznała, że jest bardzo inteligentny i ma dogłębną wiedzę w wielu dziedzinach – z wyjątkiem historii jazzu. Była jednak gotowa wybaczyć mu tę drobną lukę, zwłaszcza że jego fascynujące kolorem oczy błyszczały w świetle słońca.

– Kiedy odkryłem te zakurzone podziemia, od razu uderzyło mnie, jak świetne może to być miejsce na siedzibę Sigmy – powiedział. – Ma doskonały dostęp zarówno do laboratoriów Instytutu, jak i korytarzy władzy Waszyngtonu.

W jego głosie dało się wychwycić cień ojcowskiej dumy. Zdecydowanie ucieszyła go możliwość zaprezentowania swojego dziecka komuś nowemu, co prawdopodobnie nie zdarzało się zbyt często.

Drzwi windy rozsunęły się z sykiem i wyszli na długi korytarz.

– To poziom dowodzenia – oznajmił i ruszył przodem. – Przed nami znajduje się gniazdo komunikacyjne, główny ośrodek nerwowy Sigmy.

Gdy podeszli, wyszła im naprzeciw szczupła kobieta w przepisowym granatowym stroju marynarki. Jej dość surową urodę podkreślały przycięte na pazia kasztanowe włosy. Jadzie wydało się, że dostrzega na jej policzkach drobne blizny, starała się jednak nie gapić.

– Dyrektorce Crowe – przywitała ich kobieta. – Cieszę się, że pan wrócił.

– To kapitan Kathryn Bryant – przedstawił ją Crowe. – Moja zastępczyni.

– Proszę mi mówić Kat. – Mocno uściśnęła dłoń Jady. To nieco szorstkie powitanie łagodził ciepły uśmiech. – Witamy, pani doktor.

Jada oblizwała wargi. Nie mogła się doczekać zobaczenia reszty podziemi Instytutu, zdawała sobie jednak sprawę, że mają ograniczony czas na zwiedzanie.

– Jak przygotowania? – spytał Painter. – Chciałbym, żeby zespół wyruszył góra za pół godziny.

– Słyszał pan o komandorze Piersie?

Weszli do centrali komunikacyjnej. Owalne pomieszczenie, z szeregiem ustawionych w łuk monitorów i komputerów, było nieduże.

– Słyszałem. Jeśli zajdzie taka konieczność, będziemy musieli sobie radzić bez niego. Zakładam, że udzielasz mu wszelkiego wsparcia, jakiego potrzebuje.

Kat rzuciła mu spojrzenie, mające oznaczać, że nigdy nie robi mniej, niż trzeba. Usiadła na fotelu przed monitorami niczym przejmujący stery pilot.

– Jeśli chodzi o trasę misji, *monsignore* Verona i jego siostrzenica wsiądą do pierwszego samolotu odlatującego z Rzymu w kierunku Kazachstanu. Lot zajmie im pięć godzin. Jeżeli utrzymamy harmonogram i nasi odlecą stąd za godzinę, powinni wylądować mniej więcej w tym samym czasie co Veronowie. Po południu kazachskiego czasu.

Jada zmarszczyła czoło. Czegoś tu nie rozumiała.

– Przepraszam, ale jeśli dobrze myślę, mamy spotkać się z tą parą po to, by utrzymać pozory, że nasze poszukiwania w Mongolii mają charakter archeologiczny – powiedziała.

– Owszem – odparła Kat. – Wykorzystamy jednak resztę dnia w Kazachstanie na przyjrzenie się tajemnicy, która może, ale nie musi, być związana z głównym wątkiem. Jeżeli nic się nie wydarzy, zajmiecie się poszukiwaniami satelity.

Painter Crowe opowiadał jej o czaszce i księdze, ale ledwie słuchała, nie wierzyła bowiem w tę historyjkę. Miała na głowie ważniejsze sprawy.

– Kto jeszcze będzie uczestniczył w ekspedycji? – spytała.

– Między innymi ja – padła odpowiedź zza jej pleców.

Odwróciła się i ujrzała mężczyznę niższego od niej jakieś pięć centymetrów, ale nabitego mięśniami jak pitbul. Był w spodniach od dresu, T-shircie i bejsbolówce z logo Washington Redskins na ogolonej głowie. W pierwszym odruchu chciała go zignorować, ale po chwili dostrzegła błysk inteligencji – i rozbawienia – w jego ciemnych oczach.

Choć nie umiałyby określić dlaczego, natychmiast poczuła do tego mężczyzny sympatię, jak do starszego, trochę głupkowatego brata.

Najwyraźniej nie tylko w niej wzbudzał sympatię; podszedł do Kat Bryant i pocałował ją w usta.

No cóż, może jednak nie starszy brat, pomyślała Jada.

Gdy mężczyzna się wyprostował, Kat spojrzała na nią.

– Dobrze się panią zaopiekuje.

– Musi tak mówić, bo jest moją żoną – powiedział, nie zdejmując dłoni z ramienia Kat.

Teraz Jada zauważyła, że druga dłoń mężczyzny to proteza, zamocowana do nadgarstka za pomocą szerokiego, wypełnionego elektroniką mankietu. Była łudząco podobna do normalnej ręki.

Painter skinął głową w kierunku mężczyzny.

– Monk Kokkalis jest jednym z naszych najlepszych ludzi.

– Jednym z? – spytał Kokkalis z udawaną urażoną dumą.

– Będzie pani towarzyszył ktoś jeszcze, to nasz najnowszy nabytek – ciągnął Painter. – Jego specjalnością są elektroinżynieria i fizyka. Wie też dość sporo o astronomii i ma kilka... nazwijmy to tak: wyjątkowych zdolności. Sądzę, że uzna pani jego obecność za przydatną.

– Czyli Duncan Wren – rzuciła Kat.

– A właśnie! Gdzie on jest? – spytał Painter. – Zdawało mi się, że prosiłem, by na odprawie byli wszyscy.

Kat wymieniła spojrzenia z mężem, po czym odwróciła się twarzą do monitorów.

– Już go we wszystko wprowadziłam – mruknęła pod nosem. – Ma sprawę medyczną, którą musi się zająć przed wyjazdem.

Painter zmarszczył czoło.

– Sprawę medyczną?

Godz. 18.18

– Nie ruszaj się.

Siedzący na małym składanym krzeselku Duncan balansował mierzącym metr dziewięćdziesiąt wzrostu ciałem, kiwając nogą.

– Byłoby prościej, Clyde, gdybyś wziął pod uwagę, że nie wszyscy twoi pacjenci to uzależnione od metamfetaminy szkielety.

Przyjaciel Duncana miał na twarzy maskę chirurgiczną i okulary z soczewkami jak lornetka. Wyglądał, jakby nawet po włożeniu mu do kieszeni kilku odważników nie ważył więcej niż czterdzieści kilo, przy czym najcięższym elementem jego postaci byłyby włosy, zebrane na karku w długą kitkę.

Clyde przycisnął dłoń Duncana do blatu stołu, jakby zamierzał czytać mu z ręki. Sięgnął po skalpel i nadciął przyjacielowi czubek palca wskazującego. Zabolało, ale karny pacjent nie poruszył ręką.

Clyde odłożył skalpel.

– Teraz może zabołec.

Co ty nie powiesz? – pomyślał Duncan.

Clyde wziął do ręki sterylną pęsetę i zaczął grzebać w ranie. Gdy stał drapnęła o nerw, Duncanowi z bólu zgrzytały zęby. Zamknął oczy i opanował oddech.

– Mam! – zawołał torturujący go przyjaciel.

Duncan otworzył oczy. Na czubku pęsety tkwiła wyjęta z jego palca mała czarna granulka wielkości ziarna ryżu.

Magnes z metalu ziem rzadkich.

– A teraz zamienimy zużyty na nowy...

Za pomocą tej samej pęsety Clyde wyjął nowy magnes z dostarczonego przez Duncana kompletu. Magnesy pochodziły z laboratorium DARPA w Nowym Brunszwiku, jednak zaplanowane tam zastosowanie było zdecydowanie inne.

Po pokryciu polimerem o nazwie parylen C, który miał zapobiec zakażeniu, granulka znalazła się w rozcięciu na palcu. Kilka kropel kleju chirurgicznego zamknęło nacięcie, zatrzymując magnes tuż od skóry, w miejscu, gdzie dotykał nerwów somatosensorycznych odpowiedzialnych za percypowanie nacisku, temperatury i bólu.

Jeśli chodzi o ból, to już teraz można było stwierdzić, że magnes działa.

– Dzięki, Clyde. – Duncan otworzył i zamknął dłoń, by pozbyć się zwykłego po interwencjach chirurgicznych pulsowania. Nie był to pierwszy tego typu zabieg, jakiemu się poddawał. W każdym palcu miał magnes i od czasu do czasu każdy należało wymieniać.

– Jakie wrażenie? – Clyde zdjął maskę, ukazując ćwiek w przegrodzie nosowej i grube stalowe kółko w dolnej wardze.

Nie był typowym lekarzem.

Kiedyś pracował jako higienista dentystyczny, ale prawdziwe mistrzostwo osiągnął w nowym zawodzie, który praktykował w magazynie niedaleko lotniska imienia Ronalda Reagana. Był najlepszą „ostrzałką” w lokalnej społeczności biohakerskiej, specem od projektowania i instalacji elementów doskonalących ciało.

Clyde wolał określenie „artysta ewolucyjny”.

W tym samym magazynie, podzielonym na „pokoje” za pomocą półprzezroczystych plastikowych kurtyn, uprawiano milion innych profesji: tatuażysta tworzył świecący tusz; artysta piercingu wprowadzał maleńką biżuterię do białek oczu; piercer wszczepiał biochipy RFID, przenośne urządzenia, wykorzystujące fale radiowe do przechowywania danych.

Choć większość klientów zjawiała się tam dla przeżycia mocnych wrażeń albo w celu kontaktu z czymś nowym i niezwykłym, niektórzy uczynili z biohackingu nową religię i tu właśnie mieli swój kościół. Dla Duncana sprawa była po prostu koniecznością zawodową. Jako inżynier elektryk uznał biochip za użyteczne narzędzie, pozwalające w całkiem nowy sposób postrzegać świat.

– Chcesz wziąć nowy magnes na przejażdżkę? – spytał Clyde.

– Prawdopodobnie za bardzo będzie bolał, ale zobaczę, co wyrzeźbięś.

Duncan dobrze wiedział, co przyjaciel naprawdę chce mu pokazać.

Samozwańczy chirurg przywołał go ruchem ręki do stojącego nieopodal stolika, pełnego płytek z obwodami drukowanymi, kłębow przewodów i stosów twardych dysków.

– Ciągłe jeszcze dostrajam moje ostatnie dzieło sztuki – oznajmił.

– Włącz zasilanie.

Clyde wcisnął przełącznik.

– Pełne wygenerowanie pola, które stworzyłem, zajmie kilka sekund.

– Aż tak mi się nie spieszy.

Wbrew powszechnym przekonaniom magnesy w czubkach palców Duncana nie pozwalały mu unosić monet ani rozmagnesowywać kart kredytowych. Nie wychwytywały ich bramki na lotniskach. Działanie polegało głównie na przetwarzaniu pól elektromagnetycznych na drgania, które pobudzały końcówki nerwów w opuszkach, tworząc niespotykane odczucie. Różniło się znacznie od dotyku, był to niemal szósty zmysł.

Z czasem Duncan odkrył, że różne pola elektromagnetyczne wywołują odmienne odczucia – o unikatowym zakresie wielkości, kształcie i sile. Transformatory mocy, na przykład, są

otoczone pęcherzami. Mikrofalówki emitują rytmiczne fale prące na dłonie. Przewody wysokiego napięcia pulsują jedwabistą energią, jakby przeciągało się opuszkami po gładkiej skórze powyginanego węża.

Jako inżynier elektryk wymyślił bardziej praktyczne zastosowania magnesów. „Szósty zmysł” pomagał mu określać moc, jaką obciążony był przewód elektryczny, i oceniać, czy twardy dysk w komputerze prawidłowo się obraca. Kiedyś nawet wykorzystał je do zdiagnozowania problemu z kopułką rozdzielacza swojego mustanga cobry 1995.

Po odkryciu, jak złożony jest ukryty elektromagnetyczny świat, nigdy by go nie porzucił. Bez magnesów czułby się ślepy.

– Powinno być gotowe – powiedział Clyde, machając ręką nad stołem pełnym starannie wystereowanych urządzeń elektrycznych.

Duncan umieścił nad nimi dłonie. Energia generowana przez zestaw Clyde’a parła na palce, tworząc dotykowe wrażenie przestrzeni. Powiódł wokół palcami, by wyczuć tę artystycznie „wyrzeźbioną” przez Clyde’a formę.

Czuł rozpościerające się w dwie strony, skierowane ku górze, skrzydła energii. Im niżej, tym było cieplej – tuż nad stolikiem palce zaczynały parzyć.

Palce Clyde’a nadawały kształt i treść temu, co niewidzialne. Oczyma wyobraźni zaczął dostrzegać obraz – realny jak rzeźba.

– Niesamowite – rzucił Duncan.

– Nazwałem to *Feniks odradzający się z popiołów ery cyfrowej*.

– Poeta z ciebie.

– Dzięki, Dunk.

Duncan zapłacił za usługę, sprawdził zegarek i ruszył w kierunku wyjścia.

Mógł o wymianę magnesu poprosić kogoś z Sigmy; Monk Kokkalis, doświadczony w zakresie patologii sądowej, poradziłby sobie z tym bez problemu. Monk znał go jednak z dawnych czasów, gdy Duncanowi wydawało się, że zawojuje świat jako gwiazda koszykówki college’u La Salle. Niestety po tym, jak świetnie rozwijającą się karierę koszykarską przerwał szereg kontuzji, musiał zrezygnować ze stypendium i wylądował w piechocie morskiej. Jego umięśnione ramiona były od łokci w górę całe wytatuowane i do dziś nosił w górnej części lewego ucha srebrny ćwiek w kształcie orła – ku pamięci przyjaciół poległych w Afganistanie podczas potyczki w Takurze.

W wieku dwudziestu czterech lat Duncan miał za sobą sześć tur w Afganistanie – w tym dwie w zwiadzie. Po Takurze, gdy nie pozwolono mu się ponownie zaciągnąć, na jego drodze pojawił się Painter Crowe. Duncan już w college’u zwrócił na siebie uwagę Sigmy swoimi ponadprzeciętnymi uzdolnieniami. W trybie mocno przyspieszonym zdobył magisterium zarówno z fizyki, jak i inżynierii elektrycznej – i właśnie miał się udać na pierwszą misję dla Sigmy.

Znaleźć rozbitego satelitę.

Właśnie dlatego Duncan przyjechał do Clyde’a – aby być stuprocentowo przygotowanym.

Rozprostował palce dłoni, po czym zwinął je w pięść. Ból ustępował.

Gdy wychodził na zewnątrz, zauważył przykucnięte przy jego mustangu dwie podejrzane postacie. Czarna cobra R była dla niego jak rodzina, element przeszłości, taka sama pamiątka jak ćwiek w uchu. Kupił samochód używany, dla młodszego brata, w czasach gdy sądził, że jego przyszłością będzie wirująca pomarańczowa piłka. Niestety rak dorwał Billy’ego, ledwie chłopak skończył osiemnaście lat, i zabrał na zawsze jego szeroki radosny uśmiech. Samochód

pozostał, był jeżdżącym na kołach rezerwuarem wspomnień: tych szczęśliwych, o dwóch braciach, którzy rządzą światem, oraz tych ponurych – o stracie, bólu i przedwczesnych pożegnaniach.

Z każdym krokiem Duncan czuł narastającą złość. Skradał się na palcach, trzymał w cieniu, aż stanął za plecami złodziei, najwyraźniej podnieconych zamkiem specjalnie skonstruowanym do tego właśnie modelu.

Nie zdawali sobie sprawy z obecności właściciela – do chwili aż odchrząknął.

Jeden z nich, zaskoczony, odwrócił się. Miał w ręku łyżkę do opon.

Z łyżką do opon...?

Chwilę później obaj wiali, zakrwawieni i kulejący.

Sięgnął do klamki. Zamek się otworzył, zanim jej dotknął, aktywowany przez zamknięty w szklanej kapsułce biochip RFID, wszczepiony w przedramię Duncana.

Choć starał się traktować elektroniczne dodatki do ciała jako „potrzebę zawodową”, w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że to sprawa ogólniejszej natury. Zaczął modyfikować ciało za pomocą tatuaży, zanim skontaktowała się z nim Sigma. Potrzeba zmian była ściśle związana ze śmiercią Billy’ego, sposobem, w jaki umarł, i tym, jak oszalałe komórki wyniszczały brata. Modyfikacje ciała stanowiły metodę pozwalającą zachować panowanie nad sytuacją, walczyć z groźbą raka. Były dla Duncana zbroją mającą go chronić przed kapryсами losu, za sprawą którego ciało mogło nagle zwrócić się przeciwko sobie.

Pierwszy tatuaż był kopią odcisku dłoni Billy’ego. Zrobił go sobie na klatce piersiowej, tuż nad sercem; po jakimś czasie dodał datę śmierci brata. Duncan często przyłapywał się na tym, że przykładając dłoń do rysunku i zastanawia się, w jaki sposób zadziałały geny, jemu pozwalając żyć, podczas gdy brat musiał umrzeć.

To samo można by powiedzieć o kumplach, którzy nie wrócili z Afganistanu. O tych, którzy dostali zabłąkaną kulkę, i o tych, którzy stanęli na ręcznej roboty minie.

Ja przeżyłem. Oni zginęli.

To wszystko odzwierciedlało fundamentalną stałą charakteryzującą wszechświat: los to okrutna, bezduszna dziwka.

Napędzany na równi adrenaliną i poczuciem winy, otworzył drzwi samochodu, wskoczył do środka i odjechał. Popędził przedmieściami Waszyngtonu, przerzucając biegi i ignorując znaki stopu.

Ciągle jeszcze nie był w stanie uciec przed duchami przeszłości: kumplami z oddziału i młodszym bratem, który do końca śmiał się śmierci w twarz.

Duncan przeżył, więc musiał żyć za nich wszystkich.

Ten ciężar odpowiedzialności narastał z każdym przebytym kilometrem i przeżytym rokiem. Zaczynał się stawać nie do wytrzymania.

Była tylko jedna droga ucieczki.

Mocniej wcisnął pedał gazu.

Godz. 18.34

– Wygląda pani na nieco przytłoczoną – powiedział Painter Crowe.

Takie to dziwne? – pomyślała Jada.

Wbijała wzrok w leżącą na jej kolanach grubą teczkę z aktami misji. Byli w gabinecie

dyrektora Crowe'a. Nagle poczuła klaustrofobię – nie tyle z powodu rozmiarów znajdującego się nad nimi Zamku, ile ciężaru materiałów na kolanach.

I wszystkiego, co oznaczały.

Miała lada chwila rozpocząć podróż przez pół świata w poszukiwaniu resztek wojskowego satelity, który mógł kryć w sobie klucz do dalszych losów świata... albo złamać jej karierę astrofizyka.

No cóż, jak na potarganą dziewczynkę z Congress Heights, która codziennie musiała uciekać ze szkoły do domu, by dzieciaki nie stłukły jej za to, że jest wzorową uczennicą i lubi książki... czuła pewną presję.

– Będzie pani miała ze sobą dobrych ludzi – obiecał Painter. – Nie wszystko spoczywa na pani barkach... i nie powinna pani pozwolić, by do tego doszło. Proszę zaufać swojemu zespołowi.

– Skoro pan tak mówi.

– Tak właśnie mówię.

Jada odetchnęła głęboko, żeby się uspokoić. Gabinet Paintera był urządzonej po spartańsku – znajdowały się w nim jedynie biurko, szafa na akta i komputer – ale wyczuwała tu dobrą energię. Coś podobnego czuła w dobrze znanych jej miejscach i przy kontakcie z chętnie używanymi przedmiotami – na przykład ze sportowymi butami, które lubiła nosić. Było tu sporo osobistych akcentów: na szafie stał poskręcany kawałek czarnego szkła, który wyglądał na rzeźbę, miał chyba jednak raczej służyć jako memento. Na ścianie, w specjalnej witrynie, wisiał zakrzywiony pazur jakiejś dzikiej bestii z dżungli, choć jego długość sprawiała, że Jada nie potrafiła powiązać go z żadnym znanym jej zwierzęciem. A na biurku stało kilka oprawionych w ramki fotografii kobiety.

Pewnie jego narzeczonej.

W trakcie lotu wielokrotnie o niej wspominał i było oczywiste, że ją kocha.

Szczęściara.

Prawdopodobnie w tym pomieszczeniu podejmowano najważniejsze decyzje Sigmy. Na ścianach – po trzech stronach biurka – zamontowano wielkie ekrany, które kojarzyły się z oknami na świat. Choć akurat w tej chwili – na wszechświat.

Jeden z ekranów ukazywał komety IKON w czasie rzeczywistym; drugi – ostatnie zdjęcie, przekazane przez satelitę, zanim spadł na ziemię, trzeci – bezpośredni przekaz z SMC na Zachodnim Wybrzeżu.

Jada usłyszała kroki i ciche głosy. Odwróciła się i zobaczyła w drzwiach Kat Bryant, której ktoś towarzyszył.

– Zobaczcie, kogo znalazłam – powiedziała.

Painter wstał i uściśnął dłoń wysokiemu mężczyźnie.

– Najwyższy czas, sierżancie Wren.

Jada uświadomiła sobie, że też wstała.

To musiał być jej drugi towarzysz podróży. Duncan Wren. Zaskoczył ją jego młody wiek; był góra dwa lata starszy od niej. Zmierzyła go wzrokiem. Krępy, twarde mięśnie dobrze wypełniały marynarski T-shirt, spod rękawów wystawały tatuaże. Mimo to nie sprawiał wrażenia mięśniaka. Podejrzewała, że w sprincie mógłby dotrzymać jej kroku – a była naprawdę szybka.

Ściskając jego dłoń, zauważyła, że Duncan ma podrapane kostki.

– Jada Shaw – przedstawiła się.

– Astrofizyk?

W jego zielonych oczach błysnęło zaskoczenie, co nieco ją zirytowało. Choć jej kariera nie trwała długo, już nieraz widziała podobne spojrzenie. Fizyka ciągle pozostawała domeną mężczyzn.

Jakby chciał jej się lepiej przyjrzeć, szesał do tyłu kilka zabłąkanych kosmyków ciemnych włosów przeplatanych jaśniejszymi pasemkami, które na pewno nie były efektem farbowania.

– Świetnie – rzucił bez śladu protekcjonalizmu czy sarkazmu i złapał się pod boki. – Więc znajdziemy satelitę.

– Samolot zatankowany i czeka – powiedziała Kat. – Zaprowadzę was.

Serce podeszło Jadzie do gardła. To wszystko działo się zbyt szybko.

Duncan dotknął łokcia dziewczyny, jakby wyczuwał jej narastające przerażenie.

Przypomniała sobie radę Paintera.

Proszę zaufać swojemu zespołowi.

Ale czy mogła ufać sobie?

Duncan pochylił się ku niej. Jego przymrużone oczy błyszczały entuzjazmem.

– Gotowa? – spytał z troską w głosie.

– Chyba tak.

– No to świetnie!

Zanim opuścili gabinet, Kat obeszła ich i położyła na biurku szefa teczkę.

– Ostatni raport Graya o planie operacji w Hongkongu – powiedziała, wskazując palcem okładkę.

Painter Crowe cicho westchnął.

– Przejrzałem go jakiś czas temu na komputerze. Zamierza wkroczyć na niebezpieczną ścieżkę.

– Wygląda na to, że dla Seichan jest gotów to zrobić.

Koulun, Chińska Republika Ludowa
18 listopada, godz. 8.04 czasu miejscowego

Przygotowywali się do wejścia w paszczę lwa.

Choć w tym przypadku raczej lwicy.

Stali na ulicy w dzielnicy Mong Kok na półwyspie Koulun, zatłoczonej w porze porannego szczytu. Ludzie pędzili przez mżawkę ze spuszczoneymi głowami, jedni z parasolami, inni w szerokich bambusowych kapeluszach na głowach. Wąskimi ulicami, przy których stały wieżowce, pełżyły samochody. Pranie łopotało na balkonach niczym sztandary tysiąca państw. Tłum kłębił się i płynął.

Z każdym kolejnym podmuchem wiatru zmieniały się zapachy: bryza niosła swąd spalonego wieprzowego tłuszczu, ostry aromat tajskich przypraw, intensywny smród wydobywający się z przepełnionych śmietników, zwietrzały bukiet perfum kobiety, która przeszła obok. Wszędzie rozlegały się krzyki, głównie sprzedawców zwabionych widokiem białych twarzy.

– Hej, zgadnij szef, ile kosztuje ten garnitur!...

– Podróbkę zegarka chcesz, tak?

– Jedzenie bardzo dobre, bardzo świeże! Pan spróbuj!

Kakofonia dźwięków otumaniała zmysły. Nowy Jork uchodzi za zatłoczony, ale w porównaniu z tym, co działo się tutaj, można go uznać za miasto duchów. Półwysep Koulun to połowa obszaru uważanego powszechnie za Hongkong. Druga połowa, znajdująca się po przeciwnej stronie cieśniny o nazwie Port Wiktorii – wyspa Hongkong – to miejsce pełne posiadłości, skrzących się drapaczy chmur i zielonych parków, otaczających majestatyczne Wzgórze Wiktorii.

Gray i Kowalski wpłynęli skradzioną motorówką na lokalne wody wczesnym rankiem jeszcze przed wschodem słońca. Panorama miasta kusila – wyglądało jak współczesna kraina Oz. Szmaragdowe Miasto, w którym za odpowiednią cenę może zostać spełnione każde marzenie. W pewnym sensie to prawda.

Gray kazał Kowalskiemu wpłynąć do dość nędznie wyglądającego portu po ciemniejszej, bardziej wielkomiejskiej stronie Hongkongu. Czekając na informacje z Waszyngtonu, przespali się dwie godziny w obskurnym hotelu. Zaraz po otrzymaniu informacji Gray zaprowadził Kowalskiego do dzielnicy czerwonych latarni Mong Kok, stanowiącej chaotyczną mieszankę barów z karaoke, burdeli, saun i restauracji.

– Tędy – powiedział po sprawdzeniu mapy.

Zaczęli się oddalać od zgiełku głównej ulicy i zagłębili w labirynt ciasnych zaułków. Z każdym kolejnym zakrętem coraz rzadziej kierowano ku nich prośby, nikt nie próbował już im coś sprzedać. Obrzucano ich wrogimi spojrzeniami. Obecność białych budziła tu podejrzenia.

– Moim zdaniem to ten budynek przed nami – rzekł Gray.

Za kolejnym zakrętem pojawił się kompleks złożony z trzech szesnastopiętrowych apartamentowców połączonych ze sobą pomostami i prowizorycznymi dobudówkami. Wyglądało to jak zardzewiała góra trzymająca się na złogach zardzewiałego metalu, drewnianych łat i odpadków. Nawet balkony – w odróżnieniu od tych na sąsiednich budynkach – były zakratowane. Jednak i tutaj wszędzie łopotało pranie rozwieszane na prętach krat i poroziąganych sznurach.

– Wygląda jak więzienie – zauważył Kowalski.

Po części miał rację, choć mieszkańców trzymały na miejscu nie tylko kraty, ale też przymus ekonomiczny – oczywiście pomijając wybrańców, którzy zajmowali najwyższe piętra, bliskie słońcu i klimatyzowane. Z raportu wywiadowczego Sigmy wynikało, że właśnie tu znajduje się siedziba triady *Duàn zhī*.

Zamierzali tu się spotkać ze sławetną Głową Smoka triady.

W Makau doktor Hwan Pak sprzedał Graya i jego ludzi triadzie i zwabił ich w pułapkę. Przywódczyni gangu nie życzyła sobie, aby oglądano jej twarz, i nie była miła wobec tych, którzy odważyli się na nią spojrzeć. Zjawianie się u jej progu było ryzykowną grą.

Gray nie miał jednak wyboru.

Ktoś porwał Seichan. Wątpił, aby była to triada *Duàn zhī*, ponieważ bowiem wśród tych, którzy wlekli Seichan do czarnego cadillaca, byli mężczyźni o europejskich rysach – prawdopodobnie lokalni Portugalczycy – a chińskie triady generalnie pogardały ludźmi Zachodu.

Kto ją porwał... i dokąd zabrał?

Musiał zakładać, że Seichan jeszcze żyje. Porywacze mogli ją zastrzelić na ulicy w Makau, jednak tego nie zrobili. Gray trzymał się tej myśli.

A widział tylko jedną możliwość zdobycia informacji o porywaczach. Kiedyś triada *Duàn zhī* działała na terenie Makau, więc jej przywódczyni musiała mieć tam kontakty i znać tamtejszy świat przestępczy. Co ważniejsze, dysponowała ludźmi i środkami niezbędnymi do organizacji akcji ratunkowej.

Tylko jak sprawić, aby zechciała nas wysłuchać, zanim nas zabije? – zastanawiał się.

– Myślę, że to ostatnia okazja na wycofanie się – zwrócił się do Kowalskiego. – Mogę iść sam. Może tak nawet byłoby lepiej.

To samo mówił już w hotelu.

Tym razem otrzymał taką samą odpowiedź:

– Wal się. – Kowalski bez najmniejszego wahania szedł w kierunku najbliższego wejścia.

Gray szybko go dogonił; ramię w ramię przeszli przez otwór w murze zamykany na noc stalowymi drzwiami, obserwowani przez wiele par. Jedni patrzyli na nich podejrzliwie, inni z nienawiścią, jeszcze inni obojętnie.

Po chwili znaleźli się na podwórzu między trzema kiedyś osobnymi wieżowcami. Pomosty i dobudówki, które wyglądały, jakby zaraz miały się rozsypać, zasłaniały większą część nieba nad głowami, nie zatrzymywały jednak mżawki. Dookoła podwórza znajdowały się prymitywne sklepy – mięsny, gdzie z haków zwisały oskubane gęsi, trafika z papierosami i alkoholem, nawet sklep ze słodyczami, który zupełnie nie pasował do tego miejsca.

– Schody są tam – powiedział Kowalski.

Wyglądało na to, że jedyną drogą na górę są schody bez poręczy biegnące przy ścianach każdego budynku. Nic nie wskazywało, gdzie znajduje się siedziba triady *Duàn zhī*, nie miało to chyba jednak większego znaczenia.

Zaczęli się wspinać po najbliższych schodach. Zamierzali wchodzić do momentu, aż ktoś ich zatrzyma. Mieli tylko nadzieję, że to nie będzie ktoś, kto najpierw strzela, a potem zadaje pytania.

Mijając kolejne podesty, Gray starał się zaglądać we wszystkie otwarte drzwi. Wnętrza były dziwne: stały w nich pod sufit wielkie klatki – nie z królikami. Z ludźmi. Jedni spali, inni siedzieli beczynn timer. Klatki były urządzone – na ile się dało – „po domowemu”: powkładane bambusowymi matami i podzielone płachtami brezentu na prywatne strefy. Migotało nawet kilka telewizorów. Unoszące się wszędzie gęste chmury dymu papierosowego tylko nieznacznie tłumiliły zapach ludzi odrzutków. Lokatorów klatek najwyraźniej nie stać było na lepsze mieszkania.

W pewnym momencie po schodach zbiegł wielki, tusty brązowy szczur.

– Spryciarz – rzucił Kowalski.

Na wysokości dziewiątego piętra pojawiły się skierowane na schody kamery obserwacyjne.

Robota triady.

– Prawdopodobnie jesteście już wystarczająco wysoko – rzekł Gray. – Obserwują nas.

Po dotarciu do następnego podestu weszli do niezadaszonego przejścia, z którego widzieli podwórze w dole. Gray stanął przed jedną z kamer, powoli i ostrożnie sięgnął za pasek, wyjął dwoma palcami zdobyczny chiński pistolet i położył go sobie u stóp. Kowalski również ceremonialnie odłożył kałasznikowa.

– Chcę rozmawiać z Guan-yin, Głową Smoka *Duàn zhī*! – zawołał Gray do kamery i wszystkich, którzy mogli znajdować się w pobliżu.

Reakcja była natychmiastowa.

Z przodu i z tyłu trzasnęły drzwi i po chwili zostali okrążeni przez czterech mężczyzn z kijami bejsbolowymi i maczetami.

A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o konwersację.

Gray przykucnął i kopnął pierwszego z mężczyzn w kolano, a gdy napastnik poleciał przed siebie, uderzył go mocno w krtań, po czym pozwolił charczącemu człowiekowi upaść na podłogę. Złapał leżący na podeście pistolet i pochylił nisko głowę, nad którą świsnęła maczeta. Podniósł wyłączony z walki przeciwnika, zasłonił się nim i zacisnął mu ramię na szyi.

Na koniec wsadził mu lufę pistoletu w ucho.

Kowalski znokautował pierwszego ze swoich przeciwników, a gdy ten padał, wyjął mu z dłoni stalową pałkę. Płynnym ruchem uderzył nią drugiego przeciwnika w bark. Rozległ się brzęk maczety, która spadła na metalową podłogę.

Ranny napastnik zrobił dwa kroki do tyłu i chwycił się za ramię, ale Kowalski ostrzegawczo wyciągnął pałkę przed siebie.

Gray ponownie skierował się ku kamerze.

– Chcę tylko porozmawiać!

Aby to udowodnić, puścił więźnia i odepchnął go od siebie. W całym kompleksie zapadła cisza. Przycichły nawet paplanina w telewizji i muzyka.

– Do cholery, czy tu nikt nie gada po angielsku?! – zawołał Kowalski.

Na końcu przejścia otworzyły się drzwi.

– Ja mówię.

Z cienia wyszła wysoka postać. Mężczyzna z długimi siwymi włosami związanymi w kitkę. Choć musiał być sporo po sześćdziesiątce, w każdym jego kroku czuło się utajoną siłę. W jednej ręce trzymał długi zakrzywiony miecz, starożytny chiński dao; drugą dłoń położył na rękojeści

tkwiącego w kaburze u pasa SIG sauera.

– No więc, co życycie sobie powiedzieć naszej szacownej Głowie Smoka? – spytał.

Zła odpowiedź równała się śmierci.

– Powiedz jej, że mam wiadomość dotyczącą córki Mai Phuong Li – odpowiedział Gray.

Sądząc po minie mężczyzny, to nazwisko nic mu nie mówiło. Odwrócił się bez słowa i zniknął w cieniu.

Czekali. Jeden z ochroniarzy warknął coś po kantońsku, zmuszając Graya i Kowalskiego do cofnięcia się kilka kroków, po czym jego kolega zabrał broń, z którą przyszli.

– Robi się coraz lepiej – mruknął Kowalski.

Napięcie narastało.

Wreszcie mężczyzna z mieczem wrócił.

– Łaskawie zgodziła się z wami spotkać – powiedział.

Gray poczuł, jak gula w jego gardle nieco się zmniejszyła.

– Ale jeżeli nie spodoba jej się to, co macie do powiedzenia, jej twarz będzie ostatnią rzeczą, którą zobaczycie – ostrzegł mężczyzna z mieczem.

Gray nie miał co do tego wątpliwości.

Godz. 8.44

Seichan obudziła się w ciemności.

Nie ruszała się – ten ułatwiający przeżycie odruch wyrobiła sobie podczas lat spędzonych na ulicach Bangkoku i Phnom Penh. Czekala, aż przejaśni jej się w głowie. Z czarnej otchłani powoli wypływały wspomnienia. Pojmano ją, otumaniono czymś i zasłonięto jej oczy. Sądząc po bólu, miała ręce związane w nadgarstkach i nogi w kostkach. Nie zdjęto jej przepaski z oczu, ale przedostawało się przez nią dość światła, by Seichan mogła stwierdzić, że jest dzień.

Ten sam, kiedy została porwana?

Przypomniała sobie wypadek. Lecących w powietrzu Graya i Kowalskiego.

Przeżyli?

Nie dopuszczała do siebie myśli, że nie.

Rozpacz osłabia determinację, a do przeżycia będzie jej rozpaczliwie potrzebowała.

Odsunęła od siebie przyćmiewający zmysły ciężar. Powoli wracało panowanie nad ciałem i umysłem.

Leżała na czymś twardym, metalowym, śmierdzącym olejem silnikowym. Drgania i powtarzające się od czasu do czasu szarpnięcia sugerowały, że jest w jakimś pojeździe.

W furgonetce? Może w ciężarówce.

Dokąd ją wiozą?

Dlaczego mnie po prostu nie zabili?

Nietrudno było się domyślić. Ktoś musiał się dowiedzieć o wyznaczonych za jej głowę nagrodach i postanowił ją sprzedać.

– Możesz już skończyć udawać, że śpisz – rozległ się głos kogoś oddalonego mniej więcej o pół metra.

Odruchowo się napięła. Surowe życie na ulicach, jakiego doświadczyła w młodości, wyostrzyło jej zmysły, a nie wyczuła, że ktoś siedzi tak blisko. Zdenerwowało ją to. Nie tylko dlatego, że ten człowiek zachowywał się tak cicho. On był niemal bezcielesny. Jakby nie istniał.

– Po pierwsze, możesz się odprężyć – powiedział mężczyzna. Mówił bardzo poprawnie po kantońsku, ale z lekkim europejskim akcentem. Biorąc pod uwagę, że prawdopodobnie cały czas są w Makau, postawiła na Portugalczyka. – Nie zamierzamy cię zabić ani zrobić ci krzywdy. W każdym razie ja tego nie chcę. To czysty handel.

A więc zgadła: ma zostać sprzedana. Niewielka pociecha.

– Po drugie, jeśli chodzi o twoich przyjaciół...

Tym razem drgnęła. Twarz Graya, fanfaronady Kowalskiego... Żyli?

– Żyją – rzekł mężczyzna, czytając w niej jak w księdze. – Obawiam się jednak, że już niedługo. Wyśledzenie ich zajęło nieco czasu. Pojawili się w najmniej spodziewanym miejscu: w siedzibie konkurencji. Zdziwiło mnie to, potem jednak uznałem, że to bez znaczenia. Jest takie stare chińskie powiedzenie: *yi jian shuang diao*. Chyba pasuje do okoliczności.

„Jedna strzała, dwa sępy”, przetłumaczyła sobie w myślach Seichan.

Niewesoło.

Chińskie powiedzenie odpowiadało europejskiemu „Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu”.

Godz. 8.58

Drzwi kabiny się rozsunęły. Dostali się z piekła do nieba.

Gray wszedł za mężczyzną z mieczem do pomieszczenia, które kiedyś musiało być penthouse’em apartamentowca. Nie było tu duszącej ciasnoty ani brudu jak w pozostałej części budynku. Otwartą przestrzeń urządzone białymi meblami o prostych, klarownych liniach. Podłogę wyłożono polerowanym bambusem. Wokół stały różnej wielkości donice z orchideami. W akwarium o kształcie wznoszącej się morskiej fali pływały miriady białych jak śnieg rybek. Za nim mieściła się kuchnia z europejskim sprzętem ze stali nierdzewnej.

Największy kontrast z piekielnym otoczeniem tworzyła jednak ilość światła – choć dzień był dość pochmurny. Panoramiczne okna wychodziły na Koulun, a były tak wysokie, że dało się dostrzec świecące wieżowce na wyspie Hongkong. Pośrodku apartamentu znajdowało się atrium o szklanych ścianach. Bez dachu, za to z fontanną, mnóstwem roślin oraz stawem z rybami, na którego powierzchni pływały lilie wodne.

Na wodzie łagodnie kołysał się lampion.

Pochylała się nad nią smukła postać w kimonie. Za pomocą długiego kadzidła zapalała znajdującą się w lampionie świecę.

Gray miał wrażenie, że jest znowu w Makau, pełnym lampionów zapalanych na cześć pamięci kochanych osób, które odeszły.

Poprowadzono ich w kierunku atrium.

Kowalski ponuro popatrzył za siebie, na windę.

– Po co wspinaliśmy się piętnaście pięter, skoro mają windę?

Gray nie zamierzał wyjaśniać, że jest ona wyłącznie do użytku członków triady. Skupiał się na postaci za szklaną ścianą.

Mężczyzna z mieczem kazał im stanąć dwa metry od atrium.

– Nie ruszajcie się.

Kobieta – sądząc po drobnych stopach i zaokrąglonych biodrach, musiała to być kobieta – cały czas pochylała się nad lampionem, osłaniając dłońmi płonące kadzidło.

Przez dwie minuty nikt się nie odzywał. Kowalski lekko podrygiwał, ale wyczuwał, że należy trzymać gębę na kłódkę.

W końcu kobieta ukloniła się głęboko przed latarnią, wyprostowała i odwróciła. Jej szata miała chroniący przed mżawką kaptur i wysoki kołnierz osłaniający część twarzy. Podeszła do drzwi atrium i powoli je rozsunęła.

Wyszła z wielką gracją.

– Guan-yin – powiedział mężczyzna z mieczem i pokłonił się.

– *M`h` gōi*, Zhuang. – Z rękawa wysunęła się blada dłoń i dotknęła przedramienia mężczyzny. Gest był dziwnie intymny.

Głowa Smoka triady *Duàn zhī* odwróciła się do Graya.

– Mówiłeś coś o Mai Phuong Li – odezwała się cicho i spokojnie, w głosie pobrzmiwała jednak stalowa groźba. – Przyszedłeś mówić o kimś, kto już od dawna nie żyje.

– Nie we wspomnieniach jej córki.

Kobieta nie okazała emocji, co doskonale świadczyło o jej panowaniu nad sobą.

– Znowu mówisz o zmarłych – powiedziała jeszcze ciszej.

– Nie minęło wiele godzin od chwili, gdy przybyła do Makau w poszukiwaniu matki.

Jedyną reakcją kobiety było lekkie opadnięcie podbródka. Może właśnie sobie uzmysłowiła, jak blisko była zabicia własnej córki. Prawdopodobnie zastanawiała się, czy Gray mówi prawdę.

– To wy byliście w Casino Lisboa.

Wskazał ręką Kowalskiego.

– My troje. Doktor Hwan Pak rozpoznał pani wisiołek ze smokiem, powiedział, że panią zna. Przybyliśmy więc do Makau, by poznać prawdę.

Usłyszeli ciche drwiące prychnięcie.

– I jaka jest ta prawda? – W jej głosie brzmiały powątpiewanie i niewiara.

– Gdybym mógł... – Wskazał na kieszeń marynarki, do której po rewizji włożono z powrotem jego telefon.

– Ostrożnie – rzucił Zhuang.

Gray wyjął komórkę i otworzył zakładkę ze zdjęciami. Wyszukał folder SEICHAN. Zaczął przewijać zdjęcia, aż dotarł do ujęcia ukazującego wyraźnie jej twarz. Poczul ukłucie strachu o jej los, ale kiedy wyciągał rękę, nie drżała.

Guan-yin pochyliła się. Twarz miała ukrytą w cieniu, trudno było odczytać jej wyraz, lecz lekkie potknięcie, gdy podchodziła, żeby spojrzeć na ekran komórki, świadczyło o tym, że z trudem hamowana nadzieja zwyciężyła. Matka pozna swoje dziecko nawet po dwudziestu latach.

Gray poruszył aparatem, dając znak, by wzięła go do ręki.

– Jest więcej zdjęć. Może pani przejrzeć.

Guan-yin wyciągnęła dłoń, palce zawahały się jednak, jakby obawiała się prawdy. Jeżeli jej córka żyła, to jaką ona była matką, skoro ją tak zawiodła?

W końcu wzięła telefon. Odwróciła się do Graya plecami i zaczęła przeglądać folder. Po długiej ciszy zadrżała i osunęła się na kolana.

Zhuang przemieścił się jak cień. W jednej chwili stał obok Graya, a w następnej klęczał przy swojej pani. Nie omieszkał jednak kierować miecza ku Amerykanom, ostrzegając, aby nie próbowali się zbliżyć.

– To ona – szepnęła Guan-yin. – Jak to możliwe?

W tych kilku słowach zawarła bogactwo emocji: poczucia winy, wstydu, nadziei, radości, strachu, złości.

Strach i złość zwyciężyły. Kobieta opanowała się, wstała i odwróciła do przybyszy. Zhuang stał obok, by ją chronić, a wyraz jego oczu świadczył o tym, że nie robi tego tylko z poczucia obowiązku.

Guan-yin zrzuciła kaptur, ukazując kaskadę czarnych włosów z pasmem siwizny. Z tej samej strony miała głęboką czerwoną bliznę: wiła się od policzka do czoła, omijając oko. Cięcie było zbyt regularne, aby mogło powstać podczas walki na noże – ktoś świadomie, boleśnie naciął kobiecie twarz, tak by zapamiętała torturę. Aby przemienić bliznę w znak dumy – lub uczynić ból źródłem siły – Guan-yin zrobiła sobie na twarzy tatuaż. Blizna zamieniła się w ogon smoka, przycupniętego na policzku i czole.

Był taki sam jak na wisiorku na jej szyi.

– Gdzie ona jest? – spytała Guan-yin. Jej głos był twardy jak stal. – Gdzie moja córka?

Gray przełknął ślinę, aby opanować zdumienie na widok tatuażu, i szybko opowiedział o ataku, ucieczce i porwaniu na ulicy.

– Opowiedz o tym młodym człowieku, który stał przy cadillacu.

Opisał wysokiego mężczyznę z krótko przystrzyżoną brodą.

– Wyglądał na Portugalczyka, ale może mieć chińską krew – dodał.

– Znam go. Ju-long Delgado, szef całego Makau – powiedziała, a na jej twarzy pojawiła się troska.

Jeżeli tak twarda kobieta czymś się niepokoila, był to bardzo zły znak.

Godz. 9.18

Samochód zatrzymał się z jękiem hamulców.

Seichan słyszała, jak nieznajomy cicho mówi coś po portugalsku do kierowcy, nie znała jednak tego języka. Otworzyły się drzwi, a po chwili z trzaskiem się zamknęły.

Poczuła na twarzy palce. Szarpnęła się, ale mężczyzna tylko chciał zdjąć zasłonę z jej oczu. Nagle oślepiona, musiała zamrużyć.

– Uspokój się. Przed nami daleka droga.

Był nienagannie ubrany w doskonale skrojony jedwabny garnitur. Ciemne oczy pasowały do kręconych włosów i wypielęgnowanej brody, przyciętej krótko, tak że nie zakrywała jego twarzy o mocno zarysowanym podbródku. Oczy, lekko skośne, ujawniały, że w jego żyłach płynie mieszana krew.

Jedno spojrzenie wystarczyło Seichan, by stwierdzić, że jadą furgonetką bez szyb.

Otworzyły się tylne drzwi i kolejna fala jasnego światła ukłuła ją w oczy. Na zewnątrz stał jeszcze jeden mężczyzna, młodszy – brutal o okrągłej twarzy, z czarnymi, przyciętymi tuż przy skórze włosami i barami tak potężnymi, że zdawały się rozsadzać marynarkę. Miał uderzająco jasnoblękitne oczy.

– Tomaz – powiedział mężczyzna, który z nią jechał. – Jesteśmy gotowi do lotu?

– *Sim, senhor* Delgado. Samolot jest gotowy.

Mężczyzna nazwany Delgado odwrócił się ku Seichan.

– Będę ci towarzyszył podczas lotu. Chcę mieć pewność, że dostanę swoje pieniądze, a poza tym przyda mi się wyjazd z Makau. Po tym, co wydarzy się w Hongkongu, przez jakiś

czas będzie się tu lała krew.

– Dokąd mnie zabieracie?

Mężczyzna zignorował pytanie. Wsiadł z furgonetki i przeciągnął się.

– Zapowiada się piękny dzień.

Jego podwładny, Tomaz, złapał Seichan za związane kostki nóg i wyciągnął na poranne słońce. W jego dłoniach nagle pojawił się nóż. Przeciął plastikowe kajdanki, ale więzy na nadgarstkach założonych na plecy rąk pozostawił.

Byli na pasie startowym jakiegoś prowincjonalnego lotniska. W odległości trzydziestu metrów czekał smukły odrzutowiec z opuszczonym trapem, gotów na przyjęcie pasażerów. Ktoś stanął w otwartych drzwiach.

Człowiek ze złamanym nosem opatrzonym szerokim bandażem.

Doktor Hwan Pak.

– Och, nasz dobroczyńca... – powiedział Delgado i ruszył w kierunku samolotu. Spojrzał na rolexa. – Chodź. Za kilka minut nie powinno nas być w pobliżu Hongkongu.

Godz. 9.22

– To wszystko, co wiesz? – W głosie Guan-yin słychać było ból kochającej matki. Przez kilka minut wypytywała Graya o Seichan, wciąż nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że jej córka żyje.

Zhuang stał obok na straży, Kowalski podszedł do akwarium i z nosem przy szybie postukiwał palcem w szkło.

Gray chętnie uzupełniłby więcej luk w wiedzy Guan-yin, ale nawet on znał przeszłość Seichan jedynie fragmentarycznie: była w kilku sierocińcach, przeżyła ciężki okres na ulicy, została zrekrutowana do przestępczej organizacji. Guan-yin nie wydawała się tym zaskoczona. Matka i córka podążały w pewnym sensie podobnymi drogami, przeciwności losu je hartowały, ale obie zachowały zdolność wyniesienia się ponad nie i przeżycia.

Gray nie był jednak w stanie przedstawić obrazu na tyle pełnego, by zadowolić matkę, która zbyt długo nie uczestniczyła w życiu córki. Wątpił, by słowa mogły wypełnić otchłań.

– Znajdę ją – przysięgła Guan-yin.

Wydała już rozkaz swoim ludziom, by się dowiedzieli, dokąd Ju-long Delgado mógł zabrać jej córkę. Wieści jeszcze nie nadeszły.

– Zawiodłam ją – powiedziała Guan-yin, unosząc palec do kącika oczu, by zetrzeć łzę z wytatuowanego smoka. – Wietnamscy policjanci, którzy mnie przesłuchiwali, byli okrutniejsi, niż się spodziewałam. Twierdzili, że moja córka nie żyje.

– Żeby doprowadzić panią do rozpacz i złamać.

– To mnie tylko bardziej rozzłościło, zdeterminowało do ucieczki i zemsty. W końcu mi się udało i szukałam jej, ale w tamtym okresie nie było to łatwe, bo nie mogłam postawić nogi na terenie Wietnamu. W końcu musiałam się poddać.

– Szukanie jej musiało być bolesne.

– Czasami nadzieja to przekleństwo. – Guan-yin popatrzyła na dłonie złożone na kolanach. – Łatwiej było pochować ją w sercu.

Na chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie pluskaniem fontanny w atrium.

– A ty? – spytała łamiącym się głosem Guan-yin. – Wiele ryzykowałeś, przylatując z nią do

Makau i teraz przychodząc do mnie.

Gray nie musiał tego potwierdzać.

Popatrzyła mu w oczy.

– Dlatego że ją kochasz?

Spojrzał Guan-yin w oczy, wiedząc, że nie wolno mu skłamać... i w tym momencie budynkiem wstrząsnął pierwszy wybuch.

Mury zadygotały. Woda w akwarium zafalowała. Orchidee zakołysały się.

– Ożeż ty! – wrzasnął Kowalski.

Guan-yin wstała.

Jej cień, Zhuang, był już przy oknach. Przyciskał do ucha słuchawkę i mówił coś szybko. Z dołu przez deszcz zaczął się przebijać dym.

Z oddali rozległa się kolejna eksplozja.

Guan-yin podążyła za swoim człowiekiem do okna, Gray i Kowalski też podeszli.

– Do wejść podjechały betoniarki – tłumaczyła szybko słowa Zhuanga. – Ze wszystkich stron.

Gray spróbował sobie wyobrazić wielkie pojazdy przeciskające się przez wąskie kaniony uliczek otaczających wzgórze, na którym się znajdowali, podjeżdżające w dobrze zorganizowanym ataku. Nie były to jednak betoniarki...

Nastąpiła kolejna eksplozja; tym razem huk doszedł z innej strony.

...tylko bomby na kołach.

Ktoś zamierzał zrównać to miejsce z ziemią. Prawdopodobnie Ju-long Delgado. Musiał się dowiedzieć, że Amerykanie tu właśnie skierowali swe kroki. Nietrudno wyśledzić przemieszczanie się po mieście dwóch białych twarzy.

– Trzeba się stąd wydostać! – zawołał Gray. – Natychmiast!

Zhuang nie oponował.

– Musimy zapewnić ci bezpieczeństwo – zwrócił się do swojej pani.

Guan-yin wyglądała jak pomnik – plecy miała wyprostowane, smok na rozżłoszczonyj twarzy jarzył się jaśniej niż zwykle.

– Zmobilizuj triadę – poleciła. – Niech zadbają o mieszkańców tego domu.

Gray wolał nie myśleć o zgromadzonych pod nimi ludzkich masach.

– Wykorzystajcie tunele – dodała Guan-yin.

Oczywiście – triada musiała mieć tajne wyjścia ze swojej fortecy.

– Ty musisz iść pierwsza – orzekł Zhuang.

– Po tym, jak przekażesz ten rozkaz.

Wyglądało na to, że Guan-yin jest kapitanem gotowym zatonać ze swoim statkiem – a naprawdę tonął. Raz za razem rozlegały się rozrywające uszy huki świadczące o tym, że zawalają się kolejne fragmenty budynku. Kłęby czarnego dymu kompletnie zasłaniały widok z okien, jakby pchały je do góry stłumione wrzaski na niższych kondygnacjach.

Zhuang wrócił do rozmowy telefonicznej. Musiał krzyczeć. Kilka sekund później w budynku ryknęły głośniki, przekazując wszystkim rozkaz Głowy Smoka.

Dopiero wtedy Guan-yin ustąpiła.

Nie mogli skorzystać z windy, więc Zhuang poprowadził swoją panią do zewnętrznych schodów, którymi szli wcześniej Amerykanie.

– Szybko! Musimy dotrzeć do tuneli!

Gdy zbiegali, na centralnym podwórzu rozpętało się pandemonium. Wszystko płonęło.

Kilka pięter niżej pękł łączący dwa budynki pomost i znajdujący się na nim ludzie, machając rękami i nogami, polecieli w otchłań. Budynek znajdujący się naprzeciwko tego, z którego uciekali, zaczął się składać jak harmonijka. Odchylił się, i w końcu runął.

Gray przyspieszył tempo. Skakał z podestu na podest. Guan-yin dotrzymywała mu kroku, Zhuang i Kowalski byli tuż za nimi.

Trzask przypominający uderzenie pioruna wstrząsnął schodami i sprawił, że osunęli się na kolana.

Konstrukcja schodów zaczęła się odrywać od budynku.

– Tędy! – zawołał Gray.

Skoczył, pokonał rozszerzającą się otchłań i wylądował w wychodzącym na podwórze korytarzu. Pozostali musieli zrobić to samo. Guan-yin potknęła się i w chwili, gdy trzymający ją Zhuang skoczył, wysunęła się z jego objęć. Została na krawędzi, chwiejąc się niebezpiecznie – na szczęście Kowalski nie stracił szybkości reakcji; złapał ją wpół, odbił się z głośnym okrzykiem i dołączył do Graya i Zhuanga.

– Dziękuję – szepnęła Guan-yin, gdy stawiał ją na nogi.

– Nigdy nie dotrzemy do tuneli – rzucił Gray.

Nikt nie zaprzeczył. Wszyscy podzielali jego zdanie. Szalejący w dole pożar wyrzucał coraz gęstsze kłęby dymu.

– No to dokąd? – spytał Kowalski. – Zostało nam jeszcze z dziesięć pięter, a zapomniałem zabrać skrzydła.

Gray klepnął go w ramię, dziękując za sugestię.

– Więc będziemy musieli zrobić sobie nowe. – Spojrzał na Zhuanga. – Zaprowadź nas do najbliższego mieszkania na rogu.

Zhuang bez pytania wykonał polecenie. Poprowadził grupę labiryntem przejść. Po kilku zakrętach stanęli przed drzwiami, na które wskazał palcem.

Były zamknięte, ale wystarczyło jedno kopnięcie piętą w okolicę zamka, by stara framuga puściła i drzwi się otworzyły.

– Do środka! Potrzebuję prześcieradeł, ubrań, bielizny... wszystkiego, z czego da się zrobić linę!

Kowalski i Guan-yin ruszyli na poszukiwania, podczas gdy Gray z Zhuangiem wyszli przez przesuwne drzwi na balkon. Podobnie jak wszystkie inne, także ten był zakratowany.

– Pomóż mi! – zawołał Gray i zaczął walczyć z kratą, aby odsłonić kawałek poręczy.

Gorączkowo pracowali, a budynek dygotał i podskakiwał, powoli rozpadając się w otchłań ognia.

Wreszcie Gray oderwał kawałek kraty i rzucił go przez dym na ulicę w dole.

– Co z liną?

– Na pewno nie zrobimy niczego na tyle długiego, by sięgnęło do ulicy! – odkrzyknął Kowalski.

Nie o to chodziło.

Gray wszedł do mieszkania, żeby sprawdzić postępy pracy. Kowalski i Guan-yin upletli „linę” długości mniej więcej dwudziestu metrów, ale ponowny potężny wstrząs budynku zmusił ich do podjęcia ostatecznej decyzji.

– Wystarczy. – Gray przywiązał koniec liny do poręczy balkonu, resztę wyrzucił na zewnątrz.

– Co robisz? – spytał Kowalski.

Gray wskazał na balkony po drugiej stronie wąskiej uliczki.

– Jesteś szalony – skwitował to olbrzym.

Gray spojrział w dół, zastanawiając się, jak betoniarkom udało się przebić przez płataninę tak wąskich uliczek; równocześnie dziękował w duchu projektantom Hongkongu za gęstość koutuńskiej zabudowy.

Wszedł na poręcz balkonu i chwycił linę. Wstrzymując oddech, zaczął się po niej powoli spuszczać. Kilka razy ześlizgnęły mu się dłonie, co wyraźnie przyspieszyło puls, musiał jednak na spokojnie dostosować długość liny do odległości sąsiedniego budynku.

Gdy uznał, że jest w odpowiednim miejscu, zabrał się do rozbijania jej. Otoczony kłębamii gęstego, piekącego w oczy dymu, raz po raz odbijał się od fasady budynku i krat balkonowych. W końcu lina zaczęła się wyraźnie wychylać za róg wieżowca.

Za mało.

Odbijał się coraz gwałtowniej. Za każdym razem był coraz bliżej sąsiedniego budynku, ale dym dusił, robił się coraz gęstszy, coraz bardziej utrudniał oddychanie.

Po kolejnym odbiciu się i locie nad ulicą poczuł, że czubkami butów dotyka balkonu po drugiej stronie. Za mało, aby na nim stanąć, ale nasiliło to tylko jego determinację. Odbił się jeszcze mocniej.

Dawaj...

– Pierce! – wrzasnął Kowalski. – Spójrz w dół!

Gray popatrzył pod nogi. Koniec liny musiał w którymś momencie dotknąć ognia i się zapalił. Płomienie sunęły w górę, chwytając kolejne fragmenty materiału.

O nie...

Zgiął się w pasie i patrzył między rozkraczonymi nogami. Balkon budynku po drugiej stronie ulicy się zbliżał. Uniósł stopy powyżej poręczy, jakby skakał o tyczce, a gdy znalazły się za nią, zgiął nogi w kolanach i zawisł.

Uf!

Chwila nieuwagi sprawiła, że się ześlizgnął. Łydki omsknęły się z poręczy, trzymał się tylko kostkami stóp. Długo tak nie wytrzyma.

Płomienie wspinały się po linie.

Nagle ktoś chwycił go za kostki.

Mężczyzna i kobieta – najwyraźniej właściciele mieszkania – postanowili mu pomóc. Przeciągnęli go przez poręcz balkonu. Gdy tylko Gray stanął na własnych nogach, zgasił palące się kawałki liny i przywiązał jej koniec do poręczy balkonu. Małżeństwo paplało coś po kantońsku; sądząc po tonie, karcili go za taką brawurę. Jakby skakał przez ulicę dla zabawy!

Kiedy lina została umocowana, odwrócił się do swoich towarzyszy.

– Pojedynczo! Trzymajcie się rękami i nogami! Przełazcie!

Guan-yin poszła pierwsza. Poruszała się jak gimnastyczka, lina ledwie zadrżała. Podziękowała małżeństwu ukłonem. Za nią ruszył Zhuang, przewieszony przez pierś miecz zwisł przynajmniej metr pod nim.

Ostatni był Kowalski; kłął jak szewc.

Najwyraźniej bogom nie spodobało się jego słownictwo, bo gdy dotarł mniej więcej do połowy drogi, górny koniec liny pękł; Kowalski poleciał w dół jak kamień.

Gray mógł jedynie ścisnąć mocno poręcz. Był bezradny.

Na szczęście potężne jak rzeźnicie haki łapska Kowalskiego trzymały mocno i kiedy lina się napięła, wpadł głową naprzód na balkon trzy piętra niżej, prosto w zebranych tam gapiów.

Rozległy się wrzaski przerażenia i bólu.

– Jesteś cały?! – zawołał Gray, wychylając się przez poręcz.

– Następnym razem ty będziesz ostatni! – odkrzyknął olbrzym.

Gray odwrócił się do Guan-yin, w chwili gdy Zhuang delikatnie owijał jej głowę ciemnoczerwoną jedwabną chustą, żeby ukryć twarz swej pani przed światem.

– Zawdzięczam ci życie – powiedziała, patrząc mu w oczy.

– Ale wiele osób je straciło.

Skinęła głową. Przez chwilę obserwowali skutki ataku. Zardzewiała budowla po drugiej stronie uliczki powoli dogorywała, zżarta przez ogień. Kruszyła się i zmieniała w ruinę.

Zhuang ponownie rozmawiał przez telefon, jakby zbierał sprawozdania dotyczące strat.

Po mniej więcej minucie podszedł do Guan-yin. Przez chwilę rozmawiali z pochylonymi głowami. Gdy się cofnął, Guan-yin popatrzyła na Graya.

– Zhuang otrzymał wiadomość z Makau.

Gray zeszywniał.

– Moja córka żyje.

Dzięki Bogu!

– Ale Ju-long wywiózł ją z półwyspu i z Chin.

– Dokąd?

– Do Korei Północnej.

Gray wiedział sporo o tym kraju – odizolowanej od świata ziemi makabrycznie przygnębiającej i rządzonej przez szaleńczą dyktaturę, miejscu otoczonym niemożliwymi do przeniknięcia granicami, gdzie władza kontroluje absolutnie wszystko.

– Wyciągnięcie jej stamtąd wymagałoby armii – mruknął w dym i ogień.

Guan-yin na pewno usłyszała te słowa, ale zignorowała je.

– Nie odpowiedziałeś na pytanie, które zadałam wcześniej.

Spojrzał na nią. Była jedynie przerażoną matką.

– Kochasz moją córkę?

Nie chciał kłamać, ale coś odebrało mu mowę. Guan-yin odczytała jednak odpowiedź w jego oczach i odwróciła się.

– Więc dam ci armię.

CZEŚĆ DRUGA
ŚWIĘCI I GRZESZNICY

Σ

Aktau, Kazachstan

18 listopada, godz. 13.34 czasu miejscowego

– Wygląda jak ocean.

Monsignore Vigor Verona wzdrygnął się na dźwięk wypowiedzianych przez siostrzenicę słów. Podniósł głowę znad wyników badania DNA. Wracił do tego dokumentu już któryś raz, bo wyczuwał, że nie dostrzega zawartej w nim ważnej informacji. Wyniki przesłano mu faksem z laboratorium genetyki tuż przed porannym lotem do portowego miasta na zachodniej granicy Kazachstanu.

Wziął głęboki wdech, by powrócić do rzeczywistości. I tak potrzebował przerwy.

Może przewietrzenie głowy pozwoli mu uświadomić sobie, co go dręczy.

Siedzieli z Rachele w małej restauracyjce z widokiem na Morze Kaspijskie. Zimowa woda za oknami biła o białe klify, od których nazwano miasteczko. Zespół Sigmy miał się zjawić za niecałą godzinę i razem mieli polecieć wyczarterowanym helikopterem do miejsca o współrzędnych, które ojciec Josip sekretnie zapisał w czaszce.

– Kiedyś Morze Kaspijskie było częścią oceanu – rzekł Vigor. – Pięć milionów lat temu. Dlatego jest w nim sól, choć zasolenie jest trzykrotnie mniejsze od tego w oceanach. Starożytny ocean został otoczony przez ląd i wysechł, pozostały jedynie Morze Kaspijskie i miejsce, do którego mamy się udać: Jezioro Aralskie.

– Choć i tam zostało niewiele wody – odparła Rachele z uśmiechem. Zamieniła mundur carabinieri na sweter z golfem, dzinsy i buty do chodzenia po górach.

– Ale to nie wina geologii, lecz człowieka. Jezioro Aralskie było kiedyś czwartym co do wielkości jeziorem świata, zajmowało obszar podobny do powierzchni Irlandii. W latach sześćdziesiątych zeszłego wieku Sowieci zmienili bieg jego dwóch największych dopływów, aby nawadniać okoliczne pola, i jezioro zaczęło wysychać. Do dziś straciło dziewięćdziesiąt procent wody i stało się słonym, toksycznym ugiem, w którym utknęły rdzewiejące kadłuby kutrów rybackich. Z powietrza okolica wygląda jak upstrzona dziobami po ospie.

– Nie za bardzo reklamujesz czekającą nas wycieczkę.

– Ojciec Josip musiał uważać to miejsce za ważne. Z jakiego innego powodu miały nas tam wzywać?

– Zakładając, że nie oszalał? Przecież zniknął niemal na dziesięć lat.

– Może i oszalał, ale dyrektor Crowe wierzy w wagę przedsięwzięcia na tyle, że przydzielił nam wsparcie ze strony agentów terenowych.

Rachele opadła na oparcie krzesła i skrzyżowała ramiona na piersi. Skrzywiła się niezadowolona. Po tym, jak ktoś próbował ich zabić, była przeciwna angażowaniu się w tę awanturę i nawet zagroziła wujowi, że zamknie go na klucz i zmusi do pozostania w Rzymie. Siedzieli na brzegu Morza Kaspijskiego tylko dzięki pomocy ze strony Sigmy.

Dyrektor Crowe nie wyjaśnił jednak – ani Vigorowi, ani Rachele – dlaczego zgodził się

udzielić im pomocy, i to ich martwiło. Powiedział jedynie, że mogą mu się przydać jako przykrywka akcji w zamkniętym regionie w Mongolii.

Mongolia...

Intrygowało to Vigora.

Jego wzrok ponownie powędrował w kierunku opisu badania DNA obu relikwii – czaszki i księgi – jednak Rachele wyciągnęła rękę i odsunęła dokument na bok.

– Nie teraz, wuju. Wertujesz to od wielu godzin i jesteś coraz bardziej sfrustrowany. Skupmy się lepiej na tym, co nas czeka.

– Niech ci będzie, pozwól jednak, że powiem głośno, co mnie dręczy: czuję, że nie dostrzegam w tym czegoś o podstawowym znaczeniu.

Rachele wzruszyła ramionami. Prawdopodobnie miał rację.

– Tak jak stwierdzono we wstępnych wynikach, DNA odpowiada temu, jakie znajdowano u osobników z Azji Wschodniej.

– Mówiłeś to już. Skóra i czaszka pochodzą od tego samego mężczyzny, kogoś, kto mieszkał na Dalekim Wschodzie.

– Tak, ale badając autosomy, w laboratorium porównano naszą próbkę z różnymi znanymi grupami etnicznymi. Skompilowali ranking najbardziej prawdopodobnych ludów. – Zaczął wyliczać na palcach. – Chińczycy Han, Buriaci, Durowie, Kazachowie...

– Mieszkańcy Kazachstanu? – przerwała mu Rachele.

– Tak, ale na pierwszym miejscu znaleźli się Mongołowie.

– Mieszkańcy terenów, na które chce nas zawieźć Painter...

– To właśnie mnie dręczy. Gdzieś w tym musi być wspólne ogniwo, którego nie dostrzegam.

– Przeanalizujmy więc lokalizację – zaproponowała Rachele. – Czy Crowe powiedział, dokąd dokładnie w Mongolii ma się udać jego zespół?

– Gdzieś w góry, na północny wschód od stolicy... Góry Chentej.

– I to jest ten zamknięty region?

Vigor skinął głową.

– Dlaczego? – spytała Rachele.

– To ścisły rezerwat przyrody i miejsce o znaczeniu historycznym.

– W jakim sensie historycznym?

Vigor otworzył usta, by odpowiedzieć, i w tym momencie przez głowę przeleciała mu przerażająca myśl. Oślepiła go na chwilę i sprawiła, że niemal stracił kontakt z rzeczywistością.

– Wuju...

Minęła chwila, zanim odzyskał zdolność widzenia. Wiedział już, jaki popełnił błąd.

– Szukałem drzew i nie dostrzegałem lasu...

Sięgnął do kieszeni po telefon. Zadzwoił do laboratorium DNA i poprosił o rozmowę z doktorem Contim. Gdy naukowiec podszedł do aparatu, Verona wyjaśnił, czego potrzebuje do zweryfikowania swoich obaw. Musiał go przekonywać, ale w końcu Conti ustąpił.

– Niech pan sprawdzi te markery chromosomu Y – zakończył Vigor. – I oddzwoni, jak tylko coś będzie wiadomo.

– Co jest? – spytała Rachele, gdy wuj się rozłączył.

– Góry Chentej. Są dla Mongołów święte, ponieważ właśnie tam znajduje się ponoć grobowiec ich największego bohatera.

– Czyngis-chana?

Vigor skinął głową.

– Mongolskiego wodza, który potęgą miecza i osobowości stworzył imperium. Sięgało od Pacyfiku po wody, które widzimy za oknami.

– Nie sądzisz chyba, że ta czaszka... – Rachele rozejrzała się niespokojnie.

– Właśnie o potwierdzenie tego poprosiłem doktora Contiego.

– Jak ma to zrobić?

– Kilka lat temu pewne dobrze udokumentowane badanie genetyczne wykazało, że jeden na dwustu ludzi na świecie jest nosicielem tego samego, pochodzącego z Mongolii, unikatowego chromosomu Y ze specyficznym zespołem markerów. W miejscach, które kiedyś były częścią imperium mongolskiego, odsetek ten wzrasta do jednej dziesiątej. Badanie kończyło się wnioskiem, że ów superchromosom pochodzi od jednej osoby, człowieka, który żył mniej więcej tysiąc lat temu w Mongolii.

– Od Czyngis-chana?

Vigor znów skinął głową.

– A kogóż innego? Czyngis-chan i jego bliscy krewni męskiej linii mieli wiele żon, do tego mnóstwo dzieci spłodzonych podczas podbojów. Opanowali połowę znanego podówczas świata.

– I rozprzestrzenili swoją sygnaturę genetyczną.

– Którą możemy zweryfikować. Te markery chromosomu Y są dobrze znane genetykom i łatwo je porównać z naszą próbką.

– I to właśnie robi teraz doktor Conti?

– Uważa, że może uzyskać wyniki niemal natychmiast, bo sekwencjonowanie DNA naszych próbek zostało zakończone.

– Jeśli masz rację i markery będą się zgadzały... co nam to powie? Jak sam stwierdziłeś, wielu mężczyzn jest nosicielem tego chromosomu.

– Czyngis-chan zmarł w tysiąc dwieście dwudziestym siódmym roku.

– W trzynastym wieku... – Rachele zmarszczyła brwi. – W okresie, z którego pochodzi czaszka.

Vigor uniósł brwi.

– Ilu ludzi było wtedy nosicielem tego chromosomu?

Rachele nie wyglądała na przekonaną.

– Po śmierci Czyngisa-chana jego ludzie zabili wszystkich, którzy uczestniczyli w pogrzebie – powiedział Vigor. – Zginął budowniczy jego grobu. Żołnierze pilnujący budowy. Najwyraźniej pozwoliło to skutecznie zachować wszystko w tajemnicy, choć bowiem upłynęły wieki, lokalizacja grobu Czyngis-chana do dziś pozostaje nieznana. A w tym grobie znajdują się ponoć wszystkie skarby podbitych krajów.

– Odkrycie go mogłoby być nawet dla kogoś warte śmierci kilku osób – zauważyła Rachele, nawiązując do ataku na gabinet Vigora na uniwersytecie.

– Mówimy o skarbach, przy których Tutenchamon wyglądałby jak nędzarz. Do Mongolii trafiły największe skarby ludzkości i zniknęły na zawsze: gigantyczne łupy z Chin, Indii, Persji, Rosji. Ponoć w grobowcu znajduje się siedemdziesiąt osiem koron władców krajów, które podbił Czyngis-chan. Nie wspominając o bezcennych przedmiotach zrabowanych z niezliczonych kościołów.

– Niczego nie odnaleziono?

– Co ważniejsze, nie odnaleziono jego ciała!

Zanim Rachele zdążyła odpowiedzieć, zadzwonił telefon Vigora. Na linii był doktor Conti.

– Zrobiłem, jak pan kazał, *monsignore* Verona. Porównaliśmy dwadzieścia pięć markerów genetycznych tworzących haplotyp Czyngis-chana z pańską próbką.

– Ile jest zgodnych?

– Wszystkie dwadzieścia pięć.

Krew odpłynęła Vigorowi z twarzy. Popatrzył na stojącą u jego stóp walizkę na kółkach, uświadamiając sobie, co może zawierać. Stało się jasne, dlaczego ktoś był gotów zabijać, aby to dostać – zdobyć to, co może stanowić trop, pozwalający odnaleźć największy skarb świata. W walizce prawdopodobnie znajdowały się czaszka i skóra największego wojownika wszech czasów, człowieka czczonego przez jego ludzi jak półboga.

Relikwie Czyngis-chana.

Godz. 14.10

– Miałeś rację – powiedział Duncan. – Nasi włoscy przyjaciele mają ogon.

Stał z Monkiem Kokkalisem przy grillu, tuż obok wejścia na plażę. Od morza odbijało się zimne światło. Dzień był chłodny, ale żarzący się węgiel drzewny, na którym skwierczały szaszłyki z mięsa, bekonu i warzyw, grzał tak, że nawet ubranemu w cieką kurtkę Duncanowi było gorąco. Zwłaszcza że owiewał go opar spalonych perskich przypraw i oliwy, piekąc w oczy przy każdym powiewie od morza.

Po wylądowaniu na lotnisku w Aktau zawieźli doktor Jadę Shaw do wyczarterowanego helikoptera, który czekał na niedalekim prywatnym lądowisku. Kiedy oddali ją w pewne ręce, Monk i Duncan pojechali do centrum niewielkiego portowego miasta po resztę zespołu. Wiedzieli o rzymskim ataku na tę dwójkę, więc Monk zasugerował ostrożność przy nawiązywaniu kontaktu. Mogli być śledzeni już od Rzymu.

– Jeśli ciągną za sobą ogon, obetnijmy go od razu – rzucił Monk.

Ostrożność okazała się zasadna.

– Jak chcesz to rozegrać? – spytał Duncan, świadom, że może się sporo nauczyć od bardziej doświadczonego kolegi.

Podczas dwudziestominutowej obserwacji dostrzegli dwie osoby wykazujące nadmierne zainteresowanie siedzącą przy oknie parą. Restauracja mieściła się przy nadmorskiej promenadzie, wąskim pasie asfaltu, na którym liczni biegacze i rowerzyści walczyli o przestrzeń z pieszymi. Choć było dawno po sezonie, przez centrum miasta płynął gęsty strumień ludzi. Wszyscy zdawali się gdzieś spieszyć, co bardzo ułatwiało dostrzeżenie każdego, kto podejrzanie długo pozostawał w pobliżu restauracji.

Ciemnowłosy mężczyzna, Azjata, usiadł plecami do morza, na skraju ławki stojącej – biorąc pod uwagę pozycję Duncana i Monka – po drugiej stronie restauracji. Miał na sobie płaszcz do kolan, ręce wbił głęboko w kieszenie i praktycznie nie odwracał oczu od budynku.

Nieszczerólnie się starał.

Kobieta miała takie jak on włosy i rysy. Ubrała się w podobny płaszcz, choć w krótszej wersji, i czarną wełnianą czapkę. Była szczupła i w miarę ładna, co podkreślały wysokie kości policzkowe i uwodzicielskie oczy. Opierała się plecami o latarnię po tej samej stronie restauracji, po której znajdowali się Monk i Duncan.

– Słuchaj, pójdę wzdłuż plaży i podejść do gościa od tyłu – rzekł Monk. – Ty weź kobietę. Zaczekaj, aż znajdzie się na pozycji. Na mój znak bierzemy oboje.

– Rozumiem.

– Nie wyciągaj broni. Zaprowadzimy ich do SUV-a. Zachowuj się dyskretnie. Zabezpieczymy ich i przepytamy w drodze na lotnisko. Chcę wiedzieć, kim są i z jakiego powodu próbowali wysadzić moich przyjaciół.

– Dlaczego, twoim zdaniem, nie atakują, lecz obserwują?

Monk pokręcił głową.

– Może nie chcą świadków, może kazano im tylko się dowiedzieć, dlaczego Włosi przylecieli do Kazachstanu. Tak czy owak, ich robota zaraz się skończy.

Wszedł na plażę i rozpoczął spokojny spacer. Ani razu nie spojrzął w kierunku mężczyzny na ławce. Gdy był w połowie drogi, Duncan ruszył ku kobiecie. Starał się iść tak, by dotarli do obu celów równocześnie.

Wszystko szło dobrze aż do chwili, gdy za Duncanem zadzwonił dzwonek. Ściągał go z drogi rowerzysta. Oddalona już tylko o kilka kroków kobieta drgnęła.

Gdy rowerzysta przejechał, ruszyła – jakby na dany przez niego znak – w kierunku swojego partnera. Nieszczęście chciało, że w tym samym momencie Monk skręcił z plaży ku ławce.

Ramiona kobiety zeszywniały. Zatrzymała się zaniepokojona. Odwróciła się i wbiła wzrok w Duncana. Nieważne, czy zdradziła go mina, czy fakt, że – tak jak mężczyzna zbliżający się do jej partnera – był Amerykaninem, zareagowała natychmiast.

Ruszyła biegiem prosto do restauracji.

Niech to cholera...

Duncan rzucił się za nią, wyciągnął rękę i złapał brzeg płaszcza. Poczul prześlizgujący mu się przez palce wodoodporny materiał. Tuż przed kobietą pojawił się biegacz; odskoczyła na bok niczym przestraszony jelen. Jej krótkie zawahanie dało Duncanowi dodatkową chwilę, by złapać mocniej. Przyciągnął kobietę do siebie i objął ręką wokół klatki piersiowej.

Kątem oka widział, jak Monk ciosem z góry sadza próbującego wstać mężczyznę z powrotem na ławce.

To by było na tyle, jeśli chodzi o dyskrecję...

Strumień pieszych zwolnił, ludzie instynktownie odsunęli się od zamieszania.

Gdy Duncan poprawiał chwyt wokół ciała kobiety, zamiast miękkości piersi poczuł sztywne kanty. Na dodatek w opuszkach palców zabzyczało – magnesiki odebrały przepływ silnego prądu elektrycznego.

Od razu się domyślił, dlaczego kobieta zamierzała wbiec do restauracji. Uniósł ją, skręcił się w pasie i rzucił w stronę morza. Drobne ciało poleciało wysoko i daleko.

– Bomba! – wrzasnęła do otaczających ludzi, zwłaszcza do swojego partnera.

Część tłumu zaczęła się rozpierzchać, część zamarła, Duncan zaś pognął ku restauracji. Monk przeskoczył przez ławkę, w locie trzasnął Azjatę na ławce łokciem w twarz, zrzucając go na ziemię, i też ruszył ku restauracji.

Duncan miał już wyjęty pistolet. Strzelił dwa razy we frontową szybę, po czym skoczył na roztrzaskane szkło i rozwalił je do końca barkiem.

Wylądował w środku obsypany deszczem szkła. Wpadł na dwójkę Włochów i pchnął parę na podłogę.

Po chwili przez dziurę w oknie wpadł Monk i niemal równocześnie na zewnątrz rozległ się ogłuszający huk.

Rozprysły się szyby na całym froncie restauracji, wraz ze szkłem posypały się kamienie i piach. Monk koziołkował po podłodze, Duncan ochraniał Włochów ciałem.

Postawił oboje na nogi, zanim na stoły i podłogę przestało się sypać szkło.

– Szybciej! Do tylnego wyjścia!

Starszy pan się opierał, chcąc zabrać ze sobą walizkę na kółkach.

Duncan chwycił ją i pchnął Włochów przez dym w kierunku kuchni. Po drodze podniósł z podłogi Monka, który krwawił z kilku ran, a w jego kurtce utkwił kawałek szkła. Choć Duncanowi dzwoniło w uszach i dudniło w głowie, mógłby przysiąc, że Monk powiedział: „Mogło być gorzej”.

Przebiegli kuchnię, wymijając kulących się za swoimi stanowiskami kucharzy, i wybiegli tylnymi drzwiami. Na zewnątrz nie zwolnili. Zamachowców samobójców mogło być więcej.

Szybko oddalali się od chmury dymu i wkrótce dotarli do głównej ulicy dzielnicy handlowej. Duncan, wchodząc na jezdnię, zatrzymał taksówkę.

Kiedy wsiedli, Monk kazał jechać na lotnisko. Na widok jego zakrwawionej twarzy kierowca nieco zbladł, ale dostał plik banknotów i w geście aprobaty szybko pokiwał głową.

Dopiero gdy wyjeżdżali z miasta, Duncan odwrócił się do siedzącej z tyłu kobiety. Miała piękne oczy barwy karmelu – oczywiście byłyby jeszcze piękniejsze, gdyby nie wściekle spojrzenie.

– Wiedziałam, że nie powinniśmy wyjeżdżać z Rzymu – powiedziała.

Godz. 14.22

Kompletnie nie miała pojęcia, co robi w tym miejscu.

Jada siedziała w wielkiej kabine pasażerskiej błękitno-szarego eurocoptera EC175, czekającego na lądowisku na brakujących pasażerów. Nie podobało jej się, że musi zboczyć do Kazachstanu, choć pewną rekompensatę stanowił fakt, że nie mogła narzekać na brak miejsca dla nóg. Wyciągnęła je na sąsiednie fotele. Kabina wyglądała na wystarczająco obszerną, aby pomieścić tuzin ludzi, więc piątka, mająca odbyć nocny lot nad Jezioro Aralskie, będzie mogła się wygodnie rozlokować. Duncan wyjaśnił, że tam, dokąd lecą, nie ma pasa startowego, więc do pokonania tak dużego dystansu potrzebny jest wielki helikopter.

Nieźle odludzie.

Ale przynajmniej nie byli całkowicie odcięci od kontaktu ze światem.

W trzymanym na kolanach laptopie Jada przeglądała najnowsze dane dotyczące komety IKON. Jej ogon widać też było za przyciemnianymi szybami helikoptera, maleńki niczym przecinek na niebie. Po drugiej stronie świata, gdzie panowała noc, kometa musiała wyglądać imponująco.

Jada oglądała film nakręcony przez kogoś na Alasce.

Ukazywał zorzę polarną, przez którą przelatywał deszcz meteorów i pozostawił po sobie migoczące smugi oraz srebrzyste pasy rozbłyskujące co kilka sekund. W tle widać było zakrzywiony ogon komety; obraz był na tyle wyraźny, że dało się dostrzec przerwę między ogonami gazowym a pyłowym. Przez ekran przeleciał wielki meteor, czemu towarzyszył głośny okrzyk trzymającego kamerę filmowca amatora. Wyglądało to, jakby ognista włócznia rozprysła się niczym kulisty fajerwerk.

Przez szyfrowany telefon satelitarny, który dostała od dyrektora Crowe’a, mogła się kontaktować z SMC. Trzymała go teraz przy uchu, choć akurat ta rozmowa nie wymagała szyfrowania.

- Tak, mam, wszystko gra. Kalifornia jest niesamowita.
- Nie lubiła okłamywać matki, ale Painter Crowe wydał jednoznaczne polecenie.
- Oglądasz spektakl na nocnym niebie? – spytała matka.
- Oczywiście. – Przynajmniej to nie było do końca kłamstwem.
- Córeczko, chciałabym być z tobą, żebyśmy mogły widzieć to razem – powiedziała matka.
- Tak jak robiłyśmy, gdy byłaś małą dziewczynką.

Jada uśmiechnęła się na to wspomnienie: leżała na trawie w pobliżu National Mall, drząc pod cienkim kocem, i obserwowała deszcz Leonidów albo Perseidów. To matka zaszczepiła jej miłość do gwiazd i nauczyła, że coroczne deszcze meteorów nazwano od konstelacji, które jakby je „rodziły”: Lwa i Perseusza. Dorastając w świecie, w którym życie wydawało się marne i stanowiło walkę o przeżycie z dnia na dzień, gwiazdy pozwalały Jadzie myśleć o rozległym wszechświecie i wielkich możliwościach.

Na przykład o tym, że dziewczynka z Congress Heights zostaje astrofizykiem.

– Też chciałabym być z tobą, mam. – Spojrzała na zegarek. – Hej, jeśli chcesz zdążyć na poranną zmianę w Holiday Mart, musisz się pospieszyć!

– No tak, masz rację, masz rację... Powinam się już zbierać.

W głosie matki dźwięczała duma, tak wyraźnie wyczuwalna, jakby siedziały tuż obok siebie, a nie na dwóch krańcach świata.

– Kocham cię, mam.

– Ja też cię kocham, skarbie.

Gdy połączenie zostało zakończone, Jadę ogarnął smutek i poczucie winy, że jest tak egoistyczna i żyje ponad stan.

Zamruła, aby pohamować łzy, i wróciła do pracy. Jeszcze raz obejrzała film z deszczem meteorów. W SMC w dalszym ciągu próbowano ustalić, czy ten efektowny spektakl to przypadek, czy ma związek z przejściem komety IKON przez Układ Słoneczny.

Esesowała z zaprzyjaźnionym technikiem, aby dowiedzieć się, jakie są najnowsze teorie. Dowiedziała się od niego, że przejście komety mogło zaburzyć Pas Kuipera, czyli chmurę lodowych asteroid znajdujących się w obszarze za orbitą Neptuna, ciągnących za sobą mnóstwo skał wyrzucanych w kierunku Ziemi. Pas Kuipera składa się z ponad trzydziestu tysięcy asteroid o średnicy ponad stu kilometrów każda i jest miejscem pochodzenia wielu komet krótkookresowych⁴, takich jak kometa Halleya.

Najbardziej podniecającą wiadomością było jednak to, że coraz bardziej rosło przekonanie, iż kometa IKON pochodzi ze znacznie odleglejszego Obłoku Oorta – sferycznej chmury składającej się z pyłu, drobnych okruchów i planetoid – który obiega Ziemię w jednej pięćdziesiątej odległości od najbliższej gwiazdy. Jest ona miejscem pochodzenia komet długookresowych, które bardzo rzadko goszczą w okolicy Ziemi – takich jak na przykład kometa Hale’a-Boppa, która pojawia się raz na cztery tysiące dwieście lat.

Najnowsze obliczenia sugerowały, że poprzednio IKON przelatowała przez wewnętrzny Układ Słoneczny dwa tysiące osiemset lat temu, czyli w starożytności. Jeśli to prawda, sprawa była bardzo ciekawa, ponieważ obiekty z Obłoku Oorta były nietkniętymi pozostałościami pierwotnej mgławicy, z której wykształcił się Układ Słoneczny. IKON należałoby traktować jak płonącego wysłannika tych odległych czasów, który mógł kryć w sobie klucz do zrozumienia wszechświata.

Może także tajemnicy ciemnej energii.

Nagle helikopter gwałtownie szarpnął i rozległ się basowy ryk silników. Łopaty wirnika powoli ruszyły.

Co się...?

Jada usiadła prosto.

Do kabiny pasażerskiej wpadł drugi pilot. Otworzył boczny luk i hałas zrobił się ogłuszający.

Pilot pochylił się do Jady.

– Proszę się zapiąć! Właśnie dostałem wiadomość! Mamy się przygotować do szybkiego startu!

Serce szybciej jej zabiło i zamknęła laptopa. Pilot wyskoczył na zewnątrz, by przeprowadzić ostatnią kontrolę przed lotem, i Jada wyjrzała przez otwarty luk. W oddali widać było wzbijającą się w błękitne niebo kolumnę czarnego dymu.

Po chwili zobaczyła jadącą z gazem wciśniętym do dechy taksówkę, która zmierzała prosto w ich kierunku. Na przednim siedzeniu dało się dostrzec twarz Monka. Ale przecież odjechał z Duncanem z lotniska czarnym terenowym mercedesem...

Jada mocno chwyciła krawędź drzwi.

Co się dzieło?

Taksówka zahamowała z piskiem opon i jak za sprawą czarodziejskiej różdżki jednocześnie otworzyły się wszystkie drzwi. Z tyłu wysiadł Duncan, z drugich tylnych drzwi – starszy mężczyzna w lekkiej marynarce i swetrze w serek, spod którego wystawała koloratka. Pomagała mu młoda drobna kobieta z fryzurą na pazia.

Vigor i Rachele Verona.

Nie wyglądali na zadowolonych.

Duncan podszedł do bagażnika i wyjął bagaże: jedną walizkę na kółkach. Więcej nie mieli?

Monk, z głową w środku taksówki, płacił. Gdy się wyprostował, Jada dostrzegła, że ma zakrwawioną twarz. Odruchowo spojrzała na słup dymu nad miastem i zdała sobie od razu sprawę, że oba fakty są powiązane.

Grupa ruszyła biegiem w kierunku czekającego helikoptera.

Z każdym krokiem Rachele krzywiła się coraz bardziej, jakby nie zamierzała wejść na pokład. Zatrzymała się przed lukiem.

– Wuju, powinniśmy tu zostać! – zawołała, ściskając księdza za ramię. – I wrócić do Rzymu!

Jada miała nadzieję, że tak właśnie zdecydują. Wtedy ekipa Sigmy mogłaby opuścić Kazachstan i ruszyć w kierunku mongolskich gór, by rozpocząć poszukiwania satelity.

Monk pokręcił głową.

– Rachele, masz teraz narysowaną na plecach tarczę strzelniczą. Ktokolwiek to zaplanował, ma znacznie większe możliwości, niż początkowo sądziliśmy. Będą próbować ponownie.

– To ten ojciec Josip wepchnął cię w to gówno – dodał po chwili Duncan. – I prawdopodobnie tylko on może cię z niego wydobyć.

Dyskusja była bezprzedmiotowa. Rachele puściła ramię wuja i oboje wsiedli. Jada zrobiła miejsce i gdy zapinali pasy, kiwnęła im na powitanie głową, pozostawiając formalne przedstawianie się do czasu, aż będą w powietrzu.

Duncan dosiadł się do Jady. Z lekkim zaskoczeniem stwierdziła, że jego obecność i emanująca z ciała moc – także ciepło, gdy głęboko oddychał, ciągle jeszcze napędzany adrenaliną – są bardzo przyjemne.

Monk zapiął pas, pochylił się do Jady i dotknął jej kolana.

– Przepraszam za pośpiech. Gdy kazachskie władze zamkną przestrzeń powietrzną z powodu zamachu bombowego, powinniśmy być w powietrzu.

Rozejrzała się po kabinie.

W co ja się wplątałam?

Godz. 15.07

Gdy eurocopter osiągnął wysokość podrózną, Duncan przyjrzał się terenowi w dole. Maszyna szybko oddalała się od błękitnego morza i leciała nad pustynnym obszarem składającym się z rdzawego piasku, plam krzewów, białych płaskich terenów i wyrzeźbionych wiatrami skał. Przypominało to niektóre miejsca w Nowym Meksyku, tyle tylko, że tutaj od czasu do czasu widać było wielbłądy i samotne jurty, wyraźnie odcinające się bielą od ciemniejszego podłoża.

Ktoś pociągnął ją za rękaw, odwróciła więc głowę od okna.

To *monsignore* Verona wskazywał na stojącą obok walizkę.

– *Scusa*, sierzancie Wren, czy mógłby pan otworzyć moją walizkę? Chciałbym się upewnić, że w tym tumultie nic się nie zniszczyło. – Tylko ksiądz mógł określić to, co zdarzyło się w mieście jako „tumult”.

– *Monsignore*, proszę mi mówić Duncan.

– Pod warunkiem że ty będziesz mi mówił Vigor.

– Załatwione.

Duncan pochylił się, złapał walizkę i położył ją sobie na kolanach. Rozpiął suwak i odchylił klapę na bok. W środku znajdował się zwój tkaniny owiniętej wokół dwóch przedmiotów zabezpieczonych czarną pianką.

– Martwię się przede wszystkim tym większym – powiedział Vigor Verona. – Jest delikatniejszy.

Monsignore dał znak ręką, aby Amerykanin usunął piankę z większego przedmiotu.

Duncan rozumiał niepokój starszego pana, wiedział bowiem, czego należy się spodziewać. Gdy odwinął górną część wyściółki, ujrzał szczyt czaszki. Spojrzały na niego puste oczodoły.

– Możesz zdjąć osłonę i podać mi czaszkę, abym mógł sprawdzić, czy nie uległa uszkodzeniu?

Duncan widział w Afganistanie mnóstwo śmierci, ale nie zubożył na nią. Kontakt z każdą kolejną sprawiał, że coś w jego wnętrzu się kuliło. Także mina Jady oscylowała między profesjonalnym zaniepokojeniem a niesmakiem.

Tłumiąc odrąę, Duncan wsunął dłonie do walizki, ale zanim dotknął czaszki, końcówki nerwów w opuszkach zareagowały mrowieniem i wyczuły parcie.

Zaskoczony, cofnął dłonie i potrząsnął palcami.

– Nie ma się czego bać. – Vigor Verona błędnie odczytał jego reakcję.

Duncan przeniósł palce nad szczyt czaszki. Jeszcze nigdy nie czuł czegoś podobnego – efekt był taki, jakby włożył palce w zimną, naelektryzowaną i oleistą galaretkę.

– Co robisz? – spytała Jada.

Uświadomił sobie, jak musiało to wyglądać dla obserwatora z boku.

– Czaszka emanuje dziwne sygnały elektromagnetyczne. Są bardzo słabe, ale są.

Jada zmarszczyła czoło.

– Skąd... Dlaczego tak twierdzisz?

Duncan nie mówił jej wcześniej o magnesach; zrobił to teraz, tak by wszyscy usłyszeli.

– Moje opuszki palców zdecydowanie wychwytyją coś, co emituje ta czaszka – zakończył.

– W takim razie powinieneś zbadać także książkę – powiedziała Rachele. Wyjęła ją z walizki i odwinęła ochronną piankę.

Powoli powiódł palcami nad mocno pomarszczoną skórą tomu. Tym razem, aby cokolwiek poczuć, musiał dotknąć jej powierzchni. Sygnał był bardzo słaby, ale tej samej natury. Wywoływał na przedramionach Duncana gęsią skórę.

– Słabszy, ale... też jest. Ten sam rodzaj.

– Przypuszczam, że może to być jakaś postać promieniowania resztkowego – powiedziała Rachele. – Nie wiemy, gdzie dotychczas przechowywano te relikwie. Może przez jakiś czas leżały w pobliżu źródła radioaktywności?

Jada zmarszczyła czoło. Nie przekonywała jej ta hipoteza.

– Mam w walizce sprzęt do badania... – Przerwała w pół zdania i popatrzyła na Monka, uświadamiając sobie, jak mało brakowało, by zdradziła cel misji, który, jak na razie, nie został Veronom ujawniony. Odchrząknęła. – Mam sprzęt pozwalający sprawdzać różne rodzaje. Liczniki Geigera, mierniki wieloczynnościowe i tym podobne. Gdy wylądujemy, będę mogła zweryfikować odczucie Duncana.

– Emisja jest pewna. – Duncan wzruszył ramionami. – Nie wiem, jak ją wyjaśnić, ale istnieje bez najmniejszej wątpliwości.

Vigor opadł na oparcie fotela.

– Więc im szybciej dotrzemy do miejsca o współrzędnych wskazanych przez Josipa, tym lepiej.

Duncan nie sądził, by cokolwiek tam odkryli. Zamknął walizkę i skupił uwagę na krajobrazie za oknem. Po chwili uświadomił sobie, że pociera palce, jakby chciał się z nich pozbyć oleistej substancji. Nie bardzo umiał wyrazić słowami to, co wychwytał jego szósty zmysł.

Ale w dziwnej energii zdecydowanie wyczuwał zło.

Ułan Bator, Mongolia

18 listopada, godz. 17.28 czasu miejscowego

Para wodna wyciekała z sykiem z rur biegnących po ścianach podziemnej komnaty ukrytej głęboko pod ulicami Ułan Bator. Oliwne lampy jaskrawo oświetlały miejsce spotkania klanu. Pan Błękitnego Wilka stał przed swoim przybocznym i najbliższymi członkami klanu. Poprawił maskę, by nie ukazać nawet fragmentu twarzy.

Jedynie przyboczny znał jego prawdziwą tożsamość.

Batu-chan oznaczało „twardy wódz”, jego nazwisko było jednak pisane nieco bardziej współcześnie: Batuchan.

– I przeżyli atak w Aktau?

Arsłan skinął głową. Przyboczny, wysoki i szczupły mężczyzna przed trzydziestką, o włosach czarnych jak mrok nocy, nie zasłaniał twarzy. Był ubrany na zachodnią modłę – w dzinsy i gruby sweter, jednak wysokie kości policzkowe i ogorzała twarz, błyszcząca od potu, świadczyły jednoznacznie, że jest Mongołem czystej krwi, bez domieszki chińskiej czy rosyjskiej. Jego rodziny nie skaził żaden członek tych narodów, kiedyś panujących nad jego ludem.

Był podobny do wielu Mongołów młodego pokolenia – pęczniał z dumy i egzaltował się wolnością wywalczoną przez pokolenie Batuchana. Czuł, że jest wśród prawdziwych potomków Czyngis-chana – człowieka, który jadąc na grzbiecie konia, podbił większą część znanego wówczas świata.

Przez dziesięciolecia sowieckich rządów Moskwa zakazywała wymieniania imienia Czyngis-chana, aby w umysłach uciskanych ludzi nie zakwitła nacjonalistyczna duma. Sowieckie czołgi blokowały drogi prowadzące w góry Chentej, żeby ludzie nie odwiedzali ani nie oddawali hołdu miejscu urodzenia wielkiego chana.

Nadejście demokracji zmieniło wszystko.

Czyngis-chan odradzał się z popiołów, aby inspirować młode pokolenie. Był jego nowym półbogiem. Niezliczone rzesze dzieci i młodych ludzi nosiły imię Temudżyn – pierwotne imię zdobywcy, zanim przyjął tytuł Czyngis-chana, czyli Niebiańskiego Władcy. Obecnie w Mongolii jego imieniem nazywają się niezliczone ulice, gatunki cukierków, papierosów i piwa. Jego oblicze ozdabia banknoty i budynki. Kilkadziesiąt kilometrów przed Ułan Bator przyjezdnych wita zrobiony z błyszczącej stali, czterdziestometrowy, ważący dwieście pięćdziesiąt ton posąg Czyngis-chana na koniu.

W żyłach mieszkańców płynie odnaleziona duma.

Na twarzy przybocznego nie było jednak dumy, lecz wstyd z powodu porażki. Aby zamienić to uczucie w chęć jeszcze gorliwszej służby, Batuchan dodał swoim słowom odpowiedniej twardości.

– Więc musimy przeciw naprzód, nie ustawać nawet na chwilę. Zaczekamy, aż Włosi dotrą do

księdza na pustyni. Tam teraz przecież pojedą, jeśli nie przestraszyli się na tyle, by wracać do Rzymu.

– Udam się tam osobiście.

– Zrób tak. Ksiądz na pewno nie podejrzewa, że umieściliśmy wśród jego robotników naszych ludzi.

– Ojciec Josip widzi jedynie piach i cel, do którego dąży.

– Więc dołącz do nich.

– A kiedy Włosi przyjadą?

– Zabij ich. Zabierz to, co mają przy sobie, i przywieź do mnie.

– A co z ojcem Josipem?

Batuchan rozejrzył się po pomieszczeniu. Klan istniał od trzech pokoleń, został utworzony przez dziadka Batuchana jako grupa oporu w okresie władzy sowieckiej. Każdy jego przywódca przyjmował imię Borgidzin, czyli Pan Błękitnego Wilka, jak nazywał się starożytny klan Czyngis-chana.

Od tego czasu świat znacznie się jednak zmienił. Mongolia stała się krajem o największym na świecie przyroście gospodarczym, napędzanym odkryciami i eksploatacją złóż naturalnych. Prawdziwe bogactwo kraju nie kryło się w zaginionym grobowcu Czyngis-chana, lecz w złożach węgla, miedzi, uranu i złota – skarbie narodowym szacowanym na około bilion dolarów.

Batuchan miał już znaczne udziały w kilku kopalniach, nie był jednak w stanie przestać myśleć o opowieściach zasłyszanych od dziadka i ojca, legendach związanych z Czyngischanem i ukrytych w jego grobowcu nieprzebranych bogactwach.

Miał oko na każdego, kto próbował szukać tego świętego miejsca.

Zaliczał się do nich odludek i dziwak – ojciec Josip Tarasco.

Przed sześcioma laty Batuchan usłyszał plotki o mężczyźnie, który ni stąd, ni zowąd pojawił się w Kazachstanie, ukrywał pod różnymi nazwiskami i dłubał dziury w soli i piasku, ścigając znikające wody umierającego jeziora. Robił to przez dwa lata, zanim do Ułan Bator dotarło, jaki ma prawdziwy zamiar: szukał tropów mogących go doprowadzić do miejsca pochówku Czyngis-chana. Miejsce, które wybrał sobie na poszukiwania, było jednak tak dziwne, że Batuchan nie poświęcił temu wielkiej uwagi. Kazał jedynie kilku członkom klanu śledzić poczynania trudno uchwytnego przybysza.

Trzy dni temu pojawiła się wieść o starożytnych relikwiach, które znalazł ten dziwak. Nikt ich przedtem nie widział, bo ogarnięty paranoją poszukiwacz ukrywał je przez lata przed ludzkim wzrokiem. Zdaniem szpiegów Batuchana mężczyzna w ostatnich miesiącach robił się coraz bardziej podniecony, zdesperowany i rozgorączkowany, w efekcie czego ujawnił istnienie relikwii.

Wieść rozeszła się wśród robotników lotem błyskawicy. Wielu uciekło ze strachu, bełkocząc o czaszce i oprawionej w ludzką skórę księdze. Mężczyzna włożył artefakty do skrzynki i gdzieś je wysłał – prawdopodobnie w obawie, że wieść o ich istnieniu dotrze do niepowołanych uszu. No i rzeczywiście dotarła.

Do uszu Batuchana.

Ten, zaintrygowany, spróbował przejąć skarb przed wysłaniem go do Rzymu, niestety zareagował zbyt wolno i wymknął mu się z rąk. Na szczęście poznał zapisane na przesyłce nazwisko dziwnego archeologa.

Ojciec Josip Tarasco.

Dowiedział się też, dokąd paczka miała zostać dostarczona.

Niestety, relikwie wymknęły mu się spod kontroli.

Nie potrwa to jednak długo.

Arsłan zdrzął w oczekiwaniu na decyzję w sprawie dziwnego księdza.

Batuchan ujął go pod brodę i uniósł mu głowę.

– Jeśli to możliwe, złap także ojca Josipa. Sprowadź go do mnie na przesłuchanie.

– A jeśli to nie będzie możliwe?

– Wtedy wsadź go do jednego grobu z tamtą dwójką.

Ustaliwszy, co trzeba, Batuchan ruszył labiryntem zaparowanych tuneli, kierując się ku zanikającemu światłu dnia. Pozostali członkowie klanu rozeszli się w swoje strony.

Idąc przez tunele, w których ciepła szukało wielu bezdomnych, Batuchan nie zdejmował wilczej maski. Kloszardzi, wyszydzeni jako „mrówcze plemię”, byli w większości alkoholikami i ludźmi niezdolnymi do pracy. Ignorował ich, lekcewał. Nie byli nadzieją nowej Mongolii, lecz czymś, czego nie należy trzymać na widoku publicznym.

Mężczyźni, kobiety, dzieci – wszyscy uskakiwali z drogi, odwracali się ze strachem na widok jego maski.

W końcu dotarł do drabinki i wyszedł tajnym wyjściem do zaułka. Jeden z członków klanu zamknął za nim wąż.

Dopiero gdy człowiek ten odszedł, Batuchan zdjął i schował maskę. Poprawił garnitur i ruszył w kierunku głównej ulicy. Nocne powietrze było świeże, ale nietypowo ciepłe jak na tę porę roku. Ułan Bator uważa się za najzimniejszą stolicę świata, zima zdawała się jednak jeszcze wstrzymywać swój oszroniony oddech, jakby wyczuwała, że ma się wydarzyć coś niezwykłego.

Za placem Sükhbaatar wznosił się budynek parlamentu. U szczytu prowadzących do niego schodów siedziała gigantyczna brązowa postać Czyngis-chana, jaskrawo oświetlona reflektorami.

Spoglądała na miasto.

A może na płonącej na niebie kometę?

Podobno kometa Halleya pojawiła się za życia Czyngis-chana i władca uznał ją za „osobistą” gwiazdę. Prowadzącą na zachód trajektorię uznał za znak, że czas rozpocząć wyprawę ku Europie.

Czy nowa kometa też zapowiadała wielkie wydarzenia?

Gdy Batuchan wyszedł na plac, na niebie zamigotały dwie spadające gwiazdy, jakby podkreślały zadane pytanie.

Czując przypływ energii, ruszył w kierunku parlamentu. Idąca z naprzeciwka postać skłoniła się z szacunkiem, gdy Batuchan ją mijał. Wolałby, aby był to gest szacunku wobec niego jako dziedzica Czyngis-chana, ale pozdrawiano go jako członka rządu – ministra sprawiedliwości Mongolii.

Batuchan jeszcze raz spojrzął na kometę.

Może jak tamta dla Czyngisa, ta jest moją gwiazdą... prowadzącą ku podbojom, władzy i majątkowi.

Pjongjang, Korea Północna
18 listopada, godz. 19.02 czasu miejscowego

Dziwny sposób najeżdżania kraju...

Gray siedział z tyłu rozklekotanego autobusu. Kowalski leżał za nim, rozwalony na szerokiej kanapie tuż pod oknem, i chrapał. Poza nimi pojazd zapełniali Chińczycy obojga płci, podsypiający albo paplający ściszonymi głosami, niektórzy z aparatami fotograficznymi na ramionach, niektórzy w bejsbolówkach z tym samym szczerzącym zębiska żółtym kotem z Cheshire, który był namalowany z boku szarego autobusu – oficjalnym symbolem biura turystycznego z siedzibą w Pekinie.

Z przodu, przy kierowcy – członku triady *Duàn zhī* jak reszta autobusu – trzymał straż Zhuang.

Rano wszyscy zlecieli się prywatnymi odrzutowcami z Hongkongu na małe lotnisko w pobliżu granicy chińsko-północnokoreańskiej, gdzie czekały na nich dwa autobusy. W odróżnieniu od ciężko ufortyfikowanej granicy między Koreą Północną a Południową granica na północy, z Chinami, była byle jaka – głównie pomyślana jako bariera mająca nie dopuścić do masowych ucieczek z Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej do Chin.

Na czas przekraczania granicy Gray i Kowalski zostali ukryci w tajnym schowku, mieszczącym także zapasy broni, do autobusu nie wsiadł jednak ani jeden północnokoreański żołnierz ochrony pogranicza. Tego typu autobusy były codziennością, ponieważ zamożniejsi od Koreańczyków Chińczycy masowo przyjeżdżali, by podziwiać naturalne, surowe piękno lesistych gór rozciągających się między granicą a Pjongjangiem. Zabiedzona Korea Północna nie chciała w żaden sposób zniechęcać turystów – głównego źródła twardych dewiz.

Po przekroczeniu granicy oba autobusy zaczęły się mozolnie wspinać krętymi górskimi drogami, sunąc powoli na południe, ku stolicy. Cztery godziny później ukazał się przed nimi Pjongjang, rozciągnięty na nizinach za wzgórzami. W porównaniu z harmidrem i feerią świateł Hongkongu miasto wyglądało na opuszczone i mroczne. Od nocnego nieba odcinały się cienie drapaczy chmur, w ciemności jarzyło się kilka pomników, ulicznych latarni i okien, ale to wszystko. Nic się nie poruszało – jakby miasto zamarło w czasie.

Na siedzeniu przed Grayem drgnęła jedna z postaci, wyprostowała i czując, że Amerykanin nie śpi, zwróciła się do niego:

– Smutne dziedzictwo – powiedziała Guan-yin. Wyglądała, jakby nakręcana niepokojem o córkę przez całą podróż nie zmrużyła oka. – Mieszkańcom wolno palić światło tylko trzy godziny dziennie, muszą więc oszczędnie z niego korzystać.

Na czteropasmowej drodze do miasta nie było ani jednego pojazdu. Sytuacja nie zmieniała się także na przedmieściach. Nie paliły się nawet uliczne latarnie. W autobusie zapadła cisza – jakby wszyscy bali się zakłócić sen duchów opuszczonego miasta.

Pierwszą oznaką życia był samotny wojskowy pojazd krążący powoli przed potężnym,

dobrze oświetlonym budynkiem.

– Pałac Kūmsusan – szepnęła Guan-yin. – Kiedyś oficjalna rezydencja prezydenta Kim Ir Sena, po jego śmierci przerobiona na mauzoleum, w którym w szklanym sarkofagu leżą zabalsamowane zwłoki.

Grayowi przeszło przez głowę, że to tylko jeden przykład narzucanego przez państwo kultu jednostki, w ramach którego zarówno Kim Ir Sen, jak i jego potomkowie mieli być wielbionymi bogami.

Gdy zostawili za sobą mauzoleum, Guan-yin skrzywiła się ponuro.

– Niektórzy uważają, że budowa tego mauzoleum pochłonęła około miliarda dolarów... podczas gdy ludzie w tym kraju umierają z głodu.

Pamiętał z codziennych wiadomości, że śmierć Kim Ir Sena w połowie lat dziewięćdziesiątych zbiegła się z ogólnokrajowym głodem, w wyniku którego zmarło około dziesięciu procent ludności. Sytuacja była tak tragiczna, że w niektórych wiejskich regionach dochodziło do aktów kanibalizmu. Ostrzegano dzieci, aby uważały na otwartym terenie.

Od tego czasu sytuacja życiowa mieszkańców Korei Północnej niewiele się poprawiła.

Objęty ścisłymi sankcjami gospodarczymi kraj nie był w stanie sam się wyżywić. Cała infrastruktura działała na napiętym jak struna budżecie. Fabryki kiepsko sobie radziły, brakowało bowiem części zamiennych i prądu.

Jedyną gałęzią przemysłu, która funkcjonowała perfekcyjnie, był teatr polityczny.

Za oknami autobusu ciągnęły się po horyzont wąwozy ciemnych bloków. Jedynymi przerywającymi ciemność elementami były billboardy i murale, z tym że nie reklamowały coli, piwa ani najnowszych osiągnięć elektroniki, ale przedstawiały najróżniejsze wersje życzliwego oblicza Najwyższego Przywódcy.

Gdy autobusy skręciły w sześciopasmową drogę, ukazał się cel podróży: hotel Ryugyong. Ten najwyższy budynek Pjongjangu wyglądał jak startująca trzykadłubowa szklana rakieta i wznosił się nad miastem na sto pięter. Podobnie jak reszta miasta, był ciemny. Jedynie poziome recepcji i pojedyncze oświetlone okna świadczyły o tym, że w środku jest ktoś żywy.

Hotel przyjmował gości dopiero od kilku miesięcy, do tego jeszcze nie do wszystkich pokoi, więc niemal pusty budynek miał im służyć jako baza. Za pomocą swoich kontaktów i szczodrych łapówek Guan-yin dowiedziała się, że kobieta o rysopisie Seichan została zawieziona do wojskowego *kyowaso* – znajdującego się kilka kilometrów za miastem obozu reedukacyjnego. W biednym, przeżartym korupcją kraju pieniądze otwierają wiele ust.

Planowali przebrać się w hotelu w koreańskie mundury wojskowe i uzbroić. O drugiej w nocy pod służbowe wejście miała podjechać pusta wojskowa ciężarówka, załatwiona za największą z łapówek, jakie kiedykolwiek dała Guan-yin. Przebrani za żołnierzy, zamierzali pojechać nią do obozu i spróbować odbić Seichan.

Budowa hotelu trwała ponad dwadzieścia lat. W tym czasie konstrukcja stała pusta i ciemna niczym gorzki symbol całego stołecznego miasta. Dlatego prasa nadała mu bardzo specyficzny przydomek.

Hotel Zagłady.

Gray modlił się, aby w najbliższych godzinach nie okazało się to prawdą.

Niestety, nie musieli czekać nawet godzinę.

Kierowca autobusu okrążył kolistą podjazd przed hotelem i przejechał pod potężnym zadaszeniem. Drugi autobus – z Grayem i Kowalskim – jechał tuż za nim.

Gdy pierwszy stanął, z holu wysypała się fala ludzi w wojskowych mundurach. Machali

bronią i darli się wniebogłosy. Zapaliły się reflektory i z kryjówek wyjechały wojskowe dżipy, blokując możliwość ucieczki.

Wjechali w pułapkę.

Godz. 19.33

Ju-long Delgado stał przed oknem oddzielającym dwa pomieszczenia. Obserwował zabójczynię przywiązaną do służącego do przesłuchań krzesła – urządzenia rodem z hiszpańskiej inkwizycji. Rozebrano Seichan do biustonosza i majtek, aby poczuła się bezsilna. Każdą kończynę miała osobno zamocowaną grubymi kajdanami, dzięki czemu krzesło z oparciem na zawiasach pozwalało wykręcać jej ciało w niezliczoną liczbę bolesnych kombinacji.

Tym razem wygięto ją do tyłu, naprężając kręgosłup, rozciągając stawy biodrowe i barkowe. Tkwiła tak od trzech godzin.

– Aby ją uelastyczyć – wyjaśnił Hwan Pak. – Uczynić bardziej chętną do zgięcia karku.

Naukowiec roześmiał się zbyt głośno z własnego wątpliwego dowcipu, parszkając przez bandaż na złamanym nosie. Pragnął odwetu, by załagodzić zranioną dumę. Seichan miała cierpieć bardziej niż on.

Pozycja musiała być nie do zniesienia. W pomieszczeniu panowała niska temperatura, ale na nagiej skórze Seichan błyszczał pot, dając jaskrawe świadectwo bólu. Delgado jedynie wyobrażał sobie, jak kobieta się krzywi i zgrzyta zębami, miała bowiem na głowie ciasny kaptur i uszy zasłonięte specjalnymi nausznikami – aby ograniczyć dopływ bodźców i w ten sposób zmusić ją do skupienia się na bólu.

Północni Koreańczycy wiedzieli, jak się zabrać do roboty.

Sądząc po wyniszczonych, niemal kompletnie zagłodzonych ludziach, snujących się po przepelnionym obozie, wobec swoich wcale nie byli miłsi. Więźniów poupychano po czterdziestu w jednej celi, a miały one wymiary mniej więcej garażu na dwa samochody. Delgado stał się świadkiem walki dwóch więźniów o trupa, kto bowiem chował współwięźnia, miał prawo do dodatkowej porcji jedzenia.

Północnokoreańska wersja Oświęcimia.

W kieszeni Ju-longa zadzwonił telefon. To powinny być świeże wieści z hotelu Ryugyong, gdzie z oddziałem szturmowym na gości czekał Tomaz.

Powitał go jednak znacznie łagodniejszy głos.

– Ju-long...

Uśmiechnął się i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki nieco się odprężył.

– Natalio, kochana, po co dzwonicz? Wszystko w porządku?

Oczywiście wyobraźni widział jej brzuch, w którym rósł jego syn.

– Chciałam tylko przed snem usłyszeć twój głos – powiedziała kobieta głosem lekko rozmywanym odpływaniem w sen. – Tęsknię za twoim gorącym ciałem u mojego boku.

– To ostatnia noc, gdy twoje łóżko pozostaje puste. Obiecuję, że najpóźniej jutro po południu będę w domu.

– Mmmm... – wymamrotała sennie. – Tylko nie złam obietnicy.

– Nie złamię.

Pożegnali się i rozłączyli.

Gdy chował telefon do kieszeni, ponownie przyjrzał się kobiecie torturowanej w sali obok.

Poczuł ukłucie winy, zarobi jednak dość, aby zapomnieć o słabości. Po zamknięciu transakcji, jutro rano, wróci do Makau.

Byłby już w drodze powrotnej, gdyby nie wieść o ucieczce Guan-yin z zasadzki przygotowanej w fortecy jej triady. Także Amerykanie przeżyli – dzięki numerowi rodem z cyrku. Pół godziny temu z kilku źródeł spłynęła informacja wywiadowcza, że Guan-yin jest na terenie Korei Północnej i zamierza próbować zaatakować ich bazę.

Przekazał informację Hwan Pakowi, a ten błyskawicznie zarządził zbiórkę oddziału szturmowego. Pułapka w hotelu Ryugyong stłumi próbę pomocy kobiecie torturowanej w sali obok, zanim rozpocznie się cała akcja.

Wpatrywał się w Seichan, dumając nad zasadniczym pytaniem.

Dlaczego jesteś taka cenna?

Ju-long doszedł do wniosku, że wyznaczył za nią zbyt niską cenę, ale Pak nie zamierzał negocjować. Wysoko postawiony koreański naukowiec, którego honor został zraniony nie mniej niż nos, nie ustąpił nawet o milimetr i Ju-long musiał zaakceptować jego warunki. Pak pałał żądzą zemsty i nie zamierzał pozwolić, by go jej pozbawiono.

Właśnie się pojawił, jakby usłyszał myśl Ju-longa. Uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Przyjechali, jak przewidziałeś, Delgado-ssi. Mamy ich w ręku.

Ju-long wyobraził sobie, że Guan-yin jest już w pokoju obok. Byłaby to wystarczająca nagroda za jego cierpienia. Gdy ta baba zniknie, on będzie w Makau nie do ruszenia.

– Najpierw musimy załatwić sprawę tutaj – powiedział Pak, z czystą rozkoszą gapiąc się przez szybę. – Twierdzisz, że ma liczne kontakty, tak? No to musimy je poznać i dowiedzieć się, jak je wykorzystać. No i oczywiście, co ją łączy z Amerykanami.

– Są z Guan-yin?

– Dowiem się wszystkiego w ciągu godziny.

Otworzyły się drzwi za Pakiem i wszedł wysoki, ostrzyżony na łyso, chudy jak szkielet mężczyzna w białym kitlu laboratoryjnym. Z całkowicie obojętną miną niósł tacę z nierdzewnej stali, pełną groźnie wyglądających narzędzi chirurgicznych i cęgów. Lekko się uklonił.

– Nam Kwon – przedstawił go Pak. – Nie istnieje odpowiedź, której by nie wydobył za pomocą swoich przyrządów.

Przesłuchujący poszedł do sąsiedniego pomieszczenia; Pak ruszył za nim.

Zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do Ju-longa.

– Chcesz do nas dołączyć? Zapraszam. To twój towar.

– Już nie. Zapłaciliście pełną sumę. Od tej chwili losy towaru to nie moja sprawa.

Ani moja wina, dodał w myśli.

Doktor Pak wzruszył ramionami i wyszedł.

Ju-long po raz ostatni zajrzał do sąsiedniego pokoju.

Przywiązana do współczesnego koła do łamania kości kobieta ani razu nie krzyknęła. Wkrótce zacznie.

Godz. 19.39

– Wrzucić wsteczny! – zawołał Gray do kierowcy. – I nie zwalniam!

Gdy policja wojskowa otoczyła pierwszy autobus, a kolejna grupa żołnierzy wybiegła z hotelowego holu i ruszyła na nich, już stał. Mieli kilka sekund na reakcję.

Zhuang był wystarczająco długo taktykiem triady, aby dostrzec to samo. Powtórzył kierowcy polecenie po kantońsku i autobus zaczął się cofać.

Gray opadł na kolana przy ukrytej w podłodze klapie i otworzył ją jednym szarpnięciem.

O wycofujący się autobus załomotały pociski, tłukąc okna. Główny impet ataku wziął na siebie przód, w efekcie czego trafiony kierowca wrzasnął i osunął się bezwładnie. Gdy autobus niebezpiecznie się przechylił, Zhuang ściągnął ciało kierowcy z siedzenia, rzucił je na schodki i zajął wolne miejsce.

Autobus natychmiast wyprostował tor jazdy i przyspieszył.

Gray chwycił karabinek szturmowy przypięty pod spodem klapy, przygotowany na wypadek problemów na granicy. Zauważył go, gdy chowali się z Kowalskim pod podłogą.

– Rozdaj broń – polecił olbrzymowi, pokazując na ukryty arsenał.

Jeśli mieli przeżyć, autobus musiał się zamienić w miejski pojazd szturmowy – z żółtym uśmiechniętym kotem z boku.

Najpierw jednak trzeba się było wyrwać z potrzasku.

Gray, zamieniając się miejscami z Kowalskim, skoczył na tylne siedzenie i otworzył klapę w dachu. Podciągnął się, aby wystawać do pasa, i znalazł podparcie dla nóg. Wystawił karabinek na zewnątrz i wycelował we wjeżdżające na kolisty podjazd dwa dżipy, zamierzające odciąć im drogę ucieczki.

Ostrzelał przednią szybę pierwszego pojazdu, zmuszając kierowcę do worania się w pięknie wypielęgowany trawnik. Drugi dżip gwałtownie skręcił, ale utrzymał się na drodze – aż cofający się autobus uderzył w niego jak taran.

Dżip przewrócił się na bok.

Impet zderzenia o mało nie wyrzucił Graya z otworu na dachu, ale wyrwali się z okrążenia.

Na końcu podjazdu Zhuang wprowadził autobus w poślizg i obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni, tak że znaleźli się przodem do odchodzącej od hotelu sześciopasmówki. Zazgrzytały biegi i zaryczał silnik. Jechali, nabierając prędkości na pustej szosie.

Wojskowe dżipy zebrane wokół hotelu ruszyły w pogoń.

Z naprzeciwka jechały kolejne pojazdy z migoczącymi na dachach kogutami. Nieopodal w niebo nad zaciemnionym miastem wzniósł się helikopter.

Choć zaskakująca, koreańska pułapka miała w sobie coś naprędce zorganizowanego. Ktokolwiek ją zmontował, musiał mieć mało czasu na mobilizację pjongjańskiej policji. Teraz jednak miasto zaczynało się budzić i szykowało do uderzenia z pełną mocą.

W autobusie rozdawano broń i opuszczano szyby w oknach. Ze wszystkich stron wysunęły się lufy karabinków szturmowych. Jak długo jednak mogli odpierać potęgę armii północnokoreańskiej?

– Możesz się skontaktować z człowiekiem, który miał sprowadzić dla nas tę wojskową ciężarówkę?! – zawołał Gray do Guan-yin. – Niech zostawi ją gdzie indziej!

Skinęła głową, zarzuciła karabinek na ramię i wyjęła telefon.

Jedyną nadzieją na przeżycie i dotarcie do Seichan było stare porzekadło: Jeżeli nie możesz ich pokonać, dołącz do nich.

Należało narobić tak dużo zamieszania, aby sytuacja zaciemniła się na tyle, by ludziom udało się przesiąść z autobusu do ciężarówki. Gdy wojskowe pojazdy zapełnią ulice Pjongjangu, może uda się jej ukryć w chaosie.

– Niedaleko drogi szybkiego ruchu jest pod estakadą wyjazd na południe – powiedział Gray. – Przekaż mu, aby zaparkował ją tam... już!

Zostawił Guan-yin ustalenie szczegółów i ponownie wysunął się przez otwór w dachu.

Ścigające ich od strony hotelu dżipy zbliżały się. Żołnierze ostrzeliwali autobus, opierając broń o krawędzie przednich szyb, na szczęście tylko nieliczne pociski trafiały. Jeden szczęśliwy strzał zrykoszetował przy łokciu Graya.

Ten skulił się, wycelował i odpowiedział ogniem. W jednym z dżipów rozprysła się przednia szyba, pojazd skręcił i zderzył się z jadącym obok. Odbił się i odtoczył daleko na pobocze. Kolizja pozwoliła autobusowi wyraźnie się wysforować.

Od przodu oświetliły go migoczące reflektory i z autobusu natychmiast odpowiedziano ogniem. Policyjne pojazdy rozproszyły się na boki, pojedyncze próbowały zajechać uciekinierom drogę, sześciopasmowa jezdnia była jednak za szeroka. Gdy autobus przejeżdżał między mniejszymi pojazdami, ludzie triady zasypywali je gradem ołowiu.

Wyrwali się prześladowcom.

Niestety tylko tym na ziemi.

Nagle pojawił się helikopter. Położył się na skrzydło, zanurkował i natychmiast zaterkotał zamocowany pod jego nosem karabin maszynowy. Dużego kalibru pociski wgrzyzały się w asfalt linią biegnącą prosto na autobus.

Niemrawy pojazd nie miał szansy wymanewrować śmiercionośnego ptaka.

Gray odwrócił się i zaczął strzelać do helikoptera, ten był jednak tak opancerzony, że nic to nie dawało. Równie dobrze można by go obrzucać śnieżynkami.

Nagle otworzyły się przednie drzwi autobusu i pojawiła się w nich potężna postać. Kowalski z rosyjskim granatnikiem RPG-29 na ramieniu. Broń była pomyślana do zwalczania czołgów, ale pancerz to pancerz.

Odpalając wyrzutnię, Kowalski głośno zawył. Granat o napędzie raketowym pomknął w niebo, ciągnąc za sobą smugę dymu, i trafił helikopter u nasady wirnika.

Gray zsunął się błyskawicznie do środka i przykleił do podłogi. Przez otwór w dachu widział, jak maszyna eksploduje tuż nad autobusem. Miał nadzieję, że zdążą uciec przed falą uderzeniową i deszczem odłamków.

Nie zdążyli.

Autobus gwałtownie zadygotał. Oderwany fragment łopaty wirnika helikoptera spadł na jego tył, wbijając się przez karoserię do środka, niecałe pół metra nad rozplaszczonym na podłodze Grayem. Wyraźnie poczuł na twarzy żar emanujący od rozgrzanego żelaza.

Jechali jednak dalej – choć przebita opona powodowała, że raczej „kuśtykali”.

Wykorzystując sterzący kawał blachy jako podnózek, Gray ponownie wysunął się przez otwór w dachu na zewnątrz. Dymiący wrak helikoptera zniknął za nimi. Niestety, niebo nad miastem rozświetlały reflektory kolejnych. Zlatywały się jak wielkie smoki.

Wyczuwając sytuację, Zhuang zjechał z szerokiej drogi ekspresowej w wąwóz między blokami. Zgasił reflektory i jechali dalej na ślepo.

Gray miał nadzieję, że zestrzelony helikopter ściągnie pozostałe niczym ogień ćmy, co pozwoli im nieco wyprzedzić pościg. Zhuang kierował autobus kolistą trasą na południe, unikając głównych ulic.

W całym mieście wyły syreny, lecz ulice w dalszym ciągu pozostawały puste, a okna ciemne. Mieszkańcy dobrze wiedzieli, że nie należy się pokazywać.

Po kilku kolejnych nerwowych minutach na końcu wąskiej ulicy, pełnej zamkniętych sklepów i garaży, pojawił się przejazd pod autostradą. Zhuang zwolnił i potoczyli się powoli ku ciemnej studni. Strop estakady był tak niski, że gdyby Gray nie wsunął się do środka, straciłby

głowę.

Pobiegł na przód autobusu, gdzie stał Kowalski z rurą granatnika w rękach. Wjechali pod autostradę. Bez światła nie dało się ocenić, czy coś tu jest.

Jeśli nie ma ciężarówki...

– Zapal reflektory – szepnął Gray do Zhuanga, czując, jak wali mu serce.

Chińczyk wykonał polecenie i światło rozjaśniło każdy kąt pod estakadą.

Niczego tam nie było.

Gray popatrzył na Guan-yin, która do nich podeszła.

Pokręciła głową.

– Obiecał, że będzie czekała.

– Co za skur... – rzucił Kowalski, waląc otwartą dłonią w drzwi.

Kilka ulic dalej nagle błysnęły reflektory wielkiej ciężarówki. Wyjechała z poślizgiem z zakrętu i sunęła prosto na nich.

Gray pociągnął za dźwignię otwierania drzwi i wyskoczył na zewnątrz.

Skierował broń wprost na pędzący pojazd.

Guan-yin dołączyła do niego, ale tylko po to, aby kazać mu opuścić broń.

– To nasza ciężarówka.

Okazało się, że ma rację; po chwili ciemnozielony pojazd zahamował tuż obok. Wyprodukowany w Chinach, miał wielką kabinę z łóżkiem dla kierowcy. Nie był opancerzony, ale Gray nie widział powodu do narzekań.

Kierowca wyskoczył na zewnątrz, capnął podaną przez Guan-yin sakwę z pieniędzmi i zaczął uciekać.

– Mam nadzieję, że nie ma za długiego jęzora – rzekł Kowalski.

Szybko wyładowali z autobusu rzeczy – mundury i broń. Zdjęli z ciężarówki trzy wojskowe motocykle, które miały udawać eskortę.

Pięciu ludzi – o najbardziej koreańskich rysach i znający dobrze język – natychmiast się przebrało. Trzech wsiadło na motocykle, dwóch do kabiny ciężarówki. Reszta schowała się z tyłu.

Z wyjątkiem jednego ochotnika, który zgodził się zostać w autobusie.

Akcja zajęła nie więcej niż pięć minut. Autobus odjechał w przeciwnym kierunku niż ciężarówka i motocykle. Mieli nadzieję, że odciągnie pościg, dając im trochę czasu na ucieczkę. W którymś momencie kierowca miał go porzucić, a sam zniknąć w mieście.

Gray wyglądał spod uniesionej płachty na oddalający się autobus. Gdy ich dotychczasowy transport zniknął za zakrętem, opuścił płótno i rozejrzał się po pace, gdzie wszyscy przebierali się w północnokoreańskie mundury.

Nagle poczuł, że wpatruje się w niego para otoczonych tatuażem oczu.

On i Guan-yin myśleli o tym samym.

Jak zareagują porywacze Seichan, gdy dowiedzą się o ich ucieczce? Przeniosą ją w inne miejsce czy od razu zabiją?

Jeszcze ważniejsze pytanie brzmiało: Ile zostało czasu na jej uratowanie?

Godz. 20.02

Gdy stalowa igła wbiła się pod paznokieć, ciało Seichan zaczęło drgać. Takie same tkwiły

już pod paznokciami pozostałych czterech palców dłoni. Ból pulsował do barku. Oddychała ciężko przez nos, by nie krzyknąć.

Oprawca siedział na stołku, pochylony nad ramieniem Seichan, z obojętną miną, ale skupiony, jakby robił jej manicure.

Na małym stoliku za jego plecami – ustawionym tak, by dobrze widziała – leżały kolejne narzędzia do „przesłuchań szczególnego rodzaju”, błyszczące lodowato pod jarzeniowymi lampami. Seichan zdawała sobie sprawę, że to element wojny psychologicznej, zapowiedź, co ją czeka, jeśli w dalszym ciągu nie będzie chciała mówić.

Drugi obecny w pomieszczeniu człowiek chodził tam i z powrotem, splatając i rozplatając dłonie.

– Powiedz nam, kim są Amerykanie – powtórzył Pak piskliwym, nosowym tonem. – Wtedy to się skończy.

Akurat!

Seichan doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że zamierzają wydusić z niej wszystko, co się da. Nadchodzące dni zapowiadały niekończące się cierpienie. Najbardziej bała się nie wiertel czy gwałtu, lecz tego, że pęknie. Prędzej czy później powie wszystko – nieważne, czy będzie to prawda, czy nie.

Aby nie oszaleć, próbowała tam, gdzie to możliwe, dostrzegać pozytywy.

Na przykład pytania o Amerykanów oznaczały, że jej towarzysze najprawdopodobniej przeżyli zasadzkę w Makau i atak w Hongkongu. Jeżeli Gray oddychał, nie ustanie w próbach dotarcia do niej.

Czy wytrzymam wystarczająco długo?

Czy wiedzą, gdzie jestem?

Z drugiej strony tłumiła w sobie nadzieję, prowadzi ona bowiem prosto ku słabości. Tak naprawdę byłoby lepiej, gdyby Gray nie próbował jej uwolnić. Po co miał ginąć?

Przesłuchujący – przedstawiono go jej jako Nam Kwona – delikatnie zamocował do każdej z igieł w palcach małe zaciski z przewodami elektrycznymi. Szeptął, nie podnosząc wzroku, jakby przepraszał.

– Impuls elektryczny sprawi, że poczujesz, jakby wyrywano ci wszystkie paznokcie naraz. Ból będzie niewyobrażalny.

Zignorowała jego słowa, zdając sobie sprawę, że chce pobudzić jej wyobraźnię. Często oczekiwanie na cierpienie jest gorsze od znoszenia go.

Podszedł Pak i nisko się pochylił.

– Powiedz nam, kim są Amerykanie...

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się lodowato.

– Tymi, którzy urwą ci jaja i nakarmią nimi świnie.

Gdy Pak wściekle zmrużył oczy, gwałtownie wyrzuciła głowę do przodu i huknęła go czołem prosto w nos.

Koreańczyk zawył, cofając się o dwa kroki. Z nosa trysnęła mu świeża krew.

Machnął do Kwona.

– Dawaj! Niech zacznie wyć!

Kwon bez pośpiechu wyciągnął rękę i przekręcił gałkę potencjometru.

– To najniższe napięcie – powiedział i wdusił przycisk.

Pak dostał to, czego chciał.

Ból przeszył ciało Seichan. Z jej gardła wyrwał się krzyk, choć bardziej z zaskoczenia niż

z bólu. Gdy w spazmie wykręciło się jej ciało, ramię zapłonęło. Sztywne mięśnie zaczęły walczyć z więzami w konwulsyjnych drgawkach.

Przez czerwoną mgłę dostrzegła, że za Kwonem i Pakiem otwierają się drzwi.

Obaj zwrócili się do gościa. Kwon wyłączył prąd i Seichan opadła na krzesło, wstrząsana drgawkami, z płonąca od bólu ręką.

Delgado popatrzył na nią. Miał popielatą twarz, robił jednak co mógł, aby demonstrować obojętność. W końcu musiał odwrócić wzrok. Odchrząknął.

– Właśnie dotarła do mnie informacja od mojego człowieka Tomaza z hotelu Ryugyong. Połowa triady *Duàn zhī* została pojmana lub zabita. Druga połowa uciekła autobusem. Cały Pjongjang ich szuka.

Zdezorientowana Seichan spróbowała się skupić. *Duàn zhī* to organizacja jej matki, ale co robiła w Korei Północnej? Czyżby matka szukała zemsty za atak na jej fortecę w Hongkongu? A może chodziło o coś bardziej osobistego?

Ponownie odrzuciła nadzieję, ale nie umiała stłamsić jej całkowicie.

Pak popatrzył na Delgada.

– A Guan-yin?

Matka...

Seichan wstrzymała oddech.

– Nie było jej wśród pojmanych. Ani jej człowieka, Zhuanga – odparł Delgado tonem świadczącym o tym, że bardzo mu się to wszystko nie podoba.

Pak z wściekłością zrobił kilka kroków i zacisnął pięść.

– Ale jest cały czas na naszej ziemi – dodał Delgado. – Wygląda na to, że przyjechali z nią Amerykanie.

– Są tutaj?! – Twarz Paka nabrała ciemnopurpurowej barwy.

Także Seichan poczuła falę emocji. Wbrew woli znów zaczęła w niej kiełkować nadzieja.

– Co z nią? – spytał Delgado, wskazując Seichan. – Pozostawienie jej tutaj nie byłoby roztropne.

Pak zgodził się kiwnięciem głowy.

– Niedaleko mojego laboratorium jest inny obóz karny. To w górach, daleko na północy, miejsce jest dobrze strzeżone i zna je tylko garstka ludzi znajdujących się przy władzy. Chciałem ją i tak tam jutro przenieść. Zrobimy to od razu.

Dla Seichan sprawa była jasna: zamierzał trzymać ją blisko siebie, prawdopodobnie po to, aby cieszyć się każdym jej krzykiem. Niedobrze. Gdy dotrą do nowego obozu, wszystko będzie stracone.

– Najlepiej byłoby zabić ją od razu – rzekł Delgado, wskazując kaburę u pasa Paka. – Kula w łeb i po kłopotcie.

Zabrzmiało to brutalnie, ale chyba wynikało z litości. Szybka śmierć jest znacznie lepsza niż miesiącę tortur, które i tak kończą się dołem w ziemi.

Pak nie dał się podpuścić. Puchł z narodowej dumy.

– Byłaby to tchórzliwa reakcja na drobne zagrożenie.

Delgado wzruszył ramionami.

Pak popatrzył na Seichan. Cały czas kapała mu z nosa krew. Jego mina mówiła wszystko. Decyzja, aby jej nie zabijać, wynikała nie tyle z honoru, ile z zamiłowania do tortur. Przed chwilą posmakował przyjemności i chciał więcej.

Zawołał stojącego na zewnątrz wartownika i wyciągnął pistolet z kabury. Gdy żołnierz

wszedł, Pak wskazał lufą na Seichan.

– Rozkuj ją i zaprowadź do mojego dżipa. Zadbaj o to, aby była dobrze związana.

– Jest bardzo zimno, *seon-saeng-nim* – służbiście powiedział wartownik. – Poszukać dla niej ubrania na podróż?

Pak zlustrował Seichan od stóp do głów.

– *Aniyo* – odparł w końcu. – Jeśli chce mieć ciepło, niech błaga.

Wartownik skierował broń na Seichan. Kwon rozpiął wykładane materiałem kajdanki mocujące Seichan do stalowego krzesła.

Najpierw kostki, potem nadgarstki.

Gdy uwolniono jej ostatnią kończynę, natychmiast zaatakowała, wbijając wystające spod paznokci igły w oczy Kwona. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, nieco zastawiając – dokładnie jak Seichan zaplanowała – pole ostrzału wartownikowi z karabinem.

Stanęła pewnie na nogach, złapała Kwona i całkowicie się nim zasłoniła, w chwili gdy wartownik otworzył ogień. W specja od przesłuchań wgrzyła się seria pocisków, ale żaden nie dotarł do Seichan. Pchnęła martwe ciało na wartownika, okręciła się na pięcie i wyrwała pistolet z dłoni kompletnie zaskoczonego Paka.

Odwróciła się z powrotem do wartownika i wpackowała mu kulę w głowę.

Skoczyła ku drzwiom, po drodze wyjmując wartownikowi karabin z rąk, i wybiegła na zewnątrz. Paka i Delgada zostawiła w spokoju tylko dlatego, żeby nie marnować pocisków.

Zaryglowała drzwi celi, po czym zagryzając zęby, powyciągała sobie igły spod paznokci. Przez małe okienko widziała, jak Pak szaleje w środku, na szczęście pomieszczenie było dobrze izolowane i na zewnątrz nie docierał żaden dźwięk.

Delgado stał za Koreańczykiem ze skrzyżowanymi na piersi rękami. Gdy jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Seichan, uśmiechnął się i lekko, ale z szacunkiem, skinął głową.

Seichan pobiegła ku wyjściu z budynku. Na szczęście o tak późnej godzinie korytarze były puste. Zatrzymała się, żeby przeszukać szafki przy wyjściu – w nadziei że zdobędzie mundur. Niestety, znalazła jedynie zwinięty w kłęb strój więźnia. Zarzuciła na siebie ciemną bluzę, której fason pamiętał komunistyczne czasy, i wsunęła nogi w luźne spodnie. Jediną ozdobą była czerwona odznaka z wizerunkiem Kim Ir Sena, przypięta z lewej strony bluzy na wysokości piersi.

Z zalem odstawiła karabin do szafki. Był za duży, żeby go schować, a nie mogła przecież paradować w więziennym stroju z bronią.

Przyciskając pistolet do uda, wyszła w mrok. Z oddali, od strony Pjongjangu, dolatywało ciche wycie syren alarmowych.

Uzbrojona tylko w pistolet nie miała szansy przebić się przez silnie strzeżoną bramę. A nawet gdyby się to udało, dokąd miałyby pójść? Musiała zaufać, że Gray i matka wiedzą, gdzie jej szukać, i się tu zjawia.

Pobiegła w stronę baraków, aby do chwili przybycia pomocy ukryć się wśród więźniów.

Po raz pierwszy w życiu zaufała nadziei.

Jezioro Aralskie, Kazachstan
18 listopada, godz. 17.05 czasu miejscowego

Eurocopter leciał nad bezgraniczną połącią przesypanywanego przez wiatr piachu i zeskorupiałej soli. Jada ponuro się na to gapiała, z trudem uświadamiając sobie, że tak spustoszona okolica była kiedyś pięknym, pełnym ryb, błękitnym jeziorem, na którego brzegach stały fabryki konserw i wioski, a wszędzie kipiało życie.

Trudno było to sobie wyobrazić.

Z dokumentów dowiedziała się, jak w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku Sowieci zmienili bieg dwóch głównych dopływów Jeziora Aralskiego, aby nawadniać okoliczne pola. Efekt okazał się straszny: trzydzieści lat i jezioro wyschło do jednej dziesiątej pierwotnej wielkości. Znikł zbiornik wodny o objętości jezior Erie i Ontario razem wziętych. Pozostało jedynie kilka bajor ze słoną wodą na północy i południu.

Powstał gigantyczny ugór.

– Nazywają to pustynią Aral-kum – szepnął *monsignore*, gdy wszyscy zasnęli. – Toksyczne połacie soli są tak wielkie, że widać je z kosmosu.

– Toksyczne?

– Gdy jezioro wysychało, na dnie pozostały zanieczyszczenia i pestycydy. Silne wiatry regularnie wzbijają piasek i pył, tworząc burze piaskowe zwane „czarnymi zamieciami”.

Niczym na zamówienie po słonej równinie zaczął mknąć wietrzny wir – jakby ich gonił.

– Ludzie zaczęli chorować. Rozprzestrzeniały się zapalenia dróg oddechowych, dziwne anemie, odsetek zachorowań na raka poszybował na niebotyczny poziom. Średnia długość życia mieszkańców spadła z sześćdziesięciu pięciu do pięćdziesięciu jeden.

Jada, zaskoczona liczbami, ze zdumieniem uniosła brwi.

– Efekt był nie tylko lokalny. Gwałtowne wiatry rozdmuchiwały pustynną truciznę po całej kuli ziemskiej. Zaczęto stwierdzać obecność pyłu aralskiego na grenlandzkich lodowcach, w lasach Norwegii, nawet we krwi pingwinów antarktycznych.

Jada pokręciła głową, po raz tysięczny zastanawiając się, po co zapuścili się w tak odludną okolicę. Mając wybór, wołałaby udać się w inny region Kazachstanu: na kosmodrom Bajkonur, główny rosyjski ośrodek kosmiczny. Znajdował się jedynie trzysta pięćdziesiąt kilometrów na wschód od miejsca, stanowiącego ich cel.

Przynajmniej mogłaby tam zebrać więcej danych dotyczących upadku satelity...

Oczywiście, jeżeli wszystko nie było ściśle tajne.

Popatrzyła na Duncana, na jego magnetyczne palce. Zapewnił, że zarejestrowały energię emanującą z archeologicznych relikwii. Bardzo ją to intrygowało.

Czy to, co twierdził, miało ręce i nogi?

Przez dłuższą chwilę przyglądała się śpiącemu Duncanowi. Nie wyglądał na człowieka, któremu fantazja zaburza rozsądek. Zdecydowanie stał mocno na ziemi.

– Za dziesięć minut dotrzemy na miejsce – poinformował pilot przez interkom.

Wszyscy w kabinie lekko drgnęli.

Jada skupiła uwagę na obrazie za oknem. Słońce wisiało nisko nad horyzontem. Pagórki i rdzewiejące wraki statków rzucały długie cienie na płaską pustynię.

Eurocopter zaczął opadać, zatoczył lekki łuk i po chwili leciał tuż nad słońcą równiną.

– Prosto przed nami – powiedział pilot.

Każdy przycisnął twarz do swojego okna.

Helikopter kierował się na jedyny w promieniu kilometrów kontur, odcinający się od monotonnego tła: rdzewiejący kadłub potężnego statku. Stał prosto, ze stępką wbitą głęboko w piach – statek duch płynący po morzu pyłu. Korozja wygładziła większość detali i zjadła niemal cały dziób, reszta bryły nabrała ciemnorudej barwy, ostro kontrastującej z bielą solnej równiny.

– To tu? – spytała Rachele.

– Współrzędne się zgadzają – potwierdził pilot.

– Widzę wokół kadłuba mnóstwo śladów opon – oznajmił Duncan.

– To musi być tu – uznał *monsignore*.

Monk dotknął swego laryngofonu, aby porozumieć się z pilotem.

– Ląduj. Wybierz miejsce jakieś pięćdziesiąt metrów od kadłuba.

Maszyna natychmiast skręciła, na sekundę znieruchomiła, po czym zaczęła opadać, aż koła przyziemiły, wzbijając chmurę piachu i soli.

Monk ściągnął słuchawki i wrzasnął do pilota:

– Nie wyłączaj silników, aż dam sygnał! – Otworzył właz. Zasłonił ramieniem oczy przed smagnięciami piasku i dał znak, aby wszyscy poza Duncanem poczekać w środku. – Sprawdźmy sytuację.

Jadzie odpowiadała taka rola, pozwalająca bowiem spokojnie wszystko obserwować. Monk i Duncan wyszli z cienia pod kabiną i ruszyli po piachu. Dzień był zimny, choć nie przesadnie, powietrze pachniało solą, olejem silnikowym i zgnilizną.

W bakburcie oddalonego o kilkadziesiąt metrów statku znajdował się szeroki prostokątny otwór, z dolną krawędzią na poziomie piasku. Zanim dwaj mężczyźni przeszli połowę dystansu, z ukrytego w rufie luku wyjechał land rover w pustynnym kamuflażu, z szerokimi oponami przystosowanymi do jazdy po piachu. Zakreślając łuk obliczony tak, aby przechwycić przybyszy.

Agenci unieśli broń i skierowali ją w kierunku pojazdu.

Land rover odbił w bok i zatrzymał się w bezpiecznej odległości.

Nastąpiła wymiana słów, której towarzyszyła energiczna gestykulacja Monka. Padło nazwisko *monsignore*. Po kolejnej minucie dyskusji Monk ruszył w kierunku helikoptera.

– Twierdzą, że w statku jest ojciec Josip – wyjaśnił, gdy znalazł się na miejscu. – Poprosiłem, żeby wyszedł nam na powitanie, by mieć pewność, że to nie zasadzka, ale odmówili.

– Niestety, podejrzewam, że paranoja Josipa musiała się jeszcze pogłębić – rzekł Vigor. Ton jego głosu sugerował, że woli nie ujawniać pewnych faktów dotyczących przyjaciela. – Pójdę do niego – rzucił Vigor i wyskoczył na piach.

– Mowy nie ma – zaoponowała energicznie Rachele i wyskoczyła za wujem. – Trzymamy się razem.

– Pójdziemy wszyscy – zdecydował Monk, ale odwrócił się do Jady. – Ty może powinnaś

zostać.

Przez chwilę nad tym myślała, pokręciła jednak głową. Musiała się zmobilizować.

– Nie po to przeleciałam taki kawał świata, by siedzieć w helikopterze.

Skinął głową, po czym wsadził głowę do kabiny.

– Będę miał włączone radio! – wrzasnął do pilota. – Pozamykaj maszynę, ale utrzymuj ją tak, byśmy w razie potrzeby mogli od razu startować!

Pilot uniósł kciuk.

– Nigdy bym nie zrobił inaczej.

Ruszyli w kierunku Duncana. Gdy Monk zauważył, że Jada stara się trzymać w jego cieniu, ruchem dłoni dał do zrozumienia, że nie ma się czym denerwować. Ku jej zaskoczeniu nieco ją to uspokoiło.

Podzielał na nią prawdopodobnie nie tylko ten gest, lecz także widok karabinka szturmowego w jego rękach.

Z kabiny land rovera wysiadł samotny mężczyzna i ruszył im na powitanie. Był wzrostu Jady i w podobnym wieku, miał potargane ciemne włosy i strój wyglądający na tradycyjny kazachski: białe spodnie, długą koszulę i kamizelkę z kożuszką. Szedł z gołymi rękami, jednak z wysoko uniesioną lewą ręką, której nadgarstek opinał szeroki skórzany pas.

Gwizdnął głośno, na co odpowiedział przenikliwy skrzek.

W górze pojawił się ciemny cień i pomknął w dół z prędkością pocisku. Tuż przed uderzeniem w Kazacha ptak rozłożył potężne skrzydła i zahamował lot. Ostre pazury odnalazły skórzaną opaskę i sokół usiadł na ręce swojego pana; załopotał skrzydłami i szybko je złożył. Małeńkie czarne ślepia wpatrywały się podejrzliwie w przybyszy, aż Kazach założył na łebek ptaka skórzany kaptur.

Popatrzył na nowo przybyłych i z szacunkiem skłonił się *monsignore*.

– Ojciec Josip pokazał mi zdjęcia swojego drogiego przyjaciela, *monsignore* Verony. Witajcie. – Mówił nieskazitelnie po angielsku, z wyraźnym brytyjskim akcentem. – Nazywam się Sandżar, a mój upierzony towarzysz o paskudnym temperamentzie to Heru.

– Egipska wersja greckiego imienia Horus – objaśnił Vigor.

– Owszem. Bóg nieba o głowie sokoła. – Sandżar ruszył w kierunku statku. – Proszę za mną. Ojca Josipa bardzo ucieszy wasz widok.

Poprowadził przybyszy do wyciętego w burcie wejścia. Land rover odjechał z dużą prędkością w lewo i po chwili zniknął za rufą.

Vigor wykręcił szyję, patrząc w górę rozpadającego się wraka.

– Ojciec Josip cały czas mieszkał w środku?

– Nie w środku. Pod spodem.

Sandżar zanurkował do mrocznego wnętrza.

Jada podążyła za Duncanem.

Znaleźli się w przypominającej jaskinię ładowni. Czas obszedł się z nią nie lepiej niż z kadłubem i nadbudówkami. Przez kilkadziesiąt lat siły natury wgryzały się w konstrukcję, powodując znaczne zniszczenia i zamieniając przestrzeń w katedrę rdzy i rozpadu.

W oddali, po prawo, w prowizorycznym garażu parkował land rover, chroniąc się przed siłami żywiołów.

– Tędy. – Sandżar wskazał w lewo, na prowadzące w dół schody. Gdy zapalił latarkę, okazało się, że z poręczy zwisają pasma rdzy. Ruszył pierwszy.

Po jakimś czasie stalowe stopnie zamieniły się w kamienne. Strome, wykuty w piaskowcu

tunel schodził przez dziurę w dnie, prowadząc do labiryntu ukrytego pod rozpadającym się potworem. Na dole od głównego przejścia odchodziły mroczne korytarze z wejściami do licznych pomieszczeń, od nich kolejne korytarze, choć wysokie tylko na tyle, że dało się nimi jedynie pełznąć.

Mogła się tu chyba ukryć cała wioska.

– Kto to zbudował? – spytał Duncan.

– Zaczęli przemytnicy narkotyków na początku lat siedemdziesiątych, a pod koniec osiemdziesiątych do rozbudowy wzięły się ugrupowania paramilitarne. W latach dziewięćdziesiątych, po ogłoszeniu niepodległości przez Kazachstan, w zasadzie opuszczono to miejsce, więc gdy ojciec Josip je odkrył, natychmiast założył tu obóz, bo mógł w tym miejscu pracować przez nikogo nienękany i niemal niewidoczny.

W dole pojawiło się światło, które z każdym pokonywanym stopniem nabierało mocy. Sandżar zgasił latarkę i schował ją do kieszeni. Sokół na jego nadgarstku zadrżał, zaszeleścił piórami.

Po chwili dotarli chyba na najniższy poziom. Schody kończyły się w dużej jaskini, będącej dziełem ludzkiej ręki. Miała wymiary mniej więcej boiska do koszykówki. Odchodziło od niej wiele korytarzy, ale zdecydowanie byli u celu.

Wnętrze wyglądało jak skrzyżowanie średniowiecznej biblioteki z domem człowieka, który zbiera każdy śmieć i żadnego nie wyrzuca. Półki ugięły się pod ciężarem ksiąg. Na biurkach piętrzyły się sterty papierzysk i notatników, walały się szczątki ceramiki i kilka zakurzonych kości. Do ścian poprzybijano mapy i plany – niektóre były podarte, niektóre tak pozamazywane, że nie dało się dostrzec, co jest pod spodem. Na jednej ze ścian znajdowało się kilkanaście zrobionych kredą schematycznych rysunków, pełnych łączących się i rozdzielających strzałek, jakby ktoś planował wielką maszynę Rubego Goldberga.

Pośrodku chaosu stał mistrz ceremonii.

Był ubrany podobnie jak Sandżar, ale miał na szyi koloratkę. Słońce i wiatr sprawiły, że skóra księdza ogorzała i przybrała barwę polerowanego brązu, a siwe włosy całkowicie zbielały. Policzki i podbródek miał zaniedbane, z kilkuniedniowym zarostem.

Choć był dziesięć lat młodszy od Vigora Verony, wyglądał znacznie starzej.

Gdy zwrócił się ku przybyszom, okazało się jednak, że jego oczy świecą jasno jak u młodzieńca. Pytanie brzmiało: czy blask oznacza błyskotliwość czy szaleństwo?

Godz. 17.58

Vigor nie był w stanie ukryć zaskoczenia widokiem przyjaciela.

– Josip?

– Vigor, przyjacielu! – Josip, wyciągając ręce, przebijał się przez leżące na podłodze sterty książek. W oczach zamigotały mu łzy. – Przyjechałeś!

– Jak mógłbym tego nie zrobić?

Gdy się objęli, Josip zaczął obmacywać ręce Vigora, jakby chciał sprawdzić, czy to naprawdę on. Vigor czuł przy tym, jak bardzo przyjaciel wychudł – jakby lata pobytu na surowej pustyni zaczęły go mumifikować, choć bardziej prawdopodobne było, że zamienił się w skórę i kości z innego powodu: obsesji.

Nie była to, niestety, nowość.

Pierwszy atak psychozy Josip Tarasco miał na początku studiów w seminarium duchownym. Gdy znaleziono go nagiego na dachu szkoły, twierdził, że słysząc dochodzący z gwiazd głos Boga, musiał się rozebrać, aby światło gwiazd mogło go lepiej opływać i do Niego zbliżyć.

Wkrótce potem zdiagnozowano u niego chorobę afektywną dwubiegunową, czyli naprzemienne pojawianie się głębokiej depresji i epizodów maniakalnych. Lit i inne specyfiki pomogły ustabilizować chorobę, nie udało się jej jednak całkowicie wyleczyć. Szukając pozytywów, można było uznać, że stan chorobowy zapala w umyśle ojca Josipa ogień geniuszu, jakąś zrodzoną z szaleństwa błyskotliwość.

Niestety – choć łagodniejsze – w dalszym ciągu pojawiały się skoki stanu emocjonalnego: napady obsesyjnej kompulsywności, czasami – na szczęście bardzo rzadko – psychoza w pełnoobjawowej postaci. Przed dziesięciu laty Josip nagle zniknął z powierzchni Ziemi i Vigora to nie zdziwiło.

Co jednak miało znaczyć...?

Gdy się rozdzielili, Vigor uważnie spojrzął przyjacielowi w oczy.

– Wiem, co sądzisz, ale jestem przy zdrowych zmysłach – rzekł Josip. Rozejrzał się po jaskini i przeczesał palcami włosy. – Może jestem nieco kompulsywny, przyznaję, ale stres zawsze był moim wrogiem. A biorąc pod uwagę presję czasową, jaka na nas ciąży, muszę przyjąć każdy dar od Boga, niezależnie od tego, jak jest wyjątkowy, i go wykorzystać.

Rachele przyglądała się księdzu ponuro. Vigor nie wspomniał o jego stanie psychicznym, bo wtedy nie pozwoliłaby mu jechać do Kazachstanu. Poza tym gdyby to ujawnił, zaczęłyby wątpić w rzetelność tropów, którymi podążał.

Vigor nie miał tego typu uprzedzeń. Szanował geniusz Josipa bez względu na jego diagnozę.

– A skoro mowa o presji czasowej, mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego wezwałeś mnie w tak dziwny sposób? – powiedział Vigor. – To, co przysłałeś, przyciągnęło masę kłopotów.

– Znaleźli cię?

– Kto? – odparł pytaniem Vigor, myśląc o ataku na uniwersytet i zamachu bombowym w Aktau.

Josip pokręcił głową. Nerwowo odwrócił wzrok i rozejrzał się jak paranoik. Walczył ze sobą. Oblizwał wargi.

– Nie wiem. Ktoś zabił kuriera, który pojechał na łód, by wysłać do ciebie skrzynkę. Został napadnięty, torturowano go, trupa wyrzucono na pustyni. Sądziłem... miałem nadzieję, że to byli zwykli bandyci. Teraz jednak...? – Najwyraźniej przegrywał walkę. Jego mina zdradzała skrajną podejrzliwość, przeskakiwał niespokojnym spojrzeniem z twarzy na twarz. „Kompulsywność” zdecydowanie nie była jedynym objawem, jaki Vigor u niego dostrzegł.

Aby przytłumić jego paranoję, dokonał prezentacji.

– Na pewno pamiętasz moją siostrzenicę Rachele. – Ją przedstawił na końcu.

Josip rozpromienił się.

– Oczywiście! Jaka ona piękna! – Kontakt z kimś, kogo znał, sprawił, że napięcie Josipa zniknęło jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki; uwierzył, że jest wśród przyjaciół. – Chodźcie, mam mnóstwo do pokazania, a zostało tak mało czasu...

Zaprowadził ich do długiego drewnianego stołu z ławką. Sandzar pomógł mu sprzątnąć blaty i usiedli.

– Czaszka i książka? – spytał Josip bez wstępów.

– Mam ze sobą. W helikopterze.

– Ktoś mógłby przynieść?

Duncan wstał i zaproponował, że to zrobi.

– Dziękuję, młody człowieku – powiedział Josip, po czym znowu skupił się na Vigorze. – Zakładam, że zidentyfikowałeś, czyja to czaszka, i wiesz, że ta sama osoba kiedyś nosiła skórę, w którą oprawiono księgę.

– Doskonale. Relikwie zrobiono z jego ciała.

– Bardzo dobrze. Wiedziałem, że posiadając tak znakomite wsparcie techniczne, rozwiążesz zagadkę.

– Gdzie znalazłeś tak makabryczne przedmioty?

– W grobie czarownicy.

Jada Shaw parsknęła śmiechem. Vigor opowiadając jej podczas lotu o relikwiach – nie przekonał jej do sprawy, której poświęcili się obaj księża. Determinacja, by rozwikłać własną sprawę, nie pozwalała jej myśleć o niczym innym. Nie mogła się doczekać kontynuacji misji Sigmy w Mongolii.

Victor zignorował jej niegrzeczne zachowanie i zachęcił przyjaciela do dalszych zwierzeń.

– Pamiętam, że byłeś z wyprawą naukową na Węgrzech, gdzie badałeś osiemnastowieczne polowania na czarownice.

– Byłem w Szegedzie, niewielkim mieście nad rzeką Cisą, na południu Węgier.

Josip przeciągnął słowo „Cisa”, wbijając przy tym w niego wzrok, jakby sugerował, że powinna mu coś mówić. Nazwa rzeczywiście trącała jakąś strunę wiedzy, ale Vigor nie umiał wychwycić niczego konkretnego.

– W lipcu tysiąc siedemset dwudziestego ósmego roku, w szczytowym punkcie ówczesnej fali polowania na czarownice, spalono na stosie grupę miejscowych mieszkańców. Dwanaście osób obojga płci. Doszło do tego na małej rzecznej wysepce o nazwie Boszorkánysziget, co oznacza Wyspę Czarownic. Tak nazwano ją po tym, jak spłonęło tam wielu niewinnych ludzi.

– Przepelnione przesądami idiotyzmy – mruknęła Rachele, krzywiąc się.

Jada pokiwała głową.

– Przesady miały akurat niewiele wspólnego z tymi morderstwami. Węgry miały za sobą dziesięć lat suszy, rzeki zamieniły się w strumyki, ziemie uprawne w suchy pył i wszędzie panował głód.

– Ludzie potrzebowali kozła ofiarnego – rzekł Vigor.

– I kogoś do złożenia w ofierze. Zabito wtedy ponad czterysta osób, nie wszystkie jednak padły ofiarą paranoidalnych przesądów. Wielu ludzi na wysokich stanowiskach wykorzystało ten krwawy okres do pozbycia się wrogów albo do zwykłej zemsty.

– A tych dwanaścioro z Szegedu? – spytała Rachele, chcąc dowiedzieć się więcej o tej sprawie.

– W klasztorze niedaleko miasta znalazłem kopię oryginalnego protokołu sprawy. Śledczy, znacznie mniej niż stosowaniem czarów, byli zainteresowani pogłóskami o poszukiwaniu przez tę dwunastkę skarbu, od znalezienia którego byli ponoć już tylko o kilka kroków. Odmówili złożenia zeznań. Świadkowie twierdzili, że ta dwunastka znalazła czaszkę i oprawioną w ludzką skórę księgę. Wynikłe z tego oskarżenie o okultyzm zaprowadziło wszystkich prosto na stos.

Monk postukał palcem protezy w blat stołu.

– Twierdzi ojciec, że zamęczono tych dwanaścioro na śmierć, aby poznać miejsce, gdzie został ukryty jakiś zaginiony skarb.

– Nie „jakiś” skarb. – Josip ponownie wbił wzrok w Vigora, jakby oczekiwał od niego, że zrozumie tę zawołaną odpowiedź.

Vigor nie rozumiał. Właśnie miał to powiedzieć, gdy go olśniło. Słabo widoczne tropy splotły się w wyraźnie widoczną linię.

– Cisa!

Josip uśmiechnął się.

– O co chodzi? – spytała Jada.

Vigor się wyprostował.

– We mgle czasu zniknął również nie tylko grobowiec Czyngis-chana – odparł. – Także miejsce pochówku innego zdobywcy, węgierskiego bohatera.

– Mówisz o wodzu Hunów, Attyli – włączyła się Rachele.

Vigor skinął głową.

– Attyla zmarł w czterysta pięćdziesiątym trzecim roku wskutek krwotoku z nosa, którego dostał w noc poślubną. Podobnie jak Czyngis-chana, jego żołnierze pochowali go potajemnie, ze wszystkimi zgromadzonymi skarbami, po czym zabili każdego niewtajemniczonego, kto poznał lokalizację grobu. Ponoć pochowano Attyle w trzech trumnach: wewnętrzną, z czystego złota, włożono do srebrnej, po czym zamknięto obie w żelaznej.

Palec Monka przestał stukać w drewno.

– I nikt do dziś nie odkrył miejsca pochówku?

– Przez wieki pojawiały się różne plotki, ale większość historyków uważa, że żołnierze zmienili bieg Cisy, pochowali wodza w tajnej krypcie pod dnem, po czym przywrócili poprzedni nurt rzeki.

– Co na pewno utrudniłoby znalezienie grobowca – przyznał Monk.

Uderzony nową myślą Vigor znowu zwrócił się do Josipa:

– Wspomniałeś o tym, że polowanie na czarownice wywołała susza, którą zapanowała w osiemnastym wieku.

– Gdy rzeki zamieniły się w strumyki – przyznał Josip z uśmiechem.

– Co mogło odsłonić tajną kryptę! Chcesz powiedzieć, że ktoś znalazł grobowiec?!

– I spróbował utrzymać to w tajemnicy – dodał Josip.

– Dwanaścioro spiskowców... oskarżonych o czary.

– Tak jest. – Josip oparł łokcie na stole. – Ludzie z Szegedu nie wiedzieli jednak, że była trzynasta czarownica.

Godz. 18.07

Gdy Duncan wrócił do podziemnej biblioteki, wszyscy milczeli jak zakłęci. Czując, że ominęło go coś ważnego, zaniósł obie – ciągle owinięte w ochronną piankę – relikwie do stołu. Wolał nie dotykać ich bezpośrednio wrażliwymi palcami.

Pochylił się do Jady.

– Co się stało?

Psyknęła, aby się uciszył, i dała znak, żeby usiadł.

– Jaka trzynasta czarownica? – spytał Josipa *monsignore*.

Duncan zmarszczył czoło. No tak, faktycznie coś mnie ominęło, pomyślał.

Godz. 18.09

Vigor czekał na wyjaśnienie.

– W zapisach odkryłem – zaczął Josip – że biskup Szegedu nie przybył na ów szczególny proces o czary, co musiało być niezwykle dla tak pobożnego człowieka. Wydało mi się to dziwne.

Rzeczywiście, przyznał w myślach Vigor.

– Poszukałem więc jego dzienników i okazało się, że znajdują się w miejskim kościele Franciszkanów, zbudowanym na początku piętnastego wieku. Wiele ksiąg zniszczyły woda oraz pleśń, ale w jednym z zeszytów był odręczny rysunek czaszki leżącej na księdze. Przypomniały mi się wtedy oskarżenia z procesu. Na dole rysunku napisane było po łacinie: „Boże, wybacz mi me przewiny, me milczenie i to, że muszę zabrać to do grobu”.

Vigor wyczuł, co teraz nastąpi.

– Więc odszukałeś jego szczątki.

– Znajdowały się w krypcie pod kościołem. – Sądząc po zaczerwienionej twarzy ojca Josipa, był zawstydzony. – Nie poprosiłem o pozwolenie. Byłem zbyt niecierpliwy, zbyt pewny siebie, głęboko w maniackalnej fazie, gdy wszystko, co robimy, wydaje się prawidłowe.

Vigor wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, dodając mu otuchy.

Josip wbił wzrok w stół i przyznał się do przestępstwa.

– W nocy zszedłem na dół i włamałem się do środka.

– I znalazłeś czaszkę oraz księgę.

– Między innymi.

– Było coś jeszcze?

– Notatka biskupa, przedśmiertne wyznanie zamknięte w tubie z brązu. Opisywał w nim odkrycie grobu Attyli. Jak to pewien wieśniak natknął się na niego w wyschniętym korycie rzeki. Był jednak pusty, dawno obrabowany. W środku, na cokole, znajdowała się jedynie żelazna skrzynka z kilkoma cennymi przedmiotami.

– Czaszką i księgą.

– Zabobonny lęk kazał wieśniakowi udać się do miasta, do biskupa. Uważał, że znalazł miejsce spotkań czarownic. Biskup zebrał dwanaście najbardziej zaufanych osób i udali się do grobowca.

– Te dwanaście osób, które potem spalono, tak?

– Tak. Nad rzeką odkryli, kto obrabował kryptę. Znaleźli w niej pozostawioną przez złodziei wizytówkę: służącą do ochrony nadgarstka, szeroką bransoletę ze złota, na której wyrzeźbiono wizerunek walczącego z demonami Feniksa i imię Czyngis-chana.

– Czy to znaczy, że grób Attyli obrabował Czyngis-chan? – zastanawiał się głośno Vigor. Uznali, że nie jest to możliwe. Ich imperia – choć powstawały w odstępach kilku wieków – zazębiały się geograficznie. Czyngis musiał znać opowieści o pochówku Attyli i być może szukał ukrytych w jego grobowcu skarbów. Wojska mongolskie nigdy nie opanowały Węgier w pełni, ale przez dziesięciolecia prowadziły tam potyczki. Podczas którejś z kampanii zmuszono więźniów do mówienia – prawdopodobnie torturami – zlokalizowano grób i go splądrowano.

Oczywiście nie była to odpowiedź na bardziej zasadnicze pytanie.

Vigor wbił wzrok w Josipa.

– Ale dlaczego do grobowca Attyli trafiła czaszka Czyngis-chana i księga oprawiona w jego

skórę?

– Aby ostrzec przed zagładą.

Josip skinął Sandzarowi, który najwyraźniej czekał na ten znak. Kazach przyniósł plik kartek – każdą zabezpieczono plastikową koszulką.

– W krypcie Attyli znaleziono też to.

Stos spoczął na stole przed Vigorem. *Monsignore* popatrzył na starożytne rękopisy z ledwo widocznymi, wyblakłymi literami. Zmrużył oczy i dostrzegł słowa po łacinie.

Zaczął tłumaczyć pierwsze wersy.

„Oto ostatni testament Ildiko, potomkini krwi króla Burgundów, Gundryka. Oto moje przedśmiertne słowa z przeszłości dla przyszłości...”.

Podniósł głowę. Znał to imię.

– Ildiko była ostatnią żoną Attyli. Niektórzy uważają, że otruła go w noc poślubną.

– Do tego się tu przyznaje. – Josip dotknął stosu kart. – Przeczytaj wszystko w stosownej chwili. Pisała to pogrzebana żywcem w krypcie ze zwłokami Attyli i przyznała się do morderstwa dokonanego na rozkaz Kościoła.

– Słucham? – Vigor Verona był zszokowany.

– Papież Leon Wielki zwerbował ją przez pośredników w celu odzyskania tego, co rok wcześniej sam dał Attyli. Ten tajemniczy prezent miał sprawić, że przesądny król Hunów odejdzie spod murów Rzymu.

Vigor znał historię owego brzemienego w skutki spotkania – poza jednym szczegółem.

– Co papież mu dał?

– Skrzynkę. A raczej trzy, umieszczone jedna w drugiej. Zewnętrzna była z żelaza, środkowa ze srebra, wewnętrzna ze złota.

Tak jak rzekome trumny Attyli...

– Co było w skrzynce? – spytała Rachele, dążąc do sedna.

– Po pierwsze, czaszka z napisem w starożytnej wersji języka aramejskiego.

Vigor przypomniał sobie napis, który badał w Rzymie.

– A więc oryginalna relikwia, której użyto jako szablonu do wykonania napisu na czaszce Czyngis-chana.

Monk zgiął palec, by wskazać owinięte pianką przedmioty na stole.

– Więc czaszka Czyngisa to kopia starszej. Po co robić coś takiego?

– Ktoś chciał, aby to, co napisano na pierwszej czaszce, prośba o niedopuszczenie do końca świata, przetrwało marsz historii – wyjaśniła Rachele.

– Ale dlaczego? – Jada nadal nic z tego nie rozumiała. Była wręcz oburzona. – Po co brać na siebie trud zachowania takiej informacji, jeżeli nie można powstrzymać zagłady?

– A kto powiedział, że nie można? – spytał Josip. – Powiedziałem, że czaszka była pierwszym przedmiotem w potrójnej skrzynce.

– Co znajdowało się tam jeszcze? – spytał Vigor.

– Ze słów Ildiko wynika, że zarówno skrzynki, jak i ich zawartość pochodzą z miejsca znajdującego się na wschód od Persji, z nestoriańskiej sekty Kościoła katolickiego. Skarb wysłano do Rzymu, aby był bezpieczny w Wiecznym Mieście. Uważano, że być może się tam zachowa po wsze czasy.

– A przynajmniej do dnia określonego na czaszce – wtrącił Vigor.

Josip skinął głową.

– Papież Leon oddał skrzynkę, nie do końca mając świadomość, co zawiera. Zdał sobie

sprawę z popełnionego błędu, dopiero gdy z Persji przybył nestoriański wysłannik i go ostrzegł.

Monk prychnął.

– Więc wysłał dziewczynę, aby ją odzyskała.

– Mógł to być jedyny sposób na dostanie się poblize Attyli – powiedział Josip. – Niestety, dziewczynie się nie udało. Attyla musiał odkryć, co dostał, i schował to.

– A co to właściwie było? – spytał Vigor.

– Ildiko opisuje to jako „niebiański krzyż” wykuty z gwiazdy, która spadła na ziemię daleko na Wschodzie.

– Meteoryt – rzuciła Jada i natychmiast się wyprostowała.

– Prawdopodobnie – rzekł Josip. – Z gwiazdy wykuto krzyż i obdarowano nim świętego gościa, który przybył do ich wschodnich wybrzeży, szerząc wieść o nowym Bogu ze zmartwychwstałym synem.

Vigor ponownie popatrzył na owinięte pianką relikwie. Ewangelia oprawiona w ludzką skórę...

– Mówisz o świętym Tomaszu – powiedział z czią. – Ówczesny chiński cesarz dał wykuty krzyż świętemu Tomaszowi.

Historycy chętnie akceptowali wersję, że apostoł Tomasz dotarł w swoich podróżach aż do Indii, gdzie zamęczono go na śmierć. Niewielu jednak dopuszczało możliwość, że trafił do Chin, a nawet do Japonii.

Vigor z trudem nad sobą panował.

– Twierdzisz, że w skrzynce był krzyż świętego Tomasza?

– Nie tylko jego krzyż.

Vigor popatrzył przyjacielowi w oczy i już znał odpowiedź.

Była w niej także jego czaszka.

Przez chwilę siedział oniemiały i otepiały. Czy to ta wiedza zepchnęła Josipa poza skraj przepaści? Sam przyznał, że działał wbrew rozsądkowi. Czy właśnie to spowodowało jego psychozę?

– Z testamentu Ildiko wynika, że trzymając w dłoniach krzyż, święty Tomasz doznał wizji końca świata z jego datą włącznie – oznajmił Josip. – Po jego śmierci tę wiedzę zachowali chrześcijańscy mistycy.

– Poprzez zapis na czaszce świętego.

Josip potaknął.

– Zdaniem Tomasza niebiański krzyż jest jedyną bronią zdolną zapobiec końcu świata. Jeśli nie zostanie odnaleziony, świat ulegnie zagładzie.

– A krzyż pochowano wraz z Attylą?

Josip popatrzył na karty na stole.

– Tak twierdzi Ildiko. Zamknięta w krypcie odnalazła skrzynki i tym razem krzyż był na swoim miejscu. Spisała testament, w nadziei że ktoś go znajdzie.

– Co uczynił Czyngis-chan.

Na kilka sekund w jaskini zapanowała całkowita cisza.

W końcu Monk odchrząknął.

– Uporządkujmy to. Papież przez pomyłkę dał skarb Attyli. Spisek mający na celu jego odzyskanie nie dał rezultatów. Wieki później Czyngis-chan splądrował grób Attyli, przeczytał notatkę Ildiko, znalazł krzyż i po śmierci użył swego ciała do zachowania tej wiedzy.

– Nie tylko zachowania – sprostował Josip. – Moim zdaniem zostawił dla przyszłych

pokoleń mapę wskazującą drogę do miejsca ukrycia krzyża. Uczynił ze swego ciała przewodnik.

Vigor uważał, że to było możliwe.

– Czyngis-chan zawsze uważał, że należy do niego przyszłość. A biorąc pod uwagę, że co dwusetny mężczyzna żyjący dziś na Ziemi jest jego potomkiem, może niezbyt się pomylił. Z pewnością chcieliby chronić swe dziedzictwo.

– Czyngis-chan był krwawym tyranem wobec wrogów, ale myślał przyszłościowo – powiedział Josip. – Jego imperium jako pierwsze miało międzynarodową służbę pocztową, osobiście wymyślił koncepcję immunitetu dyplomatycznego, nawet pozwalał kobietom zasiadać we władzach. Mongołowie nie mieli też sobie równych w zakresie tolerancji religijnej. W ich stolicy był nestoriański kościół. Może to jego kapłani sprawili, że Czyngis-chan wypłynął na szerokie wody.

– Sądzę, że w tej ostatniej sprawie możesz mieć rację – przyznał Vigor. – Historycznie rzecz biorąc, nestorianie wywarli na Czyngis-chana wielki wpływ. Świadczy o tym choćby fakt, że użył własnej skóry, aby zachować ewangelię Tomasza.

Rachele – jak zwykle z detektywistycznym zacięciem – chciała więcej dowodów.

– Wszystko ładnie i pięknie, ale czy coś z tego da się udowodnić? Czy istnieją jakiegokolwiek dane na temat tego, że Czyngis-chan był w posiadaniu krzyża? Talizmanu, który ma uratować świat?

Josip wskazał na jej wuja.

– On go posiada.

Vigor poczuł się jak ktoś niesłusznie oskarżany.

– Co masz na myśli? Gdzie go mam?

– W Tajnych Archiwach Watykanu. Jesteś teraz ich prefektem, prawda?

Vigor grzebał w pamięci, zastanawiając się, o co Josipowi chodzi, w końcu przypomniał sobie jedną z cennych pozycji archiwum.

– List od wnuka Czyngis-chana!

Josip skrzyżował ramiona na piersi niczym zwycięski prokurator.

– W tysiąc dwieście czterdziestym szóstym roku – zaczął wyjaśniać Vigor – wnuk Czyngis-chana, wielki chan Gujuk, wysłał do papieża list. Zażądał od niego osobistego przybycia do Mongolii i złożenia mu hołdu. Ostrzegł, że jeżeli papież tego nie zrobi, konsekwencje dla świata będą poważne.

Rachele patrzyła zdumiona na wuja.

– Nie jest to dowód ostateczny, ale przyznam, że brzmi to, jakby wnuk wiedział, że trzyma los świata w swoich rękach, a przynajmniej w grobowcu dziadka. – Lekko wzruszył ramionami. – Może nawet zaferował papieżowi zwrot przedmiotu, gdyby ten zechciał się do niego udać. Co niestety nie nastąpiło.

Duncan westchnął.

– Gdyby się zgodził, bardzo by to uprościło sprawy – rzucił.

Monk wzruszył ramionami.

– Wszystko pięknie. Dziękuję za lekcję historii, ale wracajmy do poszukiwań. Czy ktoś mógłby mi powiedzieć, w jaki sposób odnalezienie tego krzyża miałyby uratować świat?

Vigor popatrzył na Josipa, w nadziei że ten zna odpowiedź. Jego przyjaciel lekko pokręcił głową, przyznając się do porażki. Odpowiedź nadeszła z najmniej spodziewanej strony – od kogoś cały czas wątpiącego jak święty Tomasz.

Jada Shaw podniosła rękę.

– Ja wiem.

Pjongjang, Korea Północna
18 listopada, godz. 21.10 czasu koreańskiego

Zaanonsowali swoje przybycie pod bramy obozu piskiem opon.

Ukryty w zamkniętej ładowni Gray poczuł lekką ulgę. Bezpiecznie wydostali się z centrum Pjongjangu na bagniste peryferie miasta, przecięte rzeką Taedong. Po drodze natknęli się na kilka patroli, ale jadący na motocyklach członkowie triady stanowili doskonały kamuflaż i ich widok zapewniał wolną drogę. Ponieważ szukano autobusu, wojskowa ciężarówka nie wywoływała podejrzeń.

Szczęście nie potrwa jednak wiecznie. Któryś z pojmanyh w hotelu ludzi w końcu pęknie i zdradzi wrogowi plan ataku.

Gray wsłuchiwał się w głośne pokrzykiwania kierowcy do wartowników przy bramie. Zamierzali udawać, że przybyli jako wsparcie przysłane z Pjongjangu dla wzmocnienia bezpieczeństwa. Dolatujące z odległego miasta syreny dodawały temu wiarygodności.

Usłyszeli głosy i kroki. Pojawili się żołnierze ze straży obozu; szli na tył pojazdu. Byli wyraźnie spięci; chyba nie bardzo wiedzieli, co się dzieje w mieście.

Odrzucono gwałtownym ruchem tylną płachtę. Wnętrze rozświetlił jaskrawy promień latarki, dając wszystkim pretekst do zasłonięcia twarzy lub odwrócenia głowy. Siedzący w głębi, tuż przy samej kabinie, Gray i Kowalski skulili się jeszcze niżej, schowali twarze za współtowarzyszami.

Żołnierz poruszał światłem latarki na boki, na widok północnokoreańskich mundurów puścił brezent i ruszył z powrotem do wartowni.

Zgrzytnęły biegi i ciężarówka ponownie ruszyła. Powoli. Gray zaryzykował, naderwał mocniej dziurę w plandecie i wyjrzał na zewnątrz. Obóz zajmował kilkaset hektarów; był otoczony wysokim płotem zwieńczonym zwojami drutu kolczastego. Co pięćdziesiąt metrów znajdowały się wieżyczki strażnicze. Wśród ciasno upchanych szeregów drewnianych baraków stały betonowe sześciennne budynki.

Gray mocniej ścisnął w dłoni mapę. Studiował ją w drodze, korzystając z ołówkowej latarki. Budynek, w którym prowadzono przesłuchania, znajdował się niedaleko głównej bramy. Prawdopodobnie tam przetrzymywano Seichan.

Ale czy tam jeszcze była?

Ciężarówka minęła zewnętrzną bramę i przecinała gęsto zaminowany pas bezpieczeństwa, za którym znajdował się wewnętrzny płot. Zaczęła się otwierać wewnętrzna brama.

Motocykle prowadziły, trojański koń na kołach podązał powoli za nimi. Gdy przejechali, bramę natychmiast zamknięto.

Droga powrotu została odcięta. A dostanie się do środka było łatwiejszą częścią zadania.

Ściągnęli leżące na podłodze płachty brezentu, odsłaniając cięższą broń: karabiny maszynowe, granatniki, lekki moździerz kaliber 60 milimetrów.

Kowalski wziął granatnik, zarzucił go na ramię i wolną ręką chwycił karabinek szturmowy.
– Nareszcie czuję się przyzwoicie ubrany – powiedział.

Cieżarówka skręciła w kierunku budynku, w którym przesłuchiowano więźniów, i zaparkowała przed wejściem. Kierowca nie gasił silnika. Przy pewnej dozie szczęścia przechwycą Seichan bez zamieszania i hałasu, po czym odjadą, mówiąc wartownikom, że wezwano ich z powrotem do miasta.

Zhuang wystawił głowę spod brezentowej kłapy, by się upewnić, czy wszystko wygląda czysto. Zadowolony machnął na Graya i Guan-yin, że mogą się szykować. Oboje podeszli i przykucnęli przy kłapie.

Gray przyjrzał się fasadzie budynku. O tej porze ten betonowy parterowy klocek był niemal całkowicie ciemny. Ciche i szybkie wejście powinno się udać.

– Idziemy – rzucił Gray i wyskoczył na zewnątrz.

Pobiegli do wejścia, osłaniani przez ciężarówkę. Członkowie triady zajęli pozycje obronne wokół ciężarówki i pod nią.

Gdy Gray dotarł do drzwi, stwierdził, że są otwarte. Wślizgnął się szybko do środka, lufą karabinka zatoczył półkole, sprawdzając przestrzeń przed sobą. Na szczęście nikogo nie dostrzegł.

Guan-yin, która do niego dołączyła, była blada i mocno zaciskała szczęki. Dopiero teraz przypomniał sobie, że spędziła rok w podobnie nieludzkim obozie jak ten, tyle że w Wietnamie. Krzywa blizna na policzku i czole pochodziła na pewno stamtąd i była prawdopodobnie najmniejszą szkodą, jakiej tam doznała. Można było tak sądzić choćby po tym, jak podskoczyła, gdy Zhuang dotknął jej ramienia.

– Z mojej mapy wynika, że cele i pokoje przesłuchania są w głębi – przerwał ciszę Gray.

Guan-yin kiwnęła słabo głową.

Ruszyli we troje we wskazanym kierunku. Sprawdzali pomieszczenie po pomieszczeniu. Z otwartych drzwi na końcu korytarza płynęło światło.

Ruszyli ku jasnej plamie, cały czas uważnie nasłuchując, by na czas dosłyszeć każdy dźwięk.

Cisza zaczynała być denerwująca.

Gray dotarł do drzwi jako pierwszy i ostrożnie zajrzał do środka. W małym pokoiku stały krzesła skierowane ku wielkiej szybie, pozwalającej zajrzeć do sali obok.

Gray ostrożnie wszedł do salki i przez – jak sądził – weneckie lustro, spojrzął do sąsiedniego, jasno oświetlonego wnętrza. Sceneria była przedziwna. Na podłodze, w kałużach krwi, leżały zwłoki dwóch mężczyzn – północnokoreańskiego wartownika i, sądząc po białym laboratoryjnym kitlu, technika.

Pokój musiał być zamknięty z zewnątrz, bo dwóch mężczyzn dzielących go z trupami próbowało otworzyć jedyne drzwi. Na podłodze pod weneckim lustrem leżał przewrócony metalowy stołek. Musieli próbować wybić nim kuloodporną szybę.

Gray natychmiast rozpoznał jednego z nich – choć na nosie miał gruby opatrunek.

Hwan Pak.

Drugi mężczyzna był wyższy, miał ciemną bródkę i euroazjatyckie rysy. Jego też Gray już widział – gdy na ulicy w Makau porrywał Seichan.

– Ju-long Delgado – powiedziała Guan-yin, podchodząc do szyby.

Gray jeszcze raz przyjrzał się trupom na podłodze. Od razu dostrzegł robotę Seichan.

– Chyba mamy problem – powiedział, wyobrażając sobie, ile kryjówek może mieć ten

olbrzymi teren obozu. – Twoja córka uciekła.

Jakby tego było mało, w obozie ryknęły syreny. Z głośników rozległy się szczeknięcia komend.

Gray popatrzył na Guan-yin.

Zostali zdemaskowani.

Godz. 21.16

Gdy ryknęły syreny, Seichan leżała w błocie.

Jakiś czas temu wpęzła pod stojący na palach barak. Taka konstrukcja była konieczna, ponieważ obóz zbudowano na bagnistych terenach nad regularnie wylewającą rzeką Taedong.

Niestety, była to jedyna wygoda przewidziana dla więźniów. Nie mieli ogrzewania, wentylacji, a sądząc po dolatującym z góry smrodzie amoniaku i odchodów, w barakach nie było także toalet.

Leżąc przez pół godziny pod podłogą baraku, Seichan nasłuchiwała się wszelkich możliwych s tłumionych odgłosów tłoczących się ludzi: szeptów, chlipnięć, wybuchów złości, łagodnych słów matki próbującej uspokoić dziecko. Więziono tu całe rodziny w celu reedukacji, głównie jednak wykorzystywano więźniów do niewolniczej pracy.

Gotowała się w niej złość. Noc robiła się coraz mroźniejsza i było to w zasadzie jedyne paliwo utrzymujące w niej ciepło. Wybrała to miejsce, by widzieć główną bramę – z nadzieją że Gray da znak życia.

Przed kilkoma minutami do środka wjechała ciemnozielona wojskowa ciężarówka, z eskortą na motocyklach. Wsparcie. Co gorsza, ciężarówka podjechała prosto pod budynek, w którym Seichan była przesłuchiwana.

Cholerny pech.

Zaraz potem ryknęły syreny. Prawdopodobnie przybysze odkryli Paka i Ju-longa, więc wiedzą o jej ucieczce.

Wzdłuż ogrodzenia obozu zapaliły się reflektory. Wszystkich wzywano do odnalezienia uciekiniarki.

Seichan ścisnęła mocniej pistolet. Gdzie mogłaby się ukryć? Przez chwilę zastanawiała się, czy nie wmieszać się w tłum więźniów, ale było pewne jak dwa dodać dwa jest cztery, że ktoś ją wyda, wskaże na nią palcem, aby uzyskać nagrodę od strażników.

Zaczęła pełznąć do tyłu, oddalając się od głównej bramy i świateł. Najlepszą kryjówką będzie cień.

Gdy spojrzała za siebie, ujrzała ślady gąsienic biegnące w kierunku głównej bramy. Czołg jechał na pozycję, która uniemożliwi ucieczkę przez główną bramę.

Seichan pobiegła ku następnemu szeregowi baraków i rzucanemu przez nie cieniowi.

Jeszcze przed chwilą modliła się, aby Gray przybył.

Teraz miała nadzieję, że będzie się od tego trzymał z daleka.

Godz. 21.18

Gray i Guan-yin pobiegli do wyjścia. Zhuang wysforował się, by oczyścić im drogę.

– Ktoś w hotelu musiał sypnąć – rzekł Gray.

– Albo ktoś tutaj nas przejrzał – odparła Guan-yin. Najwyraźniej nie dopuszczała do siebie myśli, że któryś z jej złapanych w hotelu ludzi tak szybko dał się złamać.

Gdy dotarli do wyjścia, Zhuang wyrzwał na zewnątrz i dał znak, by podeszli. Ciemny dotychczas obóz był skąpany w świetle reflektorów. Wartownicy przy bramie kręcili się zdezorientowani. Nikt nie zwracał uwagi na ciężarówkę ani stojących obok motocyklistów.

– Nasza przykrywka w dalszym ciągu działa – powiedział z ulgą Gray. – Mimo to uważam, iż któryś z twoich sypnął, że wybieramy się do obozu.

– Ale nie zdradził szczegółów planu – odparła Guan-yin, broniąc tego, który załamał się w wyniku ciężkich tortur.

– Przynajmniej na razie. Pozostawia nam to możliwość wykorzystania elementu zaskoczenia. – Gray obserwował zamieszanie przy bramie, zdając sobie sprawę, że nie potrwa ono wiecznie. – Musimy natychmiast przejść kontrolę nad główną bramą.

– I utrzymać ją, aż znajdziemy moją córkę. – Guan-yin w lot zrozumiała plan.

Gray skinął głową. Gdy zaczną działać, rozpęta się piekło, nie mieli jednak wyboru. Skończył się czas działania w ukryciu.

Gray zwrócił się do Guan-yin i Zhuanga:

– Zbierzcie swoich ludzi, zaatakujcie i utrzymajcie bramę. Wymiana ognia powinna ściągnąć na was całą uwagę, w tym czasie mała grupka szybko przeszuka resztę obozu.

Zhuang wyraził zgodę, wyciągając miecz z pochwy.

Gray wskazał na motocykle.

– Wezmę Kowalskiego i dwa motory. Rozdzielimy się i spróbujemy przeczesać jak największy teren. Seichan prawdopodobnie obserwuje, co się dzieje. Mam nadzieję, że gdy podjedziemy, rozpozna nas.

Zhuang po krótkiej wymianie zdań z Guan-yin wybiegł na zewnątrz, żeby organizować oddział. Guan-yin złapała Graya za przedramię.

– Znajdź moją córkę.

– Obiecuję.

Albo zginę, próbując to zrobić, pomyślał.

Godz. 21.22

Seichan wyturlała się spod kolejnego baraku i wstała. Mijała kolejne ich szeregi, kryjąc się w cieniu, który gęstniał w miarę oddalania się od centrum obozu. Dokonała już inspekcji mniej więcej jednej trzeciej terenu.

Gdy szykowała się do skoku za następny barak, obozem wstrząsnęła potężna eksplozja. Seichan błyskawicznie spojrzała za siebie – z morza światła reflektorów znajdujących się przy bramie wznosiła się kolumna czarnego dymu.

Co to jest, do cholery?

Zaraz potem zaterkotała broń maszynowa.

Czy to możliwe, że Gray...?

Równocześnie czując ulgę i przeklinając go za głupotę, ruszyła wzdłuż baraków. Chciała dotrzeć do końca szeregu, skąd był widok na główną bramę.

Nagle za jej plecami zapaliło się światło. Syreny sprawiały, że skupiała się na czymś innym i zarejestrowała niebezpieczeństwo poniewczasie. Zza skrajnego baraku wyjechał wojskowy

dżip i przyszpilił ją światłami reflektorów. Za samochodem truchtali w dwuszeregu żołnierze. Dopiero gdy zamarła, uświadomiła sobie, że trzyma na widoku pistolet. Więźniarka z bronią...

Godz. 21.23

Gray i Kowalski jechali tuż obok siebie. Szybko oddalili się od bramy, by spenetrować teren obozu.

Gray zaobserwował w lusterku wstecznym, jak pocisk z moździerza wyrывa wewnętrzną bramę. Potem oddział Guan-yin zaatakował zaskoczonych Koreańczyków; dalsze wydarzenia zasłonił czarny dym. Niczym błyskawica w gradowej chmurze zamigotał miecz Zhuanga, ale to było wszystko.

Chaos zwiększyły dwie eksplozje granatów z napędem raketowym, które zamieniły strzegące bramy wieże w płonące pochodnie. Krótkie salwy z broni maszynowej pogasiły reflektory przy bramie, przez co zniknęła w kompletnej ciemności.

Gray dał Kowalskiemu znak ręką, żeby się rozdzielili. Olbrzym miał przeczesać teren między barakami z prawej, on z lewej.

Gdy partner odbił w bok, Gray przytulił się do motocykla i skręcił w mrok. Musieli się spieszyć, ponieważ atak na bramę udał się tylko dzięki zaskoczeniu i było jasne, że gdy obóz się zmobilizuje, długo się jej nie utrzyma.

Wbijał wzrok w przestrzenie między mrocznymi szeregami baraków.

Gdzie jesteś, Seichan?

Godz. 21.24

Wykorzystując zaskoczenie żołnierzy, Seichan zanurkowała głową naprzód pod najbliższy barak. Przekreśliła się w locie, wycelowała w dżipa i zaczęła naciskać spust jak rewolwerowiec. Rozbiła jeden reflektor samochodu i zmusiła żołnierzy do ukrycia się.

Gdy dotknęła ziemi, wtoczyła się siłą rozpędu między słupy podporowe i zniknęła w ciemności. W ziemię tuż za jej plecami załomotały pociski.

Toczyła się po błocie, nie zatrzymując się ani na chwilę. Gdy dotarła do końca baraku, przemknęła do następnego i ponownie wturlała się pod konstrukcję.

Cały czas obserwowała żołnierzy. Dżip minął miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdowała i z poślizgiem objechał szereg baraków, aby złapać uciekinierkę po drugiej stronie. Żołnierze rozdzielili się i otoczyli ją. Znalazła się w potrzasku.

Ucieczka da jej jeszcze jedną, może dwie minuty wolności. Fala żołnierzy zaraz ją osaczy. Z jednym pociskiem nie miała szansy przebić się na wolność.

Potrzebny był inny sposób.

Godz. 21.25

Przez warkot motoru przedostał się odgłos kanonady, która wybuchła z lewej strony. Towarzyszyły jej krzyki i wydawane pospiesznie komendy. Gray z nadzieją ruszył w kierunku

zamieszania.

Gdy pędził wąskim przejściem między barakami, nagle pojawiła się przed nim postać w zabłoconym więziennym stroju. Potrzebował chwili, aby rozpoznać Seichan.

Dzięki Bogu...

Poczuł ulgę i coś jeszcze. Coś głębszego, co rozgrzało mu serce.

Uniosła rękę, jakby zamierzała nią zamachać, żeby go zawołać.

I wtedy ujrzał broń w jej dłoni.

Ustabilizowała pistolet i wystrzeliła.

Godz. 21.26

Potrzebowała tego motocykla.

Przed sekundą usłyszała gardłowy ryk silnika i ruszyła mu na spotkanie, zdając sobie sprawę, że to ostatni sposób ucieczki. No i ostatnia kula, więc nie wolno jej było spudłować. Wyszła w przejście, wycelowała w środek sylwetki motocyklisty i strzeliła.

Trafiony mężczyzna spadł z siodła i wirując w powietrzu, poleciał na bok.

Motocykl skręcił, uderzył siłą impetu o barak i zgasł. Seichan odrzuciła pistolet i ruszyła sprintem. Podniosła motocykl, wskoczyła na siodło i jednym kopnięciem zapaliła silnik. Czując dreszczyk władzy, obróciła maszynę o sto osiemdziesiąt stopni.

Mężczyzna uniósł się na łokciu i sięgnął po karabinek szturmowy.

Broń mogłaby się jej przydać...

Ruszyła naprzód i pochylając się nisko, wyciągnęła rękę, aby podnieść broń.

Motocyklista uniósł głowę i zobaczyła jego zboląłą twarz.

Oślepią widokiem szarobłękitnych oczu, Seichan jęknęła.

Gray...

Gwałtownie zahamowała i zatrzymała się, obracając maszynę o dziewięćdziesiąt stopni.

Gray wstał, trzymając się za postrzelone ramię.

– Naprawdę musisz przestać do mnie strzelać – mruknął, podnosząc karabinek zdrową ręką.
– Następnym razem wystarczy „cześć”.

Przyciągnęła go do siebie i pocałowała w usta.

– W porządku, trochę lepiej... ale będziemy musieli to poćwiczyć.

Za nimi rozległy się krzyki.

– Wskakuj! – ponagliła go.

Mimo bólu przerzucił nogę przez siodło. Jedną ręką objął Seichan wokół talii, drugą strzelał za siebie.

W lusterku wstecznym Seichan widziała, jak żołnierze rozpierzchają się na boki.

– Jedź! – krzyknął Gray.

Przekreśliła rączkę gazu i motocykl ruszył jak chart na wyścigach.

Gray objął ją mocniej.

Nie była przekonana, czy uda im się odzyskać wolność, ale jedno wiedziała na pewno: nie chciała już nigdy się z nim rozstawać.

Godz. 21.28

Przy każdym wyboju ramię Graya płonęło żywym ogniem. Pierś broczyła krwią. Gdyby tuż przed strzałem Seichan nie odchylił się w bok, pocisk trafiłby go prosto w klatkę piersiową.

Obejmował Seichan ranną ręką, jechał wóół odwrócony do tyłu, z karabinkiem w drugiej. Strzelał do każdego pojawiającego się północnokoreańskiego munduru.

Trzydzieści metrów za nimi pojawił się nagle rozpędzony dżip z jednym rozbitym reflektorem. Żołnierz obok kierowcy stał i celował z karabinu opartego o krawędź przedniej szyby.

Gray ostrzelał samochód, gasząc mu drugi reflektor.

Impet pocisku zachybotał dżipem, tak że żołnierz z karabinem stracił równowagę i ostrzelał drewniane schody baraku z lewej strony. Ze środka rozległy się paniczne wrzaski.

– Odbij w prawo! – zawołał Gray do Seichan.

Skręciła tak gwałtownie, że niemal spadł. Ścisnął siodełko udami, wychylił się i puścił serię, skupiając się na prawym przednim kole dżipa. Opona eksplodowała z hukiem.

– W lewo!

Motocykl skręcił, w chwili gdy nad uchem Graya świsnęły pociski. Wycelował w lewe przednie koło dżipa, puścił kolejną serię i pociął oponę na czarne konfetti.

Kierowca dżipa już po uszkodzeniu pierwszej opony miał kłopoty z zapanowaniem nad pojazdem, teraz całkowicie stracił nad nim kontrolę. Gołe felgi ugrzęzły w błocie, zaraz potem zarył się cały przód.

Gdy dżip zwolnił do żółtego tempa, Seichan przyspieszyła, kierując się do oddalonej o mniej więcej sto metrów głównej bramy. Gray trzymał broń skierowaną do tyłu i od czasu do czasu strzelał, żeby zniechęcić amatorów pogoni.

Nagle Seichan zahamowała tak gwałtownie, że motocykl stanął dęba.

Gray odwrócił się do przodu i ujrzał czołg, który gwałtownie skręcał ku bramie, wyrzucając błoto spod gąsienic. Czterdziestotonowy czołg bojowy o nazwie Ch'önma-ho wypełniał całą uliczkę, biegnącą między ciągami baraków i betonowych budynków administracyjnych.

Załoga potwora zignorowała Gria i Seichan, być może uznając za swoich. Długa lufa działa kaliber 115 milimetrów była skierowana na bramę, by rozprawić się z rewoltą.

– Objedź go! – wrzasnął Gray do ucha Seichan.

Jedyną szansą ucieczki było odskoczenie na bezpieczną odległość od zionącego ogniem potwora, dotarcie do bramy przed nim i polecenie wszystkim, aby wiali gdzie pieprz rośnie.

Seichan pochyliła się nisko nad kierownicą i skręciła w lewo w lukę między barakami. Z rykiem silnika minęli pierwszy barak, po czym Seichan ponownie skręciła – w prawo – w wąską ścieżkę biegnącą wzdłuż głównej drogi. Pomknęli nią na pełnym gazie.

Gray patrzył w prawo na mijane baraki; w przerwach między nimi migał czołg, wyrzucający w górę strumienie błota.

To się nigdy nie uda...

Nawet gdyby toczący się Goliat nie wystrzelił, mieli minimalną szansę na dotarcie do bramy przed nim.

Do chwili aż pojawił się Dawid.

Z chmury dymu przy bramie wyłonił się przysadzisty kształt i pomknął w kierunku czołgu. Kowalski na motocyklu. Gray jakiś czas temu dał mu znać przez radio, że Seichan się znalazła, i kazał mu wracać. Olbrzym musiał dotrzeć do bramy przed nimi – i najwidoczniej miał własne rozwiązanie problemu z czołgiem.

Puścił kierownicę, przystawił wyrzutnię RPG-29 do barku i wystrzelił. Granat z napędem

rakietowym trafił w przód czołgu.

Eksplozja brzmiała jak pęknięcie ziemi. Buchnęły ogień i dym, a po chwili z nieba sypnęło kawałkami żelastwa.

Kowalski stracił panowanie nad motocyklem, przewrócił się na bok i sunął po ziemi w kierunku czołgu, toczącego się dalej siłą rozpędu. Jeszcze chwila i olbrzym znajdzie się pod gąsienicami...

Seichan przyspieszyła, wyprzedziła czołg, skręciła za następnym barakiem i wyjechała na główną drogę. Zamierzała podjechać do Kowalskiego, gdy jednak wyjechali z chmury dymu, okazało się, że wielkolud już biegnie do bramy.

Facet był niezniszczalny.

Wystarczyło spojrzeć na czołg, by wiedzieć, że dymiąca i osmalona ruina nie stanowi zagrożenia. Nie oznaczało to jednak, że są bezpieczni.

Seichan i Gray dotarli do bramy chwilę przed Kowalskim, który dyszał i sapał. Łapiąc oddech, wskazał palcem najpierw na Graya, potem na Seichan.

– Następnym razem... się tak... cholernie... nie spóźniajcie.

Reszta oddziału była gotowa do ucieczki. I mieli powód, żeby się spieszyć.

W głębi obozu pojawiły się reflektory dżipów i transporterów opancerzonych.

– Czas się żegnać – rzucił Gray.

Jeden z ludzi triady podtoczył Kowalskiemu nowy motocykl i z uznaniem poklepał wielkoluda po szerokich barach.

Główna grupa miała udać się do Pjongjangu ciężarówką, porzucić ją tam, rozproszyć się po mieście, ukryć w przygotowanych bezpiecznych mieszkaniach, a następnie pojedynczo przekraczać granicę z fałszywymi chińskimi dokumentami.

Gray, Kowalski i Seichan mieli jechać inaczej – na motocyklach.

Nie sami.

Podeszła Guan-yin, lekko kuśtykając na prawą nogę. Zhuang obejmował ją w talii, w drugiej ręce trzymał miecz.

Seichan zeszywniała na widok matki, nie było jednak czasu na celebrowanie rodzinnego spotkania. Kanonada z broni maszynowej na to nie pozwalała. Matka i córka wymieniły spojrzenia – niepewnie, jakby ze skrzepowaniem. Zdecydowanie potrzebowały czasu, aby ogarnąć to, co się stało.

Przywódczyni triady podstawiono motocykl. Zhuang wsunął miecz do pochwy na plecach i usiadł z przodu. Guan-yin wspięła się na siodełko za nim, ani na chwilę nie odwracając wzroku od córki.

Reszta oddziału zebrała się przy ciężarówce.

Rozległ się ostatni okrzyk i ciężki pojazd wytoczył się przez wysadzoną bramę. Tuż za nim jechały motocykle. Za terenem więzienia wszyscy szybko przyspieszyli. Po kilkuset metrach od głównej drogi odchodziła biegnąca wzdłuż rzeki ścieżka.

Seichan skręciła w nią, pozostałe dwa motocykle zrobiły to samo.

Obie grupy szybko straciły kontakt. Ciężarówka wracała do Pjongjangu, motocykle pokonywały mokradła nad rzeką Taedong. Rzeka oświetlana jasnymi gwiazdami i światłem komety płynęła do Morza Żółtego, oddalonego o pięćdziesiąt kilometrów.

Seichan raz za razem spoglądała w lusterko wsteczne. Obserwowała matkę, ale nie zwolniła ani na sekundę. Jakby gonił ją upiór mokradeł.

Może i tak było.

Duch matki... zjawą, która nabrała ciała i kształtów.

Połączenie przeszłości i terażniejszości musiało jednak poczekać.

Gray patrzył przed siebie, świadom czekającego ich zadania, które nie było proste. Opuścili obóz, ale przed nimi była jeszcze ucieczka z Korei Północnej.

Jezioro Aralskie, Kazachstan

18 listopada, godz. 19.22 czasu miejscowego

– Chcę coś sprawdzić – powiedziała Jada.

Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy zjechanie z trasy w odludne miejsce, składające się wyłącznie z piasku i tkwiących w nim rdzewiejących wraków, może się na coś przydać. Nigdy nie dostrzegła w historii nic ciekawego i tak samo było z opowiastkami o Attyli i relikwiach Czyngis-chana, jednak krzyż wykuty z meteorytu... O tak, to wzbudzało jej zainteresowanie.

– Z tego, co ojciec nam opowiedział – machnęła dłonią w kierunku Josipa – wynika, że krzyż jest kluczem do uniknięcia katastrofy, która ma nastąpić w dniu zapisanym na czaszce.

Ksiądz skinął głową. Patrzył na wyblakły kalendarz astrologiczny na ścianie. Stylizowane konstelacje i adnotacje astronomiczne sprawiały, że wyglądał, jakby pochodził z czasów Kopernika.

– Za jakieś trzy dni – odparł.

– Zgadza się. – Jada spojrzała na Monka. – Mamy potwierdzenie z innego źródła, sugerujące katastrofę w tym właśnie dniu. Związane z kometą na niebie.

Vigor i Rachele odwrócili się do Monka, by wyjaśnić, co to za „potwierdzenie”, on jednak tylko skrzyżował ramiona na piersi.

Monsignore westchnął, wyraźnie zirytowany.

– Mów dalej – poprosił Jadę. – Powiedziałaś, że wiesz, w jaki sposób ten krzyż może uratować świat.

– To tylko przypuszczenie. Najpierw jednak chcę czegoś spróbować. – Odwróciła się do Duncana.

Gdy wszystkie oczy zwróciły się ku niemu, wyprostował się zaskoczony i zdezorientowany.

– Co jest?

– Mógłbyś odwinąć czaszkę i księgę? – spytała Jada. – I położyć je na stole?

Czekała, aż Duncan wykona polecenie. Jego zaciśnięte wargi wyraźnie sygnalizowały nieprzyjemne odczucie jakie wywoływała konieczność manipulowania artefaktami.

– W dalszym ciągu czujesz energię?

– Jest cały czas. – Duncan potarł o spodnie opuszkami palców, jakby swędziały.

Jada zwróciła się do obu duchownych:

– Jeżeli Czyngis-chan znalazł ten krzyż w grobowcu Attyli, czy mógł nosić go potem przy sobie? Jako talizman?

Vigor wzruszył ramionami.

– Gdy przeczytał relację Ildiko i dowiedział się, jak jest ważny... Uważam, że to dość prawdopodobne.

– Czyngis-chan uważałby to za obowiązek – zgodził się z nim Josip. – Dla ochrony krzyża.

– I może po śmierci również – dodał Vigor, podchodząc do stołu, by uważniej przyjrzeć się relikwiom. – Sugerujesz, że krzyż skaził jego tkanki? Coś jak radioaktywność?

– Nie sądzę, że mamy tu do czynienia z radioaktywnością – odparła Jada, choć ręce ją świerbiły, aby sprawdzić czaszkę za pomocą swoich instrumentów pomiarowych. – Uważam jednak, że krzyż emitował energię, która pozostawiła ślady w ciele Czyngis-chana, zmieniając tkanki, być może na poziomie kwantowym.

– Jaka mogłaby to być energia? – spytała Rachele.

– Ciemna – odparła Jada, zadowolona, że udało się przenieść dyskusję z płaszczyzny historycznej na naukową. – Energia związana z narodzinami naszego wszechświata. Choć to siedemdziesiąt procent całej energii pozostałej po Wielkim Wybuchu, w dalszym ciągu nie mamy pojęcia, czym jest i skąd pochodzi. Wiemy tylko, że jest fundamentalną cechą istnienia. Wyjaśnia, dlaczego wszechświat się rozszerza coraz szybciej, a nie coraz wolniej.

Vigor uniósł brew.

– Sądzisz, że krzyż jest nośnikiem tej energii? Jak... bateria?

– Bardzo upraszczając, tak. Prawdopodobnie. Nie będzie pewności bez zbadania go, ale w tym właśnie się specjalizuję. Moje teoretyczne obliczenia sugerują, że ciemna energia to efekt wzajemnej anihilacji wirtualnych cząstek w pianie kwantowej, wypełniającej każdą przestrzeń i każdy czas we wszechświecie.

Widząc spojrzenia obecnych, przedstawiła prostszą wersję.

– Ciemna energia to podstawowa tkanka czasoprzestrzeni. Siła napędowa mechaniki kwantowej, energia powiązana ze wszystkimi fundamentalnymi siłami we wszechświecie. Z elektromagnetyzmem, słabymi i silnymi siłami nuklearnymi, ze wszystkim, co powoduje przyciąganie się obiektów.

– Jak grawitacja? – spytał Duncan.

Dotknęła jego ramienia, w milczeniu dziękując za potwierdzenie.

– Właśnie. Ciemna energia i grawitacja są ze sobą związane.

Rachele popatrzyła ze zmarszczonym czołem na Monka, po czym zwróciła się do Jady. Instynkt detektywa pozwolił jej przejść prosto do tego, co trzymano w tajemnicy przed nią i jej wujem.

– Spytaam ponownie, by dojść do sedna: dlaczego uważa pani, że krzyż może emitować ciemną energię?

– Ponieważ to samo robi kometa na niebie.

Wszyscy mimowolnie drgnęli. Jada spojrzała na Monka. Przekroczyła linię, uważała jednak, że jest winna Rachele odpowiedź. Coraz bardziej szanowała analityczny umysł Włoszki. Utrzymywanie jej w niewiedzy było głupie.

Monk odpowiedział lekkim wzruszeniem ramion, dając do zrozumienia, że daje Jadzie swobodę.

– Tor lotu komety wykazuje drobne anomalie grawitacyjne, które dokładnie pasują do moich teoretycznych obliczeń – powiedziała, korzystając z przyzwolenia.

– A krzyż? – spytał Josip.

– Z tego, co ojciec mówił, wynika, że wykuto go ze spadającej gwiazdy, czyli z meteorytu.

– Przywołała na ekran wyobraźni deszcz meteorów sfilmowany na Alasce. – Zastanawiam się, czy mógł on być fragmentem tej komety, który spadł na Ziemię przy jej ostatnim przelocie.

Rachele też się nad tym zastanawiała.

– Kiedy to było? – spytała w końcu.

- Około dwóch tysięcy ósmiuset lat temu.
- Czyli osiemsetny rok przed naszą erą... – Włoszka odwróciła się do Josipa. – To pasuje do tego, co wiemy o krzyżu?
- Książd potarł szczecinę na podbródku.
- Ildiko pisze jedynie, że krzyż pochodzi z gwiazdy, która spadła na Wschodzie na długo przed przybyciem tam świętego Tomasza.
- Niestety. Miło byłoby mieć dokładniejsze dane.
- Nagle Josip się wyprostował.
- Chwileczkę! – Zaczął przeglądać zapisane przez Ildiko pergaminy. – Spójrzcie tutaj!

Godz. 19.38

Gdy Josip przesunął jedną z kart na środek stołu, Vigor wstał, aby lepiej się przyjrzeć. Jego przyjaciel postukał palcem rysunek na arkuszu.



- Zdaniem Ildiko takie symbole były wyryte na skrzynkach, w których znajdowały się czaszka i księga.
- Vigor poprawił okulary. Dokładne przyjrzenie się pozwalało rozpoznać trzy symbole przypominające znaki chińskiego pisma. Pod każdym znajdowały się dopiski po łacinie.
- Pochylił się niżej i przeczytał na głos.
- Pierwszy symbol ma dopisek „dwa drzewa”. – Symbol faktycznie przypominał dwa drzewa. – Następny to „rozkaz”. Trzeci: „zakazane”.
- Josip dotknął trzeciego symbolu.
- Zwróćcie uwagę, że to w zasadzie połączenie pierwszego z drugim. Ten oznaczający „zakazane”.
- Vigor też to dostrzegł, ale nie wiedział, jak zinterpretować.
- Przeczytaj to – poprosił jego przyjaciel. – Przeczytaj to, co Ildiko napisała pod symbolami.
- Wersy były jeszcze bledsze, Vigor rozpoznał jednak dwa wersety ze Starego Testamentu – obie z Księgi Rodzaju.
- Przetłumaczył pierwszy na głos.
- „A przy tym Pan Bóg dał człowiekowi taki rozkaz: »Z wszelkiego drzewa tego ogrodu możesz spożywać wedle upodobania; ale z drzewa poznania dobra i zła nie wolno ci jeść, bo gdy z niego spożyjesz, niechybnie umrzesz«”⁵.
- Przeczytał następny werset. Podobnie jak poprzedni, potępiał on jedzenie z drzewa – w tym przypadku z drzewa życia rosnącego w ogrodzie Edenu.
- „Oto człowiek stał się taki jak My: zna dobro i zło; niechaj teraz nie wyciągnie przypadkiem ręki, aby zerwać owoc także z drzewa życia, zjeść go i żyć na wieki”⁶.

Zanim Vigor dokończył zdanie, Josip złapał kartę.

– Najwcześniejsze pismo chińskie używało do wyrażania słów oraz idei obrazów i często łączyło proste znaki w celu formułowania bardziej skomplikowanych koncepcji – powiedział.

Vigor popatrzył na napisany przez Ildiko tekst.

– Ale to sugeruje, że dawni Chińczycy znali Księgę Rodzaju. Znali opowieść o „dwóch drzewach”, które z „rozkazu” Boga były „zakazane” dla człowieka.

– Mam na to inne przykłady. – Josip wstał, podszedł szybkim krokiem do sąsiedniego biurka i zaczął grzebać w znajdujących się tam stosach papierów.

Vigor studiował pozostawione na stole karty, zastanawiając się nad implikacjami tego, co odkryli. Czyżby starożytni Chińczycy posiadali wiedzę o wydarzeniach opisanych w Księdze Rodzaju? Czy oznaczało to potwierdzenie, iż biblijne opowieści naprawdę miały miejsce? Język chiński jest najstarszym żywym językiem pisanym, stosowanym od mniej więcej czterech tysięcy lat.

Wrócił Josip.

– Znalazłem tylko dwa, ale mam znacznie więcej – powiedział.

Położył na stole pierwszy przyniesiony arkusz.

亻 + 果 = 裸
mąż owoc nagi

Chiński znak dla „mąż” połączony z symbolem „owoc” stawał się znakiem „nagi”. Nawet Vigor zgadł, do czego się to odnosi.

Zacytował na głos.

– „Zerwała zatem z niego owoc, skosztowała i dała swemu mężowi, który był z nią; a on zjadł. A wtedy otworzyły się im obojgu oczy i poznali, że są nadzy...”⁷.

Josip energicznie pokiwał głową, odsunął kartę na bok i zastąpił ją inną.

– Tu mamy kolejny przykład.

丩 + 土 + 儿 = 先
żywy proch mężczyzna pierwszy

Przeciagnał palcem po rysunku.

– To są wczesne chińskie symbole „żywy”, „proch” i kolejny wariant „mężczyzny”. Razem tworzą znak „pierwszy”. – Popatrzył oczekująco na Vigora.

– Znowu z Księgi Rodzaju. Chodzi o Adama, pierwszego człowieka, którego stworzył Bóg.

– Z prochu ziemi! – powiedział Josip i postukał w odpowiedni znak. – Mogę ci pokazać więcej. – Sprawiał wrażenie, że jest gotów to zrobić, w oczach migotała mu obsesja, jednak Vigor uniośł dłoń i ściągnął go na ziemię.

– Nie wiem, czy nadmiernie interpretujemy, czy nie, ale jaki to ma związek z pytaniem

doktor Shaw? O datę upadku meteorytu, z którego powstał krzyż świętego Tomasza?

– Ach... przepraszam. Relikwie świętego Tomasza, skrzynki, czaszka, krzyż zostały zrobione przez nestoriańskich kapłanów ze Wschodu. To oni wryli symbole na skrzynkach.

– Nestorianie? – spytała Jada. – Nie bardzo znam się na starożytnych chrześcijańskich sektach.

Vigor uśmiechnął się do niej.

– Nestorianizm rozpoczął się na początku piątego wieku, tuż przed dojściem Attyli do władzy i sławy – wyjaśnił. – Jego twórcą był Nestoriusz, ówczesny patriarcha Konstantynopola. Doprowadził on do podziału w Kościele, wyrażając pogląd, że ludzka i boska natura Chrystusa były oddzielne. Pogląd taki uważano za herezję, co doprowadziło do schizmy. Szczegóły nie są istotne, w każdym razie nestorianizm rozprzestrzenił się potem na Wschód. Do siódmego wieku dotarł do Persji, Indii, Azji Środkowej, a nawet do Chin.

– I właśnie tu dochodzimy do sedna – wtrącił się Josip. – Uważam, że chińskie napisy na relikwiach wykonane przez nestoriańskich kapłanów miały służyć kilku celom.

Vigor spojrział na niego, czekając na wyjaśnienia. Josip przez chwilę wyglądał jednak na zagubionego. Gapił się w przestrzeń. W końcu zebrał się w sobie jakby nigdy nic. Zaczął odliczać na palcach.

– Po pierwsze, uważam, że kapłani chcieli potwierdzić, iż święty Tomasz dotarł do Chin. Po drugie, co wydaje się oczywiste, dać do zrozumienia, iż chińskie pismo, które odkryli na Wschodzie, może potwierdzać prawdziwość Starego Testamentu i świadczy o prawdzie ukrytej w ich starożytnych tekstach. Po trzecie, uważam, że chcieli dać wskazówkę co do niewyobrażalnego wieku krzyża.

Popatrzył znacząco na Jadę.

– W jaki sposób? – spytała.

– Łącząc krzyż z odwołaniem się do Księgi Rodzaju. Sądzę, że nestoriańscy kapłani poznali z ust Chińczyków opowieść o spadającej z nieba gwieździe. O tym, jak meteoryt spadł na Ziemię w starożytnych czasach. W ten sposób dowodzili prastarego pochodzenia krzyża.

Jada w zadumie zacisnęła usta.

– Nie potwierdza to jednak zbieżności w czasie z ostatnim pojawieniem się komety. Nestorianie mogli uważać krzyż za stary, wręcz biblijnie stary, ale to tylko przypuszczenia. Dopóki go nie zbadam, nie będzie dowodu na jego związek z kometa.

Vigor skinął głową.

– Co stawia nas przed poważnym pytaniem: Gdzie jest ten krzyż?

Godz. 19.55

Duncan słuchał dyskusji jednym uchem. Wolał bawić się leżącymi na stole relikwiami. Jedni nie mogą przestać drapać strupa, a on nie był w stanie przestać badać emanującej z przedmiotów dziwnej energii.

– Krzyż musi być w grobowcu Czyngis-chana – upierał się przy swojej wersji Josip. – Znajdziemy grobowiec, znajdziemy krzyż.

– Prawdopodobnie masz rację – zgodził się *monsignore*. – Jeżeli rozmieszczenie jego kości i kawałków ciała jest ścieżką, to powinna ona zaprowadzić nas do jego grobowca.

Duncan przesuwiał dłonie nad sklepieniem czaszki, a opuszki jego palców rejestrowały coś

niezwykłego. Kiedy pomyślał o teorii Jady, że to ciemna energia, dostał na przedramionach gęsiej skórki. Wykształcenie w zakresie fizyki i elektroinżynierii pozwoliło mu zrozumieć obliczenia Jady zawarte w aktach, które przeczytał przed misją. Były tak eleganckie i seksowne jak kobieta, które je przeprowadziła.

Czując chłodny dreszcz, odsunął czaszkę na bok i przeniósł dłonie nad księgę.

Vigor krążył wokół stołu.

– Przez wszystkie te lata szukałeś grobowca, prawda? – zwrócił się do Josipa.

– Po znalezieniu relikwii nie byłem w najlepszym stanie umysłu. Wstyd, strach, paranoja... wpadłem w spiralę szaleństwa. Potrzebowałem miejsca, gdzie mógłbym w spokoju myśleć. Wziąć się w garść.

Nie trzeba było psychiatry, aby dostrzec, jak ciężka jest choroba psychiczna księdza. Był kłębką emocjonalnych ułomności.

– To miejsce było idealne na zniknięcie z powierzchni Ziemi – wyjaśnił. – Mogłem tu pracować w spokoju. Chciałem tu żyć na wygnaniu, kryć się we własnym klasztorze, w którym nikt mnie nie niepokoił.

– Jeśli chciał ojciec być sam, wybrał ojciec do tego cholernie dobre miejsce – stwierdził Monk. – Bliżej tu do krańca świata niż gdziekolwiek indziej.

– Nad Jezioro Aralskie ściągnął mnie nie tylko dystans do świata. Może z początku, potem jednak w głębi rozgorączkowanego umysłu coś zaczęło się wiązać, choć długo trwało, nim dotarło do mojej świadomości, o co chodzi. Jak wiele razy w moim życiu, okazało się, że fazy maniackalne mojej choroby mają korzyści.

Zaburzenie dwubiegunowe, uświadomił sobie Duncan. Powinien zauważyć to wcześniej. Miał na uczelni kolegę, który cierpiał na to samo. Nielekki krzyż do niesienia przez życie.

– Jakie dostrzegłeś powiązania? – spytał Vigor.

Josip wskazał na relikwie.

– Tu mamy czaszkę Czyngis-chana. Po oku na okładce ewangelii widać, że oprawiono ją w skórę z jego twarzy i głowy.

Słyszając, nad czym unoszą się jego dłonie, Duncan mimowolnie drgnął. Makabryczna ciekawość przyciągała jednak jak magnes i pochylił się, by dostrzec oko na okładce.

– Innymi słowy, relikwie pochodzą z miejsc powyżej szyi Czyngis-chana – powiedział Josip.

– Oczywiście – mruknął Vigor. – Nie zauważyłem tej korelacji.

– Czasami odrobina szaleństwa pomaga. Trafiłem tu w maniackalnej fazie, a dopiero później uświadomiłem sobie dlaczego. To znaczy, dlaczego miałem się tu znaleźć.

– Nie rozumiem.

– Moim zdaniem jest więcej relikwii. Nie tylko te dwie.

– Więcej elementów ścieżki prowadzącej do celu – wtrąciła Rachele.

– Syn Czyngis-chana pozostawił na Węgrzech relikwie zrobione z głowy ojca, zaznaczając zachodnie granice imperium, które po nim odziedziczył. Dlaczego jednak tylko dwie? Dręczyło mnie to długo i z biegiem czasu sformułowałem inną teorię, moim zdaniem prawidłową. Uważam, że Czyngis-chan polecił synowi, aby jego grobem stał się cały ówczesny znany świat. Aby jego duch objął mongolskie imperium od krańca do krańca.

– Pasowałoby to do Czyngis-chana – zgodził się Vigor. – Więc z jednego końca umieścił głowę...

– Na Węgrzech, w grobowcu Attyli – uściślił Josip. – A następną część?

– Tutaj? – spytała Jada.

Ksiądz skinął głową.

– Podczas panowania Czyngis-chana rejon wokół Jeziora Aralskiego stanowił zachodnią granicę mongolskiego imperium. To bardzo ważne miejsce, więc wydało mi się naturalnym terenem poszukiwań.

Vigor rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Cały czas szukałeś zaginionych relikwii?

– To duży obszar. Na dodatek po wyschnięciu jeziora drastycznie się zmienił. – Josip odszedł na chwilę. Wrócił z mapą i rozwinął ją na stole. – To mapa ukazująca niegdysiejsze Jezioro Aralskie.

Duncan wyprostował się i popatrzył na rysunek ogromnej połaci wody. Po chwili uzmysłowił sobie jednak coś dziwnego i ponownie skupił uwagę na księdze.

– „Aralskie” oznacza „wyspaw” – wyjaśnił ksiądz. – Kiedyś znajdowało się na nim ponad tysiąc pięćset wysp. Uznałem, że następna relikwia Czyngisa powinna się znajdować na którejś z nich.

– Więc przeszukiwałeś je po kolei?

– Nie sam. – Josip skinął głową w kierunku Sandzara.

– Jak ojciec płacił pomocnikom? – spytał Monk.

Dobre pytanie.

Ksiądz wbił wzrok w podłogę, najwyraźniej wolał nie odpowiadać.

Uratował go *monsignore*, który się tego domyślił.

– Wspomniałeś o tym, że węgierski biskup znalazł w grobowcu Attyli „wizytówkę” z imieniem Czyngis-chana. Złotą osłonę nadgarstka z wizerunkami Feniksa i demonów.

Josip jakby zapadł się w sobie.

– Sprzedałem ją. Kupcowi z Mongolii. Bogaczowi, który chciał to włączyć do swojej kolekcji. Przynajmniej ta pamiątka zostanie zachowana.

Rachele, specjalistka w zakresie zwalczania czarnorynkowego handlu antykami, zmarszczyła w zadumie czoło.

– Komu ojciec to sprzedał?

Josip ociągał się z odpowiedzią.

– W tej chwili to mało ważne – przyszedł mu z pomocą Vigor.

– Proszę nie obwiniać tego kupca – powiedział Josip. – To ja podjąłem decyzję o sprzedaży, a on kupił, by chronić historię swego kraju.

– Jeśli prawdą jest, że następny element ścieżki znajduje się w pobliżu, nie bardzo widzę szansę, byśmy znaleźli go na czas – rzekł Monk, wracając do głównego wątku. – To szukanie igły w stogu siana.

– Czekałem zbyt długo – przyznał Josip.

– Więc może powinniśmy kontynuować podróż do Mongolii – zasugerowała Jada z nadzieją w głosie.

Gdy trwały przekomarzanki, Duncan wykorzystywał czas na badanie księgi. Przed zabraniem głosu zamierzał się upewnić.

Zadowolony z wyniku, zatrzymał palec nad okładką księgi.

– *Monsignore* Verona... Vigorze... to tu znajduje się oko?

Włoch podszedł bliżej i spojrzał Duncanowi przez ramię.

– Tak. Trudno je dostrzec. Mnie się udało dopiero za pomocą lupy.

Duncan powiódł palcem nad księgą, zaznaczając zakres pola energii. Nad okiem uniośł palec, a kiedy przestał wyczuwać energię, opuścił go.

– Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale nad okiem energia jest silniejsza. Czuję jej narastanie. Bardzo wyraźne.

Vigor zmarszczył czoło.

– Jaki mógłby być tego powód?

Jada podeszła do Duncana, niosąc ze sobą zapach kwiatu jabłoni.

– Powiedziałaś, że czaszka emanuje silniejszą energią niż skóra na księdze, co uznałam za odzwierciedlenie masy. Więcej masy, więcej energii.

Duncan skinął głową. Podobało mu się, gdy Jada mówiła o sprawach naukowych.

– Musi to oznaczać, że środek okładki ma większą masę niż inne miejsca na powierzchni.

– O czym wy mówicie? – spytał Vigor.

Duncan odwrócił się do niego.

– Pod okiem coś schowano.

Ojciec Josip westchnął.

– Nie wpadłem na to, aby tam zajrzeć. Prześwietliłem księgę promieniami rentgena, ale nie ujawniły niczego odbiegającego od normy.

Jada wzruszyła ramionami.

– Jeśli to tkanka miękka, podobna do skóry, rentgen miał prawo nic nie wykazać.

– Musimy otworzyć oko – rzekł Monk.

Vigor odwrócił się do swego przyjaciela.

– Idę po narzędzia – rzekł Josip i oddalił się.

– Powinienem uwzględnić taką ewentualność – stwierdził Vigor. – Głównym przekazem ewangelii Tomasza jest to, że droga do Boga pozostaje otwarta dla każdego, kto się rozgląda. Szukajcie, a znajdziecie.

– Wystarczy otworzyć oczy – dodała Rachele.

Josip wbiegł z nożem, ze szczypcami i z kleszczami, gotów do wykonania zabiegu.

Duncan odsunął się, robiąc miejsce jemu i Vigorowi. Archeologowie zaczęli od przecięcia nitki, którymi przed wiekami zaszyto powiekę. Była zbyt sucha, aby ją otworzyć, więc z wielką ostrożnością zrobili wokół koliste nacięcie i odłożyli powiekę na bok jak klapkę.

– Podaj mi... – poprosił Vigor z czcią w głosie.

Josip podał mu lupę.

– Dziękuję.

Monsignore pochylił się nad wyciętym otworem.

– Widzę coś, co wygląda na zaszuszoną brodawkę. Moim zdaniem to cienki skrawek zmumifikowanego języka.

– Super... – Jada z jękiem cofnęła się o krok. Granica jej naukowej ciekawości została osiągnięta.

– Wytatuowany – dodał Josip. – Chodźcie zobaczyć.

Duncan pochylił się i patrzył przez trzymane przez Vigora szkło powiększające. Na powierzchni tkanki widać było wykonany czarną kreską rysunek.

– To mapa! – zawołał, rozpoznając podobieństwo z mapą, którą kilka minut wcześniej pokazał Josip. – Mapa Jeziora Aralskiego.

– Zachowana na języku? – Rachele była nie mniej zdegustowana niż Jada.

Josip popatrzył w jej kierunku. Jego twarz pałała gorączkową fascynacją.

- Czyngis-chan mówi nam, dokąd mamy się udać.
- Jedna z wysp jest wytatuowana na czerwono i podpisana słowem *equus* – wyjaśnił Vigor.
- To po łacinie „koń”.
- Mongołowie niezwykle cenili konie – powiedział jego przyjaciel. – Były dosłownie krwią życia jeźdźców. W trakcie długich wypraw wojownicy często pili krew swoich wierzchowców albo fermentowali mleko klaczy, wytwarzając *airag*, napój o sporej zawartości alkoholu. Bez koni...
- Uwagę wszystkich ściągnął nagły hałas przy wejściu.
- Josip zeszywniał, ale rozluźnił się jednak natychmiast na widok wysokiej przygarbionej postaci, która weszła do środka. Szeroko się uśmiechnął.
- Wróciłeś! Co za wyczucie czasu! Mamy fantastyczne wieści!
- Ksiądz podbiegł do młodego człowieka i go objął. Przybysz w luźnych spodniach i kożuszkę wyglądał na młodszego brata Sandżara, z tym że nie miał sokoła.
- Josip zaprowadził go do stołu.
- Proszę państwa, oto mój przyjaciel i szef kopaczy. – Poklepał młodzieńca po ramieniu. – Nazywa się Arslan.

Ułan Bator, Mongolia

8 listopada, godz. 22.17 czasu miejscowego

Batuchan, w grubym szlafroku i kapciach, stał pośrodku galerii. Ostatni kwadrans spacerował między swoją kolekcją dzieł sztuki, co często robił, gdy chciał się nad czymś zastanowić.

Posiadał skarby ze wszystkich złotych epok w historii Mongolii: kosztowności, maski pogrzebowe, instrumenty muzyczne, wyroby garncarskie. Jedną ścianę zajmowały antyczne łuki mongolskich wojowników: zarówno krótkie, pozakrzywiane jak sinusoida, wykonane z rogu i ze ścięgien, przeznaczone do użytku dla konnych, jak i wielkie potrójne, używane do zdobywania otoczonych murami miast. Miał też wiele innych narzędzi do walki: topory bojowe, bułaty, włócznie.

Zbiór nie służył jedynie do oglądania.

Batuchan spędzał wiele godzin na otaczających miasto stepach, gdzie z innymi członkami klanu Błękitnego Wilka – na koniu, w tradycyjnym jedwabnym stroju, pancerzu z impregnowanej lakierem skóry i hełmie zwieńczonym żelaznymi ozdobami – szkolił się w walce w taki sam sposób, jak robiono to przed wiekami. Podobnie jak jego ludzie, posługiwał się sprawnie zarówno lekkim, jak i ciężkim mongolskim łukiem.

Popatrzył kolejny raz na kolekcję. Aby zmieścić rozrastające się zbiory, przerobił górne piętro swojego penthouse'a w prywatne muzeum. Panoramiczne okna wychodziły na jasno oświetlony plac Sükhbaatara, przy którym stoi budynek parlamentu. Za nimi roztaczał się widok na rozgwieżdżone nocne niebo z wiszącą na nim kometą.

Batuchan skupił uwagę na walizeczce ze złotą bransoletą. Z wyrytym na niej osaczonym przez demony Feniksem. Z jednej strony miała zawias pozwalający założyć ją na nadgarstek. Kupił to cudo od ojca Josipa Tarasco, którego wtedy uważał za handlarza antyków, wariata osiadłego na pustyni.

Ksiądz okazał się jednak kimś całkiem innym.

Podobnie jak reszta zbioru, mająca chronić nadgarstek bransoleta nie służyła tylko do oglądania. Batuchan czasami zakładał ją z dumą i nosił, przebywając wśród braci, świadom, że kiedyś zdobiła rękę samego Czyngis-chana.

Aby cieszyć się tym przywilejem, szczerze zapłacił za złotą relikwię, ksiądz natychmiast jednak roztrwonił pieniądze. Zamienił je na setki dziur w soli i piachu.

Co za marnotrawstwo!

Wreszcie zadzwonił telefon w kieszeni Batuchana. Wyjął go i przeszedł do sedna, nie marnując czasu na powitania.

– Dotarłeś do Josipa? Włosi przyjechali?

Dzwoniący był przyzwyczajony do jego szorstkich manier i odpowiadał podobnie zdawkowo. Batuchan wyobraził sobie młodego człowieka chowającego się po kątach

z telefonem satelitarnym.

– Są, razem z trójką Amerykanów.

– Archeologowie?

– Nie sądzę. Wyglądają po wojskowemu, przynajmniej mężczyźni.

– Będzie jakiś problem?

– Nie, moi ludzie uwzględnili ich w naszych planach. Jesteśmy prawie gotowi. Chciałem tylko powiedzieć, iż ojciec Josip uważa, że odkrył ważny trop wskazujący, gdzie znajduje się grobowiec wielkiego chana. Wszyscy są bardzo podnieceni i zdecydowani wyruszyć dziś w nocy na poszukiwania.

Ważny trop...

Batuchan spojrział w głąb swojego muzeum. Było jedynie bladym cieniem prawdziwych bogactw, mogących się znajdować w zaginionym grobowcu Czyngis-chana.

– Dowiedz się, co to za trop. I niech szukają. Jeśli cokolwiek odkryją, zabezpiecz to. Potem... albo jeżeli nic nie znajdą, działaj tak, jak zostało zaplanowane. Zakop wszystkich pod tym zardzewiałym statkiem.

– Tak będzie.

Batuchan w to nie wątpił.

Arsłan nigdy go nie zawiódł.

Nad rzeką Taedong, Korea Północna
18 listopada, godz. 23.22 czasu koreańskiego

Gray prowadził brzegiem rzeki. Wszystkie trzy motocykle jechały ze zgaszonymi reflektorami. Wysokie bagienne trawy i kępy wierzb osłaniały ich ucieczkę z Pjongjangu do wybrzeża Morza Żółtego, ale nie świecił księżyc i drogę oświetlały jedynie gwiazdy oraz kometa, więc posuwali się do przodu rozpaczliwie powoli.

Sytuację komplikował stan barku Graya. Pół godziny wcześniej Seichan zatrzymała wszystkich na chwilę, by skorzystać z apteczki. Gdy pozostali trzymali straż z przodu i z tyłu, oczyściła ranę i zabandażowała ją, a Graya naszprycowała środkami przeciwbólowymi i antybiotykami.

Przynajmniej tyle mogła zrobić.

Na szczęście pocisk nie uszkodził kości ani tętnicy. Gdy analgetyki stłumiły najgorszy ból, Gray przejął nawet prowadzenie motocykla, aby ramię nie zeszywniało z zimna. Nie wiadomo było, co ich czeka na wybrzeżu.

Z lewej strony, w rzece Taedong, odbijały się gwiazdy. Płynie ona szerokimi zakolami z gór na północy, przecina stolicę i dociera do morza. Starali się w miarę możliwości omijać nieliczne na szczęście fabryki i trzymać się lokalnych dróg.

W oddali jaśniały światła miasta Namp'o znajdującego się u ujścia rzeki. Właśnie tam musieli dotrzeć. Pełna kolein wiejska droga rozwidlała się. Jedna odnoga oddalała się od rzeki.

Zwolnił, aby spojrzeć na GPS na nadgarstku. Choć w prostej linii z Pjongjangu do wybrzeża jest tylko pięćdziesiąt kilometrów, to jeśli się jedzie po ciemku motocyklem wijącymi się błotnistymi i żwirowymi drózkami, można odnieść wrażenie, że przynajmniej dziesięć razy tyle.

Dotarli prawie na miejsce, nie wolno im jednak było popełnić błędu. Musieli przybyć punktualnie na spotkanie na plaży. Mieli tylko jedną szansę.

Gray wskazał przed siebie – nawet tak lekki ruch powodował ból – i zawołał do pozostałych:

– Tędy! Powinna nas doprowadzić prosto nad morze!

Dodał gazu, skręcił i ruszył we wskazanym przez siebie kierunku. Ciąg dziur i głązów trudno było nazwać drogą. Starali się jechać jak najdelikatniej. Na szczęście pobocze okazało się nieco twardsze i nie aż tak bardzo rozorane przez traktory i inne maszyny rolnicze.

Nadchodziła zima, więc ciągnące się po horyzont pola były puste, wszędzie widniały szeregi lekko zmrożonych skib. Po obu stronach drogi biegły zwoje drutu kolczastego.

Gray czuł się wyeksponowany jak na oświetlonej scenie.

Nawet warkot silników motocykli jakby zrobił się głośniejszy, odbijał się echem od pustych pól. Na szczęście zostało już tylko kilka kilometrów do celu.

W tym momencie pojawił się nowy odgłos: charakterystyczne DUMP DUMP DUMP.

Zwolnił, aby się rozejrzeć, i zaczął lustrować niebo.

Seichan, trzymająca się jego zdrowego ramienia, wskazała na południowy wschód. Nad nagimi polami sunął mroczny cień, niewyraźnie odcinający się od poświaty nad Namp'o.

Helikopter bez świateł.

Nie zgasiłby ich, gdyby jeszcze szukał celu. Leciał bez świateł, aby go jak najpóźniej dostrzeżono.

Zostali odkryci.

Albo ktoś w Pjongjangu zdradził trasę ich ucieczki, albo jakiś wieśniak doniósł, że widział trzy pędzące przez noc motocykle. Tak czy owak, przed helikopterem nie było ucieczki.

Wojskowa maszyna na pewno miała noktowizory, więc jazda w ciemności niewiele dawała. Gray zapalił reflektor. Teraz zadecyduje prędkość.

– Trzymajcie się mnie! – krzyknął.

Ciemność rozświetliły reflektory pozostałych dwóch motocykli. Niemal równocześnie zapaliły się światła nawigacyjne helikoptera. W dół wystrzelił także promień szperacza i zaczął sunąć po polu w ich kierunku.

Gray trzymał się skraju wyboistej drogi. Kowalski wjechał na przeciwległe pobocze, tuż za nim trzymali się Zhuang i Guan-yin. Nie mieli czym wyeliminować helikoptera z walki. Rakiety zużyli w obozie, a ciężki sprzęt odjechał na ciężarówce.

Seichan odwróciła się i uniosła karabinek. Ściskając siodełko udami, wycelowała i puściła krótką serię.

Helikopter rozbijał się, choć nie z powodu odniesionych szkód, ale wynikającej z zaskoczenia reakcji pilota.

Pozwoliło to jednak uciekinierom nieco zwiększyć dystans.

Kowalski wskazał w prawo, na dużą grupę budynków gospodarczych. Jadąc między zwojami drutu kolczastego, nie mieli pola manewru, żadnej możliwości ucieczki przez nacierającym helikopterem. Jedyńm ratunkiem było wjechanie na otwarty teren.

– Ruszamy! – krzyknął Gray.

Motocykle znalazły się na terenie gospodarstwa. Minęły przykryty kratą rów i dotarły do wysypanego żwirem placu. Jeden jego bok ograniczały obory, drugi – baraki i warsztaty. Za placem zaczynały się zagrody i pola. Całość wyglądała jak potężny kołchoz.

W oknach zaczęły się zapalać światła, oświetlając głowy za szybami. Na widok tego, co się dzieje, ludzie szybko jednak zaciągali zasłony i chowali się w głębi domów.

W lusterku wstecznym motocykla Graya migotały światła helikoptera. Nurkował na nich. Jeszcze kilka sekund, i będą go mieli na głowie.

– Tędy! – wrzasnął i skręcił ostro w lewo.

Pomknął w kierunku otwartych wrót jednej z obór. Musieli się schować. Jakby dla podkreślenia takiej potrzeby rozległ się terkot karabinu maszynowego. Pilot postanowił upolować zwierzynę, zanim schowa się do kryjówek.

Seichan puściła serię w kierunku helikoptera, niemal równocześnie to samo zrobiła Guan-yin. Matka i córka starały się dawać odpór, choć szanse na sukces miały iluzoryczne.

Motocykl Graya wjechał do obory i skrył się w mroku. Po chwili obok stały dwa pozostałe.

Helikopter wzniósł się i przeleciał nad budynkiem, na drugą stronę, by zabezpieczyć drugie wrota.

Obora była długa i szeroka. Panowała w niej przemysłowo-sowiecka atmosfera masowej produkcji. Z lewej strony biegł długi szereg mechanicznych doजारek, z prawej znajdowały się

boksy. W każdym tłoczyło się kilka krów, gapiących się na intruzów wielkimi błyszczącymi oczami i muczących z niezadowolenia, że zaburzono im spokój.

Gray oszacował, że jest tu przynajmniej sto sztuk bydła. Przez otwarte wyjściowe wrota po obu stronach widać było wielkie zagrody zapchane kolejnymi stadami krów. Smród był taki, że jeszcze kilka minut, a umrą nawet nieostrzelani.

Motocykle stały mniej więcej w połowie długości obory. Helikopter krążył w górze, groźnie waląc łopatami, i czekał, którymi wrotami uciekinierzy postanowią iść.

A oni musieli jechać dalej. Nie mogli zostać długo w tym miejscu – na pewno zbliżało się już wsparcie dla tych, którzy ich ścigali.

Było to jednak najmniejsze ich zmartwienie.

Gray popatrzył na zegarek. Dochodziła północ. Jeżeli nie dotrą na plażę w ciągu kilku minut, wszystko przestanie się liczyć.

– Co robimy? – spytał Kowalski.

Gray wyjaśnił.

Kowalski zbladł.

Godz. 23.41

Instruuując grupę, Gray wiedział jedno: nie ma wyboru.

Przez lornetkę sprawdził teren za polami. W odległości mniej więcej czterystu metrów zaczynały się drzewa. Gdyby tam dobiegli, nadmorski las powinien dać osłonę wystarczającą na dotarcie do plaży. Powinni wtedy zdążyć na spotkanie.

Oznaczało to jednak konieczność opuszczenia obory.

– Do roboty! – rozkazał Gray.

Wszyscy zsiadli z motocykli i zabrali się do otwierania krowich boksów. Zaczęli od środka i przesuwali ku obu końcom pomieszczenia. Klepiąciami w żebra wyganiaли krowy do przejścia. Zwierzęta nawykły wychodzić z boksów na dojenie, więc nie było to zadanie zbyt trudne.

Gray kazał wsiadać na motocykle. Ryk zapalanych silników sprawił, że tłoczące się krowy ruszyły ku wyjściu. Aby je popędzić, Seichan puściła krótką serię w blaszany dach. Hałas natychmiast poskutkował.

Głośno rycząc, krowy rzuciły się do ucieczki. Z braku miejsca zderzały się ze sobą, co korzystnie nasilało panikę.

Gray ruszył za tą częścią stada, która parła ku tylnym wrotom obory. Pozostałe motocykle trzymały się za nim. Jechali po ciemku, schowani w spanikowanym stadzie.

Zdezorientowany pilot helikoptera przelatywał to na jedną stronę obory, to na drugą, nie bardzo rozumiejąc, co się dzieje.

Ukryte między krowami motocykle wystrzeliły w noc. Helikopter znajdował się w tym momencie po przeciwnej stronie obory, wracał już jednak, szukając uciekinierów szperaczem.

Po wjechaniu na otwarty teren Gray odbił w lewo, Zhuang w prawo. Seichan i jej matka zeskoczyły z sodełek i ruszyły otwierać wrota zagród.

Panika pierwszego stada udzieliła się kolejnym uwięzionym zwierzętom. Były nerwowe, waliły kopytami w ziemię. Niepokój w zagrodach rozprzestrzenił się jak ogień.

Każde otwarcie wrót sprawiało, że narosłe w środku napięcie natychmiast wypychało

zwierzęta na zewnątrz i wybiegały, pociągając za sobą następne. Instynkt stadny działał – każda grupa, która znalazła się na zewnątrz, ruszała za czołówką.

W ciągu kilku sekund strumień krów zmienił się w szeroką rzekę.

Kowalski stanął, przechylił motocykl i podparł się nogą. Kobiety wracały już do swoich maszyn, a on celował w górę, opierając karabin o bark.

Helikopter krążył tuż nad łbami zwierząt. Łoskot jego łopat ogłuszał. Ruch zasysanego przez łopaty powietrza i hałas potęgowały panikę stada. Efekt nasilało oślepiające światło szperacza.

Kowalski strzelił.

Eksplodowało tłuczone szkło i zapadła ciemność.

Zaskoczony pilot odbił w bok.

Motocykle ruszyły ze stadem. Pochyleni nisko ludzie jechali na zaciemnionych pojazdach pośrodku oszalałego kłębowiska cielsk, gnającego ku otwartej przestrzeni – coraz dalej od obór, coraz bliżej lasu.

Gray starał się unikać kolizji z nabitymi mięśniami towarzyszy ucieczki, ale jego uprzejmość nie była odwzajemniana. Kilka razy dostał ogonem, na szczęście udawało mu się utrzymać kurs przez zamrożone pola.

Pozostałe dwa motocykle jechały tuż za nim.

Helikopter krążył nad oborą, pilot bez wątpienia nie mógł pojąć, gdzie zniknęły motocykle. Dopiero po chwili ruszył nad pola, w tym jednak momencie stado już zdążyło się rozbiec we wszystkich możliwych kierunkach.

Pilot nie poddawał się. Krążył nad bydłem i walił z karabinu maszynowego.

Szkoda było zwierząt, ale uwzględniając warunki, w jakich przebywały, śmierć może była lepszym wyjściem. Przynajmniej na chwilę zaznały smaku wolności.

Gdy dotarli do lasu i zwolnili, Kowalski popatrzył na rzeź.

– Pieprzone skurwiele – rzucił.

Ta ucieczka drogo ich kosztowała, nie mogli zmarnować poniesionych ofiar.

Przejechali przez las do drogi. Korzystając z GPS-u, Gray prowadził w karkołomnym tempie. Wkrótce wyjechali na szeroką kamienistą plażę.

Rozejrzeli się po brzegach zatoczki, ochlapywanych przez drobne fale. Gwiazdy oświeślały teren zimnym światłem.

Było pusto.

– To tutaj? – spytał Kowalski.

Gray skinął głową. Oby nie okazało się, że się spóźnili. Z bagażnika motocykla wyjął flarę, zapalił ją i rzucił na plażę.

Zamigotało zielone światło.

Modlił się, aby ktoś je dostrzegł.

Niestety, dostrzegł nie ten, co trzeba.

Znad lasu po prawej stronie wystrzelił północnokoreański helikopter. Wyleciał nad wodę, po czym zawrócił ku brzegowi, kierując się ku flarze. Ożyły karabiny maszynowe.

Ledwie pierwsze pociski zdążyły zryć brzegi zatoki, z mroku nocy wystrzelił snop ognia i rozległ się wściekły gwizd. W bok północnokoreańskiego helikoptera uderzył pocisk raketowy klasy Hellfire i eksplodował, zamieniając go w płonący wrak.

Kuląc się przed falą uderzeniową, Gray patrzył, jak płonące szczątki spadają na las, a osmalony kadłub wpada ciężko do morza.

Zanim umilkło echo wybuchu, zza zasłony dymu wyleciał mały helikopter. Zawisł nad plażą. Był to nowy model „niewidocznej” maszyny, miniaturowa wersja amerykańskiego blackhawka. Składał się z umieszczonych pod ostrymi kątami płaskich powierzchni, co miało dezorientować radary.

Eksplozja na pewno zostanie jednak zaraz zauważona.

Helikopter, z którego wyrzutni rakiet jeszcze leciał dym, opadł na plażę. Otworzyły się boczne drzwi.

Evakuację zorganizowała im Kat Bryant. Zgodnie z planem „niewidoczny” helikopter wystartował z amerykańskiego okrętu stacjonującego na wodach terytorialnych Korei Południowej i przeleciał do celu tuż nad powierzchnią morza. Kat ostrzegła, że to jednorazowa okazja, wymagająca idealnego zgrania w czasie. Północni Koreańczycy nie dadzą się nabrać po raz drugi.

Grupa wspięła się do helikoptera i jeden z członków załogi zatrzęsął boczne drzwi. Helikopter natychmiast skierował się nad morze i zaczął oddalać od Półwyspu Koreańskiego. Sunęli tuż nad lustrem wody, łopaty wirnika szeptały w mroku nocy.

Gray zapiął pasy i spojrzał w kierunku brzegu, oceniając ryzyko, jakiego się podjęli, i straty. Gdy opadł na oparcie fotela, Guan-yin wyciągnęła rękę do Seichan.

Po raz pierwszy od kilkadziesiąt lat matka delikatnie dotknęła policzka córki.

Gray odwrócił się i zapatrzył przed siebie.

Było warto.

Jezioro Aralskie, Kazachstan

18 listopada, godz. 21.41 czasu miejscowego

Gdy eurocopter startował w chmurze piachu i soli, Rachele z niepokojem przyglądała się wujowi, który zapamiętale dyskutował z Josipem. Siedzieli obok siebie, niemal stykając się głowami – jak pobudzeni uczniacy przed wycieczką krajoznawczą. Tyle tylko, że już nie byli chłopcami.

Zwłaszcza Vigor.

Sprawiał wrażenie silnego, ale wiek zaczynał kruszyć mocną fasadę. Rachele dostrzegła to choćby w chwili, gdy wsiadał do helikoptera. Jeszcze niedawno wskoczyłby rażno do środka, a teraz potrzebował pomocy. Jej uwagę zwracało sporo drobiazgów, a w ostatnich miesiącach nawet o kilku wspomniała, zbywał jednak jej troski, zwalając wszystko na to, że zamiast w terenie, spędza czas za biurkiem. Zasugerowała, że może warto by było nieco odpuścić, zredukować obowiązki w Watykanie, przypominało to jednak prośbę do rozpędzonego pociągu towarowego, aby zwolnił.

W trakcie wyprawy jej niepokój jeszcze się nasilił. Ostatnio nie widywała wuja tak często, jak by chciała, spotykali się tylko w wakacje albo na sporadycznych rodzinnych posiłkach, teraz jednak, po spędzeniu razem doby, zaczęła się obawiać, że to nie tylko sprawa wieku. W uniwersyteckim gabinecie wuja zwróciła uwagę na ciemne kręgi pod jego oczami, potem dostrzegła cięższy oddech i to, że łapie się za lewy bok. Za każdym razem, gdy zauważał, że jest obserwowany, szybko jednak opuszczał rękę.

Coś ukrywał.

Przerażało to Rachele bardziej niż koniec świata.

Po śmierci jej ojca w wypadku samochodowym Vigor wypełnił pustkę w życiu Rachele. Troskliwie się nią zajął – zwiedzali rzymskie muzea, jeździli do Florencji, nurkowali na Capri. Nauczył ją, że w życiu należy realizować swoje pasje i że nie wolno jej zadowalać się mniejszymi celami tylko dlatego, że jest kobietą. Zaszczepił w niej szacunek oraz miłość do historii i sztuki, nauczył dostrzegać zakłete w marmurze i granicie, oleju na płótnie, szkłe i brązie najwspanialsze osiągnięcia ludzkiego ducha.

Jak mogła nie chcieć go chronić? W Rzymie strach sprawił, że najchętniej by go gdzieś zamknęła, osłoniła nawet wbrew jego woli, ale kiedy go teraz obserwowała, uśmiechniętego i podekscytowanego, uświadomiła sobie, że byłby to błąd. Nie wiadomo, ile jeszcze pozostało im wspólnych lat, jasne było jednak, że nadszedł czas, aby to ona wzięła go pod opiekę, dawała mu siłę i trzymała przy życiu.

Podarował jej świat, w którym się odnalazła, i nie miała prawa odbierać mu jego świata.

Skierowała wzrok na zdegradowany krajobraz w dole. Helikopter oddalił się od zardzewiałego statku i kierował na północ, nad jeszcze bardziej surowe i dzikie okolice. Księżycowe światło zamieniało spieczoną solną płaszczyznę w nieskończoną płachtę srebra,

przerywaną jedynie przez głazy, rozpadające się kadłuby kolejnych statków i sporadyczne kredowe pagórki.

Wyobraziła sobie, jak woda ponownie wypełnia nieckę i zalewa równinę, a wzgórza zamieniają się w wyspy. Lecieli do takiego miejsca, znajdującego się około czterdziestu kilometrów na północny wschód – samotnego atolu w oceanie piachu i wyschniętej soli. Na podstawie mapy wytatuowanej na skrawku języka martwego zdobywcy.

Czuła, jak wbrew woli zapala się w niej iskierka takiego samego podniecenia, jakie odczuwał wuj. Co mogą znaleźć? Wszyscy wyglądali na rozentuzjasmowanych – nawet zwykle opanowana Jada Shaw. Siedziała przy oknie z Duncanem, nowym agentem Sigmy, równie młodym jak ona. Zapach emanował z obojga jak światło.

Monk przyłapał ją na podglądaniu i uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć: „Przypomnij sobie, jak to było, kiedy mieliśmy tyle lat, co oni”. Zostawił w domu dwie córki i kochającą żonę i z dumą nosił swe blizny. Nawet proteza dłoni była jak medal.

Rachele opadła na oparcie, szczęśliwa, że jest wśród takich ludzi. Dotyczyło to nawet Sandżara, trzymającego sokoła na przysuniętym do ciała nadgarstku. Ptak był przepięknie upierzony – rysunek olśniewających srebrnobiałych piór podkreślały pasemka czerni i ciemnej szarości.

Sandżar zauważył jej zaciekawienie i skinął głową.

– Co to za gatunek? – spytała.

Ucieszony zainteresowaniem, wyprostował się.

– Białożór. *Falco rusticolus*. Jeden z największych z rodziny sokołowatych.

– Jest piękny.

Sandżar uśmiechnął się, ukazując śnieżnobiałe zęby.

– Lepiej, żeby tego nie słyszał. Już jest wystarczająco zadufany w sobie.

– Ale siedzi spokojnie.

Młodzieniec wskazał na tuftowany kaptur.

– Jeśli ptak nic nie widzi, nie wie, jak się poruszać. Zakapturzony sokół pozostanie nieruchomy, ufając sokolnikowi. Kiedyś arystokraci zabierali je do sądu, na bale, nawet jeździli z nimi konno.

– A teraz latają helikopterami.

– Wszyscy musimy się przystosować do współczesnego świata. Dzieje sokolnictwa sięgają jednak czasów Czyngis-chana. Mongolscy wojownicy polowali z sokołami na lisy, czasami nawet na wilki.

– Na wilki? Naprawdę? To duże zwierzęta.

Sandżar potaknął skinieniem głowy.

– Nie tylko na wilki. Na ludzi też. Wszyscy ochroniarze Czyngis-chana byli sokolnikami.

– Więc kontynuujesz tradycję, dbając o jego dziedzictwo.

– To prawda. Razem z kuzynem – skinął głową w kierunku siedzącego w następnym rzędzie Arsłana – jesteśmy bardzo dumni z naszego wielkiego przodka.

– Uwaga, minuta do wyznaczonego miejsca – przerwał im głos pilota. – Mam lądować czy zatoczyć koło, aby się rozejrzeć?

– Prosimy z powietrza – odparł Vigor. – Może tak będzie najkorzystniej.

Wszyscy skupili się przy oknach i wyjrzeni na pustynię Aral-kum. Solne mokradło było jeszcze jaśniejsze niż dotychczasowy krajobraz. Przez wyschniętą skorupę przebiegały się ponury pagórek. Miał strome, pożłobione przez wiatr stoki, na szczycie był lekko wklęsły, w sumie

wyglądał nieco jak wspinająca się na skalną fałę łądz.

Helikopter dwa razy okrążył formację, nikt nie dostrzegł jednak niczego szczególnego.

– Będziemy musieli wylądować i kontynuować poszukiwania z ziemi – postanowił Josip.

– Posadź nas! – zawołał do pilota Monk. – Jak najbliżej wzgórza!

Pilot fachowo manewrował helikopterem i wylądował dziesięć metrów od zawietrznej strony pagórka. Choć wyglądało na proste, zadanie wcale nie było łatwe.

– Wiatr się nasila – ostrzegł. – Musi się zbliżyć front pogodowy.

Gdy otwarto boczne drzwi, okazało się, że miał rację. Temperatura spadła o kilka stopni i nawet za osłoną wzgórza czuło się przenikający na wskroś lodowaty wiatr.

Wszyscy wyskoczyli na zewnątrz.

Pod stopami chrzęściła sól. Widok był niezwykle: jakby ktoś wysypał na żelazny grunt grubą warstwę frytek. Gdy Rachele pochyliła się, stwierdziła, że pałeczki to grube na palec, spiczaste kryształy soli. Nadawały terenowi nieziemski wygląd, jakby ziemia się najeżyła.

Stojący obok Josip nie zwracał na to uwagi – gapił się na szczyt, który miał strome zbocza, miejscami pokruszone, tak że powstawały nieruchome wodospady z piasku i kamieni.

– Powinniśmy najpierw obejść wzgórze – zaproponował, gdy rozdawano latarki.

Vigor skinął głową. Znowu przyciskał dłoń do boku.

Rachele podeszła do wuja i zaoferowała mu ramię.

– Chodź, staruszk, przywlokłeś mnie tutaj...

Skrzywił się dobrodusznie i wsparł na podanym ramieniu. Ruszyli przez pole kryształów. Vigor dziesięć minut wspierał się na Rachele, w końcu poczuł się na tyle silny, by iść samodzielnie. Chciała zapytać, co się dzieje, postanowiła jednak nie wywierać presji i poczekać, aż sam powie.

Podszedł Monk, który chyba też zauważył stan Vigora. Z troską marszczył czoło. Dzięki typowemu dla siebie wyczuciu nastroju u innych na szczęście się nie odezwał.

– Wygląda na to, że od wieków nie stała tu ludzka stopa – rzekł, rozejrzawszy się.

Fakt – nie było śladów bytności człowieka.

Kryształy wyglądały na delikatne, a powstanie każdego musiało trwać kilka lat. Ślady człowieka byłyby więc wyraźnie widoczne.

Po kilku minutach wyszli z osłony wzgórza i przywitał ich wiatr. Dął mocno i nieprzerwanie, kłuł piaskiem i powodował gorzki smak na języku.

Sandżar miał problemy z opanowaniem sokoła. Zdjął mu kaptur i ruchem ręki wyrzucił ptaka w górę, aby rozprostował skrzydła i uspokoił nerwy. Heru odleciał z wrzaskiem w noc, srebrne skrzydła zamigotały w świetle księżyca.

Kuzyn Sandżara wskazał palcem na horyzont. Ostra linia dzieląca solną równinę i rozgwieżdżone niebo rozmazywała się.

– Idzie burza – ostrzegł Arslan.

– Czarna zamieć – wyjaśnił Sandżar.

Oślanając oczy przed wiatrem, Rachele wpatrywała się w skotłowaną ścianę piasku, soli i pyłu. Doskonale pamiętała ostrzeżenie wuja o toksyczności takich chmur.

– Nie powinno nas być w tym miejscu, gdy tu dotrze – powiedział Arslan.

Nikt się z nim nie spierał, jedynie przyspieszyli kroku.

Po kilku kolejnych metrach zaczęli zasłaniać usta chustkami, które rozdał Sandżar. Noszenie ich wydawało się oczywistym środkiem ostrożności w miejscu takim jak to, gdzie wichry regularnie omiatały martwe dno jeziora. Kombinacja kłującego piachu i kąśliwego wiatru

sprawiła, że każdy odsłonięty kawałek ciała piekł tak, jakby go obdarto ze skóry.

Wiatr zmuszał do pozostawania blisko wzgórza. Szli gęsiego, oświetlając drogę latarkami, i po kilku minutach weszli w szczelinę między skałą a szeregiem spiczastych jak kły głazów, być może resztek dawnej rafy. Każda osłona przed wiatrem była mile widziana.

Z przodu rozległ się krzyk.

Wszyscy pobiegli w tamtą stronę i zgromadzili się wokół Josipa. Świecił latarką na ziemię, w miejsce u podstawy skały, gdzie zaczynało się głębokie, biegnące w głąb pęknięcie. Nie wiadomo było, co tak zbulwersowało księdza.

– Czy to nie wygląda jak koński łeb? – Wskazywał kontury światłem latarki. – Uniesiony nos, uszy położone do tyłu, wyciągnięta szyja.

Wystarczył krok do tyłu, aby stwierdzić, że Josip ma rację. Skała wyglądała jak sylwetka konia, tonącego w kotłującym się piasku, próbującego wydostać łeb na powierzchnię i złapać powietrze.

– *Equus* – powiedział z westchnieniem Vigor. – Jak napisano na tatuażu.

Josip skinął głową. Jego oczy gorączkowo błyszczały.

Monk ukląkł przy wlocie otworu i zaświecił.

– Chyba da się wpełznąć do środka.

– To tunel? – spytała Jada.

Duncan spojrział w górę skały.

– Jeśli tak, to kiedyś był podwodny. Gdy w jeziorze była woda, wejście znajdowało się pod powierzchnią.

Josip popatrzył na swojego przyjaciela.

– Jak rzeka Cisa na Węgrzech. Tajne wejście do rzecznej krypty odsłaniało się tylko w trakcie suszy.

– Więc na co czekamy? – spytał Monk.

Pochylił się i wsunął do środka pierwszy, na wypadek gdyby czekało ich niebezpieczeństwo. Reszta poszła za nim.

Vigor popatrzył na siostrzenicę, uśmiechnięty i radosny, gotów szybko wejść do środka. Ledwie nad sobą panował.

Dla czegoś takiego żył.

Oby to go nie zabiło.

Godz. 22.37

Vigor pełzł na czworakach za Josipem.

Tunel był wyższy, niż można się było spodziewać, a posuwanie się do przodu ułatwiał fakt, że Monk – używając silnej jak maszyna przemysłowa protezy dłoni – usuwał z drogi przeszkody: kamienie, zwały piasku, skorupy soli. Był jak żywa tarcza wiertnicza, wgrzająca się w głąb dawnej wyspy.

– Wygląda na to, że za kilka metrów zrobi się szeroko! – zawołał, odwracając głowę.

Po minucie to przypuszczenie się sprawdziło.

Światło latarki Monka zniknęło, zostawiając słabą poświatę. Josip podążył za nim i też wydostał się z tunelu. Gdy wstał, najpierw zamarł w szoku, a zaraz potem zatoczył się na bok, jakby zaraz miał zemdleć.

Vigor dotarł do końca tunelu jako następny. Z bijącym sercem wsunął się do komory.

Wstając, uniósł latarkę, dodając mocy latarkom poprzedników.

Rozpościerała się przed nimi duża jaskinia o ścianach całkowicie pokrytych solą. Z kopulastego stropu zwisały migoczące solne stalaktyty. Z dna jaskini, niczym opalizujące palce, wyrastały stalagmity. W wielu miejscach stalaktyty i stalagmity połączyły się w stalagnaty, czyli pełne kolumny łączące strop z dnem. Ich powierzchnię pokrywały srebrnobiałe kryształy.

Weszli pozostali. Każda nowo przybyła osoba wyrażała zdumienie na innym poziomie głośności.

Ostatni był Duncan.

– A niech mnie...

– Ta jaskinia też musiała znajdować się pod wodą – przerwał mu Josip. – Gdy woda powoli opadała, sól została.

– Miejmy nadzieję, że nie tylko sól. – Vigor wskazał palcem przed siebie. – Musimy zabrać się do szukania kolejnych relikwii Czyngis-chana.

Grupa rozproszyła się, jak najostrożniej stąpając po dnie jaskini. Zadanie było niełatwe, bo kamienie pod stopami pokrywała gruba warstwa takich samych walcowatych kryształów jak na zewnątrz – tyle tylko, że tutejsze miały średnicę uda mężczyzny, stały pionowo i opierały się jeden o drugi niczym ścięte drzewa pijanego lasu.

Chrzęst soli odbijał się głośnym echem od ścian. Pachniało morzem i piekły oczy.

Jada szeptała z Duncanem, ale z powodu akustyki ich słowa docierały do uszu wszystkich obecnych.

– Aby coś takiego mogło powstać, woda musiała wiele razy wpływać i wypływać – powiedziała.

– Dochodziły deszcze, które spłukiwały z góry jeszcze więcej soli – dodał.

Jada popatrzyła na sklepienie.

– Przypuszczam, że za czasów Czyngis-chana jaskinia nie była całkowicie zalana wodą. Choć dostać się tu można było tylko pod wodą.

Prawdopodobnie mieli rację.

Czując nagłe zmęczenie i uświadamiając sobie, że archeologia to sport dla ludzi młodych, Vigor oparł się o solną kolumnę grubości słupa telegraficznego. Miał nadzieję, że bez trudu wytrzyma jego ciężar, niestety twór pękł w połowie, demonstrując swą delikatność.

Na szczęście Rachele i Monk byli na tyle blisko, że zdążyli odciągnąć i osłonić Włocha, gdy sypnął się deszcz różnej wielkości kawałków.

– Uważaj, wujku – ostrzegła Rachele, pomagając mu się wyprostować. Strzepnęła z jego ramion migoczące okruchy.

– Spójrzcie tutaj – powiedział Monk, wskazując na podstawę złamanej kolumny.

Vigor odwrócił się i też poświecił do wnętrza półprzezroczystej kolumny. Coś zatopionego w soli odbiło jaskrawo promień latarki.

– Chodźcie! – zawołał.

Wszyscy się zebrali, by zobaczyć, co kryje sól.

Josip ukląkł na jedno kolano.

– Kamienny cokół, na którym leży skrzynka.

– Coś takiego węgierski biskup widział w grobowcu Attyli! – zawołał Vigor. – To musi być tutaj!

Josip wstał.

– Musimy zdjąć warstwę soli.

Zjawił się Arsłan z sakwą z narzędziami. Za pomocą młotków, dłutek i szczotek zaczęli we dwóch rozkuwać grubą podstawę kolumny.

Powoli odsłaniana skrzynka okazała się niemała – była wysoka na mniej więcej trzydzieści i długa na sześćdziesiąt centymetrów.

W końcu Josip stał z jej powierzchni ostatnie kryształy soli. Dłuto w kilku miejscach zrobiło rysy. Arsłan zaczął jedną z nich energicznie drapać paznokciem.

– Pod nalotem jest chyba srebro – powiedział.

Gdy uwalniał dolną część skrzynki, Vigor pochylił się nad nią.

– Chyba masz rację. A z tyłu ma zawiasy.

Skrzynka szybko została uwolniona ze skorupy. Ostatnie uderzenie młotkiem przesunęło ją po podstawie.

Arsłan cofnął się. Zadanie wykonane.

Vigor machnął na przyjaciela.

– Ty otwórz. Zasłużyłeś na to.

Josip z wdzięcznością chwycił jego ramię. Napięcie odebrało mu mowę, nie panował nad drżeniem dłoni.

W końcu wyciągnął ręce do skrzynki, uniósł pokrywę i pokonując opór zarośniętych solą zawiasów, uniósł ją. Gdy to robił, opadła przednia ścianka.

Rachele cofnęła się o krok. Zasłoniła dłonią usta.

– Boże drogi...

Godz. 23.02

Gdy siostrzenica Vigora się cofnęła, Duncan ujrzał zawartość skrzynki.

Miniaturowy statek z artystycznie wyginającymi się burtami i wyciągniętą do przodu stępką, która przechodziła w zaokrąglony na końcu bukszpryt. Dwa maszty z prostokątnymi żaglami, lekko żebrowanymi niczym zamknięta żaluzja.

– Wygląda jak dżonka z okresu dynastii Song – powiedział po chwili Vigor. – W średniowieczu tego typu statki zapełniały chińskie morza i rzeki.

Rachele pokręciła głową.

– Tyle tylko, że ten jest zbudowany z ludzkich żeber i kręgosłupa, a żagle są z wysuszonej ludzkiej skóry.

Wystarczyło dokładniej się przyjrzeć, by stwierdzić, że Rachele ma rację. Wypukłe burty wykonane z żeber, bukszpryt był zakończony kręgiem szyjnym. Na pewno miała też rację co do żagli: były wykonane ze skóry.

– Kolejna część Czyngis-chana – rzucił Monk.

– To pewne? – spytała Rachele.

– Mogę przesłać próbkę do laboratorium w Rzymie – zaproponował Vigor. – Za dzień lub dwa mielibyśmy weryfikację.

Jada dźgnęła Duncana palcem.

– Dowiedzmy się tego od razu.

Wszystkie oczy zwróciły się w jego kierunku.

– Ona ma rację – powiedział. Uniósł dłonie i poruszył lekko palcami. – Jeżeli tkanka pochodzi z tego samego ciała, rozpoznam to.

Odsunięto się od artefaktu. Duncan podszedł, wyciągnął ręce i powiódł palcami nad zakrzywionymi burtami. Od razu wyczuł ten sam nacisk, tę samą unikatową energię, jaką emitowały czaszka i księga. Mógłby przysiąc, że wyczuwa barwę pola energetycznego. Tacy jak on opisywali kolorami niuanse pól elektrycznych, których nie dało się przedstawić inaczej.

Gdyby miał określić barwę tego pola, wybrałby czerń.

Cofnął się o krok i strząsnął mrowienie z palców. Całe jego ciało przeszedł dreszcz.

– Zdecydowanie to samo.

Nim ktokolwiek zdążył zareagować, rozległ się przenikliwy skrzek, na którego dźwięk wszyscy podskoczyli. Do jaskini wleciał sokół Sandżara i zawisł pod sklepieniem. Jego właściciel uniósł rękę i ptak, łopocząc skrzydłami, osiadł na niej. Dyszał z otwartym dziobem.

– Zaczyna się burza – powiedział Sandżar, otrzepując pył z piór ptaka. – Trzeba wracać.

Rozległ się kolejny skrzek, tym razem z radia. Monk porozmawiał chwilę z pilotem.

– Mówi, że musimy natychmiast odlatywać – powiedział i wskazał Duncanowi skrzynkę. – Zamykaj ją i ruszamy.

Z pomocą Vigora i Josipa Duncan zabezpieczył spatynowaną skrzynię, po czym ją podniósł. Była piekielnie ciężka. Jeżeli zrobiono ją naprawdę ze srebra, była sporo warta.

Monk pomógł mu przeciągnąć skrzynkę przez tunel. Na zewnątrz od razu zrozumieli nagłą chęć sokoła, by znaleźć się przy swoim panu. Gwiazdzista noc zamieniła się w kłębowisko czarnych chmur. Pagórek smagały tabuny piasku. Na zachodzie sytuacja wydawała się jeszcze poważniejsza.

Pobiegli przez równinę tą samą drogą, którą przybyli – pasem zmiażdżonych solnych kryształów. Starali się chronić przed wiatrem, poruszając się bokiem. Widoczność była bliska zeru. Duncan ścisnął skrzynkę pod pachą, a wolną ręką trzymał dłoń Jady. Idący przed nimi Rachele i Monk pomagali Vigorowi, a Sandżar i Arslan – Josipowi.

W końcu musieli wyjść z za wzgórze, prosto w burzę. Gdy pilot ich dostrzegł, wyskoczył na zewnątrz, otworzył boczne drzwi i zaczął machać, aby się pospieszyli.

Nikt nie potrzebował dodatkowej zachęty.

Dobiegli do helikoptera zwartą grupą i wspięli się do kabiny. Ledwie trzasnęły drzwi, a już byli w powietrzu.

Pilot poleciał nisko, by jak najdłużej trzymać się po zawietrznej wzgórze i jak najbardziej oddalić się od centrum burzy.

Zajęto miejsca, zaczęły trzaskać klamry pasów bezpieczeństwa.

Helikopter nabrał wysokości i uderzany przez front burzowy, zaczął uciekać z pełną mocą silników. Wstrząsy powodowały szczękanie zębów i stanowiły poważne wyzwanie dla pasów bezpieczeństwa.

Przez kilka minut nikt się nie odzywał, ledwie odważyli się oddychać.

W końcu helikopter wyrwał się z paszczy burzy i wyrównał lot.

– Teraz powinno być spokojnie – odezwał się pilot, choć jego głos lekko drżał, co świadczyło o tym, że naprawdę udało im się uciec przed nawałnicą.

Płynęli przez noc, nad głowami znowu świeciły gwiazdy.

Duncan odetchnął głęboko.

– Fajnie było – rzucił.

Jada popatrzyła na niego z przerażeniem.

Godz. 23.33

Vigor przyglądał się spatynowanej skrzynce. Leżała na fotelu obok Duncana, który położył na niej dłoń.

Starszy pan myślał o jej zawartości. I nie był w tym odosobniony.

– W statku musi być jakaś wskazówka – powiedział Josip. – Dokąd udać się dalej.

– Prawdopodobnie masz rację – odparł jego przyjaciel, myśląc o tajemnicy, jaką kryła zaszyta powieka na księdze. – Sprawdzimy u ciebie w bibliotece.

– Co się dzieje? – spytał Josip, który wychwytał brak entuzjazmu w głosie Vigora.

– Jestem tylko zmęczony – odparł *monsignore*, zbywając pytanie machnięciem ręki.

– Zastanawiam się, ile jeszcze jest skrytek z relikwiami Czyngis-chana – powiedział Josip.

– Na ile kawałków podzielono wielkiego chana?

Vigor poprawił się w fotelu. Nie rozumiał, jak Josip może być tak tępy.

– Zostało tylko jeszcze jedno miejsce – odparł.

– Skąd wiesz...? – Josip zmarszczył czoło, ale po chwili w jego oczach pojawiło się zrozumienie. Poklepał przyjaciela w kolano. – Twoje ciało może jest zmęczone, ale umysł nie.

Monk, który słyszał rozmowę, pochylił się do nich.

– Może wyjaśnicie to tym, którzy mają zmęczone zarówno ciała, jak i umysły?

Vigor uśmiechnął się do niego ciepło.

– Skrzynka, którą znaleźliśmy, jest zrobiona ze srebra – wyjaśnił. – Z tego, co napisał węgierski biskup, wynika, że skrzynia w grobowcu Attyli była żelazna.

Josip usiadł prosto. Był zachwycony.

– Co oznacza, że ostatnia skrzynia, zawierająca największy skarb, będzie ze złota – powiedział.

Monk pojął.

– Jak trzy skrzynki relikwiarza świętego Tomasza. Żelazo, srebro, złoto.

Vigor skinął głową.

– Jesteśmy o krok od zaginionego grobowca Czyngis-chana.

Duncan poklepał znalezisko.

– Pod warunkiem że rozwiążecie zagadkę łodzi z kości.

Vigor westchnął, modląc się, aby Bóg dał mu dość sił na wykonanie tego zadania.

Choćby na krótko...

– Wróciliśmy, chłopcy i dziewczęta! – poinformował pilot. – Może się jednak okazać, że trzeba będzie się zaryglować na noc. Nadchodząca pogoda nie będzie dobra ni dla człowieka, ni dla bydłątka.

Vigor popatrzył w kierunku szalejącej na horyzoncie burzy. Czarna zamieć nie zrezygnowała z pogoni i zamierzała rzucić na nich wszystkie swoje moce.

Pilot zanurkował ku zardzewiałemu statkowi, by się za nim skryć. Wielki kadłub musiał już przeżyć niejedną taką zadymkę, więc wytrzyma także i tę.

Vigor opadł na oparcie fotela. Ulżyło mu.

Gdy znajdziemy się pod ziemią, powinniśmy być bezpieczni...

U wybrzeży Korei Południowej
19 listopada, godz. 2.44 czasu miejscowego

Seichan stała przy relingu USS *Benfold*, niszczyciela rakietowego marynarki Stanów Zjednoczonych. Miała na sobie pożyczoną parkę; kaptur odrzuciła do tyłu. Nie mogła dłużej wytrzymać ciasnoty w głębi kadłuba – zatłoczonych korytarzy, wszechobecnych ciał, pozbawionych okien kajut, pomalowanych na ten sam ponury kolor.

Potrzebowała powietrza, wyszła więc na pokład.

Noc była lodowata, gwiazdy twarde jak diamenty. Kometa wyglądała jak przeciągany po niebie kawał lodu.

Znajdujący się na wodach terytorialnych Korei Południowej statek płynął na południe. Jak na razie, w Pjongjangu nie podniesiono alarmu. Najprawdopodobniej znajdujący się u władzy ludzie byli zbyt zażenowani, aby przyznać się do porażki, sprawa ciągle jeszcze stała jednak na ostrzu noża. Gray był w lazarecie, gdzie fachowo się nim zajęto.

Seichan wracała myślami do chwili strzału. Zareagowała instynktownie, myśląc jedynie o tym, jak przeżyć. Musiała zrzucić motocyklistę z maszyny, a jednak...

O mało go nie zabiłam.

Za jej plecami rozległ się metaliczny dźwięk otwieranego włazu. Zamknęła oczy – tylko nie jakiś intruz! Ktoś do niej podszedł i poczuła aromat jaśminu. Nie mogła pozwolić na to, aby zapach pociągnął ją w przeszłość, ale ujrzała oczyma wyobraźni obraz kwitnącej w słońcu purpurowo winorośli, otoczonej chmarą grubych pszczoł.

Odsunęła wspomnienie.

– Chi – powiedziała matka, używając jej dawnego imienia. Tylko jedna sylaba, ale miała wielki ciężar.

– Wolę Seichan. Jestem nią dłużej niż tamtą.

Drobne dłonie objęły reling obok. Matka nie dotknęła jej dłoni, ale położyła swoje na tyle blisko, że Seichan czuła ich ciepło. Jednak w dalszym ciągu dystans był ogromny.

Seichan na tysiąc sposobów wyobrażała sobie pojednanie, ale w żadnym scenariuszu nie były dla siebie całkiem obce. W drodze na okręt obserwowała matkę. Bez trudu mogłaby wskazać boleśnie znajome rysy: łuk brwi, krzywiznę dolnej wargi, kontur oczu, lecz równocześnie była to twarz obcej osoby. Nie z powodu ciemnoczerwonej blizny czy tatuażu. Powód był znacznie głębszy.

Kiedy ostatni raz widziała matkę, miała dziewięć lat. Teraz patrzyła na nią jako prawie trzydziestolatka. Nie była dzieckiem, matka nie była młodą kobietą.

– Wkrótce będę musiała wyjechać – powiedziała Guan-yin.

Seichan wzięła głęboki wdech, sprawdzając własną reakcję na słowa matki. Gdy stwierdziła, że są jej obojętne, zebrało jej się niemal na płacz. Było to druzgocące.

– Mam obowiązki – wyjaśniła Guan-yin. – Muszę zadbać o ludzi, którzy potrzebują mojej

pomocy. Nie mogę ich zostawić.

Seichan powstrzymała gorzki śmiech z powodu ironii tych słów.

Matka musiała to wyczuć.

– Szukałam cię – powiedziała cicho po dłuższej przerwie.

– Wiem. – Seichan wiedziała o tym od Graya.

– Powiedzieli mi, że nie żyjesz, dalej cię jednak szukałam, aż zrobiło się to zbyt bolesne.

Seichan wpatrywała się w swoje dłonie, zaskoczona, jakie białe ma kostki ściskających reling palców.

– Pojedź ze mną – poprosiła Guan-yin.

Seichan milczała zbyt długo.

– Nie możesz – powiedziała w końcu matka.

– Też mam zobowiązania.

Ponownie zapadła cisza, wypełniona czymś poważniejszym od słów.

– Słyszałam, że on znowu gdzieś się wybiera – odezwała się w końcu Guan-yin. – Jedziesz z nim?

Seichan nie musiała odpowiadać.

Stały długo w milczeniu. Obie miały tak wiele do powiedzenia, a o tak niewiele rzeczach mogły rozmawiać. Co miały robić? Porównać swoje blizny? Wymienić się opowieściami o krwawych łaźniach i mrozących krew w żyłach scenach? O tym, co robiły, żeby przeżyć? Lepiej już nic nie mówić.

W końcu matka oderwała dłonie od relingu i cofnęła się w mrok, żegnając się cichymi słowami.

– Straciłam cię na zawsze, moja mała Chi? Nigdy już cię nie odnajdę?

Zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie zapach jaśminu.

Godz. 3.14

Gray opierał się o stół konferencyjny, zbyt zmęczony, aby zaufać nogom. Dzięki uprzejmości kapitana mieli z Kowalskim do dyspozycji całą mesę oficerską. Zaserwowano im kawę i jajecznicę na bekonie.

Nie co dzień dwóch amerykańskich agentów ucieka z Korei Północnej.

Po tym, jak oczyszczono mu ranę, zabezpieczono płynnym opatrunkiem i owinięto bandażem, Gray poczuł się o niebo lepiej. Mocna kawa też zrobiła swoje.

Kowalski siedział na krześle obok, stopy położył na stole i postawił sobie na brzuchu talerz jajeczniczy z dużymi plastrami bekonu. Ziewnął, aż trzasnęła mu żuchwa.

Wielki monitor LCD, przed którym stał Gray, nareszcie ożył. Przekaz szedł kanałami o najwyższym stopniu zabezpieczenia. Na ekranie pojawiła się waszyngtońska centrala dowodzenia Sigmy.

Patrzył na nich dyrektor, obok niego siedziała Kat waląca wściekle w klawiaturę. Była odpowiedzialna za organizację wideokonferencji.

Painter Crowe skinął głową.

– Komandorze Pierce, jak samopoczucie?

– Miewałem lepsze dni.

Gorsze też.

Choć wydarzyło się naprawdę wiele, udało im się uratować Seichan i uciec, ratując skórę – może nie do końca, ale rany były do przyjęcia.

– Wiem, że przeszliście piekło, jeśli jednak jesteś w stanie, potrzebujemy cię do nowej misji – powiedział Painter Crowe.

– W Mongolii. – Gray odbył już odprawę z Kat i wiedział nieco o wydarzeniach związanych z rozbitym satelitą.

– Potrzebuję szczerzej odpowiedzi – rzekł Painter. – Jesteście z Kowalskim w wystarczająco dobrej formie?

Gray popatrzył na swojego towarzysza, a ten tylko wzruszył ramionami i wziął kolejny kawałek bekonu.

– Sądzę, że określenie „w wystarczająco dobrej formie” odpowiednio nas opisuje – odparł Gray. – Nieco snu w drodze i będzie jeszcze lepiej.

– Świetnie, w takim razie chciałbym wam coś pokazać. – Painter zwrócił się do Kat.

Kamera ukazała ją – jedną ręką stukająca w klawiaturę, oczy miała jednak zwrócone ku kamerze.

– Połączę cię z porucznikiem Joshem Leblangiem stacjonującym w stacji McMurdo.

– Na Antarktydzie?

– Tak jest. Znajduje się wraz z oddziałem zwiadu jakieś sto kilometrów od bazy, na Lodowcu Szelfowym Rossa. – Kat nacisnęła kilka kolejnych klawiszy i zaczęła mówić do znajdującego się przy jej krześle mikrofonu. – Poruczniku Leblang, mógłby nam pan jeszcze raz pokazać to, co pan znalazł? Opowiedzieć o tym, co pan widział?

Do Graya dotarła szarpana odpowiedź, którą można było wziąć za potwierdzenie.

Kat zniknęła z ekranu i zastąpił ją młody człowiek w wojskowej parce. Kaptur odrzucił do tyłu, najwyraźniej rozkoszując się słonecznym porankiem antarktycznego lata. Na ostrzyżonej po wojskowemu głowie miał wełnianą czapkę, a policzki zaczerwieniły się z zimna – albo z emocji.

Sądząc po drganiach obrazu, ktoś filmował go z ręki. Mówiąc, porucznik wspinał się tyłem na grań.

– Mniej więcej dwie godziny temu dostrzegliśmy przelatujące nad McMurdo wielkie kule ognia. Sądziłem, że to atak rakietowy. Akustyczne fale uderzeniowe, jedna po drugiej, zdeorientowały bazę. Wysłano mój oddział na zwiad. Oto co znaleźliśmy.

Porucznik doszedł do szczytu grani i odsunął się na bok. Kamerzysta ruszył naprzód, co sprawiło, że obraz gwałtownie się rozkołysał. Gdy stanął i uspokoił rękę, ukazał się piekielny krajobraz.

Błękitny lód był podziurawiony wielkimi kraterami o poczerniałych krawędziach, z których unosiła się para. Nietrudno było sobie wyobrazić pięć meteorytów przebijających się przez lód i tonących trzysta metrów niżej w morzu. Po lodzie kręcili się przypominający mrówki ludzie, prawdopodobnie członkowie oddziału Leblanga. Pozwalało to mniej więcej ocenić, jak wielkie są dymiące dziury.

Z głośników rozległ się grzmot.

Gray nie bardzo rozumiał, co się dzieje – do chwili aż nastąpiła seria kolejnych grzmotów. Na śnieżnej płaszczyźnie pojawiły się pęknięcia, z których potężna siła wystrzeliwała wysoko w powietrze kawały lodu. Między kraterami zrobiły się zygzakowate szpary, które błyskawicznie zaczęły się wydłużać, odchodząc od kraterów w głąb szelfu.

Niewidoczny na ekranie Leblang głośno zaklął. Po chwili znowu się pojawił – zbiegał z boczem na ratunek zagrożonemu oddziałowi. Kamerzysta wypuścił kamerę z rąk i pognął za

dowódcą. Kamera wylądowała na śniegu, ale nie przestała nagrywać. Ukazywała przekrzywiony obraz tego, co się działo.

Pęknięcia robiły się coraz szersze, lód się rozpadał.

Żołnierze uciekali w popłochu. Mikrofon kamery wychwytywał stłumione krzyki.

Pod dwoma komandosami piechoty morskiej otworzyła się otchłań i zniknęli z powierzchni ziemi. Od głównego szelfu powoli odrywała się wielka lodowa wyspa. Kolejne pęknięcia zaczęło sunąć w kierunku kamery, objęło obiektyw i ekran poczerniał.

Kowalski, były piechociarz, stał, rozpaczliwie zaciskając pięści, niezdolny cokolwiek z siebie wydusić.

Na ekranie pojawił się znowu Painter – z rozpaloną twarzą, zszokowany. Pochylał się nad Kat i wydawał rozkazy do mikrofonu.

– ...stację McMurdo! Ogłosić alarm! Niech natychmiast startują helikoptery!

Gray czekał, aż Painter i Kat ogłoszą alarm.

W końcu dyrektor ponownie skupił się na nim.

– Teraz rozumiesz, z czym możemy mieć do czynienia.

– Co ma pan na myśli?

– Tuż przed zgłoszeniem się Leblanga z Antarktydy technicy i inżynierowie z SMC w Los Angeles potwierdzili wstępne spekulacje, że zniszczenia zarejestrowane cyfrowo przez spadającego satelitę są wynikiem serii uderzeń meteorytów we Wschodnie Wybrzeże.

Gray spróbował sobie wyobrazić, jakich zniszczeń dokonałyby meteoryty, które uderzyły w powierzchnię Antarktydy, gdyby trafiły w gęsto zamieszkały region.

– Technicy szacują, że w Antarktydę trafiły superbolidy o średnicy od siedemnastu do dwudziestu metrów. Każdy uderzył z siłą ośmiu bomb jądrowych.

Gray przełknął ślinę.

Nic dziwnego, że szelf rozleciał się na kawałki.

– Na podstawie szczegółowej analizy obrazu satelitarnego, uwzględniając schemat eksplozji, głębokość kraterów i stopień zniszczeń, uważają, że do spowodowania takich spustoszeń, jakie mogą nastąpić na Wschodnim Wybrzeżu, potrzeba by meteorytów trzy razy większych od tych, które uderzyły w Antarktydę.

Na myśl o znajdujących się na Wschodnim Wybrzeżu przyjaciołach – nie wspominając o dowództwie Sigmy – Gray poczuł lodowaty dreszcz.

– Wschodnie Wybrzeże może być zaledwie cząstką – ostrzegł Painter Crowe. – Mamy tylko jedno zdjęcie. Nie da się określić, czy zniszczenia będą rozleglejsze ani czy nie rozprzestrzenia się globalnie.

– Ani czy w ogóle do nich dojdzie – odparł ciągle jeszcze sceptyczny Gray. Po tym jednak, co stało się na Antarktydzie, wolał zachować ostrożność.

– Dlatego musimy odnaleźć satelitę. W tej chwili wszystkie oczy, jakimi dysponujemy, patrzą w niebo: teleskop Hubble’a, satelita Swift NASA, Brytyjska Agencja Kosmiczna. Śledzimy ciągnące się za kometą skały i wiemy, że niektóre mają po dwieście metrów średnicy. Z szacunków na razie wynika, że nie zagrażają Ziemi.

– A co z tymi, które spadły na Antarktydę?

– W tym właśnie problem. Nie możemy obserwować wszystkiego. NASA potrzebowała piętnastu lat, aby wysledzić dziesięć tysięcy asteroid znajdujących się na orbitach w pobliżu Ziemi, co oznacza, że większość nie została odkryta. Weźmy na przykład meteor czelabiński, który w zeszłym roku eksplodował nad Rosją. Kompletnie wszystkich zaskoczył. Gdyby nie

wybuchł w górnych warstwach atmosfery, tam wyzwalał większość swej energii, uderzyłby w Rosję z siłą dwudziestu takich bomb atomowych, jakie zrzucono na Hiroszimę.

– Więc niczego nie można być pewnym.

Painter spojrział na Kat, jakby wolał czegoś nie mówić.

– Co jest? – spytał Gray.

Kat skinęła głową. Dyrektor ciężko westchnął.

– Dostaliśmy z SMC jeszcze jedną niepokojącą wiadomość. Za wcześniej na ostateczne wnioski, ale jeden z fizyków, który pracował z doktor Jadą Shaw, przeanalizował jej dane dotyczące anomalii grawitacyjnych wokół komety. Te, które doktor Shaw uważała za dowód obecności ciemnej energii.

– I?

– Fizyk gromadził dane wraz ze zbliżaniem się komety do Ziemi. Jest przekonany, że anomalie się nasilają.

– Co to znaczy?

Painter znów popatrzył na Kat.

– Czekamy na odpowiedź. To może mieć znaczenie, ale... nie musi. Nie będziemy nic wiedzieć, póki nie zbierze się i nie przeanalizuje większej ilości danych.

– Ile to potrwa?

– Przynajmniej pół dnia, może więcej.

– Więc przez ten czas znajdziemy satelitę.

– We wraku mogą być zawarte wszystkie odpowiedzi. Kiedy możecie wyruszyć?

– Od razu. Jeśli Kat załatwi logistykę...

Kat poprawiła się w fotelu.

– Mogę dostarczyć zespół komandora Pierce'a do Mongolii o świcie.

– A co z grupą Monka? – spytał Gray.

– Właśnie w tej chwili dostaliśmy wiadomość z Kazachstanu – powiedziała. – Front burzowy przytrzyma ich przez krótki czas na ziemi, ale jeśli nic nieprzewidzianego nie stanie na przeszkodzie, powinni dołączyć do was w Ułan Bator jutro przed południem.

– No to bierzmy się do pracy – rzucił Painter. – Potrzebujemy na Ziemi maksymalnej liczby oczu. Seichan zgodzi się do ciebie dołączyć?

W drodze na wideokonferencję Gray widział idącą korytarzem Guan-yin, która z trudem powstrzymywała łzy. Wracała do Hongkongu, żeby pomóc tym członkom triady, którzy jeszcze nie byli bezpieczni. Jej łzy były dla Graya wystarczającą odpowiedzią na pytanie szefa.

– Sądzę, że Seichan pojedzie z nami.

– To dobrze.

Painter szybko się rozłączył; najwyraźniej musiał dzielić uwagę na kilka frontów.

Gray wpatrywał się w ciemny ekran, przypominając sobie zniszczenia, do jakich doszło na Antarktydzie. Trzeba się spieszyć, pomyślał.

Oby tylko Monk się nie spóźnił.

Jeziro Aralskie, Kazachstan
19 listopada, godz. 0.17 czasu miejscowego

Zbiegli na dół, aby skryć się w graciarni ojca Josipa. Burza uderzyła z impetem w rozpadający się statek nad ich głowami, wycie wichru docierało do głębin labiryntu tuneli i pomieszczeń. W zardzewiałym kadłubie szalał wiatr; potrzasał luźnymi blachami, szarpał popękany relingami.

Pilot zabezpieczał helikopter stojący od zawietrznej strony góry skorodowanej stali, starając się zakryć silniki i ruchome części, by ochronić je przed uderzeniami soli i piachu.

Zebrani na dolnych poziomach ludzie Josipa nie wyglądali na przejętych szaleństwem na powierzchni, najwyraźniej przyzwyczajeni, że choć natura szaleje, kryjówka wytrzyma. Jedni siedzieli beczynn timer, inni grali w karty, jeszcze inni dla zabicia czasu wykonywali rutynowe prace.

Ich spokój nieco rozluźnił Rachele.

– Połóżmy skrzynkę na stole – polecił Duncanowi Monk.

Gdy nieśli spatynowany sześcian do wyznaczonego miejsca, Jada wytrząsnęła z włosów piasek i otrzepała ubranie z pyłu i soli. Nie tylko ona czyściła sobie pióra.

Sandżar posadził zakapturzonego sokoła na drewnianej podpórce. Heru kilka razy pomachał z irytacją skrzydłami, ostre pazury trzymały się jednak pewnie drewna – był na tyle wytresowany, by wiedzieć, że nie powinien latać na ślepo. Pan szeptał do niego uspokajająco, wyciszał ptaka muskaniem piór na głowie.

Rachele stanęła obok i przyglądała się tej fachowej psychoterapii.

Jej wuja interesowało co innego. Przywołał Josipa do stołu.

– Powinniśmy to jak najstaranniej przestudiować, poszukać wszelkich wskazówek, dokąd udać się dalej.

Josip skinął głową, znowu miał jednak rozkojarzone spojrzenie, jakby przebywał duchem gdzie indziej. Gdy Monk i Duncan stawiali skrzynkę obok pozostałych relikwii, stał odwrócony plecami do nich i wpatrywał się w wysoki regał.

Arslan podszedł do księdza, jakby chciał się z nim skonsultować.

Zamiast zadać pytanie, przystawił mu do boku lufę pistoletu.

– Wszyscy odejść od stołu! Ręce do góry i trzymać wysoko! – krzyknął.

Na skutek zaskoczenia nikt przez chwilę się nie ruszał, do momentu aż do środka wbiegli mężczyźni z karabinami i zakrzywionymi szablami. Wyglądali na członków zatrudnionej przez Josipa ekipy kopaczy.

W korytarzu na zewnątrz huknęły strzały.

Rachele od razu domyśliła się, jaki los spotkał resztę ekipy. Doskonale pamiętała gwałtowność zamachów na uniwersytecie i w restauracji w Aktau. Wróg był znacznie bliżej, niż się spodziewali.

Josip odwrócił się do swojego brygadzysty. Był mocno zdezorientowany.

– Co to ma znaczyć, Arsłanie?

W odpowiedzi Arsłan uderzył go pistoletem w twarz, rozcinając mu wargę. Brutalnie złapał go za ramię, odwrócił i przystawił lufę pistoletu do pleców.

Sandżar zrobił krok w ich stronę.

– Kuzynie, co robisz?

– To, co każe Pan Błękitnego Wilka. Posłuchasz rozkazu tak jak ja. Ty też przysięgałeś mi posłuszeństwo.

Josip z wyrzutem odwrócił się do Sandżara.

Arsłan ruchem głowy wskazał drzwi.

– Idź, kuzynie – powiedział. – Albo daj się pogrzebać razem z nimi – dodał z goryczą w głosie.

Sandżar cofnął się o krok.

– Zgodziłem się obserwować, przekazywać informacje o tym, co robi ojciec Josip, ale... nie na coś takiego. To dobry człowiek. Pozostali też nikomu nic złego nie zrobili.

– Więc giń z nimi – syknął Arsłan z pogardą. – Zawsze byłeś słaby. Masz głowę w chmurach, tam gdzie twój ptak, rozpieszczali cię bogaci rodzice, którzy zawsze patrzyli z góry na biedniejszych kuzynów. Nigdy nie byłeś prawdziwym wojownikiem chana.

Arsłan odwrócił się i zawołał po mongolsku swoich ludzi. Czterech natychmiast podbiegło, wzięło skrzynkę ze stołu i udało się do wyjścia.

Po chwili zniknęli ze zdobytymi z wielkim trudem skarbami.

Arsłan podążył za nimi, pchając przed sobą Josipa – równocześnie zakładnika i tarczę. Wydał polecenie i jego ludzie zaczęli zamykać pomieszczenie. Drzwi były zrobione z grubej stali. Sądząc po wyglądzie, z wjazdu statku, pod którym się znajdowali.

Stojąc w drzwiach, Arsłan rzucił ostatnią groźbę:

– Gdy was nie było, moi wojownicy porozkładali w tym szczerzym gnieździe materiały wybuchowe. Skała zmieni się w pył i wszystko się zawali. Wielki statek nad wami zatonie i stanie się waszym grobowcem. Nikt się nie dowie, co tu się stało.

Kilku z jego ludzi chrapliwie się roześmiało.

Cały czas trzymano więźniów na muszce, szczególnie pilnując Monka i Duncana, słusznie uważanych za główne zagrożenie.

– Zabijcie ich – rozkazał Arsłan swoim ludziom. – Potem przyjdźcie na górę.

Sandżar popatrzył na Rachele, przewrócił oczami, po czym spojrzał na sokoła.

Potrzebowała chwili, ale chyba zrozumiała.

Ponieważ wojownicy Arsłana ją ignorowali, wyciągnęła rękę i zdjęła sokołowi kaptur.

Sandżar krzyknął w ojczystym języku i wskazał na Arsłana. Sokół wystrzelił i wzniósł się do wspierających sufit drewnianych krokwi.

Napastnicy przesunęli lufy broni i zaczęli strzelać do ptaka.

Heru, nietknięty, zanurkował niczym pierzasta strzała z łuku Sandżara. Pazury drapnęły Arsłana, rozdzierając policzki i skórę głowy. Uderzany skrzydłami mężczyzna osunął się na kolana i wył z bólu.

Zaczęła się strzelanina.

Gdy najbliższy mu karabin został skierowany ku sklepieniu, Duncan ruszył. Zderzył się z pierwszym z brzegu przeciwnikiem i przewrócił go. Głowa Mongoła uderzyła w róg stołu – wystarczająco mocno, by pękła kość, i osunął się bez czucia.

Duncan przejął karabin i odczył się na bok. Leżąc na plecach, kilkoma strzałami w pierś wyeliminował następnego wroga. Gdy w kamień między jego stopami uderzyły pociski, musiał się szybko wycofać pod stół.

Zza osłony trafił tego, który go ostrzelał, w lewe kolano, a gdy napastnik zaczął się przewracać, Duncan poprawił strzałem między oczy.

Pod stół wpełzł następny przeciwnik. Nie zdążył jednak strzelić do Duncana, bo na głowę zwałił mu się regał z książkami. Monk przeszedł nad stertą książek i protezą dłoni dźgnął zdumionego napastnika w gardło. Mężczyzna przewrócił się na bok ze zmiażdżoną krtanią i wściekle podrygując, zaczął się dusić własną krwią.

Jeden z ludzi Arsłana kolbą karabinu odgonił sokoła od twarzy przywódcy.

Josip wykorzystał chaos, aby pobiec w głąb pomieszczenia.

Huknęły dwa strzały.

Coś dziwnego stało się z piersią ojca Josipa. Zderzył się z Monkiem, który złapał go w ramiona.

Gdy ludzie Arsłana wyciągali swego dowódcę z pomieszczenia, jego pistolet jeszcze dymił. Duncan strzelił za nimi, ale kłapa zatrzasnęła się z metalicznym brzękiem. Wstał, pobiegł do drzwi i uderzył w nie barkiem. Nie ustąpiły nawet na milimetr, prawdopodobnie zaryglowane z drugiej strony. Zostali zamknięci.

Duncan szybko się rozejrzał, oceniając sytuację.

Jada wstała zza regału, gdzie wepchnął ją Monk, gdy padły pierwsze strzały.

Sandżar klęczał przy Heru, który leżał oszołomiony na kamieniu i bezładnie machał skrzydłami.

Rachele podbiegła z wujem do pojękującego Josipa.

Rozlewająca się pod ciałem krew wyraźnie wskazywała na to, że ksiądz długo nie pożyje.

Prawdopodobnie żadne z nich długo nie pożyje.

Godz. 0.40

Nie, nie, nie...

Vigor klęczał przy Josipie, który na chwilę odzyskał przytomność tylko po to, by umrzeć. Patrzył na człowieka, którego los potraktował okrutnie, obdarzając go zarówno geniuszem, jak i szaleństwem. Nie zasłużył na taki koniec.

Ujął dłoń rannego i zaczął ostatnie namaszczenie.

Josip patrzył na niego z niewiarą w oczach, krwią na ustach, niezdolny cokolwiek powiedzieć, z płucami poszarpanymi pociskami zdrajcy.

– Leż spokojnie, drogi przyjacielu. – Vigor trzymał dłoń umierającego, próbując dotykiem przekazać mu całą swoją miłość. Nie mógł zrobić więcej. Monk próbował mu to przekazać spojrzeniem.

Choć pozbawiony głosu, Josip znalazł siłę, aby ścisnąć dłoń przyjaciela i przyciągnąć ją do piersi. Vigor czuł bicie jego serca.

– Też będę za tobą tęsknił – powiedział.

Widział w oczach Josipa walkę i żal. Ksiądz wiedział, co grozi światu, i rozpaczał, że nie będzie mógł nic zrobić, by go uratować.

– Wystarczająco długo niosłeś ten ciężar na swoich barkach. Pozwól, że teraz ja go poniosę.

Josip nie odwracał wzroku od Vigora, który delikatnie zrobił krzyż na jego czole.

– Spoczywaj w pokoju – szepnął Vigor.

I Josip udał się na wieczny spoczynek.

Godz. 0.42

Duncan pomógł Monkowi położyć ciało ojca Josipa na stole.

– Przykro mi – powiedział. – Szkoda, że nie mamy czasu, aby porządnie go pochować.

Vigor walczył ze łzami, ale skinął głową. Rozejrzał się po zagraconej bibliotece.

– To dla niego dobre miejsce.

– Ale nie pozwólmy, by stało się miejscem naszego pochówku – pospieszył ich Monk.

– Jest stąd inne wyjście? – spytał Sandżara Duncan.

– Niestety nie – odparł Sandżar, trzymając na rękach owiniętego w koc sokoła. – Wszystkie tunele prowadzą jedynie do innych pomieszczeń. Są ślepe. Jedyna droga na górę prowadzi przez te drzwi.

Wojskowe doświadczenie mówiło Duncanowi, że przebicie się przez nie zajęłoby przynajmniej kilka minut, a Arslan z pewnością wysadzi dolne poziomy natychmiast po dotarciu na powierzchnię. Jedyną nadzieją było to, że napastnicy postanowią zbierać po drodze wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, i to ich spowolni.

Jada obejmowała się ramionami i gapiła w przestrzeń szeroko otwartymi oczami.

– Chcieli nas zabić – powiedziała rozedrgana, bliska szoku.

– I może im się to jeszcze udać. – Duncan wyszedł z założenia, że nie ma sensu owijać w bawełnę.

Dziewczyna skrzywiła się.

– Zastanów się – rzuciła. – Gdybyśmy ich nie pokonali, nie żylibyśmy. Wybuchy miały tylko zagrzebać nasze ciała w nieoznakowanym grobie.

Duncan ciągle nie pojmował, o co jej chodzi.

– Mieliśmy nie żyć – powiedziała gorączkowo i powiodła wokół dłonią. – Ten wariat powiedział, że wszędzie umieścił bomby, więc tutaj też. To najniższy poziom. Sądził, że już nie będziemy żyć.

Oczywiście...

Monk zaklął i zaczął oglądać ściany.

Wyrzucając sobie głupotę, Duncan zajął się drugą stroną. Potrzebował niecałych trzydziestu sekund, aby znaleźć pierwszy ładunek. Schowano go u podstawy grubego drewnianego wspornika sufitu.

– Mam jeden! – zawołał.

– Ja też! – odkrzyknął Monk z przeciwległej strony pomieszczenia.

– Usuń przekaźnik! Ostrożnie!

– Sądzisz, że uda wam się rozbroić wszystkie na czas? – spytała Rachele.

– Nie zamierzamy – odparł Duncan, nie przerywając pracy. – Prawdopodobnie rozmieścili je wszędzie.

Ostrożnie oderwał z mocowania grudę plastiku, szczególnie starannie traktując zapalnik i przekaźnik. Pobiegł z tym do stalowych drzwi.

Monk już tam czekał – ze swoim kompletem.

Duncan przykleił plastik do grubych zawiasów drzwi. Otworzył obudowę przekaźnika – urządzenia łączącego funkcje nadajnika i odbiornika. Paznokciem zmienił ustawienie odbiornika, tak aby odebrał sygnał różniący się od tego, na który zaprogramowano resztę ładunków.

Lepiej nie zwalić sobie wszystkiego na głowę, pomyślał i wziął przekaźnik od Monka.

– Wiesz, co robisz? – spytał jego partner.

– Nie chodziłem na wykłady z elektroinżynierii, żeby pracować w radiu. – Duncan szybko ustawił urządzenie na nową częstotliwość, po czym dał wszystkim znak, aby się cofnęli. – Pochowajcie się i zasłońcie uszy!

Sam też się cofnął i schował za masywnym regałem. Gdy zajął pozycję, przystawił kciuk do małego czerwonego przycisku. Na nową częstotliwość powinien zareagować tylko jeden ładunek, jednak jeśli chodzi o materiały wybuchowe i fale radiowe, czasami nawet dobrym inżynierom zdarzają się niemiłe przygody.

Nacisnął przycisk.

Rozsadzająca czaszkę eksplozja była tak silna, że w pierwszej chwili pomyślał, że spała robotę i zdetonował wszystkie ładunki. Dym i pył kotłowały się w całym pomieszczeniu. Wstał, pomachał ręką i zakaszał.

Stalowe drzwi zniknęły – ze sporymi fragmentami otaczającej je ściany.

Podszedł Monk. Jego głos brzmiał, jakby mówił spod wody.

– Tamci prawdopodobnie usłyszeli!

Duncan skinął głową.

Innymi słowy: trzeba szybko stąd wiać!

Godz. 0.46

Jada biegła w górę schodów za Duncanem, który prowadził z jedyną latarką, jaka im została. Monk i Rachele pomagali Vigorowi, niemal go niosąc. Pochód zamykał Sandżar.

Jada z każdą chwilą spodziewała się eksplozji, która zmiażdży ich pod tonami skał i pogrzebie w piachu i soli. Wyjście prowadzące do zardzewiałego kadłuba sprawiało wrażenie, że jest nieskończenie daleko. Labirynt zdawał się wydłużać, robił się wyższy i szerszy, rósł proporcjonalnie do jej przerażenia. Wicher dął i wył w skorodowanym statku, zmuszał do szybszego biegu.

– Już niedaleko... – wydyszał Duncan, pokonując po dwa stopnie naraz.

Jada podniosła głowę, ale jego plecy zasłaniały jej widok.

Po pięciu metrach okazało się, że miał rację. Kamienne stopnie pod stopami zamieniły się w stalowe. Pokonywali ostatni odcinek...

I w tym momencie ziemia stanęła dęba, a świat pod stopami zaczął pękać.

Potężna siła rzuciła ich na kolana. Z góry buchnął kłęb piachu, pyłu i dymu, dusząc ich i oślepiając.

Jada wspięła się na czworakach na ostatnie stopnie, kierując się światłem z latarki Duncana. Złapała ją silna dłoń, szarpnęła do góry i ściągnęła ze schodów tak łatwo, jakby była piórkiem. Postawiona na nogi, odtoczyła się na bok, podczas gdy Duncan pomagał pozostałym.

– Do wyjścia! – zawołał, wskazując na wyciętą w burcie dziurę.

Jada spróbowała wykonać polecenie, gdy jednak świat pod nią się przechylił, straciła równowagę. Rufa statku za jej plecami opadła gwałtownie w dół, dziób ostro się podniósł. Tylne części tysiąctonowego kadłuba zapadała się w jamę powstałą w wyniku zawalenia się podziemnego labiryntu.

Nagle drgnęły zebrane wzdłuż całej długości konstrukcji pięćdziesięcioletnie złożone soli i ruszyły ku rufie.

Jada nie była w stanie utrzymać się na nogach, ruchomy piasek wsysał ją jak morski prąd. Opadła na kolana i zaczęła zsuwać się ze stromizny. Pozostałym członkom grupy wiodło się nie lepiej – ręce i nogi ślizgały się w strumieniu piasku, który zamienił się w szalejący prąd, coraz bardziej gwałtowny, coraz szybciej się poruszający, więżący kończyny, pchający wszystko ku zapadającej się pod ziemię rufie.

Jada walczyła, machała rękami jak szalona. Czuła się jak tonący pływak. Wokół szalała zdradziecka burza, czekając na odpowiedni moment, aby ją połknąć, a za jej plecami połowa nagromadzonego w statku piachu płynęła, gotowa zasypać bezsilnego człowieka, w chwili gdy zostanie unieruchomiony.

Nagle pojawił się Duncan. Minął ją z dużą prędkością – trochę sunąc jak łyżwiarz, trochę balansując jak surfer ciałem; w odróżnieniu od pozostałych nie opierał się prądowi piasku.

Błyskawicznie zniknął w chmurze pyłu.

Czyżby się poddał?

Godz. 0.50

Sunąc po powierzchni piasku, Duncan kierował się ku jedynej możliwości ratunku.

Pamiętał, że gdy przylecieli tu po raz pierwszy, land rover, który wyjechał im naprzeciw, schował się w prowizorycznym garażu na rufie statku.

Gdy minutę temu świat wywrócił się do góry nogami, Duncan dostrzegł, że land rover wciąż tam stoi, i postanowił do niego dotrzeć, surfując po piasku. Choć piach już mu obejmował kostki stóp i z każdą chwilą coraz głębiej go wciągał, Duncan starał się trafić ciałem w środek karoserii. Udało się! Huknął w przedni zderzak i wrzuciło go na maskę. Gdy impet przycisnął go do przedniej szyby, natychmiast zaczął się przesuwając w bok, do otwartego bocznego okna. Wślizgnął się do środka i opadł na fotel kierowcy.

Rozejrzał się – kluczyki były w stacyjce.

Dzięki Bogu...

Przekręcił kluczyk, wcisnął gaz i poczuł, jak specjalnie bieżnikowane opony łapią przyczepność, wyrzucając w górę wysoki pióropusz piachu. Ruszył w górę zbocza.

Monk domyślił się, dokąd Duncan zmierza, i też przestał walczyć z piaskiem, co sprawiło, że szybko zsunął się kilka metrów po pochyłości. Gdy dotarł do samochodu, wtoczył się na maskę. Uniósł kciuk protezy.

– Jedź dalej!

Duncan powoli wjeżdżał pod górę, a Monk wyłapywał kolejnych ludzi z piaszczystej kipieli. Przesunął Vigora po masce, aż ten oparł się plecami o przednią szybę, zaraz potem wziął Rachele. Od strony prawego błotnika Jada pomogła Monkowi złapać Sandzara, cały czas trzymającego w rękach owiniętego kocem sokoła.

Gdy wszyscy znaleźli się na „pokładzie”, Duncan dodał gazu. Wspinał się w górę zbocza na niskim biegu, niestety, im bardziej rufa statku zapadała się w podziemny labirynt, tym bardziej robiło się stromo.

Tył zarzucał mimo specjalnych opon i napędu na cztery koła. Przy każdym ześlizgnięciu się samochodu Duncan wstrzymywał oddech, świadom, że cofnięcie się poza krytyczną granicę będzie oznaczać koniec. Zostaliby bardzo szybko pogrzebani żywcem przez pięćdziesięcioletnie złogi piachu, mułu i soli.

Zardzewiały statek jęczał, stęknienia naprężanej stali odbijały się głośnym echem w zamkniętej przestrzeni. Płyty poszycia odrywały się z odgłosami przypominającymi wystrzały z karabinu i szybowały ku ziemi. Wszystko się rozlatywało.

Łukiem ku bakburcie wreszcie dotarli do wyciętej w burcie dziury, ale przechył statku spowodował, że jej dolny brzeg znajdował się dobrze ponad metr nad piaskiem. Samochód nie miał szans wyjechać na zewnątrz.

Duncan starał się utrzymać land rovera na wysokości dziury, a Monk wyrzucał kolejnych członków grupy na zewnątrz, w szalejącą burzę.

– Teraz ty! – wrzasnął Monk do Duncana.

– Nie! Ty! Wskoczę zaraz za tobą!

Było to oczywiście kłamstwo, Duncan bowiem nie miał możliwości opuszczenia samochodu. Puści pedał gazu i land rover natychmiast pomknie na dół.

Monk popatrzył na niego przez przednią szybę, po czym odwrócił się i skoczył. Zanim jednak poleciał w dół, zahaczył protezą dłoni o krawędź otworu, a drugą rękę wyciągnął do Duncana.

– Złap mnie za rękę!

Duncan nie kwapił się do wykonania polecenia, zdając sobie sprawę, że manewr może się skończyć śmiercią ich obu.

– Nie każ mi skakać po ciebie! – krzyknął Monk.

Gość gotów jest to zrobić, pomyślał Duncan.

Wcisnął mocniej gaz i podjechał dwa metry w górę. Opony wirowały na śliskim piasku, utrudniając utrzymanie samochodu w miejscu. Jedną ręką trzymał kierownicę, drugą wystawił przez okno.

Monk złapał jego palce, potem całą dłoń i zacisnął chwyt.

Modląc się bezgłośnie, Duncan puścił kierownicę, zdjął nogę z gazu i zaczął się wysuwać przez okno. Tak jak należało się spodziewać, land rover natychmiast pomknął w dół i Duncan zawisł w powietrzu, trzymany przez Monka.

Odetchnął z ulgą.

Za wcześnie.

Nim zdążyli się ruszyć, statek pękł na pół.

Godz. 1.04

Kuląca się kilka metrów dalej Jada patrzyła na pękający pośrodku kadłub, który rozpadał się ze skargą rozdieranego metalu na dwie części. Po chwili część dziobowa opadła, z hukiem wzbijając tumany piachu.

Gdy z góry sypnęły pędzone wichrem szczątki, wszyscy zaczęli szukać schronienia. Piasek

zasłonił wszystko, co znajdowało się dalej niż czubek nosa.

Duncan... Monk...

Ciągły wicher szybko zdmuchnął zasłonę pyłu i odegnał ją na słoną równinę.

Jada zaczęła się rozglądać po ruinach statku.

Coś ruszało się w okolicy kadłuba. Z otworu wypęły dwie małe figurki i spadły na piasek. Na szczęście statek pękł tak, że zostali uratowani.

Gdy znaleźli się na ziemi, Monk pomógł Duncanowi przejść między sterczącymi wokół statku ostrymi szczątkami. Trzymał młodszego, kulejącego kolegę pod ramię.

Jada podbiegła do nich. Na widok zakrwawionej nogawki Duncana poczuła ukłucie pod sercem.

Po chwili dołączyli do nich pozostali.

– Co się stało? – spytała Jada.

– Próbowałem pójść na dno z tonącym statkiem, ale Monk przekonał mnie do innego rozwiązania – odparł Duncan.

– Ruszajmy – polecił Monk. – Gdzie Sandżar?

Jada rozejrzała się. Nie zauważyła, kiedy zniknął.

– Poszedł zobaczyć, co z pilotem – powiedział Vigor.

Poczuła się głupio. Popatrzyła w kierunku ciemnej bryły helikoptera. Nawet do głowy jej nie przyszło, aby to sprawdzić. W głębi duszy uznała pilota za martwego, zamordowanego na początku zajścia jak reszta ekipy Josipa.

Monk i Duncan ruszyli do helikoptera. Po drodze natknęli się na trzy ciała, leżące w kałużach krwi. Cała trójka zginęła od broni palnej.

– Nasz podniebny bohater ostro walczył – powiedział Duncan.

– I uratował nam życie. Prawdopodobnie to on opóźnił Arslana na tyle, że zdążyliśmy uciec.

Jadzie naprawdę zrobiło się wstyd. Nawet nie poznała imienia pilota.

Podeszli do helikoptera. Boki miał podziurawione kulami, owiewki popękane. Plandeki łopotały luzem na wietrze.

Poszukiwanie Sandżara nie dało efektu.

Nagle z chmury pyłu wyszły dwa cienie. Opierały się o siebie, chroniąc się nawzajem przed wichrem i ukłuciami soli.

Sandżar i pilot.

– Poszedłem jego śladem – oznajmił Sandżar. – Po plamach krwi.

– Dostałem w udo – wyjaśnił pilot. – Przygwoździli mnie pod helikopterem i już myślałem, że to koniec, ale w statku coś eksplodowało. Wykorzystałem zamieszanie i odkuśtykałem od helikoptera, w nadziei że ich zgubię. Chyba się udało.

Wygląda na to, że uratowaliśmy się nawzajem, pomyślała Jada.

– Ptak poleci? – spytał Monk.

Pilot zmarszczył czoło i przyjrzał się uszkodzeniom.

– Nie przy tej pogodzie – odparł. – Ale jak burza przejdzie, z odrobiną kitu i kleju prawdopodobnie uda mi się go namówić do latania.

– Obyś miał rację – rzucił Monk.

Schowali się w kabinie helikoptera i czekali na koniec nawałnicy. Niestety, mieli poważniejsze od niej problemy.

– Dokąd Arslan mógł zabrać relikwie? – spytał Monk Sandżara, który zdejmował z fotela

sokoła owiniętego w koc. Musiał go tam położyć, zanim poszedł szukać pilota.

– Moim zdaniem do Ułan Bator.

– A dokładnie? – spytał Vigor. – Komu je da?

– To akurat jest oczywiste. Przywódca klanu. Człowiekowi, który każe się tytułować Borgidzin, czyli Pan Błękitnego Wilka.

– Taki tytuł nosił Czyngis-chan – powiedział Vigor.

Sandżar skinął głową.

– A jak nazywa się naprawdę? – spytał Włoch.

– Nie mam pojęcia. Przychodzi zawsze w masce wilka. Tylko Arsłan zna jego prawdziwą tożsamość.

– Dużo nam to daje – rzucił Duncan, bandażując sobie nogę.

– Bez ostatniej relikwii jesteśmy skończeni – powiedział cicho Vigor.

Jada patrzyła przez okno na słabnącą burzę. Kometa znowu była widoczna na niebie. Jako naukowiec wierzyła w liczby i fakty, twarde dowody i bezdyskusyjne obliczenia, a drwiła z przesądów, które doprowadziły do zejścia z zasadniczego kursu i zmusiły ich do przyjazdu nad Jezioro Aralskie. Odrzucała je jako nieistotne, jednak patrząc w niebo, czuła rozpacz, ponieważ prawda była oczywista.

Monsignore miał rację.

Jesteśmy skończeni.

CZĘŚĆ TRZECIA
ZABAWA W CHOWANEGO

Σ

Ułan Bator, Mongolia

19 listopada, godz. 11.09 czasu miejscowego

– I uważacie, że krzyż ma znaczenie – powiedział Gray.

Siedzieli w apartamencie hotelu Ulaanbaatar, znajdującego się w samym centrum stolicy Mongolii. Jego fasada wyglądała jak front domu z sowieckiego robotniczego miasta, pozostałość po niedobrych czasach, ale wewnątrz prezentowało się po europejsku, nowocześnie i elegancko; wizytówka nowej Mongolii, kraju chcącego żyć w niezależności.

W apartamencie była nawet sala konferencyjna z długim stołem. Zespół Monka siedział po jednej stronie, Graya po drugiej.

Godzinę wcześniej rozległo się pukanie do drzwi Graya i po chwili ujrzał znajomą łysinę i twarz z szerokim uśmiechem. Monk objął go w niedźwiedzim uścisku, aż uraził świeżo zagojoną ranę barku. Za nim wszedł do środka jego nowy partner, Duncan Wren, i lekko się uklonił na powitanie. Towarzyszył im młody Mongoł w krótkim kożusku. Niósł ptasią klatkę, w której coś się poruszało.

Najsilniejszą reakcją Graya wywołała jednak para, która weszła na końcu. Widok ucieszył go, przywołał mnóstwo ciepłych wspomnień, także tych związanych z głębokim uczuciem.

Objął Vigora z takim samym entuzjazmem, jak jego przed chwilą chwycił Monk. *Monsignore* w dalszym ciągu był twardy i zdecydowany, a równocześnie delikatny; jednak widać było po nim wiek. Schudł i zmizerniał, wyostrzyły mu się rysy twarzy.

Potem weszła Rachele.

Gray powitał ją tak samo przyjaźnie, ale pozostała w jego objęciach nieco dłużej, niż mogłoby to wynikać ze zwykłej znajomości. Jej bliskość przywołała masę wspomnień. Przez pewien czas byli parą, zaczęli nawet rozmawiać o czymś stałym – aż blask zakochania zbladł w obliczu realiów związku na odległość. Romans zamienił się w głęboką zażyłość – choć gdy ich ścieżki się przecinały, raz czy dwa skończyło się czymś bardziej konkretnym.

Okoliczności jednak się zmieniły.

Gray popatrzył na kobietę naprzeciwko Rachele.

Seichan wiedziała, co ich kiedyś łączyło. Jej relacje z Rachele były dość skomplikowane, także z innych powodów. Choć zachowywały wobec siebie ostrożność, szanowały się nawzajem.

Gdy zespół Monka się nieco zaaklimatyzował, Gray wezwał wszystkich na konferencję. Trzeba było ustalić plan. Czas wyłożyć karty na stół.

Za zgodą Paintera Crowe'a Monk ujawnił Vigorowi i Rachele – i Sandżarowi – szczegóły dotyczące rozbitego satelity. Mongoł zaoferował swoje usługi jako przewodnik po Parku Narodowym Chan Chentej.

Nastrój spotkania popsuły relacje o zniszczeniach zarejestrowane przez spadającego satelitę oraz o najnowszych wydarzeniach na Antarktydzie. Grali o wielką stawkę.

Relacjonując wydarzenia w Kazachstanie, wszyscy ludzie Monka najwyraźniej byli

przekonani, że krzyż, który kiedyś należał do świętego Tomasza, ma znaczący związek z bieżącymi wydarzeniami. Nawet doktor Jada Shaw uważała, że znalezienie go ma ogromne znaczenie, ale Gray w dalszym ciągu miał co do tego wątpliwości.

Właśnie to wyjaśniała.

– Wiem na podstawie obserwacji i obliczeń, że kometa IKON emituje nietypową energię, taką, która wywołuje anomalie grawitacyjne.

– Spowodowane, twoim zdaniem, przez ciemną energię – wtrącił Gray.

– Mogę jedynie stwierdzić, że anomalie dokładnie pasują do teoretycznych obliczeń.

– A krzyż?

– Zdaniem Duncana obie starożytne relikwie emitują nietypową energię. Uważamy, że to efekt skażenia nią ciała Czyngis-chana, wynikłego z wieloletniego noszenia krzyża. – Zaczęła odliczać na palcach dodatkowe argumenty. W jej ciemnych oczach widać było pewność. – Po pierwsze, historia krzyża jest związana z uderzeniem meteorytu w Ziemię. Po drugie, jest w fizyczny sposób związany z przepowiednią katastrofy, która ma nastąpić mniej więcej za dwie i pół doby, co pasuje czasowo do obrazu z satelity. Po trzecie, emituje tę samą dziwną energię, która zostawiła ślad w relikwiach. Myślę, że warto to zbadać, a przynajmniej ktoś powinien się temu przyjrzeć.

– Ale nie ty – rzucił Gray, naruszając jej pewność siebie.

Jada westchnęła.

– Bardziej się przydam, uczestnicząc w poszukiwaniach satelity. Jestem astrofizykiem i znam ten sprzęt na wylot. Moja znajomość historii ledwie wykracza poza ostatnie wybory prezydenckie.

Postanowiono, że Jada, Duncan i Monk udadzą się do miejsca katastrofy satelity, znajdującego się w głębi odciętych od świata gór, z Sandżarem jako przewodnikiem i tłumaczem. Gray chętnie by z nimi pojechał, ale Monk i jego ludzie byli zgodni w opinii, że ktoś musi odnaleźć krzyż, który zmarły dwa tysiące lat temu święty uważał za klucz do uratowania świata przed zbliżającą się apokalipsą.

Vigor był zdecydowany podążyć tą ścieżką, więc potrzebował pomocy logistycznej i ochrony. Wszyscy patrzyli na Graya i czekali na jego decyzję.

Jeszcze się opierał.

– Straciliście ostatnią relikwię, zawierającą wskazówki do lokalizacji krzyża – powiedział.

– Więc musimy ją odnaleźć – odparł Vigor.

– Jak? Nie wiesz, dokąd ją zabrano ani nie znasz tożsamości tajemniczego przywódcy klanu. Ponieważ zegar ciągle tyka, uważam, że lepiej połączyć siły i razem udać się na poszukiwanie satelity. W tej chwili wrak jest najlepszą szansą na poszerzenie wiedzy o grożącej katastrofie. Właśnie to może się okazać najlepszą metodą na uniknięcie katastrofy, a nie krzyż.

Nawet Jada zapadła głębiej w fotel. Logika rozumowania Graya była nie do odparcia, a jako naukowiec nawykła do godzenia się z dyktatem logiki.

Vigor był jednak człowiekiem wiary i serca. Skrzyżował ramiona na piersi, demonstrując, że nie jest przekonany.

– W poszukiwaniach satelity nikomu do niczego się nie przydam, komandorze Pierce, a obiecałem ojcu Josipowi, że nie pęknię. Ze wszystkich sił będę szukał krzyża. Jeśli będzie trzeba – samotnie.

Rachele uchwyciła spojrzenie Graya, by dać mu do zrozumienia, że niepokoi się o wuja. Oboje wiedzieli, jaki potrafi być uparty, a nie chciała, by sam wyruszył na poszukiwania.

O zagrożeniach wyraźnie świadczyły ich siniaki i rany.

Patrzyła na Graya, błagając go wzrokiem, aby odwiódł jej wuja od tego pomysłu.

– Sandżarze, powiedziałeś, że nie domyślasz się, kim jest szef klanu, który każe się nazywać Borgidzinem, ale wiesz, że ma ogromne możliwości i bywa bezlitosny – powiedział Vigor.

– To prawda. Jego najbliżsi podwładni, tacy jak mój kuzyn Arslan, zrobią wszystko, aby mu się przysłużyć. Dla nich Czyngis-chan to bóg, a Borgidzin to ktoś taki jak papież, ogniwo łączące z chwałą minionych czasów i obietnicą jaśniejszej przyszłości. – W słowach Sandżara pobrzmiwały echa nacjonalistycznego entuzjazmu, nie przejął jednak ślepo całej ideologii szalonego przywódcy. – Borgidzin twierdzi, że jest potomkiem Czyngis-chana w linii prostej. Pamiętam, że kiedyś miał nawet na sobie...

Sandżar gwałtownie przerwał. Wyprostował się, szerzej otworzył oczy. Przycisnął dłoń do czoła.

– Ale ze mnie głupiec.

– Co się stało, Sandżarze? – spytał Vigor.

– Właśnie sobie coś przypomniałem. – Skłonił się Vigorowi, jakby mu dziękował. Za co? – Jako dowód Borgidzin pokazał kiedyś złotą osłonę nadgarstka, skarb, który miał należeć do Czyngis-chana. Wątpiłem w to, uważałem, że jedynie się przechwala, więc niewiele o tym myślałem. – Sandżar odwrócił się do Vigora. – Ale ojciec Josip coś mi wyznał. Wiedziałem, że w celu sfinansowania swoich badań sprzedał jakiś przedmiot, do wczoraj nie wiedziałem jednak co.

– Mówisz o złotej bransolecie znalezionej w grobie Attyli, tej z wrytym imieniem Czyngis-chana? – spytał ostro Vigor i złapał Mongoła za ramię. – Myślisz, że to ta sama? Czy to, co widziałeś na nadgarstku Borgidzina, miało wryte wizerunki Feniksa i demonów?

Sandżar popatrzył przepaszająco na *monsignore*.

– Nie miałem możliwości przyjrzeć się z bliska. Widziałem ją tylko z daleka i tylko jeden raz. Dlatego nie skojarzyłem – powiedział, a Włoch puścił jego ramię. – Mogę się mylić – dodał Sandżar. – U handlarzy antyków w całym Ułan Bator półki uginają się od przedmiotów rzekomo związanych z Czyngis-chanem. A metalowe osłony nadgarstków to nic niezwykłego. Tradycja sokolnictwa jest w naszym kraju ciągle ceniona. Wielu ludzi nosi takie ozdoby, by okazać, że czuje związek z naszą wspaniałą przeszłością. Niektórzy używają całkiem prostych, ze skóry, tak jak ja. – Odślonił nadgarstek, ukazując szeroki pas grubej podrapanej skóry. – Inni mają coś bardziej wymyślnego, co równocześnie może ochronić nadgarstek i pełnić funkcję ozdoby.

– W jaki sposób to, co mówisz, ma nam pomóc? – spytał po chwili Gray. – Nawet jeśli przedmiot, który sprzedał Josip w celu sfinansowania swoich wykopalisk, jest bransoletą Pana Błękitnego Wilka, to w jaki sposób mamy go odnaleźć?

Sandżar przecesał palcami włosy.

– Choć do wczoraj nie wiedziałem, co ojciec Josip sprzedał, wiem, komu to sprzedał.

– Dokładnie to pytanie zadałam ojcu Josipowi – powiedziała Rachele.

– A ja uznałem, że to nieistotne... – Vigor westchnął.

– Wuju, chciałeś chronić jego uczucia. Nie mogliśmy zdawać sobie sprawy z wagi tej informacji.

Gray wbił w Sandżara ostre spojrzenie.

– Kto kupił od księdza ten skarb?

– Robotnicy opowiadają różne historie, więc nie musi to być prawda, ale wszyscy byli

przekonani, że kupcem był ktoś ważny z mongolskiego parlamentu.

– Kto?

– Minister sprawiedliwości. Nazywa się Batuchan.

Gray zastanowił się nad tą informacją. Wniosek był dość naciągany. Może chodziło o inną bransoletę. Może wcale nie kupił jej Batuchan. A nawet jeśli to minister ją kupił, mógł ją dawno temu odsprzedać.

Wszystkie oczy wpatrywały się w niego.

– Warto to sprawdzić – przyznał w końcu. – Powinniśmy złożyć gościowi wizytę. Jeśli jednak Borgidzinem jest minister, to najprawdopodobniej zna wasze twarze. – Skinął w kierunku tej strony stołu, gdzie siedział Monk. – Nie zna jednak mojej. Ani Seichan.

Podeksytowany Vigor wstał.

– Gdyby udało się odzyskać ostatnią relikwię...

Gray uniósł dłoń.

– Gdyby. Nie zamierzam opóźniać poszukiwań satelity z powodu jakiegoś domysłu. – Wskazał przez stół. – Monk, bierz Duncana i Jadę i ruszajcie z Sandżarem w góry. Macie najnowsze dane GPS-u od Painterera?

Sigma i SMC doprecyzowały szacunki trajektorii, po jakiej spadał satelita, maksymalnie zawężając region poszukiwań.

– To w dalszym ciągu kawał terenu – rzekł Monk.

– Więc natychmiast ruszajcie. Ja i Seichan pójdziemy na zwiady do ministra, a Kowalski zostanie w hotelu z Vigorem i Rachele. Jeżeli nic się nie zdarzy, dołączymy do was w górach.

Monk skinął głową i wstał, gotów do akcji.

Kowalski przeciągnął się.

– Rozdzielanie się to superpomysł – mruknął pod nosem. – Jak dotąd, świetnie się sprawdzał.

Godz. 12.02

Seichan krążyła po pokoju. Gdy Monk i jego ludzie wyruszyli w góry, postanowiła się chwilę zdrzemnąć.

W sąsiednim pokoju Gray konferował z Kat, przebywającą w dowództwie Sigmy. Sporządzali profil psychologiczny mongolskiego ministra sprawiedliwości oraz ustalali szczegóły dotyczące jego miejsca pracy i zamieszkania. Zbierali także dane dotyczące jego finansów, współpracujących z nim osób, partnerów biznesowych – wszystko, co mogło się przydać przed spotkaniem z wrogiem.

Jeżeli był wrogiem...

Nikt nigdy nie jest tym, na kogo wygląda, pomyślała Seichan. Tej prawdy nauczyła się dawno temu, rzucona jako dziecko w rzeczywistość surowego świata, w którym każdy był do kupienia, a twarze okazywały się jedynie fasadą – taką samą jak maska przywódcy klanu. Od tego czasu Seichan ufała tylko sobie.

Nawet przy Grayu nie mogła całkowicie pozbyć się maski.

Nie bała się, że zobaczy jej prawdziwą twarz – raczej tego, że okaże się, iż nie ma własnej twarzy. Po tylu latach grania wielu różnych ról mogła stracić naturalność. A jeśli odrzuci zasłonę, a za nią ukaże się pustka?

Pukanie do drzwi wyrwało ją z zadumy. W sumie dobrze.

– Tak?

Do pokoju wetknęła głowę Rachele.

– Nie wiedziałam, czy już zasnął.

– Czego chcesz?

Zabrzmiało to bardziej szorstko, niż Seichan zamierzała. Nie czuła niechęci do Rachele, reakcja była jedynie wynikiem nadmiaru blizn, jakimi obrosła. Miały zero szans na zostanie przyjaciółkami, ale szanowała zdolności Włoszki i jej błyskotliwy intelekt. Nie zmieniało to faktu, że jej zazdrościła, choć bardziej działał tu zwierzęcy instynkt służący obronie terytorium.

– Przepraszam – spróbowała się poprawić. – Wejdz.

Rachele zrobiła ostrożny krok do środka, jakby wchodziła do klatki lwa.

– Chciałam podziękować za to, że zgodziłaś się pomóc mojemu wujowi. Gdyby wyruszył sam...

Seichan wzruszyła ramionami.

– To była decyzja Graya.

– Mimo wszystko...

– Lubię twojego wuja. – Seichan była zaskoczona, jak prawdziwe są to słowa. Gdy przed kilkoma godzinami wszedł do hotelowego pokoju, dotknął serdecznie jej ramienia, choć doskonale znał jej mroczną przeszłość. Ten prosty gest wiele znaczył. – Od kiedy choruje?

Rachele zamrugła i przełknęła ślinę.

Seichan uświadomiła sobie, że Włoszka nie do końca się z tym pogodziła. Sądząc po jej minie, w głębi serca zdawała sobie sprawę ze stanu wuja, ale jeszcze nie spojrzała temu w oczy.

Nie wspominając o mówieniu o tym na głos.

Seichan gestem zaprosiła ją dalej i zamknęła drzwi.

– On nie chce o tym rozmawiać – powiedziała sztywno Rachele, podeszła do krzesła i usiadła na jego skraju. – Uważa, że nas w ten sposób chroni, że ochrania mnie.

– Ale to jeszcze gorsze.

Rachele skinęła głową i otarła łzę.

– Przepraszam – rzuciła.

– Nie ma sprawy.

– Jego stan pogarsza się od jakiegoś czasu, ale tak powoli, że można to wytłumaczyć i zbagatelizować. Potem widzi się go dłużej, jak teraz. I nie da się już przymknąć oka na prawdę.

– Rachele przez chwilę zasłaniała dłońmi twarz. Gdy je opuściła, widać było, jak bardzo walczy o zachowanie spokoju. – Nie wiem, dlaczego cię tym obciążam.

Seichan znała odpowiedź: czasem łatwiej otworzyć serce przed obcą osobą, sprawdzić swoje emocje na kimś, kto niewiele dla człowieka znaczy.

– Dziękuję, że... chcesz pomóc mieć na niego oko. – Rachele wyciągnęła rękę i dotknęła dłoni Seichan. – Sama chyba bym sobie nie poradziła.

Seichan zeszywniała. Najchętniej wyszarpnęłaby dłoń, ale pohamowała się.

– W takim razie zrobimy to razem – szepnęła.

Włoszka ścisnęła jej palce.

– Dziękuję.

Seichan cofnęła dłoń, intymność tego gestu spowodowała, że poczuła się nieswojo. Tym bardziej że Rachele nie dziękowała jedynie za pomoc w sprawie wuja, ale także za możliwość podzielenia się lękami. Milczenie nasila obawy, pozwala im rozkwitać. Mówienie o nich

redukuje napięcie i pomaga – nawet jeśli na krótko.

– Powinnam wracać do wuja. – Rachele wstała. Przed wyjściem zatrzymała się przy drzwiach. – Gray mówił, że odnalazłaś matkę. To musiało być wspaniałe.

Seichan wahała się. Brała pod uwagę możliwość skorzystania z przykładu Rachele i wyznania prawdy, podzielenia się lękami i niepokojami z obcą osobą, przy której mogłaby sprawdzić, jak to jest się przed kimś otworzyć. Jednak całe życie milczała i trudno było jej się przełamać, zwłaszcza teraz.

– Jasne – odparła, chowając się za kłamstwem. – Naprawdę wspaniałe.

Rachele uśmiechnęła się i wyszła.

Gdy drzwi się zamknęły, Seichan odwróciła się ku jasnym oknom, gotowa na spotkanie z tym, co za nimi czekało. Szczęśliwa, że może porzucić myśli o zwalczających się triadach, matce i Korei Północnej.

Mimo to czuła ból w trzewiach.

Źle zrobiła, milcząc.

Pjongjang, Korea Północna

Godz. 13.15 czasu miejscowego

– Co ona robi w Mongolii? – spytał Hwan Pak.

Ju-long wyszedł za północnokoreańskim naukowcem z budynku administracyjnego obozu. Przebywał w nim nie jako więzień, lecz dla ochrony. Przynajmniej tak mu powiedziano.

Po uwolnieniu w środku nocy z sali przesłuchań uporządkowanie wszystkiego zajęło kilka godzin: ustalono, że więźniarka uciekła z Korei Północnej z pomocą Amerykanów, co, oczywiście, nigdy nie miało zostać oficjalnie nagłośnione.

Postawiło to Ju-longa w trudnej sytuacji. Koreańczycy, zwłaszcza Hwan Pak, potrzebowali kozła ofiarnego, a on znakomicie się do tego nadawał.

Na szczęście nauczony doświadczeniem nigdy nie wkraczał na wrogi teren bez zapasowego planu. Już wiele lat temu zaczął znakować swój towar – także przy tego typu transakcjach jak ta. Była to zdrowa praktyka handlowa pozwalająca śledzić swoją własność.

Gdy piękna zabójczyni była pod jego kuratelą – naszprycowana narkotykami – umieścił w jej ciele mikronadajnik GPS. Po zamachu na ulicach Makau, gdy uderzył cadillakiem w motocykl, który prowadziła, została poraniona, więc wkleił urządzenie wielkości znaczka pocztowego w jedną z ran. Prędzej czy później element zostanie znaleziony albo bateria się wyczerpie, ale jak na razie, czynił cuda w zakresie śledzenia towaru.

Wieczorem zaferowano mu łóżko w kwaterach oficerskich, by przez kilka godzin odpoczął. Przed snem zadzwonił do Makau i aktywował nadajnik. Odkrycie miejsca pobytu zbiegłej więźniarki zajęło więcej czasu, niż się spodziewał – głównie dlatego, że nikt nie wpadł od razu na pomysł, aby szukać tak daleko, ale się udało. Rano Ju-long wyjął asa z rękawa, informując Paka o miejscu pobytu Seichan. Prawdopodobnie tylko dlatego był traktowany niczym gość honorowy.

– Nie mam pojęcia, po co pojechała do Mongolii – przyznał Ju-long, gdy dotarli do budynku, w którym wszystko się zaczęło: do oddziału przesłuchań.

Poszli tam, ponieważ Pak twierdził, że zostawił tam coś ważnego, co pomoże im złapać kobietę. Weszli do pomieszczenia, gdzie byli uwięzieni w nocy.

Do krzesła przypięto nową ofiarę. Mężczyzna zwiesił głowę, na podłodze pod nim rozlewała się kałuża krwi, przedramiona pokrywały oparzenia po papierosie. Twarz miał tak opuchniętą, że Ju-long potrzebował dłuższej chwili, aby go rozpoznać.

Podbiegł do krzesła.

– Tomaz!

Jego zastępca.

Słyszając swoje imię, Tomaz słabo jęknął.

Ju-long odwrócił się do Paka, a ten szeroko się uśmiechnął. Wyglądało na to, że Koreańczyk zapomniał o nocnym upokorzeniu i poprawiał sobie samopoczucie rewanżem na kimś innym.

– Dlaczego? – spytał wściekle Ju-long.

W okrutnej radości, że może podkreślić swoją opinię, Pak zapalił papierosa i zaciągnął się, aż czubek jaskrawo się rozżarzył.

– Lekcja – odparł i wydmuchał dym. – Nie tolerujemy niepowodzeń.

– Strata więźnia to moja wina? – Wskazał na Tomaza. – Jego? Co on zawinił?

– Nie rozumiesz. Nie oskarżamy cię o ucieczkę tej kobiety, ale ponosisz odpowiedzialność za jej złapanie. Będziesz ją śledził i towarzyszył elitarnemu oddziałowi sił specjalnych, by ją przechwycić. Amerykanie uratowali ją z jakiegoś powodu. Mój rząd chce znać ten powód.

– Nie zajmuję się utraconym towarem – odparł Ju-long. – Dostarczyłem ją tutaj w dobrej wierze. Gdy uciekła, była pod twoją kuratelą. Nie rozumiem, dlaczego mam być za cokolwiek odpowiedzialny.

– Nie sprawdziłeś wystarczająco dokładnie swojego towaru, Delgado-ssi. Dostarczyłeś coś, co mój rząd uważa za bombę, cały czas uzbrojoną. Gdybyśmy wiedzieli, że kobieta ma aż takie znaczenie dla sił amerykańskich, zajęlibyśmy się nią inaczej. Musisz naprawić nieszczęsną pomyłkę. Oczekujemy rekompensaty za niezręczną sytuację, w jakiej znalazł się nasz kraj.

– A jeżeli odmówię?

Pak wyjął pistolet, przystawił go do skroni Tomaza i pociągnął za spust. Wstrząs i hałas sprawiły, że Ju-long podskoczył. Tomaz osunął się bezwładnie na krzesło.

– Jak powiedziałem: to jest lekcja. – Pak sięgnął po telefon i podał go Ju-longowi. – A to bodziec, aby odnieść sukces.

Zaskoczony Ju-long wziął telefon do ręki i przyłożył do ucha. Natychmiast rozległ się rozedrgany ze strachu głos.

– Ju-long?

Serce mu się zacisnęło. Oczywiście...

– Natalia?

– Pomóż mi! Nie wiem, kim są ci...

Pak wyrwał mu telefon z ręki. Nie odwracał pistoletu od jego piersi. Było to rozsądne, Ju-long bowiem potrzebował całej siły woli, aby nie rzucić się Koreańczykowi do gardła. Nie mógł tego zrobić ze względu na żonę.

– Trzymamy ją... i podejrzewam, że także twojego syna... w Hongkongu. Nic im się nie stanie, dopóki będziesz współpracował. Na pierwszy znak niesubordynacji nasz lekarz usunie twojego syna i przyślemy ci jego ciało pocztą. Twoją żonę oczywiście utrzymamy przy życiu.

Zabicie syna byłoby niczym w porównaniu z tym, co mogło czekać Natalię.

– Więc umowa stoi? – spytał Pak.

Obszar Mongolii

19 listopada, godz. 13.23 czasu miejscowego

W ciągu kilku godzin pokonali kilka stuleci.

Po wyjeździe z Ułan Bator kilkuletnią toyotą land cruiser minęli małe górnicze miasteczko – postapokaliptyczny krajobraz złożony z szybów, ciężkich maszyn i oblepionych brudem posowieckich budynków – i skręcili na północ w dolinę pełną topoli, wiązów i wierzb.

Przed nimi srebrna rzeka przecinała trawiaste połacie stepu zabarwionego wszystkimi odcieniami bursztynu. Zimowe fale traw były nakrapiane małymi białymi jurtami – Sandżar mówił na nie *ger* – wyglądającymi jak łódki na wzburzonym morzu.

Patrząc na dziesiątki domów namiotów, Duncan miał wrażenie, że od czasów Czyngis-chana niewiele się tu zmieniło. Gdy wyjeżdżali z doliny, dało się jednak bez trudu dostrzec, jak współczesny świat wpęła w tutejszą przestrzeń. Z jednej z jurt wystawała antena satelitarna, obok ktoś przypiął do ciągnionego przez bawoły wozu mały chiński motocykl.

Pięli się powoli w górę, ku rysującym się na horyzoncie górcom, częściowo już zwieńczonym śniegiem. Droga przeszła najpierw z asfaltu w żwir, potem w zmarznięte błoto. *Ger* były coraz rzadsze, za to wydawały się autentyczniejsze – z kozami w zagrodach i przywiązanymi na zewnątrz małymi konikami. Gdy ich SUV przejeżdżał, przed jurtę wychodzili niscy, ogorzali ludzie w baranich kurtkach i czapkach uszatkach.

Siedzący za kierownicą Duncan machał im, co spotykało się z autentycznym entuzjazmem. Zdaniem Sandżara gościnność była w Mongolii po dziś dzień wysoko cenioną cnotą.

Siedzący z przodu Monk pełnił funkcję pilota. Na kolanach położył mapę, w rękę trzymał GPS.

– Powinieneś skręcić w następną drogę w lewo. Doprowadzi nas do strefy poszukiwań.

Określenie „strefa” było dość naciągane, bo parametry poszukiwań obejmowały kwadrat o wymiarach sto pięćdziesiąt na sto pięćdziesiąt kilometrów. Optymizmem napawało jednak to, że jeszcze poprzedniego dnia bok kwadratu miał osiemset kilometrów.

Duncan skręcił w lewo i nadal jechali w górę. Teren był dużym wyzwaniem nawet dla samochodu z napędem na cztery koła. Składał się głównie z kamieni powstałych przez pęknięcie wszechobecnych skał i placków trawy poprzecinanych pasami modrzewia i sosny.

– Nie sądzę, aby ta okolica wymagała szczególnej ochrony rządowej – stwierdził Duncan. – Matka Natura nieźle dba sama o siebie.

Sandżar, siedzący na tylnym siedzeniu z Jadą, pochylił się do przodu.

– Dlatego nasi przodkowie wybierali te góry na pochówki. Groby są tu rozrzucone po całym regionie. Często nowe umieszczano na starych. Niestety, rabowanie grobów to spory problem. Miejscowi mieszkańcy przeczesują je, potem pojawiają się pośrednicy z miasta i kupują wszystko, aby sprzedać dalej w Chinach.

Wskazał na wznoszącą się przed nimi górę o zaokrąglonym szczycie, przewyższającą inne.

– Burchan-Chałdun, nasza najświętsza góra. Niektórzy twierdzą, że tu urodził się Czyngis-
chan, większość uważa, że tu został pochowany. Jedna z wieści niesie, że pochowano go
w wielkiej nekropolii pod górą, gdzie umieszczono nie tylko jego ciało i skarby, ale także ciała
jego potomków, w tym najślawniejszego wnuka, Kubilaj-chana.

– Wielka nagroda dla tego, kto by znalazł to miejsce – rzucił Duncan.

– Ludzie szukają go od stuleci, co doprowadziło do licznych aktów szabrownictwa
i wandalizmu. Aby chronić środowisko i nasze dziedzictwo, rząd zakazał tu wstępu, nawet drogą
powietrzną.

Między innymi dlatego przyjechali samochodem. Obrazowanie satelitarne regionu nie
wykazało śladu rozbitego satelity, trudno więc było oczekiwać, aby lepsze wyniki przyniosły
poszukiwania z helikoptera lub samolotu.

Podczas wejścia w atmosferę satelita mógł się też całkowicie spalić. Szukali igły w stogu
siana, musieli jednak spróbować.

– Powinienem ostrzec, że jest jeszcze inny powód ograniczeń – powiedział Sandżar.

– Jaki? – spytała Jada.

– Twierdzi się, że sam Czyngis-chaan uznał tę okolicę za świętą. Wielu tutejszych
mieszkańców uważa, że gdyby odnaleziono jego grobowiec i go otwarto, świat by się skończył.

Duncan jęknął.

– Super! Jeśli znajdziemy grobowiec, świat się skończy. Jeżeli nie odnajdziemy grobowca,
świat będzie skazany na zagładę.

– Tak źle i tak niedobrze – mruknęła Jada.

Popatrzył na nią w lusterku wstecznym. Odpowiedziała lekkim uśmiechem.

– Dyrektor Crowe wspomniał coś takiego, nim wyruszyłam na tę wyprawę – wyjaśniła. –
Oby nie miał racji.

– Nigdy nie stawaj przeciwko Painterowi – odezwał się Monk, nie podnosząc głowy znad
mapy.

Godz. 14.44

Minęła godzina. Jada właśnie zasypiała, gdy Duncan zawołał:

– No, ludziska, koniec drogi!

Wyprostowała się, potarła oczy i stwierdziła, że to nie metafora. Polna droga kończyła się
przed grupą pięciu *ger*. Gdy SUV toczył się w kierunku jurt, sprzed maski uciekały chodzące
swobodnie kozy. Nieco w głębi, w sporej zagrodzie, stało stado koni.

Gdy dotarli do granicy strefy poszukiwań, Sandżar zasugerował, aby zjechać z głównej
drogi. Tej, z której skręcili, nie było na żadnej mapie, ale, jego zdaniem, najlepszym sposobem
szukania satelity będzie pytanie o to miejscowych.

– Oni znają tu ruch najdrobniejszej gałązki i każdy podmuch wiatru – powiedział. – Jeśli
coś dużego spadło na ziemię, będą o tym wiedzieli.

Gdy land cruiser stanął, Sandżar wyskoczył na zewnątrz.

– Chodźcie za mną!

Wyszli na chłodne powietrze. Jada przeciągnęła się, aby przywrócić krążenie
w odrętwiających kończynach. Sandżar skierował się ku najbliższemu *ger*.

– Znasz tych ludzi? – spytał Monk.

– Osobiście nie, ale to stały obóz.

Sandżar podszedł do masywnych drewnianych drzwi i otworzył je bez pukania. Chwilę przedtem poinformował, że taka jest tradycja – kolejna oznaka mongolskiej gościnności. Zapukanie byłoby obrazą dla rodziny w środku, oznaką wątpienia w ich dobre manierey i wielkoduszność.

Wszedł, jakby był właścicielem.

Reszta zrobiła tak samo. Jada starała się spełniać polecenia Sandżara: nie wolno było postawić stopy na progu, po wejściu do okrągłego namiotu należało skierować się w prawo.

Wnętrze okazało się zaskakująco przestronne i ciepłe. Dach podpierały drewniane żebrę, ściany wzmacniały kratownice. Wszystko zabezpieczono przed wiatrem i zimnem za pomocą grubych warstw baraniego futra i filcu.

Powitały ich uśmiechnięte twarze – jakby ich oczekiwano. Rodzina składała się z czterech osób, w tym dwojga mniej więcej pięcioletnich dzieci. Mąż zapiął kołnierz swojego *del* i dał znak, by siadali.

Ledwie się zorientowali, mieli w dłoniach kubki z gorącą herbatą. Sądząc po perkoczących na stojącym pośrodku piecu garnkach, przygotowano wczesny obiad. Czuć było zapach curry i baraniny. Przed wszystkimi wylądowały talerze, żona zachęcała do jedzenia, uśmiechając się szeroko i na migi próbowała wytłumaczyć, o co chodzi.

– To barszcz – wyjaśnił Sandżar. – Naprawdę dobra zupa. A to na talerzach, co wygląda jak rozbita ceramika, to ser *aaruuł*. Bardzo zdrowy.

Nie chcąc, by uznano ją za niegrzeczną, Jada spróbowała kawałek sera. Nie tylko wyglądał jak ceramika, ale był nie mniej twardy. Naśladowując tubylców, zaczęła go ssać jak cukierka.

Jeśli wejdiesz między wrony...

Sandżar rozmawiał z gospodarzem w miejscowym języku. Ważnym elementem konwersacji była duża liczba gestów. Po chwili gospodarz zaczął energicznie kiwać głową i wskazywać na północny wschód.

Jada miała nadzieję, że to dobry znak. Podczas gdy rozmowa trwała dalej, obserwowała i jadła.

Dzieciaki zachwycały się protezą Monka. Trzymał na kolanach chłopca, pokazując mu, że może zdjąć dłoń z nadgarstka i sprawić, aby palce w dalszym ciągu się poruszały.

Jadę wprawiało to w zakłopotanie, ale dzieciaki były zachwycone.

W końcu Sandżar wziął miskę i zaczął jeść. Równocześnie streszczał rozmowę z gospodarzem.

– Nasz gospodarz, Czuluun, mówi, że słyszał, jak wczoraj przejeżdżał tędy ktoś z północy. Mówił o kuli ognia, która spadła z nieba. Podobno wpadła do jeziora znajdującego się na granicy śniegu na zboczu pobliskiej góry i doprowadziła jego wodę do wrzenia.

Monk zmarszczył czoło.

– Jeśli wrak leży pod wodą, to nic dziwnego, że satelita go nie dostrzegł.

– Jak się do niego dostaniemy? – spytała Jada.

Nie pomyśleli o przywiezieniu sprzętu do nurkowania albo choćby skafandra.

– Jadąc, będziemy musieli przekroczyć most – odparł Monk. – Znajdźmy to miejsce, potwierdźmy lokalizację i wtedy sprowadzi się wszystko, co trzeba.

– Nie rozpędzaj się – ostrzegł go Sandżar. – Tam prowadzi bardzo zdradliwa droga. Nie dojedzie żaden samochód. Spytałem Czuluuna, czy nie pożyczylby nam koni.

Jadzie nie bardzo się to podobało. Jeździła konno, ale dość słabo.

Najwyraźniej jednak nie było wyboru.

– Zgodził się? – spytał Monk.

– Tak, nawet ktoś z jego rodziny nas tam zaprowadzi. Przy pewnej dozie szczęścia powinniśmy osiągnąć cel przed zachodem słońca.

Monk wstał.

– No to w drogę!

Jada też wstała i ukłoniła się w podzięcie gospodarzom. Czuliun wyszedł z nimi na zewnątrz, powiedział coś do jednego z dzieciaków, a ten pobiegł do sąsiedniego *ger* – prawdopodobnie po krewnego, który miał być przewodnikiem.

Czuliun wskazał w kierunku zwieńczonego śniegiem szczytu widocznego za ciągiem poprzecinanych gęstym lasem łąk.

Cel był blisko, na oko nie więcej niż trzydzieści kilometrów stąd. Świadomość, że dotarli na wyciągnięcie ręki do mety, była jednak nie ulgą, ale ciężarem. Jada poczuła na barkach wielką odpowiedzialność: świat oczekiwał od niej odpowiedzi, odkrycia sposobu uniknięcia nadchodzącej zagłady.

Jakby czując jej niepokój, zbliżył się Duncan i bez słowa dał do zrozumienia, jak to osiągnąć.

Pracując razem.

Przy sąsiedniej jurcie zrobiło się zamieszanie. Wybiegła z niej młoda, może osiemnastoletnia kobieta, zapinając kołnierz baraniej kurtki. Czarne, luźno puszczone włosy sięgały jej do połowy pleców. Za pomocą rzemienia w magiczny sposób zaplotła warkocz. Złapała stojący przed namiotem łuk i zarzuciła na plecy kołczan. Przez drugie ramię przewiesiła karabin.

To miał być ten ich kompetentny przewodnik?

Gdy kobieta podeszła, zauważyli, jak mocno schodzone są jej wysokie buty.

– Jestem Chajdu – powiedziała do nich po angielsku, z silnym akcentem. – Chcecie iść do Wilczego Kłwa. Zaprowadzę was. Dobra pora.

Sprawiła wrażenie, jakby bardzo jej się spieszyło.

W drzwiach pojawił się starszy mężczyzna i coś do niej zawołał. Głośno coś odburknęła.

– Kandydat do jej ręki – wyjaśnił Sandzar. – Zaaranżowane małżeństwo.

Nic dziwnego, że chciała jak najszybciej odejść.

Podążyli za nią szybkim krokiem w kierunku zagrody.

– Wyprawa właśnie stała się weselsza – zauważył Monk.

– Jesteś żonaty – zadrwił Duncan. – I masz dzieci.

– Mówisz, jakbym umarł.

Jada westchnęła.

Może powinnam iść sama, pomyślała.

Godz. 15.33

Duncan przyglądał się Wilczemu Kłowi. Góra rzeczywiście wyglądała jak skierowany ku niebu zakrzywiony wilczy kiel.

Słońce już dawno przegoniło poranny chłód. Popołudnie było idealne na konną przejażdżkę, a surowy krajobraz miał niezwykle urok. Przy akompaniamencie tętentu kopyt

pokonywali łąki porośnięte ostrą trawą i omijali brzoźowe zagajniki otoczone krzewami jeżyn.

Jada nie była zachwycona. Duncan, widząc, jak niepewnie prowadzi konia, trzymał się blisko.

Monk jechał ostatni, gwałtowna Chajdu i Sandżar na czele. Prawdziwym przewodnikiem był jednak Heru.

Sokół chyba już wrócił do formy po ciosie kolbą. Puszczony wolno, wzniósł się w jasne niebo, nie przestał jednak reagować na gwizdane przez jego pana komendy.

Sandżar szpanował przed Chajdu, która trzymała się jego boku, i chyba dobrze mu szło. Raz za razem się ku niemu pochylała, by zadać pytanie albo pokazać ciekawy szczegół krajobrazu.

Jada całą uwagę musiała poświęcać przemykającej pod kopytami konia ziemi.

Gdy wspinali się na śliską, pokrytą łupkiem stromiznę, Duncan spróbował ją uspokoić. Poklepał jej konia po nakrapianej szyi.

– Zaufaj zwierzętom! Wiedzą, co robią. To wytrzymałe mongolskie konie, potomkowie tych, na których jeździł Czyngis-chan.

– Innymi słowy, zeszlóroczny model. – Uśmiechnęła się krzywo, próbując robić dobrą minę do złej gry.

Kilka minut później dotarli do stromej ścieżki z niemal pionowym urwiskiem po jednej stronie. Duncan jechał tak, żeby być między Jadą a uskokiem, kończącym się daleko w dole ostrymi skałami. Aby odwrócić jej uwagę, gadał jak najęty.

– Co, twoim zdaniem, tak naprawdę się stało, gdy satelita uderzył w Ziemię? Chodzi mi o zdjęcie, które zrobił?

Popatrzyła na niego, mocno rozkojarzona, ale chętna wyjaśniać.

– Ciemna energia to materiał, z którego powstały czas i przestrzeń. Gdy ściągnęliśmy ją do ziemskiej studni grawitacyjnej, gładka krzywa czasoprzestrzeni wokół planety zmarszczyła się.

– I czas skoczył. Mówiłaś Painterowi, że, twoim zdaniem, Oko Boga mogło się powiązać z kometą na poziomie kwantowym.

– Jeżeli wchłonęło wystarczającą ilość energii. Będę wiedzieć więcej, gdy dotrzemy do wraka.

– Przeanalizujemy przeciwną sytuację.

Popatrzyła na Duncana, nie rozumiejąc, o czym mówi.

– Krzyż – wyjaśnił. – Załóżmy, że jest zrobiony z fragmentu komety, który spadł na Ziemię podczas jej poprzedniego przelotu. Albo jakiejś asteroidy, która przelatowała wówczas blisko komety, wchłonęła jej energię, tak jak się to zdarzyło z tkankami Czyngis-chana, i spadła na Ziemię jako meteoryt.

Jada skinęła głową.

– Nie rozważałam tej drugiej ewentualności, ale masz rację. To byłoby możliwe.

– Tak czy owak, nie wiem, czy to ma znaczenie. Ważniejsze wydaje mi się pytanie: w jaki sposób krzyż umożliwił świętemu Tomaszowi przewidzenie zagłady Ziemi?

– Hm... dobre pytanie.

– A więc cię zagiąłem, doktor Shaw.

– No cóż, nie bardzo – odparła, pobudzona wyzwaniem w jego głosie. – Trzeba uwzględnić trzy fakty. Po pierwsze, ciemna energia jest siłą napędową mechaniki kwantowej. To jedno i to samo. Uniwersalna stała.

– Już to mówiłaś.

– Po drugie, niektóre jednostki są bardziej wrażliwe na promieniowanie elektromagnetyczne od innych. Nawet bez magnesów. – Popatrzyła na jego dłoń.

Znał koncepcję nadwrażliwości magnetycznej. Niektórzy ludzie chorują w wyniku zbyt długiego przebywania w okolicy linii energetycznych albo stacji przekaźnikowych telefonii komórkowej – boli ich głowa, czują zmęczenie, szumi im w uszach, czasem tracą pamięć. Są też ludzie, którym to służy. Niektórzy uważają, że różdżkarze – poszukiwacze wody, ukrytych pod ziemią metali czy kamieni szlachetnych za pomocą rozwidlonych patyków – są ponadprzeciętnie wrażliwi na drobne zmiany ziemskiego pola magnetycznego.

– Po trzecie – ciągnęła Jada – neurobiologowie generalnie zgadzają się z tym, że ludzka świadomość mieści się w polu kwantowym generowanym przez olbrzymią sieć neuronową, jaką jest nasz mózg.

– Czyli świadomość to efekt kwantowy.

Jada uśmiechnęła się figlarnie.

– Ta myśl zawsze dodawała mi otuchy.

– Dlaczego?

– Jeśli to prawda, to ze względu na mechanikę kwantową nasza świadomość rozpościera się na różne wieloświaty. Może być tak, że gdy umieramy, traci potencjał w jednej linii czasowej i przenosi się w miejsce, w którym jeszcze żyjemy. – Powątpiewająca mina Duncana była wyzwaniem. – Weź na przykład raka. Człowiek ma w ciele komórki, które nieprawidłowo się dzielą. Taki drobny błąd w procesie zachodzącym nieustannie w zdrowym organizmie. Proces zachodzi prawidłowo i wszystko jest w porządku. Wkrada się nieprawidłowość i dostajesz raka. Rzut genetyczną kostką. Orzeł lub reszka.

Duncan zacisnął zęby. Jej słowa trafiły w czuły punkt. Uniósł dłoń, by dotknąć wytatuowanej na wysokości serca dłoni. Widział brata – skóra i kości w szpitalnym łóżku, reszka bezczelnego uśmiechu na twarzy. Billy zmarł w wyniku kostniakomięsaka, przegrywając rzut genetyczną kostką.

Jada, nieświadoma jego reakcji, ciągnęła:

– A jeśli wszyscy jesteśmy wpleceni w tkankę kilku wieloświatów naraz? Otwiera to przed nami niezwykle możliwości. W jednym wszechświecie może cię zabić rak, ale wtedy twoja świadomość przenosi się do innego wszechświata, takiego, w którym nie dostaniesz raka.

– I żyje się dalej?

– Świadomość trwa dalej, zlewając się z inną. Następuje to znowu i znowu, świadomość przenosi się do kolejnych linii czasu, w której żyjemy... aż przeżyjemy pełnię życia.

Duncan uznał, że taka ewentualność może stanowić pocieszenie.

– A co potem? – spytał. – Gdy wszystkie potencjały zostaną wykorzystane, pozostaje już tylko jeden wszechświat i człowiek w nim umiera?

– Nie mam pojęcia. Na tym polega piękno wszechświata. Zawsze pojawia się jakaś nowa tajemnica. A może to tylko wielki sprawdzian? Gigantyczny eksperyment? Wielu fizyków uważa, że nasz wszechświat to hologram, trójwymiarowy konstrukt stworzony na podstawie równań napisanych wewnątrz kuli, w której się on znajduje.

– A kto napisał te równania?

Jada wzruszyła ramionami.

– Ręka Boga? Wyższa siła? Superinteligencja? Kto wie?

– Chyba zbaczamy z tematu – rzekł Duncan, chcąc powrócić do świętego Tomasza i jego wizji zagłady. – Streszczając twoje trzy argumenty: ludzki mózg działa kwantowo, ciemna

energia to funkcja mechaniki kwantowej, a niektórzy ludzie są nadwrażliwi na pole elektromagnetyczne.

Chyba wątpiła, iż Duncan to wszystko pojmuję, postanowił więc udowodnić jej, że się myli.

– Uważasz, że święty Tomasz był wrażliwy. Z tego powodu emitowana przez krzyż ciemna energia oddziaływała na niego w szczególny sposób i sprawiła, że pole kwantowe w jego mózgu ułożyło się w wizję.

– Może być prostsze wyjaśnienie.

– Jakie?

– Nastąpił cud.

Duncan głośno westchnął.

– Nauka czy cud, w dalszym ciągu uważam za niezwykle zbieg okoliczności to, że zarówno Oko Boga, jak i oko wyobraźni świętego Tomasza ujrzały ten sam moment.

– „Bóg nie gra w kości” – powiedziała Jada, cytując Einsteina.

Ładne, uznał Duncan.

– Nie sądzę, że to zbieg okoliczności – dodała. – Pamiętaj, że czas to tylko jeden z wymiarów. Nie cechuje go przyrodzony przepływ naprzód lub wstecz.

– Innymi słowy: „Różnica między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością jest tylko uparcie obecną iluzją”? – Duncan uniósł brew. – Też umiem cytować Einsteina.

Gdy się uśmiechnęła, wyglądała z pięć lat młodziej.

– Potraktujmy czas jako punkt w przestrzeni. Zarówno Oko Boga, jak i oko wyobraźni świętego Tomasza przesunęły się do tego samego punktu w czasie, prawdopodobnie w chwili gdy korona ciemnej energii komety była w najbardziej zbliżonym do Ziemi miejscu. W tym momencie... porównajmy to do trafienia igły gramofonowej na szczególnie głęboki rowek w płycie... Więc w tym momencie utknęły i zaczęły grać na okrągło ten sam fragment muzyki.

– Czyli ukazywać obraz zniszczonej Ziemi.

Jada skinęła głową.

– I co, twoim zdaniem, się wydarzy?

– Z tego, co mówił dyrektor Crowe o Antarktydzie, sądzę, że gdy korona ciemnej energii osiągnie szczytową wartość, zakrzywi czasoprzestrzeń w pobliżu Ziemi, tak jak się to dzieje z grawitacją.

– Ponieważ „ciemna energia i grawitacja są ze sobą ściśle powiązane” – powiedział Duncan, cytując Jadę.

– Otóż to. Tyle że tym razem, zamiast stworzyć zmarszczkę w czasoprzestrzeni, utworzy rękaw, którym niczym kamyki po zjeżdżalni, polecą deszcz meteoroidów.

– Optymistyczna wizja.

– To tylko teoria. – Mina Jady świadczyła jednak o tym, że w nią wierzy.

Zamilkła. W końcu Duncan nie wytrzymał i spytał:

– Co jest?

– Nie wiem. Jakbym ciągle jeszcze czegoś nie dostrzegała.

W tym momencie z przodu rozległ się głośny krzyk. Dotarli do końca niebezpiecznej półki i otwierał się przed nimi szeroki płaskowyż. Dokładnie na wprost wznosił się ostry szczyt.

Podjechał Sandzar.

– Dotarliśmy do Wilczego Kła!

– Widzisz, jazda wcale nie była taka zła – powiedział Duncan do Jady. – Najgorsze za nami. Teraz to już spacer.

Godz. 15.34

– Znaleźliśmy ich – przekazał Arsłan przez telefon.

Batuchan siedział w swoim gabinecie w budynku parlamentu. Dał znak sekretarce, młodej dziewczynie w obcisłej sukience i zakiecie, aby wyszła. Choć strój miała zachodni – może nie najnowszej mody – ministrowi podobał się podkreślający sylwetkę fason. Chciał, żeby niektóre zachodnie obyczaje były mile widziane w nowej Mongolii – w imperium, które stworzy dzięki skarbowi Czyngis-chana.

Nieraz wyobrażał sobie, co zrobi, gdy znajdzie grobowiec. Po pierwsze, osobiście wybierze i przeszmugluje poza kraj najwartościowsze artefakty – skarby, które można przetopić albo pozbawić kamieni szlachetnych i sprzedać na wolnym rynku. Potem ogłosi odkrycie światu i zamieni sławę na władzę. Chciał być najbogatszym człowiekiem nie tylko w Mongolii, ale w całej Azji. Podbije świat, tak jak to zrobił jego przodek, stworzy imperium bogactwa i władzy, w którym on będzie trzymał ster.

Najpierw jednak trzeba się zająć kilkoma szczegółami.

Gdy burza nad Kazachstanem ucichła, jeden z ludzi Arsłana wrócił nad Jezioro Aralskie, by upewnić się o śmierci wroga i zabrać helikopter. Niestety, maszyna zniknęła.

Nie dało się ocenić, czy pilot uciekł sam ani czy ktoś jeszcze przeżył. Ponieważ jedynie Arsłan znał jego prawdziwą tożsamość, Batuchan nie bał się reperkusji, dla ostrożności umieścił jednak szpiegów na stepach, wzdłuż całej drogi z Ułan Bator do gór Chentej. Na wypadek gdyby ktoś, komu udało się przeżyć, spróbował kontynuować poszukiwania grobowca Czyngis-chana na świętym obszarze, chciał, aby obserwowano wszystkie prowadzące tam drogi.

Prawdę mówiąc, nie spodziewał się nikogo złapać w sieć. Szpiegzy zostali porozmieszczani w celu pilnowania gór, w których – w co ciągle wierzył – pochowany był Czyngis-chan. On tymczasem przyjrzy się uważnie ukradzionym relikwiom i określi lokalizację grobowca.

Szkoda, że ojciec Josip musiał umrzeć, zanim udało się go przesłuchać. Czyngis-chan czuł wstręt do tortur i Batuchan uważał to za jego największy błąd.

A teraz nadeszła ta wiadomość.

– Co mam zrobić? – spytał Arsłan.

– Jak daleko są przed tobą?

– Godzinę, ale na razie się nie kryją.

– Więc pół godziny więcej nie sprawi różnicy. Zbierz najlojalniejszych ludzi, najlepszych w posługiwaniu się łukiem i mieczem, i uformuj z nich w pełni uzbrojony oddział. Dołączę do was i obejmę dowództwo.

– Oczywiście, Borgidzinie. – Głos Arsłana ociekał żądzą krwi.

To samo czuł Batuchan. W dotychczasowych szkoleniach klanu na stepach wykorzystywano atrapy broni i pozorowano walkę. Najpoważniejszym uszkodzeniem ciała była złamana ręka, gdy ktoś spadł z konia. Wejście na tron nowego mongolskiego imperium będzie jednak wymagało prawdziwego przelewu krwi.

Co ważniejsze, zawsze chciał przebić kogoś strzałą, a teraz będzie miał ku temu okazję.

– Chcę cię także poinformować, że jest wśród nich zdrajca Sandżar – powiedział Arsłan.

O tak, rozumiem ton nienawiści w twoim głosie, przemknęło Batuchanowi przez głowę. Wolał nie myśleć o twarzy swojego przybocznego. Rozorano mu do kości skórę na głowie,

sokoli szpon przebił mu policzek. Arsłan pałał zemstą.

Dostanie ją. Zdrajcy muszą otrzymywać nauczki.

Zabrzęczał interkom.

– Panie ministrze, mam u siebie dwoje przedstawicieli konsorcjum górniczego. Byli umówieni na czwartą.

– Zatrzymaj ich jeszcze moment.

Skończył rozmowę z Arsłanem i chwilę się zastanawiał, czy nie odwołać spotkania. Kontrakt mógł się jednak okazać lukratywny i na tyle dochodowy, że pozwoli zbudować kolejny fragment drogi ku nowemu imperium. Batuchan oddzwonił więc do sekretarki.

– Wpuść ich. I przynieś herbatę.

Goście pochodzili z Zachodu, więc pewnie woleliby kawę, ten nowomodny napój nie smakował mu jednak. Wolał tradycyjną herbatę.

Najwyższy czas, aby Amerykanie zaczęli się przyzwyczajać do naszych tradycji.

Otworzyły się drzwi i wszedł wysoki mężczyzna o jasnoblękitnych oczach i twardych rysach. Batuchan wyczuł w nim godnego siebie partnera. Lubił wyzwania. Za mężczyznę weszła asystentka – ładna Eurazjatka w klasycznym garniturze. Zwykle Batuchan nie czuł się zagrożony przez przedstawicielki słabej płci, ale ta sprawiła, że dostał gęziej skórki.

Ciekawe...

Wskazał gościom fotele.

– Czym mogę służyć?

Ułan Bator, Mongolia
19 listopada, godz. 15.50 czasu miejscowego

Gray umiał na pierwszy rzut oka rozpoznać, czy ma do czynienia z przyjacielem, czy z wrogiem.

Siedzący za biurkiem Batuchan przybrał przyjacielską maskę i serwował banalne uprzejmości. Sprawiał wrażenie miłego i – jak na kogoś dobiegającego sześćdziesiątki – sprawnego fizycznie. Gray dostrzegał jednak też pęknięcia w tej masce: głodny błysk w oczach, zbyt długie i protekcyjne spojrzenie na Seichan, odruchowe zaciśnięcie leżącej na biurku pięści.

Podczas rozmowy, krążącej wokół przyszłości ropy naftowej, praw do bogactw naturalnych i nadzoru rządowego, pan minister nieustannie był spięty. Ciągłe spoglądał na zegarek.

Seichan na wstępie przykleiła pod biurkiem pluskwę, by mogli śledzić wszelkie rozmowy, jakie nastąpią po tym spotkaniu. Aby mucha przyciągnęła uwagę pająka, trzeba było jednak potrząsnąć siecią.

Gray przesunął się na fotelu. Obok biurka Batuchana stała witryna z mongolskimi antykami. Zawierała ceramikę, broń, kilka figurynek grobowych. Znajdowały się w niej też dwa rzeźbione wilki.

– Przepraszam – powiedział, przerywając ministrowi w pół zdania, by go zdenerwować. Wskazał na witrynę. – Mogę rzucić okiem?

– Oczywiście. – Minister wypchnął pierś z dumy.

Gray wstał i podszedł do ekspozycji. Niemal przystawił nos do szyby.

– Wszędzie w mieście widzę wilki – powiedział. – Mnóstwo miejsc nosi nazwę „Błękitny Wilk”.

Dostrzegł, jak minister zaciska usta. Typowe dla kogoś delectującego się sekretem.

No tak...

– O co chodzi z tymi wilkami? – spytał Gray.

– Ma to związek z mitologią, według której Mongołowie pochodzą od *Gua maral*, dzikiej łani, i *Borte czino*, błękitnego wilka. Nawet Czyngis-chan przyjął tytuł Pana Błękitnego Wilka. – W głosie ministra bez trudu dało się słyszeć charakterystyczny tembr fanatyka.

Nie było wątpliwości, że mają do czynienia z człowiekiem, którego szukają – z tajemniczym Borgidżinem.

– Ale czemu ma służyć ta nieustająca fascynacja wilkami? – spytała Seichan, która musiała zauważyć to samo. Wzdrygnęła się lekko i wyciągnęła przed siebie długą nogę, ukazując kostkę.

– Są w naszym kraju symbolem szczęścia, zwłaszcza dla mężczyzn. – Borgidżin z trudem odwrócił wzrok od kostki Seichan. – Wilki uosabiają też rozpasany, nadmierny apetyt.

– W jakim znaczeniu? – Skrzyżowała nogi, by rozmówca nie mógł się skupić.

– Wilk zabija więcej, niż może zjeść. Wedle naszych legend Bóg powiedział wilkowi, że

może zjeść jedną z każdego tysiąca owiec. Wilk się przesłyszał i je jedną z każdego tysiąca owiec, które zabije. – W tych słowach czuć było cień zazdrości, może nawet groźby. Batuchan teatralnie sprawdził godzinę. – Chyba powinniśmy już zamknąć sprawy zawodowe. Robi się późno, a czeka mnie jeszcze kilka obowiązków.

Na pewno.

Szybko omówili interesy i pożegnali się. Gdy byli już za drzwiami, Gray włożył do ucha małą słuchawkę.

– Sądzisz, że gadką o wilkach wystarczająco wzbudziliśmy podejrzenia? – spytała cicho Seichan.

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. Batuchan połączył się przez interkom z sekretarką i kazał jej odwołać wszystkie spotkania tego dnia. Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił do kogoś.

– Wyjeżdżam z miasta – powiedział tonem wielkiego wodza. – Gdy mnie nie będzie, cały czas trzymaj paczki w magazynie pod strażą. Bez przerwy!

Gray uniósł kciuk.

Miał nadzieję, że uda im się wytrącić ministra z równowagi na tyle, by ujawnił coś, co zaprowadzi ich do skradzionych relikwii, i udało się. Kat dobrze sprawdziła stan posiadania ministra: miał w Ułan Bator tylko jeden magazyn.

Złapali taksówkę i ruszyli przez miasto stanowiące mieszankę bogato zdobionych mongolskich pałaców, postsowieckich bloków i pogodnych buddyjskich klasztorów. Nad wszystkim wisiał mroczny opar – efekt smogu i zanieczyszczenia.

Gray pochylił się do Seichan, wsunął dłoń w jej dłoń i szepnął jej do ucha, jakby robił miłosne wyznanie:

– Miałaś ochotę połączyć po kanałach?

Uśmiechnęła się.

– Zawsze wiesz, jak sprawić, żeby dziewczyna poczuła się wyjątkowo.

Godz. 16.28

Słońce zbliżało się powoli do horyzontu. Gray otwierał studzienkę kanalizacyjną, Seichan czekała obok. Gdy wejście do tuneli pod najzimniejszą stolicą świata zostało otwarte, z dołu buchnęło gorące powietrze.

Rozległ się też cichy śpiew, jakby w oddali ćwiczył dziecięcy chór.

Zaskakujące.

– Tam mieszkają ludzie – powiedział Gray.

Seichan wystarczająco dużo czasu spędziła w podobnych miejscach – kryjąc się przed zimnem albo szukając towarzystwa innych dzieci ulicy. Bezrobocie i ciągle jeszcze trwająca transformacja ustrojowa powodowały, że mnóstwo osób wpadało w rozmaite czarne dziury – zarówno dorośli, jak i bezdomne dzieci.

Nie musieli przesadnie uważać, bo ulica tonęła w cieniu pobliskiego osiedla mieszkaniowego. Znajdowali się tylko kilka przecznic od celu. Kat, wciąż pozostając w Waszyngtonie, wydobyła z archiwów plany magazynu i ustaliła, że kanały prowadzą prosto pod budynek i można wejść do niego przez szyby grzewcze.

Gray poszedł pierwszy, Seichan zaraz po nim. Z każdym szczeblem robiło się cieplej,

wkrótce było gorąco jak w piecu. Do temperatury dołączył wszechogarniający smród odpadków – także ludzkich.

Gray zapalił latarkę i zeskoczył na dno tunelu.

Seichan po chwili była przy nim. Kuliła się, bo przed chwilą mało brakowało, a oparzyłaby się o rurę z gorącą wodą. Skierowała światło latarki w głąb rozwidlających się tuneli. W jednym z nich coś się poruszyło, mignęła mała przestraszona twarz.

Zniknęła.

Śpiew umilkł.

Prawdopodobnie tunele były regularnie przeczesywane, a dzieciaki zabierane do ośrodków wychowawczych niewiele lepszych niż północnokoreańskie więzienia, nic więc dziwnego, że stamtąd uciekały.

– Tędy – powiedział Gray i ruszył w kierunku magazynu.

Droga nie była prosta i wymagała kilkakrotnego sprawdzania mapy. W końcu dał znak, żeby Seichan przykucnęła.

– Następna drabinka powinna prowadzić do magazynu. Element zaskoczenia będzie działał bardzo krótko, nie wiadomo też, ilu na górze jest strażników.

– Rozumiem.

Innymi słowy: musimy się szybko zwijać.

Seichan sprawdziła gogle noktowizyjne. Gray swoje już nałożył – wyglądał w nich jak owad.

Dała znak, by ruszał. Od tego miejsca trzeba było pełznąć na czworakach. Gdy Gray zaczął się oddalać, coś złapało Seichan za kostkę.

Odwróciła się za siebie.

Ujrzała dziewięcio-, może dziesięcioletnią dziewczynkę o migdałowych oczach i szerokich kościach policzkowych – swoje lustrzane odbicie sprzed lat. Dziecko skuliło się na widok pistoletu w jej ręku.

Seichan skierowała lufę w bok i uwolniła stopę z uchwytu małej.

– Czego chcesz? – szepnęła po wietnamsku, wiedząc, że jest dość podobny do mongolskiego.

Patrzyła za Grayem, a przynajmniej w kierunku, w którym podążał. Pokręciła głową i pociągnęła za skraj spodni Seichan, jakby chciała nakłonić ją do powrotu.

Ostrzegała przed niebezpieczeństwem.

Tutejsze dzieciaki musiały się domyślić, że przybysze nie są z policji i dokąd się wybierają. Pewnie zdążyły już zawrzeć znajomość ze strażnikami magazynu – i to w niezbyt przyjemny sposób, więc ostrzeżenie ze strony małej wynikało nie tyle z troski o Graya i Seichan, ile o własną skórę. Uważały, że cokolwiek się wydarzy, reperkusje skupią się na nich.

Prawdopodobnie miały rację.

Rozwścieczeni strażnicy będą się mścić, cóż jednak Seichan mogła na to poradzić? Nie do niej należało naprawianie niesprawiedliwego i surowego świata. Wystarczająco często wbijano jej to do głowy.

Przepraszam, mała. Wiele jak najdalej stąd, pomyślała.

– *Đi* – powiedziała po wietnamsku, próbując to przekazać dziewczynce. „Idź stąd”.

Po kolejnym przestraszonym mrugnięciu mała zniknęła w ciemności jak cień.

Gray syknął na Seichan spod drabinki, nieświadom tego, co się wydarzyło. Szybko podpełzła do niego. Cicho wspiął się na górę i zamocował do zamkniętego wjazdu małe ładunki.

Wrócił na dół. Schowali się za załomem muru, a wtedy wcisnął detonator.

Huknęło – nie głośniej niż mały fajerwerk, należało się jednak spodziewać, że hałas zwróci uwagę strażników.

Gray ponownie ruszył w górę, a Seichan za nim. Pchnął dymiący właz i odrzucił go na bok. Drugą ręką rzucił dwa granaty dymne – każdy w innym kierunku. Gdy eksplodowały, wyrzucając kłęby dymu, wytoczyli się na podłogę magazynu.

Seichan miała już nałożone gogle noktowizyjne. Leżała na plecach i celowała do każdej jaśniejszej plamy, przebijającej się przez dym. Szybko strzelając, pogasiła wszystkie światła i w magazynie zapadły egipskie ciemności.

Gray biegł w kierunku biura. Najprawdopodobniej tam znajdowały się relikwie. Jeśli nie, będą musieli wziąć na spytaki któregoś strażnika.

Słumione wystrzały znaczyły posuwanie się Graya przez magazyn. Seichan czekała, leżąc na plecach, skryta w dymie, i pilnowała drogi ucieczki. Przełączyła noktowizor na podczerwień i zaczęła namierzać nadbiegających z głębi strażników. Wycelowała.

PACH PACH PACH...

O betonową podłogę załomotały ciała.

Pozostali się rozproszyli, zaczęli szukać osłony i strzelać na ślepo.

Seichan miała kilka minut. Potem dym się rozwieje i ją odsłoni.

Tylko się nie guzdraj, Gray...

Godz. 16.48

Gray strzelał do wszystkiego, co mignęło mu w noktowizorze. Zdjął dwóch ludzi na parterze i jednego na schodach do biura. Przykucnięty, wspinał się po dwa stopnie naraz.

Tuż obok niego od poręczy schodów z wizgiem zrykoszetował pocisk. Gray odwrócił się i strzelił. Ubył kolejny przeciwnik.

Wspiął się na górny podest i przestrzelił zamek w drzwiach, nawet przedtem nie sprawdzając, czy są zamknięte. Na tej wysokości nie było dymu. Na potwierdzenie, że niezbyt to korzystne, rozległ się grzechot uderzających w ścianę pocisków.

Gray pchnął barkiem drzwi i przewrotem wtoczył się do środka. Kopniakiem zamknął drzwi. Powiódł pistoletem po niedużym wnętrzu. Drzwi w głębi prowadziły do pomieszczeń administracyjnych oraz sali konferencyjnej.

Sprawdził je.

Zamknięte.

Dobrze.

Nie potrzebował niespodzianek.

Biurko stało tak, że nie dało się go dostrzec z zewnątrz przez okna, był więc przy nim bezpieczny. Popatrzył na stojące na nim skrzynki. Największa, owinięta kocem, miała rozmiary zgodne z opisem Vigora. Uniósł materiał i zobaczył spatynowane srebro.

Sprawdził kolejne skrzynki, ale nie znalazł kolejnych relikwii. Zajrzał też do szuflad biurka. W najniższej leżała maska wilka.

A więc Borgidżin tu był – prawdopodobnie rozkoszując się nowymi skarbami.

Pochyliwszy się, Gray dostrzegł pod biurkiem małą wojskową torbę. Rozpiął ją – w środku były czaszka i księga. Zrzucił torbę na ramię, skrzynkę włożył pod pachę. Była ciężka

i nieporęczna, ale musiał mieć jedną rękę wolną, aby trzymać pistolet.

Zerknął za okno i zorientował się, że dym zaczyna się rozwiewać.

Przeszukanie zajęło zbyt wiele czasu.

Pchnięciem stopy uchylił drzwi. Dwóch ludzi wbiegało po schodach, obaj mieli pistolety maszynowe z latarkami. W znikającym dymie na parterze trwała walka – na szczęście Seichan w dalszym ciągu panowała nad magazynem.

Gray zerwał z głowy gogle, wrócił do biurka i otworzył dolną szufladę. Założył maskę wilka i ponownie złapał pistolet. W tej samej chwili otworzyły się kopnięciem drzwi.

Do środka wpadło dwóch mężczyzn z pistoletami maszynowymi. Wilcza maska zdeorientowała ich. Strach przed tajemniczym człowiekiem, który ją nosił, sprawił, że na chwilę się zatrzymali.

Wystarczyło, aby wpakować im po kuli w łeb.

Ciała jeszcze nie upadły na podłogę, gdy Gray był już w akcji. Zatrzymał się tylko po to, aby zamienić swój pistolet na pistolet maszynowy jednego z martwych strażników. Wyskoczył z biura i zjechał na dół po poręczy w rozwiewający się dym. Ledwie znalazł się na dole, zaklekotały wokół niego pociski.

Uciekał nisko pochylony. Po kilku krokach natknął się na kolejnego strażnika.

Na widok wilczej maski oczy mężczyzny rozszerzyły się. Gray przeciął go serią wpeł, strzelając z bardzo bliskiej odległości.

Strzelanina umilkła.

Seichan była tam, gdzie ją zostawił. Klęczała na jednym kolanie, rozczochrana i w nieładzie, ale cała. Odwróciła się i mało brakowało, a strzeliłaby do niego.

Zerwał z głowy maskę i odrzucił ją na bok.

Uśmiechnęła się.

– Musisz przestać się przebierać, Gray. To się może źle skończyć.

– Nie martw się. Podczas najbliższego Halloween zadbam, żebyś nie miała broni.

Godz. 16.52

Ruszyli z torbą i skrzynką w drogę powrotną do zaparowanych tuneli. Dym w magazynie praktycznie się rozwiął, wyglądało jednak na to, że strażnicy, którzy przeżyli, wzięli nogi za pas.

Magazyn był pełen dóbr: jedzenia, elektroniki, części samochodowych, nawet odżywek dla dzieci. Batuchan najwyraźniej trzymał kilka srok za ogon i gromadził żywność, choć w mieście wielu ludzi głodowało.

Seichan zsunęła się za Grayem do tunelu, z powrotem w smród i duchotę. On niósł skrzynkę, ona torbę.

Gdy dotarli do bocznego tunelu, zauważyła znajomą twarzyczkę. Zatrzymała się na chwilę, sięgnęła za głowę i rzuciła dziewczynce gogle noktowizyjne. Będą dla niej bezcenne w walce o przeżycie w mrocznym świecie. Mała nie była sama.

Zamajaczyły za nią kolejne cienie. Dzieciaków musiały być setki.

Seichan wskazała na drabinę, w kierunku niestrzeżonych bogactw.

– *Đi! Hây! Nó là an toàn!* – zawołała do nich. „Idźcie! Bierzcie! Jest bezpiecznie!”

Zrobiła, co mogła. Nie była w stanie zmienić świata, ale mogła na chwilę poprawić jego fragment.

Góry Chentej, Mongolia
9 listopada, godz. 17.00 czasu miejscowego

Wyjechali z ciemności w blask.

Za godzinę miało zająć słońce, narzucili więc koniom ostre tempo marszu w górę zbocza porośniętego gęstym lasem. Szczyt jarzył się ostatnim światłem dnia, odbitym od lodu i śniegu. Las w dole – mieszanka brzozy i sosny – tonął już w mroku spływającym na niższe partie terenu.

Dolatywało stamtąd wycie wilków, którym wtórowały echa przenikliwych wrzasków, wydawanych na powitanie zachodu słońca. Najwyraźniej nazwa Wilczy Kieł wzięła się nie tylko z kształtu góry, była także związana ze zwierzętami żyjącymi na jej stokach.

Poniżej skraju lasu widać było górską łąkę, którą jechali jakiś czas temu. Wydawało się, że jest nieskończenie daleko w dole.

Trudno uwierzyć, że jesteśmy tak wysoko, pomyślała Jada. Wydawało jej się, że dostrzegła w dole ruch wzdłuż skraju ciemnych drzew. Gdy wpatrzyła się dokładniej, niczego jednak nie dostrzegła.

Cienie, igrające ze wzrokiem cienie.

Duncan wsłuchiwał się z przekrzywioną głową w dolatujące z lasu chórne śpiewy.

– Czy wilki... atakują ludzi?

– Niesprowokowane raczej nie – odparł Sandżar. – Zwłaszcza jeśli mają do czynienia z tak dużą grupą ludzi jak nasza. Zaczyna się jednak zima i robią się głodne.

Duncanowi ta odpowiedź nie bardzo się podobała.

– Więc jedźmy dalej, zanim zrobi się całkiem ciemno.

– Nie ma potrzeby. – Sandżar wskazał przed siebie. – Jesteśmy na miejscu.

Jada spojrzała na ostatnią wyspę dziennego światła w mroku. Byli na gigantycznym rozległym płaskowyżu. Trzydzieści, może czterdzieści metrów wyżej zaczynała się linia śniegu, nie było jednak widać jeziora.

– To znaczy? – spytał Duncan.

– Za tym osuwiskiem kamieni po zachodniej stronie – odparł Sandżar i skierował konia we wskazanym kierunku. Wszyscy ruszyli za nim.

Okrążyli stare osuwisko, co nie było zbyt łatwe, ponieważ między nim a skrajem stromego urwiska było wąsko. Jada z niepokojem przyglądała się chybotliwej stercie głazów. Wyglądała jak ledwie znieruchomiła lawina, choć prawdopodobnie formacja tkwiła tak od stuleci.

Za osuwiskiem znajdowała się dalsza część płaskowyżu – znacznie większa. Z lewej strony kończyła się pionowym urwiskiem, z prawej przechodziła w zaśnieżone zbocze. Dużą część powierzchni – blisko hektara – zajmowało jezioro, w którego wodzie, granatowej jak głęboka noc, odbijały się nieliczne chmury. Jego brzeg dochodził do granicy lodu, co sugerowało, że jest zasilane w wodę z topniejącego śniegu. Na wiosnę prawdopodobnie poziom wody rósł i wylewała się za krawędź, tworząc migoczący wodospad.

Monk podjechał do Jady.

– Gdyby coś uderzyło tu w ziemię, teren wyglądałby nieco inaczej.

Miał rację. Okolica wyglądała na dziewiczą, nietkniętą.

Chajdu podjechała do brzegu jeziora. Zsunęła się zgrabnie z siodła i zaprowadziła rozgrzanego konia do wody. Zwierzę zanurzyło w niej nos, aby zaspokoić pragnienie, natychmiast jednak odrzuciło łeb do tyłu i cofnęło się kilka kroków. Chajdu uspokoiła klacz zdecydowanym ściągnięciem wodzy, powstrzymując w ten sposób przed upadkiem z urwiska.

Sandzar zeskoczył z konia i podał wodze dziewczynie. Przykucnął na brzegu jeziora i zanurzył rękę w wodzie. Odwrócił się do pozostałych z mocno zdumioną miną.

– Ciepła...

Z tego, co opowiedział im jeden z miejscowych, wynikało, że kula ognia, która wpadła do jeziora, doprowadziła wodę do wrzenia. Być może metal powoli stygł w głębinie, a woda jeszcze nie zdążyła się wychłodzić.

– Jest w jeziorze – powiedział Duncan, dochodząc do tego samego wniosku.

– Skąd możemy mieć pewność? – spytała Jada.

Monk zeskoczył z konia i pomógł jej zsiść.

– Ktoś będzie musiał zanurkować i sprawdzić.

Godz. 17.12

Duncan stał w bokserkach na brzegu jeziora. Drżał w lodowatym wietrze spływającym ze szczytu. Wychował się głównie w południowej części Stanów Zjednoczonych i nie był miłośnikiem zimnej wody.

Jego rodzina przeprowadzała się niemal co rok do nowego stanu: zaliczył Georgię, Karolinę Północną, Missisipi, Florydę. Regularnie zmieniając pracę, ojciec zrzucał skórę jak wąż i zwykle pozostawiał synów samych sobie. Dlatego Duncan tak bardzo zżył się z młodszym bratem. Po śmierci Billy'ego – matki już dawno nie było – okazało się, że nie ma nic, co trzymałoby ich małą rodzinę razem. Bez emocji ich orbity oddaliły się od siebie. Od lat byli sobie obcy, Duncan nawet nie wiedział, gdzie ojciec mieszka.

– Możesz się pospieszyć? – zwrócił się do Jady, by wreszcie coś zrobić i przestać dumać o przeszłości.

Kłęczała przy otwartym laptopie.

– Potrzebuję jeszcze chwili na ustawienie przekazu.

Poza bokserkami Duncan miał przepaskę na czole – z wodoszczelną kamerą, radiem i latarką z diod LED. Zamocowana do boi antena miała przekazywać obraz do laptopa.

– Słyszysz mnie? – spytała Jada.

Duncan poprawił słuchawkę.

– Głośno i wyraźnie.

Jada jako osoba, która wiedziała o satelicie więcej niż ktokolwiek inny, miała z brzegu monitorować postępy Duncana i wydawać mu polecenia.

– No to jesteśmy gotowi – rzuciła.

– Nie rób nic głupiego – ostrzegł Duncana Monk.

– Chyba już na to za późno.

Duncan wszedł do wody. Była przyjemnie ciepła. Odepchnął się i płytko zanurkował. Po

kontakcie z chłodnym wiatrem na górze jezioro wydawało się nad wyraz zachęcające. Kiedyś nurkował w Belize, gdzie woda była jak w wannie, ale ta była jeszcze cieplejsza.

Płynął długimi pociągnięciami ramion, mocno pracując nogami. Całkowita eksploracja jeziora tej wielkości, przeczesywanie go kawałek po kawałku, mogło potrwać kilka godzin. Postanowił zawęzić pole poszukiwań, stosując dziecięcą zabawę w ciepło i zimno.

W tym przypadku: ciepło i ciepiej.

Jeżeli rozbity satelita leżał w jeziorze, to im bliżej niego, tym gorętsza powinna być woda. Płynął więc, aż woda zaczynała się robić chłodniejsza, po czym zawracał i sprawdzał cieplejsze miejsca, nurkując i wodząc światłem czołówki po skalistym dnie. W świetle pojawiły się tłusty pstrąg, zatopiona łódź, mnóstwo mchu.

Gdy dotarł do miejsca, które wydało mu się szczególnie ciepłe, wziął głęboki wdech i zanurkował. Na głębokości trzech metrów, gdy uszy zaczęły odczuwać ciśnienie wody, dostrzegł migotanie. Coś odbijało światło czołówki.

– Skręć bardziej w lewo – poleciła Jada z wyraźnym podnieceniem w głosie.

Popłynął tam, gdzie kazała. Promień światła pomknął w głąb, do dna.

Jest! Zguba spoczywała w wybitym w skale kraterze, otoczona aureolą spieczonego na żużel metalu i zwęglonych resztek.

Oko Boga.

Kompletnie zniszczone.

Godz. 17.34

Jada miała ochotę zapłakać.

– Nic nie zostało – mruknęła ni do siebie, ni do pozostałych.

Nawet przy tak słabym obrazie, który dostawała, od razu dało się stwierdzić, że nie ma czego ratować. Przed katastrofą satelita miał rozmiary mniej więcej wózka do ulicznej sprzedaży hot-dogów i był przepięknym połączeniem teorii, inżynierii i designu.

Wpatrywała się w drżący obraz na ekranie laptopa.

To, co przetrwało, zmieściłoby się w turystycznej lodówce. Temperatura przy wejściu w atmosferę, uderzenie w powierzchnię jeziora i uszkodzenia spowodowane przez wodę sprawiły, że pozostała jedynie kupka zwęglonego śmiecia. Dało się dostrzec kilka detali: spalony czujnik poziomu, kawałek ogniwa słonecznego wtopiony w obudowę, rozbity magnetomierz. Nadzieja na odzyskanie ważnych elementów elektronicznych lub danych była równa zeru.

Jada musiała się z tym pogodzić – i poinformować o tym Duncana.

Wynurzył się, by złapać powietrze. Wystrzelił nad powierzchnię, woda spływała z niego jak z torpedy. Domyślił się prawdy bez wypowiedzi. Jego twarz wyrażała porażkę.

Jada podejrzewała, że jej mina nie wygląda inaczej. Po dotarciu tak daleko, przeżyciu tylu trudów...

Pokręciła głową. Najgorsze było to, że wrak nie dawał nadziei na uzyskanie jakiegokolwiek odpowiedzi – nie było szansy wydobyć z niego niczego, co pomogłoby zapobiec nadciągającej katastrofie.

Duncan skierował kciuk w dół.

– Leży mniej więcej pięć metrów pode mną. Zobaczę, czy uda mi się go wydobyć. Może będę musiał robić to po kawałku. – Musiał się czymś zająć, aby stłumić poczucie porażki.

– Lepiej będzie, jeśli zawiadomię dowództwo Sigmy – powiedział Monk. Wyjął telefon satelitarny i odszedł kilka kroków na bok.

Sandzar i Chajdu, wyczuwając atmosferę rozczarowania, odsunęli się do skraju urwiska.

Jada obserwowała na ekranie, jak Duncan ponownie nurkuje, mocno uderza nogami, zbliża się do wraku. Ostrożnie wyciągnął dłonie w jego kierunku, pewnie obawiając się, że metal może być jeszcze gorący. Gdy jego palce dotknęły obudowy, ekran laptopa poczerniał.

Jada uniosła głowę i popatrzyła na powierzchnię jeziora. Antena unosiła się na nim bez zmian – obraz z wody powinien dochodzić bez trudu.

– Duncan? – spytała przez radio. – Jeśli mnie słyszysz, to wiedz, że straciłam z tobą kontakt.

Po trzydziestu sekundach ciszy, gdy wzburzona przez nurkującego Duncana powierzchnia wody się wygładziła, Jada zaczęła się niepokoić.

Wstała i zawołała do Monka.

– Coś jest nie tak!

Godz. 17.38

Duncan dotknął wraku i mimo panującego na głębokości ciśnienia poczuł w palcach znajome zjawisko – jakby coś je odpychało. Gdy rozpoznał oleistą, czarną energię, identyczną jak ta emitowana przez relikwie, ciało przeszedł mu dreszcz, jakby woda nagle się ochłodziła.

Jeżeli do tej chwili mogła jeszcze istnieć wątpliwość o fizycznym związku starożytnego krzyża z kometą, to teraz zniknęła. Jedno i drugie było nośnikiem tej samej energii.

Ciemnej energii...

Duncan najchętniej wróciłby jak najszybciej na powierzchnię i powiedział o tym Jadzie, postanowił jednak najpierw wydobyć resztki satelity. Przytrzymał się skały i spróbował szarpnąć wrakiem, ten jednak nie puszczał. Jakby przykleił się do podłoża. Było to prawdopodobne – schładzając się, roztopiony metal „przyspawał” się do kamienistego dna.

Sfrustrowany Duncan przeciągnął dłońmi po powierzchni wraku. Nasilenie pola energetycznego nieco się zmieniało. Z jednej strony odpychało palce mocniej niż z drugiej. Macając, znalazł w pozornie jednolitej powierzchni pęknięcie – krawędź stalowej płyty, zwiniętą i zakrzywioną na skutek uderzenia.

Może mógłbym to oderwać?

Palce nie dawały wystarczającej dźwigni. Ponieważ walka gołymi rękami nie miała sensu i potrzebował powietrza, odepchnął się od dna i ruszył w górę.

Gdy się wynurzył i złapał wielki haust powietrza, dostrzegł, że Monk wchodzi do wody – w ubraniu, wyraźnie spanikowany.

– Co ty robisz? – spytał Duncan.

Tuż za Monkiem stała Jada. Opuściła przyciskane do szyi dłonie.

– Sądziliśmy, że masz kłopoty! Nagle straciliśmy obraz, a byłeś tak długo na dole...

– Nic mi nie jest. – Duncan popłynął w kierunku brzegu. – Potrzebuję tylko kilku narzędzi.

Dopłynąwszy do brzegu, zaczął wychodzić, ale chłodny wiatr wygonił go z powrotem do ciepłej wody.

– Podajcie mi ten mały łom. Spróbuję oderwać pokrywę i dostać się do środka.

Jada podała stalowy pręt stojącemu po kolana w wodzie Monkowi, a ten przekazał go

Duncanowi.

– Po co? – spytała. – Nie mogło przetrwać nic ważnego.

– Odbieram energię emitowaną przez wrak. Silną.

Jada zmarszczyła czoło. Nie bardzo chciało jej się w to wierzyć.

– To niemożliwe.

– Moje palce nie kłamią. Jestem też w zasadzie pewien, że rozpoznaję wyjątkową charakterystykę pola. – Popatrzył Jadzie w oczy i uniósł brew.

– Taką samą, jaką mają relikwie? – Jej oczy z ciekawości lekko się rozszerzyły. – Czaszka i księga?

– Są identyczne.

Zrobiła krok naprzód, jakby zamierzała wejść do wody.

– Będiesz w stanie wyciągnąć wrak na brzeg?

– Nie cały. Większość to obudowa, która wtopiła się w skałę, ale chyba da się dostać do środka i wypatroszyć to, co tam tkwi.

– Zrób to.

Zasalutował łomem i ponownie zanurkował.

Godz. 17.42

Słońce zaszło, jedynie na zachodzie niebo jeszcze jaśniało. Jada kucąca przed laptopem. Nie wiadomo dlaczego, ale po wypłynięciu Duncana na powierzchnię obraz wrócił. Znowu obserwowała, jak nurkuje w kierunku wraku.

– Duncan, słyszysz mnie?

Uniósł kciuk.

Im głębiej schodził, tym bardziej obraz się zamazywał, gubiły się piksele i pojawiały czarne dziury.

Czy mogło to być spowodowane emisją energii przez satelitę?

– Wydaje mi się, że to emitowana przez wrak energia zakłóca obraz – powiedziała Jada.

Monk dygotał w mokrym ubraniu.

– Powiedz mu, żeby go nie dotykał. Nieuziemione ciało mogło zadziałać jak przewodnik i zakłóciło pracę sprzętu.

Za chwilę miało się okazać, że miał rację.

– Duncan, cofnij się i pokaż mi, co widzisz – poleciła Jada. – Gdzie, twoim zdaniem, energia jest najsilniejsza i gdzie chcesz użyć łomu. Nie możemy zniszczyć niczego, co mogłoby się okazać ważne.

Duncan przesunął się do boku satelity i wskazał końcem łomu jedno z miejsc.

– Wydaje mi się, że właśnie z tej strony jest główny moduł elektroniczny – powiedziała. – A to, na co wskazujesz, to osłona przed promieniowaniem cieplnym. Jeśli ją otworzysz, mogę spróbować poprowadzić cię dalej.

Duncan wbił koniec łomu w szparę.

– Ostrożnie... – ostrzegła go Jada.

Używając łomu jako punktu podparcia, postawił stopy na skale po obu stronach wraku i zaczął przecić. Osłona termiczna przez kilka sekund stawiała opór, potem jednak się oderwała i koziołkując, zaczęła odpływać.

Duncan potrzebował chwili, aby ustawić się w sposób umożliwiający kamerze wgląd do wnętrza wraku.

Jada ponownie poczuła się bezradna. Cała elektronika została zwęglona, wtopiona w grudy plastiku, silikonu i światłowodów.

Duncan poruszył dłoń nad wnętrzem – cały czas starając się niczego nie dotknąć. Jego palec wskazał na prostopadłościenny obiekt – stalowy blok z zawiasami z boku. Osłonięty przez masę kadłuba, wyglądał na niezbyt zdezelowany. Gwałtowne ruchy Duncana świadczyły o tym, że ma coś ważnego do powiedzenia.

– Energia musi być tu najsilniejsza – powiedział Monk, zaglądając Jadzie przez ramię.

– Duncan, to jest obudowa żyroskopu. Jeśli możesz, nie zniszcz jej. Powinien do niego dochodzić jeden gruby przewód. Gdybyś zdołał go odkręcić, powinno dać się wyjąć żyroskop w całości.

Duncan dał ponownie znak uniesionym kciukiem i oparł łom o bok satelity. Do wyjęcia elementu potrzebował obu rąk.

Gdy jego palce ponownie dotknęły obudowy, przekaz się urwał.

Jada i Monk wymienili spojrzenia, po czym skierowali wzrok na jezioro. Jeżeli jej teorie dotyczące ciemnej energii były prawidłowe, Duncan walczył właśnie z ogniem, który rozpala wszechświat.

Ostrożnie...

Godz. 17.44

Kończyło mu się powietrze, a musiał pokonać oporną materię i własne obrzydzenie. Co za uparty kawał cholernego...

Nie miał skłonności do przeklinania, ale walcząc ze stopionym metalem, który więził żyroskop, i odpychaniem przez pole energetyczne, miał wrażenie, że odkręca słoik marynaty, mając palce posmarowane naelektryzowanym żelazem.

Wreszcie oderwał osłonę i pole elektromagnetyczne natychmiast się nasiliło. Wpływało ze zwęglonego wnętrza niczym para wodna pod ciśnieniem. Kiedy dotykał obudowy satelity, miał wrażenie, jakby wciskał palce w muł. Pole energetyczne stawiało opór – a przynajmniej tak odbierał to jego szósty – magnetyczny – zmysł.

Gdy w końcu dotknął żyroskopu, wrażenie było nie do opisania. Jako inżynier elektryk nieraz dotknął przewodu pod napięciem, to jednak skrajnie różniło się od kawałka miedzi. Było jak macanie elektrycznego węgorza. Ta energia żyła.

Sprawiała, że włosy stawały dęba.

W końcu, potężnie szarpiąc częściowo stopiony przewód, Duncan wyrwał żyroskop. Wyjął go i wyprysnął w górę, aby jak najszybciej pozbyć się urządzenia.

Na powierzchni zaczął gwałtownie łapać powietrze i ruszył do brzegu. Trzymał żyroskop jedną ręką, tak jak koszykarze piłkę. Nie mógł się doczekać, kiedy poda ją dalej.

Godz. 17.47

Jada czekała na brzegu z kocem w ręku. Duncan dopłynął do niej, wyprostował się na płyciźnie i znieruchomiał, ociekając wodą. Pokrywające ramiona i barki tatuaże niemal świeciły

na tle schłodzonej skóry.

Gdy zgasił czołówkę, zniknął w cieniu. Skupiona na ekranie laptopa, Jada nie uświadamiała sobie, że jest już ciemno. W wysokich górach noc przychodzi niespostrzeżenie.

Duncan wyszedł na suchy teren. Dał Jadzie metalową skrzynkę i wziął od niej koc.

– Dlaczego to taka ważna rzecz? – spytał, starając się nie szczekać zębami.

– Pokażę ci.

Podeszła do prowizorycznego biurka, czyli płaskiego kamienia, na którym umieściła laptop, i postawiła obok żyroskop.

– Jeżeli to emituje taką samą energię jak relikwie, musi być splątane z koroną ciemnej energii komety. Gdybym mogła dostarczyć to do laboratorium i dobrze przebadać, może uzyskałabym rzetelne odpowiedzi. – Popatrzyła znacząco na Monka.

– Już załatwiam – odparł. – Kat sprowadzi nas do Stanów najszybszą możliwą drogą.

– Jesteśmy daleko na Wschodzie – powiedziała, gdy uniósł telefon satelitarny. – Najszybciej dotrzemy do SMC w Los Angeles. Mam tam wszystko, czego potrzeba do przeprowadzenia pełnej analizy, są tam też inżynierowie i technicy zaznajomieni z moimi badaniami. Jeżeli istnieje jakiegokolwiek rozwiązanie naszych problemów, to największa szansa ich odkrycia jest właśnie tam.

Monk zmarszczył czoło, jakby się nie zgadzał, powód jednak okazał się inny. Chodziło o telefon.

– Nie mogę złapać sygnału...

– Może powodem jest emitowana przez element energia? – powiedziała Jada. – Spróbuj odejść dalej. Podczas lotu będę musiała wymyślić sposób na zainizolowanie go.

Duncan kucnął obok niej, suchy już i przebrany.

– Po wyrwaniu tego ze środka przeciągnąłem dłońmi nad resztkami satelity. Nie wyczułem jakichkolwiek śladów energii. Wygląda na to, że wszystko emituje ta obudowa.

– Logiczne.

– Dlaczego?

– Bo to, dosłownie biorąc, jest to serce Oka Boga.

Jada ponownie zajęła się żyroskopem. Obszukała krawędzie, aż znalazła małą zasuwkę. Otworzyła ją i bardzo ostrożnie rozłożyła obudowę na boki, ukazując wnętrze.

Duncan pochylił się niżej.

W środku znajdowała się kwarcowa kula o średnicy mniej więcej piłki do softballu. Odbijało się w niej światło płynące z ekranu laptopa. Choć było to niemożliwe do oceny na oko, miało się wrażenie, że jest nieskazitelna.

– To jest żyroskop, który obracał się w sercu satelity – wyjaśniła Jada. – W trakcie naszego eksperymentu służył do pomiaru krzywizny czasoprzestrzeni wokół kuli ziemskiej.

– Dlaczego jest teraz naładowany energią?

– Aby to potwierdzić, trzeba przeprowadzić szereg badań, mam jednak pewien pomysł. Wirując, by mierzyć krzywiznę czasoprzestrzeni, zarejestrował także powstałą zmarszczkę. Moim zdaniem strumień ciemnej energii, który stworzył tę zmarszczkę, popłynął do jedyne go obserwatora zjawiska.

– Do kryształowej kuli.

– Zamieniając ją w prawdziwe Oko Boga.

– Co nam to da?

– Gdybyśmy mogli...

Przerwał im dziwny świst, po którym rozległ się charakterystyczny odgłos uderzenia twardego przedmiotu w ludzkie ciało.

Chajdu opadła plecami na skałę i osunęła się na kolana.

Złapała się dłońmi za brzuch.

Spomiędzy jej palców wystawał stalowy grot strzały.

Ułan Bator, Mongolia
19 listopada, godz. 17.55 czasu miejscowego

Vigor krążył wokół stołu konferencyjnego. Zmęczone serce ciężko mu waliło, oczy piekły. W ciągu minionej godziny balansował między radością z odzyskania przez Graya relikwii a frustracją z powodu niemożności rozwiązania osiemsetletniej zagadki.

Obiekt zainteresowania obecnych leżał na stole: makabryczny żaglowiec z ludzkich kości i skóry.

Vigor spędził dobrą godzinę z lupą w ręku, dumając nad relikwią przywieziona z Jeziora Aralskiego. Cały czas czuł emanujący od przedmiotu zapach soli – gorzkie przypomnienie o stracie przyjaciela.

Dla odkrycia tego artefaktu Josip poświęcił wszystko.

I z jakim efektem?

Po godzinnym badaniu Vigor nie doszedł do żadnego wniosku – jedynie nabrał wielkiego szacunku dla twórcy przedmiotu. Żebra, z których zrobiono kadłub, zostały wygotowane i wybielone, aby łatwiej było w nich rzeźbić. Wycięto w ich powierzchni skomplikowane fale z mnóstwem ryb, ptaków, a nawet fok figlujących w morzu i skaczących wysoko nad powierzchnią. Żagle, pozebrowane w tradycyjny sposób, typowy dla chińskich dżonek z okresu dynastii Song – panującej za czasów, gdy żył Czyngis-chan – postawiono na masztach za pomocą skręconych ludzkich włosów.

Co to miało jednak znaczyć? Co było tropem, który powinien poprowadzić ich dalej? Vigor miał na kolanach laptopa, za pomocą którego badał wszystko, co mogło stanowić wskazówkę. Niestety, natrafiał na jeden ślepy zaułek za drugim.

Wszyscy wokół stołu patrzyli na niego, wierząc, że rozwiąże zagadkę, mogło to jednak wykraczać poza jego możliwości. Po raz setny stwierdził, że dałby wiele za pomoc Josipa. Szalony geniusz przyjaciela przydałby się teraz bardziej niż kiedykolwiek.

– Ponieważ to chiński statek, może trzeba założyć, że płynie do jakiegoś miejsca w Chinach – zasugerował Gray.

– Niekoniecznie. Czyngis-chan był wielkim wielbicielem nauki i techniki narodów, które podbijał. Wykorzystywał wszystko, na co się natknął, i włączał to do własnych zasobów, od chińskiego prochu zaczynając, a na kompasie i liczydło kończąc. Na pewno by docenił tak znakomite umiejętności szkutnicze.

– Ale to łódź rybacka. – Gray wskazał na szczegóły wyrzeźbione w kości. – Nie sugeruje to, że kryjówka znajduje się w rejonie Pacyfiku albo Morza Żółtego?

– Możliwe. Te wybrzeża stanowiły wschodnią granicę imperium Czyngis-chana. – Vigorowi przypomniały się słowa Josipa: „Uważam, że Czyngis polecił synowi, aby jego grobem stał się cały ówczesnie znany świat. Aby jego duch objął mongolskie imperium od krańca do krańca”.

Jego przyjaciel miał rację. Głowę Czyngis-chana pochowano ceremonialnie na Węgrzech – przy zachodniej granicy imperium syna. Statek z kości pochowano w Jeziorze Aralskim – przy zachodniej granicy terenów zdobytych przez Czyngis-chana. Sensowną lokalizacją następnego miejsca wydawał się jakiś punkt na wschodniej granicy.

Był tylko jeden problem.

– Jeżeli mamy rację, to do sprawdzenia jest jakieś tysiąc mil morskich wybrzeża. Gdzie zacząć szukać?

– Może zrobimy przerwę? – zaproponowała siedząca naprzeciwko wuja Rachele. – Zresetujemy głowy i zaczniemy od nowa.

– Nie mamy czasu – odparł Vigor ostro, natychmiast jednak się zreflektował i delikatnie poklepał siostrzenicę po ramieniu.

Coś go dręczyło i nie pozwalało się uspokoić. Zwłaszcza że przy każdym kroku odzywał się szew na brzuchu, nie pozwalając mu myśleć.

Może Rachele miała rację. Nieco odpoczynku nie zaszkodzi.

– Głowę pogrzebano na Węgrzech, statek chyba reprezentuje tułów – powiedział Gray.

– Raczej serce – odparł Vigor. Poczucie, że czegoś nie dostrzega, nasiliło się.

– No tak, głowa i serce... – mruknął Kowalski, rozwalony na kanapie. – Chyba więc trzeba znaleźć stopy.

Vigor wzruszył ramionami. Brzmiało to rozsądnie.

Głowa, serce, stopy.

Po głowie przeszły mu ponownie słowa Josipa.

„Aby jego duch objął mongolskie imperium od krańca do krańca”.

Vigor tak gwałtownie znieruchomiał, że musiał się przytrzymać najbliższego krzesła. Trzeba było zwracać uwagę nie tylko na słowa Josipa!

– Spryciarz z ciebie, szaleńcze – mruknął. – Ale byłem głupi...

Nic dziwnego, że w chwili śmierci Josip wyglądał na bardzo rozżalonego. Nie dlatego – nie tylko dlatego – że nie dokończy podróży, ale ponieważ Vigor nie rozumiał.

– Domyślił się! – zawołał.

– Kto? – spytała Rachele. – Mówisz o ojcu Josipie?

Położył dłoń na sercu, by poczuć jego rytm. Tuż przed śmiercią Josip położył sobie dłoń na zakrwawionej klatce piersiowej nie tylko po to, by się pożegnać, ale w jedyny sposób, jaki mu pozostał, przekazać w ostatniej chwili wskazówkę.

– Głowa... serce... stopy – powtórzył Vigor, klepiąc się przy drugim słowie w pierś. – Patrzyliśmy w nieprawidłowy sposób!

Rachele wyprostowała się.

– To znaczy?

– Głowa wyznaczała granicę imperium syna, symbolizując przyszłość mongolskiego imperium po śmierci Czyngis-chana. Serce ucieleśniało imperium za jego życia. Musimy zatem znaleźć miejsce, w którym Czyngis-chan po raz pierwszy postawił stopę na tym świecie i nadał sobie imię symbolizujące jego przeszłość.

– Głowa, serce, stopy – powtórzył Gray. – Przyszłość, teraźniejszość, przeszłość.

Vigor skinął głową i usiadł przed laptopem.

– Czyngis-chan nie kazał synowi rozmieścić swe ciało od krańca do krańca imperium w znaczeniu geograficznym. Chciał, by jego szczątki znaczyły granice przeszłości i przyszłości imperium.

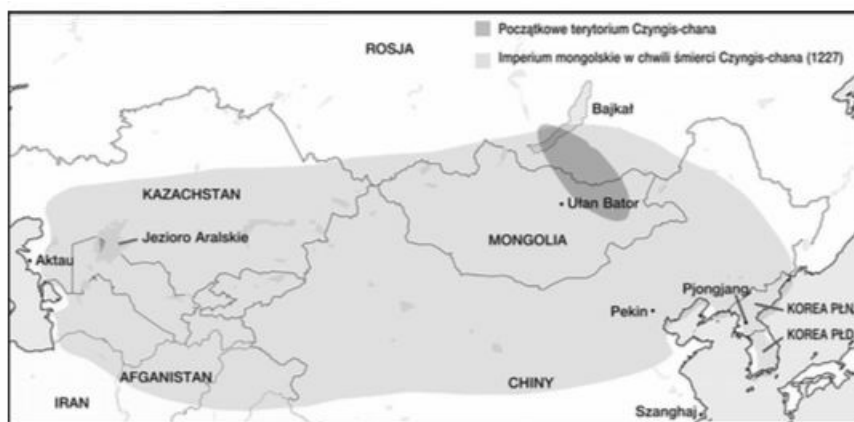
Rachele pochylała się do wuja i ścisnęła go za ramię.

– Błyskotliwe.

– Jeszcze zaczekaj. – Vigor zaczął pisać na klawiaturze. – Czuję się dość głupio, bo Josip nie powiedział mi nic przed śmiercią. Musimy na podstawie tego przypuszczenia odkryć, gdzie szukać dalej.

– Dojdiesz do tego.

Vigor wyświetlił mapę ukazującą imperium mongolskie za rządów Czyngis-chana.



– Tu widać zasięg imperium Czyngis-chana – powiedział. – Od Pacyfiku po Morze Kaspijskie, z ciemniejszym owalem na północy Mongolii, wskazującym ziemie będące we władaniu wielkiego chana na początku jego kariery.

Postukał palcem w to miejsce na ekranie.

Gray zajrzał mu przez ramię.

– Kawał terenu do sprawdzenia.

– Do tego wewnątrz kraju. Jak widać, początkowe terytorium Czyngis-chana nie sięga ani do Morza Żółtego, ani do Pacyfiku.

Wszyscy popatrzyli na statek, Vigor nie odwracał jednak wzroku od ekranu laptopa i otwierał kolejne pliki dotyczące badań regionu.

– Dlaczego więc zostawiać jako wskazówkę statek? – spytał Gray, kiwając głową w kierunku relikwii.

Vigor powiększył mapę i wskazał na duży akwen wodny na północy zaznaczonego rejonu.

– Ze względu na to. Jezioro Bajkał.

– Ma jakieś szczególne znaczenie? – Gray popatrzył uważnie na zakrzywiony łukowato obszar. – Wiesz coś na jego temat?

– Tylko to, na co właśnie patrzę – odparł Vigor i zaczął czytać na głos. – Najstarsze i najgłębsze jezioro świata. Zawiera ponad dwadzieścia procent światowych zasobów słodkiej wody. Dla starożytnych Mongołów było ważnym miejscem połowów... Łowi się w nim do dziś.

Gray przyjrzał się rzeźbieniu na żebrach.

– Rozumiem, skąd by się miały brać te wryte na kadłubie łodzi ryby, ale co z barszkującymi...?

– Fokami? – Vigor opadł na oparcie krzesła, by mogli ujrzeć na ekranie siedzący na skale ciemny kształt. – Pozwólcie, że przedstawię wam fokę bajkalską. Jedyny na świecie gatunek foki słodkowodnej i...

– Niech zgadnę – przerwał mu Gray. – Żyje tylko w Bajkale.
Uśmiech Vigora stał się jeszcze szerszy.
Zadzwoił telefon satelitarny Graya. Popatrzył na ekran.
– Dowództwo Sigmy – wyjaśnił. Gdy odchodził, aby porozmawiać na osobności, wskazał palcem w kierunku Vigora. – Dowiedz się jak najwięcej o tym jeziorze.
– Właśnie to robię.
Vigor spojrział w górę.
Dziękuję, przyjacielu.

Godz. 18.18

– Żadnej wieści od Monka? – spytał Painter Crowe.
– Ani słowa. – Gray przeszedł do sypialni, żeby spokojnie porozmawiać, ale również po to, by nie przeszkadzać Vigorowi.
– Próbuje go złapać od dziesięciu minut, ale nie odbiera. Ostatni raz zgłaszał się, gdy jechali konno w góry.
– Robi się ciemno. Może jest zajęty rozbijaniem obozu.
Painter westchnął.
– Miałem nadzieję, że będę mógł się skonsultować z doktor Shaw.
– W jakiej sprawie?
– Dostałem właśnie z SMC raport końcowy. Chodzi o fizyka monitorującego anomalie grawitacyjne, które Jada zauważyła w ścieżce przelotu komety.
– Wspominałeś, że się zmieniają.
– Narastają, dokładniej mówiąc. Potwierdzono, że drobne zmiany narastają odwrotnie proporcjonalnie do odległości komety od Ziemi.
– Chyba nie obawiasz się, że uderzy w Ziemię?
Nie było to niemożliwe. W 1994 roku kometa Shoemakera-Levy’ego uderzyła w Jowisza, a mniej więcej rok później mało brakowało, by inna uderzyła w Marsa.
– Nie – odparł Painter Crowe. – Zgodnie z obliczeniami kometa minie nas w stosunkowo niewielkiej odległości, biorąc pod uwagę jednostki astronomiczne, ale nie ma zagrożenia, by zderzyła się z naszą planetą. Nie oznacza to jednak, że jesteśmy całkowicie bezpieczni. Cały wczorajszy dzień śledziliśmy NEO.
– Obiekty bliskie Ziemi.
– Tak. Monitorowaliśmy wszystkie asteroidy, które mogłyby przesunąć się w kierunku Ziemi w wyniku przesączenia się energii komety. Jej przelot zakłócił kosmiczną równowagę miliardów obiektów, co było widoczne na przykład pod postacią niedawnych deszczów meteorytów.
– I tego, co wydarzyło się na Antarktydzie.
– Właśnie. Dlatego chciałem się skonsultować z doktor Shaw. Zna się na tych anomaliami lepiej niż ktokolwiek inny. W każdym razie opinia jest taka, że gdy kometa osiągnie punkt najbardziej zbliżony do Ziemi, wzrost zmian może wyzwolić coś, co nazywają „matką wszystkich deszczów meteorytów”. NASA monitoruje szereg wielkich skał, które zaczynają reagować na wspomniane odchylenia. – W głosie dyrektora słychać było grozę.
– Możemy coś zrobić, aby to powstrzymać?

– Fizyk z SMC uważa, że na to pytanie najlepiej mogłaby odpowiedzieć doktor Shaw. Coraz bardziej skłania się ku opinii, że musi być powód narastania anomalii wraz ze zbliżaniem się komety. Jego zdaniem na Ziemi musi się znajdować coś, na co reaguje energia komety.

– Jada chyba uważała tak samo – powiedział Gray, w końcu mając potwierdzenie, że szukanie ukradzionych relikwii było uzasadnione. – Według niej starożytny krzyż, którego szukaliśmy, może być zrobiony z kawałka komety, który spadł na Ziemię, gdy przelatowała obok nas poprzednim razem. Może zawierać ciemną energię, a jedno i drugie, to znaczy krzyż i kometa, są splątane na płaszczyźnie kwantowej.

– Więc musimy odnaleźć ten artefakt.

– Może mamy sensowny trop. Vigor właśnie nad nim pracuje. Mógłbyś poprosić Kat, żeby zaczęła szykować nam transport?

– Dokąd?

– Do Rosji. Nad jezioro Bajkał. To jakieś pięćset kilometrów na północ od miejsca, w którym teraz jesteśmy.

– Zajmiemy się tym. To góra dwie godziny lotu, ale lepiej się pospieszcie. Zostało czterdzieści osiem godzin do urzeczywistnienia się wydarzeń zaobserwowanych przez satelitę.

Gray zakończył rozmowę i wrócił do sali konferencyjnej. Wszyscy byli zgromadzeni wokół Vigora i jego laptopa.

– Co jest? – spytał.

Vigor odwrócił się do niego.

– Im dłużej się temu przyglądam, tym bardziej jestem przekonany, że miejsce, o które nam chodzi, to Bajkał.

– I może nawet wiemy, gdzie nad Bajkałem szukać. – Rachele uśmiechała się zaczerwieniona z podniecenia.

– Gdzie?

– Legendy mówią, że matka Czyngis-chana urodziła się na znajdującej się na jeziorze wyspie.

– Kolejna wyspa... – Gray westchnął.

Mogło to mieć znaczenie. Pierwsze relikwie odnalezione zostały niedaleko Boszorkánysziget – Wyspy Czarownic na Węgrzech – następne pod wyspą na terenie byłego Jeziora Aralskiego.

– Nazywa się Olchon – wyjaśnił Vigor. – W tamtych okolicach ludzie uważają, że właśnie ona jest miejscem narodzin matki Czyngis-chana. Może to być prawdą.

Gray zastanowił się nad tym. Jeżeli szuka się miejsca pochodzenia Czyngis-chana, nie da się sięgnąć bardziej wstecz niż do brzucha jego matki.

– Według innych legend Czyngis-chan jest pochowany na tej wyspie – kontynuował Vigor. – Choć nie powinniśmy przywiązywać do tego szczególnej wagi. To samo twierdzi się o wielu miejscach w Azji. Ważne jest jednak, że zgodnie z pewną legendą Czyngis-chan został pochowany z „potężną bronią”, która mogłaby zniszczyć świat.

– Może stąd bierze się powszechna wśród Mongołów wiara, że jeżeli jego grobowiec zostanie odnaleziony i otwarty, świat się skończy – powiedziała Rachele.

Grayowi zaczęło się udzielać ich podniecenie.

– Archeologowie znaleźli na wyspie wiele sztuk dawnej mongolskiej broni i innych relikwii – powiedział Vigor. – Istnieją zapisy historyczne, że za czasów Czyngis-chana na wyspę przybywali mongolscy wojownicy. Choć nikt nie wie po co.

– Wyspa jest ośrodkiem unikalnej formy szamanizmu – dodała Rachele. – Miejscowi Buriaci, pochodzący od starożytnych Mongołów, praktykują religię łączącą buddyzm z naturalistycznym animizmem. Uważają, że na wyspie przebywa wielki zdobywca wszechświata. Szamani do dziś chronią wiele świętych miejsc tego władcy i uważają, że ich zdeptanie doprowadziłoby świat do ruiny.

Cóż za podobieństwo z historią Czyngis-chana...

– Na koniec jeszcze jedno – rzekł Vigor. – Niektórzy odwiedzający tę wyspę mówili o „atakach energii”. Takich używali słów.

Rachele skinęła głową.

– Może tamtejsi ludzie są wyczuleni albo nadwrażliwi na energię emitowaną przez krzyż świętego Tomasza. Część z nich twierdziła nawet, że byli w jaskini, która jest przejściem do innych światów.

Gray pamiętał wywód Jady Shaw o ciemnej energii i wieloświatach. Ciekawe, czy te „inne światy” miały związek z wizjami świętego Tomasza.

– Więc to sprawdźmy – powiedział. – Sigma już organizuje nam transport.

– A co z Monkiem i resztą? – spytała Rachele.

Gray zmarszczył czoło. Raczej nie mogli sobie pozwolić na czekanie. Straciliby pół dnia, wypatrując powrotu z gór grupy Monka.

– Wyruszymy bez nich – odparł. – Przekażemy im wszystko przy pierwszej sposobności.

Nie złagodziło to jednak jego niepokoju.

Co się działo z Monkim i jego ludźmi?

Góry Chentej, Mongolia
19 listopada, godz. 18.20 czasu miejscowego

Batuchan siedział na koniu wystrojonym podobnie jak on w tradycyjny bojowy rynsztunek. Miał na głowie mongolski hełm zwieńczony stałą, do tego maskę zrobioną z prawdziwej skóry wilka, ukrywającą twarz.

Zachowanie anonimowości było ważne – zwłaszcza teraz, gdy w grę wchodziło zabójstwo.

Cięciwa jeszcze drżała przy jego uchu, jakby śpiewała chorał na cześć krwi. Przed chwilą strzała wbiła się w brzuch stojącej na skraju urwiska kobiety i Batuchan z przyjemnością obserwował, jak ta osuwa się na kolana. Uśmiechnął się, uszy wypełnił mu łomot serca.

– Znakomity strzał – pochwalił go Arsłan. Też był ubrany w skórzaną zbroję i hełm, nic jednak nie zasłaniało ran na twarzy. Pozszywano mu policzek i czoło, ale widok był równocześnie okrutny i przerażający.

– Sandżara zostawiłem dla ciebie.

Ponieważ na skraju urwiska widać było tylko dwa cele, Batuchan wybrał kobietę. Zabójstwo podnieciło go, przebicie strzałą jej ciała było zadowalające niczym seks. Zostawił Sandżara, wiedząc, że Arsłan zechce wyeliminować go sam, by wyrównać rachunki.

Teraz skraj urwiska był pusty, zwierzyna schowała się przerażona. Tyle że nie było gdzie uciec.

Batuchan popatrzył na swoich dwunastu konnych rozrzuconych po ciemnym zalesionym zboczu, prowadzącym do skalnej półki w górze. Byli to najlepsi i najlojalniejsi ludzie jego klanu.

Dwunastu wojowników przeciwko trzem mężczyznom i dwóm kobietom.

Teraz już tylko trzem mężczyznom i jednej kobiecie.

Najlepiej byłoby zachować tę drugą przy życiu, aby jego ludzie mogli po zwycięstwie świętować tak samo, jak kiedyś ludzie Czyngis-chana. Takie przysługiwało im prawo z racji pochodzenia i dziedzictwa – zasłużona nagroda za rozlew krwi.

Zawsze mogli ją zabić po wszystkim.

Uderzył piętami i koń wyszedł przed szereg. Batuchan siedział wyprostowany w siodle, świadom, jak znakomicie wygląda. Otoczona lodowymi ścianami zwierzyna tkwiła w pułapce. Jedyna droga ucieczki prowadziła przez ten las... albo w dół urwiska, skąd pozostawał tylko skok na skały. Innej możliwości nie było. Zapowiadała się rzeźnia, której ofiary będą krzyczeć tak głośno, że echo odbije się od szczytów gór i dotrze aż do grobowca Czyngis-chana, któremu na pewno spodoba się rzeź.

Batuchan zawył; nie było już potrzeby się chować.

Pierwsza strzała poleciała i upuściła pierwszą krew.

– *Yavyaa!* – wyrzaskiwał tradycyjne bojowe wezwanie. – *Yavyaa!*

Godz. 18.33

Gdy z dołu doleciał tętent podków, Duncan kucał obok Sandżara. Chowali się za stertą głazów, tuż przy linii śniegu.

Jada została z drugiej strony stromego osuwiska, przy brzegu jeziora, poza strefą bezpośredniego zagrożenia. Duncan zostawił jej pistolet i szybko pokazał, jak go używać. Jada poszła do rannej Chajdu, która potrzebowała natychmiastowej pomocy medycznej.

Gdy kobiety zostały zabezpieczone, Duncan i Sandżar podeszli do Monka znajdującego się z drugiej strony osuwiska. Szybko przygotowali się do walki, od razu bowiem rozpoznali, co ich czeka. Strzała służyła puszczaniu pierwszej krwi i zasianiu przerażenia w szeregach przeciwnika. Była to – jak twierdził Sandżar – powszechna taktyka mongolskich wojowników.

Gdy z dołu doleciało echo bojowego okrzyku, wskazał na przepaskę na głowie Duncana.

– Przywiąż ją do nogi Heru. Tej skóry wokół jego nogi.

Duncan zdjął mokrą przepaskę z głowy i zrobił, co kazał Sandżar. Ten trzymał ptaka, aż Amerykanin skończył.

– Możesz go puścić – powiedział w końcu Duncan.

Sandżar ściągnął ptakowi kaptur i rzucił go w powietrze. Gdy załopotały skrzydła, Duncan się schylił i przyjrzał ekranowi laptopa, który miał na kolanach. Choć maksymalnie ściemnił ekran, obraz z kamery zamocowanej do przepaski był wyraźny. Znacznie lepszy niż spod wody.

Sokół wzniósł się ponad las i zataczał szerokie kręgi. Duncan liczył konie. Było ich przynajmniej dwanaście – w pełnym bojowym rynsztunku, podobnie jak jeźdźcy. Poza nimi nikogo nie było.

Porozumiał się przez radio z Monkiem, którzy przygotowywał nadjeżdżającemu oddziałowi powitanie.

– Nie więcej niż tuzin – przekazał Duncan. – Wszyscy na koniach. Łuki, miecze, kilka karabinków szturmowych.

Najwyraźniej trzymanie się tradycyjnego sposobu walki miało swoje granice.

– Zrozumiałem – odparł Monk. – Zaraz będę gotów.

Duncan wyrztał zza głazu: Monk klęczał przy osuwisku, zakopywał ładunki i zakładał bezprzewodowe detonatory. Przywieźli je ze sobą, by zniszczyć wrak satelity, gdyby nie dało się go zabrać ani zabezpieczyć. Nie mogli pozwolić na to, aby Rosjanie albo Chińczycy przejęli tajną technologię.

Sytuacja jednak się zmieniła.

Zamierzali się schować i zwabić napastników w stronę kryjówki Jady i Chajdu, a gdy ci znajdą się w wąskim przesmyku między osuwiskiem i skrajem urwiska, zdetonować ładunki. Miało to wyeliminować jak największą liczbę wrogów z walki i równocześnie zablokować dostęp do jeziora, zabezpieczając Jadę i Chajdu.

Duncan, Monk i Sandżar mieli się zająć wrogami pozostałymi po ich stronie osuwiska. Nierówne siły, ale nie bardzo mieli wybór.

Sprawa wymagała idealnego zgrania każdej czynności w czasie, a do tego potrzebowali obserwatora na niebie.

Monk ruszył w kierunku Mongołów, podczas gdy Duncan obserwował ekran laptopa. Prowadząca oddział postać miała na głowie coś, co wyglądało jak wilczy łeb. A więc Pan Błękitnego Wilka postanowił osobiście pobrudzić sobie ręce...

– Jadą... – syknął Duncan.

Kucnęli niżej, by wjeżdżający na płaskowyż wojownicy ich nie dostrzegli.

Obserwowali na ekranie, jak konni rozjeżdżają się na boki. Jeden przyciskał do ramienia

karabin, pozostali trzymali łuki. Dowódca wskazał na osuwisko kamieni i leżące za nim jezioro.

– *Uragshaa!* – rozkazał. Naprzód!

Pan Błękitnego Wilka wyciągnął z pochwy zakrzywioną szablę i poprowadził swoich ludzi ku jezioru.

Znakomicie, pomyślał Duncan. Może gdyby zabili przywódcę, pozostali złamaliby szyki i uciekli.

Monk trzymał palec na detonatorze i wpatrywał się w ekran, czekając, aż pierwsi konni wjadą w przestrzeń między osuwiskiem a krawędzią urwiska.

Teraz, powiedział w myśli Duncan.

Jakby słysząc polecenie, Monk wcisnął przycisk.

Nic się nie wydarzyło.

A przynajmniej niewiele.

Wystrzeliła spłonka, rozbłyskując w ciemności jak mały fajerwerk. Odgłos przestraszył najbliższego konia, który skoczył do przodu i zderzył się z sąsiadem w szeregu. Pozostałe wierzchowce odeszły na bok i zatrzymały się przed osuwiskiem.

– Spłonka musiała wypaść z ładunku – mruknął Monk. – Tak to jest, jak się pracuje po ciemku. – Przetawił detonator na następny ładunek i ponownie wcisnął przycisk. Tym razem płaskowyzem wstrząsnęła potężna eksplozja. Sypnęło śniegiem i lodem strząśniętym ze skalnej ściany w górze.

Monk nie przestawał. W krótkich odstępach czasu zdetonował trzeci i czwarty ładunek. Konie zaczęły rzeć i wyc, jeźdźcy spadali z siodeł.

– Idziemy! – wrzasnął.

Wszyscy trzej wyskoczyli z kryjówki i zaczęli ostrzeliwać Mongołów.

Duncan modlił się, aby Jada i Chajdu były bezpieczne.

Godz. 18.39

Znad brzegu jeziora Jada patrzyła, jak zza głazów wyjeżdża trzech jeźdźców – pierwszy miał na twarzy przepiękną maskę wilka. Przed sekundą zaczęła się walka – od odgłosu przypominającego strzał z karabinu.

Zaraz po nim huknęły trzy potężne eksplozje, przed którymi odruchowo zasłoniła twarz ramieniem. W chmurze dymu i pyłu pękło kilka wielkich głazów. Wiele sturlało się z osuwiska, zamykając dostęp do jeziora od strony lasu. Mniejsze kamienie staczały się dalej i wpadły do wody albo za krawędź urwiska.

Wstrzymała oddech, z nadzieją że trzy eksplozje zrzuciły jeźdźców, niestety po chwili wyjechali z chmury dymu. Konie szalały.

Jada zaczęła strzelać. Naciskała spust raz za razem. Nigdy jeszcze nie strzelała z pistoletu ani jakiegokolwiek innej broni, postawiła więc na ilość, a nie na jakość.

Trafiła jednego konia. Gdy stanął dęba, siedzący na nim wojownik spróbował się go kurczowo przytrzymać, ale popełnił błąd. Spanikowane zwierzę obróciło się na tylnych nogach i skoczyło przed siebie – prosto w przepaść – zabierając jeźdźca ze sobą. Wrzask przerażonego człowieka przebił się przez huk wystrzałów pistoletu.

Jada nie przestawała strzelać.

Kolejny celny strzał trafił drugiego z napastników w szyję, w chwili gdy próbował podnieść

łuk. Spadł z siodła, wylądował głową w jeziorze i leżąc w wodzie, bezwładnie poruszał rękami i nogami.

Trzeci jeździec zaatakował z wysoko uniesioną zakrzywioną szablą. Wilcza maska sprawiała, że wyglądał jak bezlitosny potwór.

Jada ponownie nacisnęła spust, ale stawił niemożliwy do pokonania opór – zamek się zablokował. Duncan mówił jej, co to oznacza. Brak pocisków.

Gdy jeździec rozpoczął cięcie szablą, w świetle księżyca błysnęło ostrze.

W tym samym momencie zza głowy Jady wyprysnęła strzała. Przeleciała tak blisko, że lotki musnęły ją w ucho.

Koń atakującego został trafiony w szyję.

Zwierzę zważyło się do przodu, wyrzucając jeźdźca z siodła, prosto na Jadę. Zaczęła odpełzać do tyłu, kątem oka obserwując, jak Chajdu próbuje założyć nową strzałę. Niestety, jedno naciągnięcie cięciwy wystarczyło, aby dziewczyna straciła resztę sił. Palce jej drżały, twarz miała zlaną potem, po chwili łuk wypadł z jej słabych rąk.

Jeździec wstał. Jego koń leżał na boku, trafiony w tętnicę szyjną. Skała wokół była zalana krwią.

Chajdu z żalem popatrzyła na zwierzę. Najwyraźniej nie ono było celem, lecz mężczyzna, który teraz podniósł z ziemi szablę i ruszył w ich kierunku. Dłoń trzymał na tkwiącym w kaburze pistolecie.

Chajdu odwróciła się do Jady.

– Uciekaj... – szepnęła.

Jada bez wahania posłuchała, błyskawicznie wstała i skoczyła do jeziora.

Gdy nurkowała, dudnił za nią okrutny śmiech.

Oboje znali prawdę.

Dokąd miała uciec?

Godz. 18.43

Duncan biegł przez chaotyczną płataninę ludzi i koni. Gdy osuwisko eksplodowało, po ich stronie zostało ośmiu jeźdźców z łukami i karabinami. W pierwszej fazie walki wyłączyli połowę z nich.

Teraz gra zrobiła się jednak niebezpieczniejsza.

Jeden z wojowników zsiadł z konia i zajął pozycję snajperską przy skraju płaskowyżu. Leżąc płasko na ziemi, ostrzeliwał ich, zmuszając do defensywy. Na szczęście osiem koni dawało Duncanowi, Monkowi i Sandżarowi jaką taką osłonę.

Monk cofnął się przed pociskiem, który zrykoszetował u jego stóp, i wpadł z impetem na Duncana. Kucnęli na kilka sekund za koniem. Duncan trzymał go za wodze, tak by zwierzę znajdowało się między nimi a snajperem.

Chwilę później dołączył do nich Sandżar.

– Duncan, zdejmij tego snajpera... – jęknął Monk.

Dyskusja była zbędna... gość ich naprawdę wkurzał.

– Ja spróbuję przejść z Sandżarem na drugą stronę osuwiska – powiedział Monk.

Przed chwilą od strony jeziora doleciały odgłosy strzelaniny, co oznaczało, że przed detonacją ładunków ktoś z oddziału wroga musiał się dostać nad jezioro. Jada i Chajdu

potrzebowały pomocy.

Duncan kiwnął głową. Nie pomogą kobietom, nie likwidując snajpera. Jeśli nie zostanie wyłączony z walki, Monk i Sandżar nigdy nie przejdą na drugą stronę sterty głazów.

– Rozumiem – rzucił Duncan. – Będę musiał pożyczyć konia... i hełm tego gościa.

Ściągnął z leżącego na ziemi ciała hełm i włożył go. Wsadził stopę w strzemień, popatrzył na Monka i wskoczył na siodło. Odwrócił konia w kierunku snajpera i ruszył ku niemu galopem.

Położył się na szyi wierzchowca, żeby snajper nie widział jego twarzy. Snajper wystrzelił, ale nie w Duncana, lecz gdzieś za jego plecami; prawdopodobnie zobaczył próbujących przedostać się przez osuwisko Monka i Sandżara.

Duncan kierował się prosto na błyski wystrzałów w ciemności. Mocniej pognął konia, świadom, że ma tylko jedną szansę. Podkowy waliły w granit, z szyi konia spływał pot.

Duncan dotarł do snajpera.

Gdy ten uświadomił sobie, że dał się przechytrzyć, na jego twarzy pojawiło się przerażenie. Widząc przed sobą człowieka, wierzchowiec Duncana próbował odbić w bok, ale Duncan mocno trzymał wodze. Czterystukilogramowy mongolski ogier wpadł kopytami na rozplaszczony na ziemi snajpera, łamiąc mu kości i miażdżąc ciało.

Duncan pędził dalej, w kierunku lasu. Potrzebował kilkunastu metrów, aby zwolnić, zawrócić konia i ruszyć z powrotem. Zsunął się niżej w siodle – nie po to, by sprawdzić, co się dzieje ze snajperem – ten na sto procent nie żył – ale żeby przejąć jego broń i odwrócić losy potyczki.

Niestety, kopyto konia trafiło w karabin, łamiąc kolbę i wyginając lufę. Duncan podniósł ją jednak z ziemi i zaczął przez lunetkę celowniczą szukać przyjaciół.

Po chwili zobaczył Monka stojącego z dymiącym pistoletem nad nieruchomym ciałem kolejnego przeciwnika. Sandżar kończył podrzynać gardło następnemu. Kilka metrów za nimi pojawił się jakiś ruch i Duncan dostrzegł konia. Ostatni napastnik ruszał do ataku.

– Monk!!!

Rzenie konia i tętent kopyt zagłuszyły jego krzyk.

Duncan mógł jedynie bezsilnie obserwować, jak napastnik wbija Sandżarowi szablę w plecy i unosi w stronę Monka trzymany w drugim ręku karabin. Duncan natychmiast go rozpoznał: Arślan.

Ruszył sprintem, było jednak jasne, że nie zdąży.

Godz. 18.47

Zwycięstwem należy się rozkoszować.

Batuchan stał nad młodą Mongołką, w zasadzie jeszcze dziewczyną, na której brzuchu rozlewała się plama krwi. Znała się nieco na łucznictwie, o czym świadczył fakt, że zabiła konia jednym strzałem. Przyciskał czubek szabli do miejsca między jej drobnymi piersiami, napierając na tyle mocno, by przebić ubranie i skórę i oprzeć metal o kość.

Ból wykrzywił rysy jej twarzy, ale patrzyła mu nieruchomo w oczy.

Twarda, harda sztuka.

Przez chwilę Batuchan poczuł dumę z mongolskiego ludu, co, oczywiście, nie znaczyło, że śmierć dziewczyny nie sprawi mu przyjemności. Przypomniawszy sobie ulubione powiedzenie Czingis-chana: „Nie wystarczy, abym zwyciężył. Wszyscy inni muszą przegrać”.

W nagrodę zapewni kobiecie szybką śmierć.

Amerykanka będzie umierać wolniej.

Jedną ręką trzymał szablę, drugą – uzbrojoną w pistolet – miał skierowaną na jezioro. Gdy skończy z jedną buntowniczką, zajmie się na spokojnie drugą. Była bezbronna i nie miała dokąd uciec.

Uśmiechając się pod maską, pochylił się niżej, by wbić szablę. Nagle za jego plecami rozległ się głośny plusk.

Gdy odwrócił głowę, ujrzał wynurzający się spod wody ciemny kształt, nubijską boginię, która rzuciła się w jego kierunku, zamachując się prętem ze śmiercionośnej stali.

Godz. 18.49

Jada spuściła łom na wilczy łeb, gotowa oderwać go od reszty ciała.

Gdy zanurkowała w jeziorze, przypomniała sobie, że po otwarciu obudowy satelity Duncan zostawił go na dnie. Może nie była dobra w posługiwaniu się pistoletem, ale dzięki latom startów w triathlonie miała świetnie wytrenowane ciało i pływała jak ryba. Po oddaleniu się od brzegu wynurzyła się, leżąc na plecach, tak że ponad powierzchnię wystawiła tylko usta i nos. Nabrała powietrza, po czym zanurkowała ostro w dół i korzystając ze światła księżyca, przebijającego się przez klarowną wodę, odnalazła łom.

Wróciła z bronią w rękę na płyciznę, licząc na to, że odbijające się na wodzie refleksy księżycowego światła zamaskują jej powrót.

Czekała z atakiem do chwili, aż mężczyzna całkowicie się odwróci. Niestety, gdy ruszyła na niego, zdążył zareagować i przyjął cios na zwieńczenie hełmu.

Stal zadźwięczała o stal.

Impet zderzenia był tak mocny, że ramię Jady przeszył prąd i sparaliżował jej palce, tak że wypuściła broń. Łom zaklekotał o skałę.

Uderzenie wgniotło nieco hełm i sprawiło, że mężczyzna przesunął się dwa kroki w bok. Wypuścił z ręki szablę, ale w dalszym ciągu trzymał pistolet.

Uniósł go, by wycelować w Jadę, a drugą ręką zrzucił z głowy zniszczony hełm. Bluznął na napastniczkę przekleństwami w rodzimym języku. Wściekłość i żądza zemsty wykrzywiały mu twarz w niemal wilczy pysk.

Nagle jęknął z bólu i osunął się na kolana.

Chajdu trzymała wypuszczoną przez niego szablę. Klinga była zakrwawiona, bo dziewczyna smagnęła nią Batuchana od tyłu po nogach, gdzie nie miał osłony. Najprawdopodobniej przecięła mu ścięgna podkolanowe.

Jada błyskawicznie kopnęła i wytrąciła mężczyźnie pistolet z dłoni, tak że poleciał wysokim łukiem i wylądował z pluskiem w wodzie. Podniosła szybko łom i zamachem od dołu huknęła Mongoła w podbródek. Głowa napastnika odskoczyła do tyłu, pociągając za sobą resztę ciała.

Batuchan zwałił się na skałę. Był wyłączony z walki, niezdolny do ruchu.

Jada podbiegła do Chajdu i pomogła jej wstać.

Jeszcze nie były bezpieczne.

Godz. 18.52

Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. Duncan miał wrażenie, że biegnie przez melasę. Parł w stronę przebitego szablą Sandżara, odwracającego się o wiele za wolno Monka i Arslana, celującego w plecy jego partnera.

Skąła pod stopami była śliska od krwi ludzi i koni. Dookoła przesuwały się wielkie spanikowane ciała.

Nie zdąży.

Sandżar osunął się na kolana, po czym wznosił oczy do nieba.

– Heru! – zawołał.

Arslan drgnął na dźwięk tego imienia, cofnął się, skulił i uniósł broń do obrony przed znieawidzonym sokołem.

Ptakiem, którego nie było.

Monk wykorzystał okazję, by się odwrócić, i unieść pistolet.

Niepotrzebnie, Sandżar bowiem wstał ze sztyletem w dłoni i wbił go po rękojeść w szyję kuzyna. Użył imienia sokoła do wytrącenia Arslana z równowagi. Zdawał sobie sprawę, że po tym, co ptak uczynił z twarzą jego krewniaka, na pewno to zadziała.

Pociągnął Arslana ku ziemi, równocześnie obracając sztylet w ranie. Krew waliła z ust i nosa rannego, dusząc go. Gdy ciało Arslana zwiotczało, Sandżar odepchnął je i opadł ciężko na plecy. Pod nim natychmiast zaczęła się tworzyć kałuża krwi.

Duncan wreszcie dotarł do celu i osunął się na kolana przy Sandżarze. Coś go jednak zdążyło wyprzedzić.

Na dół spłynął skrzydlaty cień i usiadł na piersi sokolnika. Heru podrygiwał i poruszał skrzydłami, skłonił łeb i muskał policzki i brodę Sandżara.

Sokolnik wyciągnął ręce i objął ptaka. Rozpiął skórzane paski na jego łapach. Przyciągnął łebek sokoła do ust i coś wyszeptał.

Pożegnawszy się, Sandżar pozwolił swej głowie opaść i z lekkim uśmiechem na ustach zapatrzył się w niebo. Leżał tak przez kilka sekund, po czym ręce mu zwiotczały, osunęły się i uwolniły sokoła.

Heru podskoczył i pozęglował w niebo.

Sandżar wbijał w nie wzrok, ale już nie żył.

Godz. 19.10

Gnał ich strach.

Jada przebrała się w suche ubranie i zamocowała do konia plecak ze schowanym w środku żyroskopem. Dla zdobycia go przelano tyle krwi... Nie mogła pozwolić, aby tak wielkie poświęcenie poszło na marne.

Biedny Sandżar.

Przygotowując się do drogi, starała się stać plecami do płaskowyzu, na którym odbyła się jatka. Szczególnie paskudne były zwłoki, wbite w skałę końskimi kopytami. Od smrodu śmierci nie dało się jednak uciec.

Przed kilkoma minutami przez osuwisko przeszedł Duncan, spiesząc im na pomoc. Przydał się jedynie do przeniesienia Chajdu na drugą stronę.

Monk od razu zajął się raną dziewczyny. W każdym jego ruchu widać było doświadczenie i fachowość. Odłamał stalowy grot i koniec z lotkami, a tkwiący w brzuchu środek strzały

zostawił. Bał się go wyciągnąć. Zabezpieczył ranę ciasnym opatrunkiem, mocno owijając bandaż zarówno od strony brzucha, jak i pleców.

– Szykować się do jazdy! – zawołał, gdy skończył przygotowywać Chajdu do powrotu do cywilizacji.

Duncan skinął głową i podszedł do swojego konia. Co chwila sprawdzał las przez gogle noktowizyjne, chcąc mieć pewność, że nie ukryją się tam zostawieni w odwodzie wojownicy; mogło też nadejść wsparcie.

Nie było to, niestety, ich jedyne zmartwienie.

Z ciemnego lasu dolatywało coraz głośniejsze wycie. Zapach krwi i mięsa ściągał kolejnych myśliwych.

Musieli uciekać.

Monk podał Chajdu siedzącemu na koniu Duncanowi, który położył ją sobie na kolanach.

Jada dosiadła wierzchowca. Musieli jak najszybciej zejść z gór. Położyła dłoń na obudowie żyroskopu. Jeśli ta zdobytą z trudem nagroda kryła w sobie jakieś odpowiedzi, musiała ją zabezpieczyć, zawieźć do Stanów, dostarczyć do laboratorium. I to szybko. Nie mogła pozwolić, aby cokolwiek ją powstrzymało.

Monk machnął ręką i wskazał w dół.

– Jedziemy!

Godz. 19.25

Batuchana obudził łoskot grzmotu.

Oszołomiony, przetoczył się i usiadł. Popatrzył na unoszący się nad jeziorem opar i zmarszczył czoło na widok czystego nieba.

Nie był to grzmot...

Gdy zaczęło mu się przejaśniać w głowie, rozpoznał oddalające się echo tętentu kopyt.

– Zaczekajcie... – wycharczał, z obawy że jego ludzie zostawiają go na pastwę losu. Poczul w szczęce gwałtowny ból. Dotknął jej palcami, czując rozszarpaną skórę i krew. Powoli zaczął sobie przypominać.

Śmierząca suka...

Spróbował wstać, ale ból był nie do wytrzymania. Popatrzył na zakrwawione kończyny, zdziwiony, że nie chcą go słuchać. Pomacał bolesne miejsca z tyłu nóg, odkrywając głębokie cięcia, poszarpane ścięgna, które czyniły z nóg nic niewarte twory, niezdolne unieść ciężar ciała.

O nie...

Musiał zawiadomić swoich ludzi. Ci głupcy zostawili mnie na pewną śmierć, pomyślał.

Zaczął pełznąć w kierunku zabitego konia, podciągając się na rękach. Każdy ruch był cierpieniem. Na czoło wystąpił mu pot. Z podbródka skapywała krew. Miał wrażenie, jakby cała dolna część ciała płonęła żywym ogniem.

Musiał dotrzeć do telefonu. Wtedy będzie dobrze. Będzie mógł odpocząć i poczekać na przybycie pomocy.

Gdy uniósł głowę, za jeziorem, na szczycie kamiennego osuwiska, dostrzegł przesuwający się cień.

Ktoś tam był.

Batuchan uniósł rękę i w tym momencie doleciało do niego ciche warczenie.

Przez stertę kamieni przeskoczyły kolejne cienie.

Wilki.

Zaczęło go ogarniać przerażenie.

O nie...

Przetoczył się ku skrajowi urwiska. Wolał zginąć szybko z własnej ręki, niż dać się rozszarpać żywcem. Nieprzydatne nogi torpedowały wysiłek, pozostawiały krwawy ślad. Cienie zbliżały się; jak na tak duże zwierzęta, wilki poruszały się zadziwiająco cicho.

Wreszcie Batuchan dotarł do krawędzi i czując pewną ulgę, przetoczył się przez nią. Nagle coś chwyciło rękę, która pozostała na górze, wbiło się mocno w nadgarstek, przebiło skórę i zatrzymało się na kości.

Kolejne zęby złapały skórzany pancerz na przedramieniu, powstrzymując upadek. Silne, zażarte bestie odciągnęły go od otchłani.

Następne zęby wbiły się w jego ciało i przewróciły na plecy.

Patrzył na stojącego nad jego głową przywódcę stada, szczerzącego ostre kły.

Nie była to maska.

Było to prawdziwe oblicze Czyngis-chana.

Bezlitosne, nieustępliwe, nieustraszone.

Kły wbiły się w niego bez ostrzeżenia.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii
19 listopada, godz. 7.52 czasu wschodniego

Po drugiej stronie globu Painter Crowe wpatrywał się w gwiazdy. Dosłownie. Wielki monitor LCD, zamontowany na ścianie jego gabinetu, ukazywał wielką czarną skałę na tle gwiazd. Jej powierzchnia była podziobana i osmalona niczym zbroja weterana wielu bitew.

– Obserwatorium IRTF NASA na Hawajach przesłało nam to zdjęcie kilka minut temu – powiedziała stojąca za nim Kat. – Oficjalna nazwa tej asteroidy to dziewięć dziewięć dziewięć cztery dwa, ale wszyscy mówią na nią Apophis. Dała się już poznać jako źródło kłopotów. To pierwsza asteroida w historii, której zmieniono ocenę z jedyńki w skali Torino na dwójkę.

– W skali Torino?

– To dziesięciostopniowa skala, według której NASA ocenia potencjał zagrożenia katastrofą kosmiczną, stwarzany przez obiekty nadlatujące w kierunku Ziemi z kosmosu. Zero oznacza brak zagrożenia, dziesięć pewne zderzenie.

– I Apophis była pierwszą asteroidą przekwalifikowaną z jedyńki na dwójkę?

– Przez pewien czas nawet na czwórkę, gdy uważano, że prawdopodobieństwo zderzenia z Ziemią wynosi jeden do sześćdziesięciu dwóch. Potem współczynnik zagrożenia obniżył się... aż do dziś.

– Jakież wieści z SMC w Los Angeles?

– Śledzili anomalie grawitacyjne wokół komety, żeby zaprognozować, jaki wywrą wpływ na przestrzeń w pobliżu, i monitorowali największe NEO na trasie przelotu komety. W tym Apophis. W tej chwili, jeżeli efekty grawitacyjne pola energii wokół komety pozostaną statyczne i nie zmienią się, Apophis to mocna piątka, co stanowi dość poważne zagrożenie. Gdyby jednak poziom anomalii rósł dalej proporcjonalnie do zbliżania się komety, Apophis podskoczy na skali Torino.

Painter popatrzył na Kat.

– Do jakiego poziomu?

– W SMC uważają, że do strefy czerwonej. Osiem, dziewięć, może nawet dziesięć.

– Czym różni się ósemka od dziewiątki i dziesiątki?

– Wszystkie trzy to zderzenia pewne, z tym że ósemka oznacza lokalne zniszczenia na lądzie, a dziesiątka... destrukcję planety.

– Destrukcję planety.

Kat skinęła głową i wskazała na ekran.

– Apophis ma ponad trzysta metrów średnicy i masę czterdziestu megaton. Jeśli nasze prognozy są prawidłowe, coś takiego leci właśnie nad Wschodnie Wybrzeże.

– Zdawało mi się, że we Wschodnie Wybrzeże ma uderzyć deszcz meteorytów, nie jeden obiekt.

– W SMC uważają, że Apophis eksploduje w górnych warstwach atmosfery i na Wschodnie

Wybrzeże spadną jej kawałki. Satelita pokazał nam efekt bombardowania.

Painter czytał z twarzy Kat jak z mapy. Dręczyło ją coś, o czym nie mówiła.

– O czym jeszcze powinienem wiedzieć?

– O czasie. Ukazany przez satelitę obraz datowano na czterdzieści sześć godzin od teraz, ale, jak powiedziałam, to obraz po fakcie. Na podstawie obrazu skutków ognia, gęstości dymu i poziomu zniszczeń inżynier z SMC obliczył, że moment uderzenia nastąpi jakieś sześć do ośmiu godzin wcześniej.

– Więc mamy znacznie mniej czasu na powstrzymanie tego, co nadchodzi.

– Problem jest nie tylko z tymi sześcioma–ośmioma godzinami.

– To znaczy?

– Nawet gdybyśmy jakoś zneutralizowali komety, Apophis utrzyma kategorię piątą. Pole energetyczne już wystarczająco przesunęło jej trajektorię.

– A neutralizacja komety nic w tym zakresie nie zmieni.

– Nie.

Gdy Kat wbiła gwóźdź do trumny, wyglądała na przerażoną.

– Rozmawiałam z fizykiem nadzorującym anomalie grawitacyjne. Obliczył, ile czasu zajmie, aż Apophis wejdzie na stopień ósmy. Wtedy zderzenie z Ziemią będzie pewne. Po tym czasie nie będzie już miało znaczenia, czy zneutralizujemy komety, czy nie.

– Kiedy nastąpi ten punkt bez powrotu?

– Za szesnaście godzin.

Painter oparł się o biurko. Zaczął nagle mieć problemy z oddychaniem.

Szesnaście godzin...

Przerażające, ale odsunął od siebie tę wizję. Miał robotę do wykonania. Popatrzył na Kat.

– Potrzebujemy doktor Shaw.

Góry Chentej, Mongolia

Godz. 18.14 czasu uralskiego

Po trzech kwadransach ostrej jazdy konno Jada z przyjemnością zsunęła się z siodła na ziemię. Monk ogłosił krótką przerwę w zagajniku u podnóża góry. Pomógł Chajdu zejść z kolan Duncana, na których pokonała drogę z pola walki pod szczytem.

– Dziesięć minut – zarządził, odchodząc z dziewczyną na rękach w kierunku zwalonego drzewa, aby sprawdzić jej opatrunki.

Duncan wrócił do Jady.

Uklękła i zdjęła plecak. Rozpięła go, wyjęła żyroskop i otworzyła obudowę. Chciała się upewnić, że po ostatnich przygodach zdobywcę jest cała.

Kula leżała w przeznaczonym dla niej miejscu, łapiąc każdy promień księżycowego światła i odbijając na swej zakrzywionej powierzchni całe niebo.

Wyglądała na nienaruszoną, ale to, co widoczne gołym okiem, często może zwieść.

Jada popatrzyła na Duncana. Musiał zauważyć jej zatroskaną minę, bo umieścił dłoń nad otwartą obudową.

– Nie martw się – powiedział po chwili. – Energia jest ciągle silna.

Westchnęła z ulgą.

Monk zawołał do nich, najprawdopodobniej zadowolony z oględzin rany Chajdu. Trzymał

w górze telefon satelitarny.

– Mam sygnał! Spróbuję skontaktować się z dowództwem Sigmy.

Jada wstała.

– Też chciałabym porozmawiać z dyrektorem!

Zamierzała wydać kilka poleceń pracownikom swojego laboratorium, aby w chwili gdy wylądują w Kalifornii, wszystko było gotowe. Nawet godzina czy dwie mogły stanowić o różnicy między porażką a sukcesem.

Monk machnął na nią, ledwie jednak zdążyła zrobić kilka kroków, uniósł rękę.

– Stój! Sygnał zniknął!

Popatrzyła na swoje ręce – trzymała w nich żyroskop.

– To pewnie z powodu pola, jakie emituje Oko Boga!

– To je odłóż!

Rozejrzała się. Nie chciała kłaść urządzenia na ziemi.

Podszedł Duncan, z taką miną, jakby coś przeszkrobał, i wyciągnął rękę.

– Daj, odniosę na bok. Chyba im bardziej się oddalę, tym lepszy będziecie mieli odbiór.

– Prawdopodobnie masz rację.

Ujął żyroskop w nadwrażliwe dłonie, jakby przyjmował truciznę kobry.

– Dowiedz się, co się dzieje – powiedział i ruszył w bok.

Jada poszła szybkim krokiem do Monka. Miał już na linii Paintera i w telegraficznym skrócie streszczał ostatnie wydarzenia. Na pewno robił to nie pierwszy raz. Mówił o rozlewie krwi i chaosie, podając tylko precyzyjne fakty. Gdy skończył, podał jej telefon.

– Ktoś bardzo chce z tobą mówić.

Jada przyłożyła aparat do ucha.

– Dyrektorze?

– Monk przekazał mi, że wydobyliście żyroskop z satelity i jest naładowany dziwną energią.

– Moim zdaniem taką samą jak kometa, nie mogę być jednak tego pewna przed zbadaniem go w laboratorium.

– Monk przedstawił mi twoje plany. Wyrażam zgodę. Kat wyśle szybki środek ewakuacji i polecisz jak najszybciej do Kalifornii. Chcę ci jednak przekazać, co się wydarzyło w czasie waszej nieobecności.

Opowiedział wszystko. Każdą złą wieść.

– Szesnaście godzin? – spytała zdumiona, gdy skończył. – Sam powrót do Ułan Bator zajmie przynajmniej dwie.

– Każę Monkowi jechać prosto na lotnisko. Będzie tam na ciebie czekał zatankowany samolot.

– Czy ktoś mógłby mi przesłać na laptop najnowsze dane z SMC? W drodze do Kalifornii bym je przejrzała. Będę też w trakcie lotu potrzebowała bezpiecznego kanału do rozmów z moim personelem.

– Zrobi się.

Przedstawiła jeszcze szczegółową listę rzeczy, których będzie potrzebowała, po czym oddała telefon Monkowi, aby dopracował logistykę.

Odeszła, obejmując się ramionami, zmarznięta i przerażona. Popatrzyła na jarzącą się na niebie kometa.

Szesnaście godzin.

Przerazające, niemożliwe do dotrzymania ramy czasowe.
Niepokoiło ją coś jeszcze – poczucie, że ciągle nie dostrzega istotnego czynnika tej sprawy.

Godz. 20.44

Duncan stał na skraju łąki, próbując tak trzymać żyroskop, aby opuszki palców znajdowały się jak najdalej od powierzchni. Ciemne pole elektryczne parło jednak bez przerwy, pulsowało, emitując lekkie fale. Sprawiało to wrażenie, że trzyma się coś o bijącym sercu.

Wzdrygnął się, choć nie z powodu zimna.

Całe przedramiona pokrywała mu gęsia skórka.

Pospieszcie się... mówił w myślach do gadającego przez telefon Monka, prawdopodobnie przygotowującego odlot.

Nie mógł się tego doczekać.

I pozbycia się tego urządzenia.

Aby lepiej zapanować nad nerwami, ruszył wzdłuż brzegu lasu. Potknął się o wystający korzeń i dla odzyskania równowagi musiał zrobić kilka szybkich kroków. Nagle stało się coś znacznie gorszego.

Dolna część obudowy żyroskopu otworzyła się między jego dłońmi. Jada musiała zapomnieć zablokować zasuwkę. Nawet nie pomyślał, by to sprawdzić.

Jak w zwolnionym tempie idealna kryształowa kula, w której płonął ogień wszechświata, wypadła. Wyleciała z obudowy, uderzyła o ziemię i potoczyła się w trawę.

Duncan rzucił się za nią.

Jeśli zgubi...

Złapał ją dłonią jak piłkę, nim zdążyła zniknąć mu z oczu. Bezpośredni dotyk kuli gołą dłonią był szokujący i Duncan osunął się na kolana. Ciemna energia oparzyła mu palce i sprawiła, że zacisnęły się spazmatycznie na kryształ. Stracił orientację, gdzie kończy się pole energetyczne, a zaczyna przedmiot. Jego palce zdawały się wtapiać w kulę.

Kłęcząc, uniósł rękę, gotów odrzucić kryształ, jego uwagę ściągnęła jednak iskra w środku. Spojrzał przez kryształ na Wilczy Pazur.

Szczyt góry zniknął, kikut okalała chmura skalnego pyłu. Las płonął, buchając gęstym dymem.

Opuścił kryształ i obraz wrócił do rzeczywistości.

Uniósł kryształ i świat znów płonął.

Niedobrze.

Duncan wstał i odwrócił się. Niezależnie od tego, na co spojrzał przez Oko, widział ognistą apokalipsę. Na północy dostrzegł źródło zniszczenia: dymiący krater.

– Co robisz? – spytała Jada, która pojawiła się, nie wiadomo skąd.

Zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek powiedzieć, podał jej kryształ. Wskazał, by spojrzała na Wilczy Pazur.

Ze zdziwieniem zmarszczyła czoło, oparła się o ramię Duncana i zrobiła, co kazał. Zamarła na kilka sekund, prawdopodobnie nie mniej zszokowana niż on.

– No i? – spytała w końcu.

– Nie widzisz?

– Czego?

– Góry, lasu. Wszystko jest zniszczone.

Popatrzyła na niego, jakby zwariował.

– Nic takiego nie widzę.

Że co?

Duncan ponownie popatrzył przez kryształ na płonący w środku chaos – apokalipsę, którą prawdopodobnie widział tylko on.

Miał potwierdzenie, że zagrożone jest nie tylko Wschodnie Wybrzeże Ameryki Północnej. Groźba wisiła nad całym światem.

Wniosek mógł być tylko jeden.

Mamy przesrane.

CZĘŚĆ CZWARTA
OGIEŃ I LÓD

Σ

Bajkał, Rosja, 20 listopada
Godz. 1.02 czasu miejscowego

Kulili się na zamrażniętej przystani promowej. Mimo bezchmurnego nieba było ciemno jak w grobie i w porównaniu z leżącym około pięciuset kilometrów na południe Ułan Bator przeraźliwie zimno. Wszyscy mieli na sobie parki z obszytymi futrem kapturami, przez co niewiele się różnili od samotnego tubylca, który wybierał się o tak późnej porze na wyspę Olchon.

W lecie osoby chcące się dostać na wyspę pokonywały szeroką na półtora kilometra cieśninę promem wypływającym z wioski Sachjurta. W zimie pozostawała jazda autobusem.

Choć nie przez most.

Autobus jechał po lodzie. Widocznie był on w zimie na tyle gruby, że wytrzymał ciężar pojazdów. Na czarnej powierzchni widać było wyrobioną przez samochody drogę, oprószoną suchym, nawiewanym przez wiatr śniegiem.

Rachele sceptycznie przyglądała się transportowi. Pozostali uczestnicy wyprawy też nie wyglądali na szczęśliwych. Nawet Kowalski był w bardziej ponurym nastroju niż zwykle.

– Wystarczająco najeździłem się po lodzie – mruknął. – Słyszałeś o Grendelu?

Gray zignorował go. Gdy zebrano sprzęt, kazał wsiadać. Kierowca zamknął drzwi, wrzucił bieg i ruszył. Ponieważ zima dopiero się zaczynała, Gray był nieco zaniepokojony. Oczyszczył okno i wyglądał na zewnątrz. Do stycznia wielkie jezioro całkowicie zamarźnie i wytrwali wędrowcy będą mogli przejść z jednego jego końca na drugi.

Na razie widać było sporo otwartych miejsc. Bliżej środka jeziora kłębiły się fale. Gray przeczytał wystarczająco dużo na temat tego akwenu, by wiedzieć, że jest on geologicznym cudem – najgłębszym jeziorem na Ziemi, powstałym w wyniku wypełnienia się wodą przestrzeni między odsuwającymi się od siebie płytami tektonicznymi. Ponieważ płyty te nie przestają się przemieszczać, jezioro ciągle się powiększa i kiedyś zamieni się w nowy ocean.

Oczywiście, jeżeli planeta przetrwa.

Gray spojrział na zegarek. Po lądowaniu w Irkucku rozmawiał z Painterem Crowe'em, od którego dowiedział się o nowych – znacznie mniej korzystnych – ramach czasowych akcji. Pozostało mniej więcej dwanaście godzin. Prawdopodobnie Monk właśnie startował z Ułan Bator, by udać się z doktor Shaw i Duncanem do Kalifornii.

Oni mieli zbadać żyroskopowe Oko, jego zadaniem było odnalezienie krzyża. Może Jada wymyśli jakieś rozwiązanie, ale gdyby tak się nie stało, jedyną nadzieją było to, że Gray i jego ekipa odnajdą święty artefakt.

Czas był bardzo cenny.

Siedem do ośmiu godzin zajmie Jadzie powrót do Stanów, Gray był w niewiele lepszej sytuacji.

Nie mógł zacząć poszukiwań przed świtem. Nie tylko ze względu na mrok, ale także

dlatego, że nie mieli żadnego pomysłu, gdzie zacząć. Wyspa ma ponad siedemdziesiąt kilometrów długości i w najszerszym miejscu dwanaście szerokości. W jej wschodniej części wznoszą się wysokie góry, porośnięte jodłowym lasem aż po najwyższy szczyt – Żimę. Reszta to mieszanka piaszczystych wydm, trawiastych stepów i modrzewiowych zagajników.

Nawet w świetle dnia poszukiwania będą niezwykle trudne, zwłaszcza bez mapy drogowej i informacji, gdzie zacząć.

Z tego powodu Vigor zaproponował inną metodę.

Może ktoś zapytać?

Na wyspie mieszka około tysiąca pięciuset autochtonów, głównie Buriatów, potomków mongolskich osadników.

Vigor użył swoich kontaktów w Watykanie, aby zaaranżować spotkanie z ich naczelnym szamanem. Jeżeli ktokolwiek znał sekret wyspy, to powinien nim być najwyższy kapłan lokalnej religii – mieszanki buddyzmu i naturalistycznego kultu. Buriaci odnoszą się bardzo nieufnie do obcych, a kobiety nie mają prawa wstępu do świętych miejsc, więc zgoda na spotkanie z szamanem była czymś wyjątkowym.

Jak go jednak skłonić do mówienia?

Gray zaproponował wyłożenie kart na stół, czyli pokazanie zgromadzonych relikwii Czyngis-chana. Uważał, że może to nakłonić tubylców do ujawnienia tajemnic wyspy.

Szaman zgodził się na spotkanie, ale po świcie, twierdził, że musi ich oczyścić pierwsze światło dnia. Nic nie było w stanie nakłonić go do zmiany zdania.

Tyle straconych godzin...

Z drugiej strony, byli wycieńczeni i potrzebowali wypoczynku. W chwili spotkania z szamanem Monk i jego ludzie będą lądować w Kalifornii, więc pozostawiało to obu grupom około czterech godzin na zapobieżenie zbliżającej się katastrofie.

Powinno wystarczyć.

Gdy autobus wjechał na lodową nierówność i podskoczył, Kowalski drgnął. Pobielając dłonią ścisnął oparcie siedzenia przed sobą, nos miał przyklejony do szyby.

– Co to jest? To przy dziurze w lodzie? – spytał.

Gray rozejrzał się i zauważył ciemny smukły kształt ześlizgujący się z lodu do wody.

– Uspokój się. To tylko foka.

– Chcą, żebyś w to właśnie uwierzył – mruknął pod nosem Kowalski. – Nie masz pojęcia, co się kryje pod lodem.

Przeżył kiedyś traumę związaną z lodem i otwartą przestrzenią wodną. Gray tego nie drażył. Zaraz mieli dojechać na miejsce.

Podszedł Vigor i usiadł obok Graya. Wskazał przez okno na masyw wyspy.

– Spójrz na ten skalny półwysep. W miejscowym języku nazywa się Chorin-Irgi, co oznacza „koński łeb”. Zobacz, jak bardzo przypomina konia pijącego wodę z jeziora. Istnieją opowieści o tym, jak mongolscy wojownicy z epoki Czyngis-chana przybywali tu, by złożyć hołd temu miejscu, uważali bowiem, że kształt skały to dowód na to, iż cały wszechświat uznaje wielkość ich przywódcy.

Gray przyjrzał się ciemnej formacji skalnej. Wiedział, że Mongołowie żywili wielki szacunek do swoich wierzchowców i pamiętał opis tunelu, który na Jeziorze Aralskim prowadził do statku z kości. Też miał kształt konia.

– Sądzisz, że to dobre miejsce na rozpoczęcie poszukiwań? – spytał.

– Wątpię – odparł Vigor. – Ta skała to jedno z najczęściej odwiedzanych miejsc na wyspie.

Gdyby cokolwiek tam ukryto, ktoś już dawno by to znalazł. Chodzi mi o to, że na wyspie jest wiele miejsc związanych z legendą Czyngis-chana. Musimy odkryć, gdzie znajduje się jego grobowiec.

– Może szaman nam powie.

– Jeżeli cokolwiek wie, podzieli się z zawodowej uprzejmości z innym duchownym. – Vigor uśmiechnął się ze zmęczeniem. – Nie trać wiary, komandorze. Jeżeli krzyż tu jest, znajdziemy go.

– Tylko czy na czas?

Vigor poklepał go po kolanie i wrócił na miejsce. Objął ramieniem siostrzenicę, która nie spuszczała z niego wzroku.

Z potężnym podskokiem autobus wjechał na skalny brzeg, przejechał przez piaszczysty brzeg i znalazł się na wąskiej drodze, biegnącej wzdłuż wąskiej wyspy. Musieli przejechać mniej więcej połowę jej długości, aby dotrzeć do największej tutejszej wsi. Spotkanie z szamanem zostało wyznaczone w znajdującym się nieopodal świętym miejscu.

Po trzech kwadransach jazdy po nierównym terenie, przez brunatny step, rozciągający się wzdłuż zachodniego brzegu, autobus wjechał do sennej, malowniczej wioski Chuzyr. Składała się ona z drewnianych domów z porośniętymi mchem dachami, otoczonych pomalowanymi w jaskrawe barwy płotami, które otaczały niewielkie podwórka albo zagrody dla owiec. Wioska leżała nad małą zatoką na zachodnim wybrzeżu wyspy i tylko w dwóch domach można było wynająć pokoje na nocleg.

Gray zdecydował się na mniejszy z nich. Ponieważ panował martwy sezon turystyczny, wynajął cały kilkunastopokojowy dom.

Kierowca autobusu dowiózł ich pod same drzwi. Z piętrowego budynku roztaczał się widok na zatokę. Z tyłu mieściła się stajnia, wzdłuż jednej ze ścian stały pojazdy terenowe, najwyraźniej czekające na chcących eksplorować wyspę gości.

Wyładowali bagaże i weszli do środka. Właściciele – starsze rosyjskie małżeństwo, nieustannie kłaniające się i gestykułujące dla wyrównania słabej znajomości angielskiego – rozpalili ogień w kominku w salonie, przyjemnym pomieszczeniu z podłogą z desek, tapicerowanymi meblami i długim stołem pod ścianą.

Po panującym w podróży chłdzie ciepło ognia było przez chwilę szokujące, gdy się jednak zameldowali i ustalili, kto gdzie zamieszka, ogień w kominku okazał się atrakcją.

Vigor opadł na głęboki, miękki fotel.

– Tutaj jest idealnie – powiedział.

– Łóżko! – zawołał Kowalski i ruszył na górę. Tarł oczy jak dziecko, które już dawno powinno iść spać.

Gray głośnym ziewnięciem potwierdził, że się z nim zgadza.

– Przepraszam, ale chyba powinniśmy jak najszybciej zamknąć oczy. Jeżeli mamy się spotkać z szamanem na rytuale oczyszczenia, powinniśmy wstać godzinę lub dwie przed świtem.

– Przynajmniej wy, faceci – rzuciła kwaśno Seichan. Szaman zażądał jeszcze jednego: żadnych kobiet. Święte miejsca Buriatów były najwyraźniej zastrzeżone tylko dla mężczyzn.

– Podczas gdy wy będziecie człapać po mrozie, zrobimy sobie z Seichan dzień odnowy biologicznej – powiedziała Rachele.

Mimo pozornego optymizmu nie było jej do śmiechu. Nie chciała zostawiać wuja bez nadzoru. Usiadła obok niego przed kominkiem.

Zamienili jeszcze kilka słów i rozeszli się po pokojach.

Gdy Gray wchodził po skrzypiących schodach, nie mógł się pozbyć złego przeczucia. W oknie nad głową widział kometę, miał jednak wrażenie, że niebezpieczeństwo jest znacznie bliżej. Jakby wyciągał po nich ręce czyjś duch.

Seichan szła za nim. Pod jej stopami schody ani razu nie zaskrzypiały.

Godz. 3.03

Rachele obudziła się przerażona na odgłos wystrzału.

Stwierdziła, że siedzi w fotelu przed kominkiem. Kolejny głośny trzask polana uspokoił ją jednak. Przypomniała sobie, gdzie jest. Popatrzyła na zegarek, aby zorientować się w czasie.

Zdziwiona, przekreśliła się na fotelu.

– Wuju, dlaczego nie śpisz? Minęła trzecia, za kilka godzin musisz być na nogach.

Vigor miał na kolanach otwarty przewodnik turystyczny, a na nosie okulary do czytania.

– Spałem w trakcie lotu, zdrzemnąłem się też w autobusie. – Machnięciem ręki zbył troskę siostrzenicy. – Dwie godziny snu i będę w pełnej formie.

Rachele doskonale wiedziała, że nie ma w tym słowa prawdy. Obserwowała go przez całą podróż i wiedziała, że na chwilę nie zmrużył oczu. Nawet teraz widać było na jego czole warstewkę potu, której przyczyną nie był ogień w kominku. Bładość twarzy wystarczająco to potwierdzała.

Bezsensowność nie wynikała z wieku ani z zainteresowania leżącym na jego kolanach przewodnikiem. Powodem był ból.

Rachele wstała z fotela i uklękła obok wuja. Przytuliła się do jego nóg.

– Powiedz mi. – Westchnęła, wiedząc, że dobrze zrozumie sens pytania.

Vigor odetchnął ciężko, przymrużył lekko oczy, odłożył książkę na bok i popatrzył w ogień.

– Rak trzustki – szepnął, jakby się wstydził, że tak długo ukrywał tajemnicę.

– Jak długo?

– Rozpoznano go trzy miesiące temu.

Popatrzyła mu w oczy, dając znak, że nie o to pyta.

– Jak długo?

– Zostały mi dwa, może trzy miesiące.

Wypowiedzenie prawdy na głos było dla obojga zarówno przerażające, jak i oczyszczające. Po tak długim czekaniu Rachele chciała znać prawdę, potrzebowała jej, aby nazwać własny lęk. Równocześnie straciła jednak – choć fałszywą – ale jednak nadzieję.

Do oczu napłynęły jej łzy.

Wyciągnął rękę i starł je z jej twarzy.

– Nie płacz. Dlatego nie chciałem, aby ktokolwiek wiedział. Na razie dobrze mi szło.

– Mogłeś mi powiedzieć.

– Potrzebowałem... – Znowu ciężko odetchnął. – Potrzebowałem czasu, by się z tym oswoić. – Pokręcił głową, jakby niezadowolony, że nie umie tego wyjaśnić dokładniej.

Rachele rozumiała jednak i dała temu wyraz, lekko ściskając jego kolano. Przed podzieleniem się z kimś wyrokiem musiał się pogodzić z własną śmiertelnością, nieuchronnością śmierci.

Teraz nie musiał się już kryć. Opowiedział Rachele o szczegółach. Jak większość nowotworów trzustki, także jego choroba była cicha i bezobjawowa. Gdy zaczął zauważać coś,

co potraktował jako niestrawność, było już za późno na interwencję. Doszło do przerzutów. Zdecydował się więc jedynie na leczenie paliatywne – przyjmowanie leków łagodzących najbardziej dolegliwy ból.

– Drobnym błogosławieństwem jest to, że niemal do samego końca zachowam witalność – powiedział Vigor, szukając światełka w mroku.

Rachele przełknęła grudę w gardle, nagle szczęśliwa, że nie powstrzymała go przed tą wyprawą, która prawdopodobnie będzie jego ostatnią.

– Będę z tobą – obiecała.

– Cieszę się, ale nie zapomnij o własnym życiu. – Wskazał dłonią na swoje ciało. – To tylko tymczasowy kostium, drobny prezent, który, miejmy nadzieję, prowadzi do większej chwały, nie marnuj jednak tego daru, nie odkładaj go na półkę do późniejszego użytku. Chwytaj okazję obiema rękami i żyj, korzystaj codziennie z życia.

Położyła głowę na jego kolanach. Drżała, przegrywała walkę z żalem.

Nie przeszkadzała jej w tym. Delikatnie położył dłoń na jej głowie i mówił:

– Kocham cię, Rachele. Jesteś moją córką. Zawsze nią byłaś. Cieszę się, że mogę dzielić z tobą życie.

Objęła go za nogi.

Ja też cię kocham.

Godz. 3.19

Seichan leżała w łóżku, osłaniając oczy ramieniem, i powstrzymywała łzy. Jej pokój mieścił się dokładnie nad salonem, więc słyszała każde słowo rozmowy Rachele z Vigorem. Ich szepty docierały do niej, wzmacniane przez pudło rezonansowe, jakim był drewniany pensjonat.

Nie zamierzała podsłuchiwać, ale głosy Włochów ją zbudziły.

Ileż było miłości w głosie księdza.

Jesteś moją córką.

Dotarło do niej z niezwykłą wyrazistością, że choć Vigor nie był biologicznym ojcem Rachele, to zastąpił go jej.

Słuchając, przywoływała w pamięci twarz matki, która okazała się kimś obcym, kimś, od kogo dzieliła ją przepaść czasu i tragedii. Czy mogły – rezygnując z prób odtworzenia ról matki i córki – stworzyć coś nowego, zacząć jako dwie obce osoby, które łączy utracone marzenie o innych czasach? Czy byłyby w stanie zebrać wygasłe węgielki i rozpaść nowy ogień?

Seichan poczuła iskierkę nadziei. Wstała, bo wiedziała, że już nie zaśnie. W głowie pulsowała jej rada Vigora.

...nie marnuj jednak tego daru, nie odkładaj go na półkę do późniejszego użytku. Chwytaj okazję obiema rękami i żyj...

Założyła na gołe ciało luźną koszulę. Wyślizgnęła się na bosaka z pokoju i poszła korytarzem. Drzwi do pokoju Graya nie były zamknięte, więc szybko wsunęła się w ciepły mrok.

W małym piecyku zarzył się słaby ogień.

Podeszła do łóżka – tak jak w jej pokoju, pojedynczego – przykrytego grubą kołdrą i miękkimi poduszkami. Odsunęła rąbek kołdry i wślizgnęła się pod nią, budząc Graya dotykiem ciała.

Zareagował gwałtownie, zaskoczony złapał ją za przedramię – na tyle mocno, by zrobić siniaka. Gdy ją rozpoznał, osłabił chwyt, ale jej nie puszczał. W jego oczach odbijał się żar z piecyka.

– Sei...?

Przerwała mu, kładąc palec na ustach. Skończyła z mówieniem, próbami ujęcia w słowa tego, co czuła, i tego, co czuł on.

– Co ty...?

Zabrała palec i zamiast odpowiedzi na jego pytanie pocałowała go.

Żyję, pomyślała.

Przestrzeń powietrzna nad Pacyfikiem
20 listopada, godz. 4.04 czasu miejscowego

Gdy samolot wpadł w dziurę powietrzną, Jada gwałtownie podniosła głowę. Wyrwana ze snu, automatycznie popatrzyła na laptop na kolanach. Musiała się zdrzemnąć, czekając, aż zostaną porównane jakieś dane.

– Odsuń fotel do tyłu i prześpij się jak człowiek – poradził jej Duncan. – Jak Monk. – Wskazał kciukiem w kierunku trzeciego pasażera obitej skórą kabiny odrzutowca. Chrapanie kolegi było niewiele słabsze od warkotu silników.

– Nie spałam. – Ukryła ziewnięcie dłonią. – Tylko myślałam.

– Naprawdę? – Duncan uniósł rękę, pokazując, że Jada trzyma go za dłoń. – Mógłbym w takim razie zapytać, o czym?

Zaczerwieniła się i wyszarpnęła rękę.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy – rzucił z uśmiechem.

Nieco zażenowana, wyjrzała przez okno. W dole widać było chmury i morze. Zegar na ekranie laptopa informował, że lecą już prawie trzy godziny.

– Właśnie minęliśmy Japonię – wyjaśnił Duncan. – Jeszcze pięć godzin i powinniśmy lądować w Kalifornii.

Jada rozejrzała się po kabinie i przypomniała sobie inny luksusowy odrzutowiec. Zaczęła tę przygodę w Los Angeles, poleciała do Waszyngtonu, potem do Kazachstanu i Mongolii, a teraz wracała do punktu wyjścia.

Pełne okrążenie kuli ziemskiej.

Aby ją uratować.

Miała nadzieję, że nie jest to podróż pożegnalna. Jeżeli prawdą było to, co Duncan ujrzał przez Oko, cała planeta była zagrożona.

Jej spojrzenie powędrowało ku paczce na stoliku. Przed wylotem z Ułan Bator zamknęła Oko w prowizorycznej klatce Faradaya z miedzianego drutu, żeby zabezpieczyć instrumenty pokładowe przed wpływem emitowanego przez nie pola elektromagnetycznego. Przeciągając dłońmi nad klatką, Duncan potwierdził, że energia została w większości odizolowana. Nie należało jednak mieć nadziei, że zablokuje efekt kwantowy Oka.

Nawet przy największej ilości miedzianego drutu nie było to możliwe.

– Dlaczego tylko ja widziałem przez Oko zniszczenia? – spytał Duncan.

Wzruszyła ramionami.

– Musisz być wrażliwy na emitowany przez Oko efekt kwantowy. I to właśnie skłania mnie ku koncepcji, że to, co się stało z Okiem, wpłynęło także na soczewkę kamery satelity. Kiedy światło przeszło przez zmienioną soczewkę, czujnik obrazu zarejestrował obraz z przeszłości.

– A co ze mną?

– Jak już mówiłam, świadomość ludzka mieści się w polu kwantowym. Z jakiegoś powodu jesteś bardziej wyczulony na zmiany kwantowe w Oku. Albo sprawiły to magnesy w opuszkach twoich palców, albo... po prostu taki jesteś.

– Jak święty Tomasz z krzyżem.

– Może, nie zamierzam jednak nazywać cię świętym Duncanem.

– Nie? Chybaby mi się spodobało.

Laptop zabrzączał, informując o nadejściu nowego pliku. Najnowsza aktualizacja danych z SMC.

Nareszcie...

– Z powrotem do pracy? – spytał Duncan.

– Chcę coś sprawdzić.

Jada zaczęła czytać dokument. Planowała stworzyć rysunek trajektorii komety i prześledzić przemieszczanie się korony ciemnej energii. Coś bez przerwy ją dręczyło i miała nadzieję, że kolejna porcja informacji wydobędzie to z jej podświadomości.

Zaczęła porównywać dane i wprowadzać je do programu graficznego. Zamierzała także porównać najnowsze statystyki ze swoimi początkowymi obliczeniami, mającymi wyjaśnić naturę ciemnej energii. Okazało się, że te obliczenia doskonale łączą teorię dotyczącą źródła ciemnej energii – rozpad wirtualnych cząstek w kwantowej pianie wszechświata – z tworzonymi w ten sposób siłami grawitacyjnymi. W tym właśnie tkwiło sedno problemu. Można go było streścić jednym słowem.

Przyciąganie.

Wirtualne cząstki przyciągają się nawzajem, a wynikająca z tego energia anihilacji wypełnia masę siłą grawitacji. Słabe i silne siły jądrowe przyciągają do siebie elektrony, protony i neutrony, by utworzyć atomy. Przyciąganie sprawia, że księżycy krążą wokół planet, kłębią się układy słoneczne, wirują galaktyki.

Po chwili Jada zaczęła zauważać błędy w obliczeniach z SMC, brak zgodności między założeniami naczelnego fizyka a najnowszymi danymi. Zaczęła pracować szybciej. Potrzeba snu odpłynęła. Z rosnącym przerażeniem zaczęła się krystalizować prawda.

Muszę się mylić... Muszę.

Jej palce zatańczyły po klawiaturze, by sprawdzić obliczenia.

– Co się stało? – spytał Duncan.

Chciała wyrazić to głośno, podzielić się wiedzą, ale obawiała się, że uczyni to sytuację bardziej realną.

– Jado?

W końcu się poddała.

– Fizyk z SMC, który prowadził wstępne szacunki mające na celu określenie, kiedy nastąpi punkt bez powrotu... pomylił się.

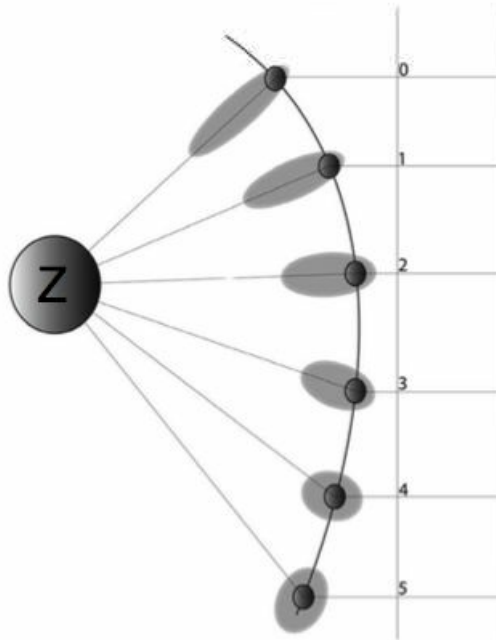
– Jesteś pewna? – Duncan popatrzył na zegarek. – Podał, że mamy szesnaście godzin. Co pozostawia nam jeszcze dziewięć.

– Powtarzam, pomylił się. Opierał prognozę na założeniu wzrostu anomalii grawitacyjnych proporcjonalnie do zbliżania się komety do Ziemi.

– I co w tym złego?

– W tym akurat nic. – Postukała w klawisze, by wyświetlić stworzony przez siebie rysunek.

– Tu jest narysowana korona ciemnej energii przyciągana do Ziemi wraz ze zbliżaniem się komety do nas. Rośnie w naszą stronę.



– Krzywa czasoprzestrzeni wokół Ziemi reaguje na ten efekt grawitacyjny. Wygina się na zewnątrz, a czas i przestrzeń zaczynają się zbiegać, powoli tworząc kanał, którym spadnie strumień asteroid.

– Jeśli fizyk ma rację, to w czym problem?

– Popęłnił błąd i te dane chyba to potwierdzają.

– Jaki błąd?

– Założył geometryczny wzrost efektu grawitacyjnego, przyrost o stałym tempie wzrostu, ale, moim zdaniem, tak nie będzie. Według mnie efekt rośnie wykładniczo. – Odwróciła się do Duncana. – Innymi słowy: znacznie szybciej.

– Na ile szybciej?

– Muszę się jeszcze upewnić, ale na gorąco powiedziałabym, że zostało pięć godzin do chwili, gdy uderzenie asteroidy stanie się nieuniknione. Nie dziewięć.

– To niemal połowa pozostałego nam czasu. Będziemy mieć szczęście, jeśli zdążymy wylądować w Los Angeles.

– A biorąc pod uwagę ostatnie dni, nie liczyłabym na szczęście.

Godz. 4.14

Niech to jasna... Duncan siedział jak skamieniały.

Jada kazała mu zachować spokój do chwili, aż potwierdzi szacunki. Wprowadziła dane do stworzonego przez siebie programu. Czekali.

– Dlaczego ten satelita musiał wybrać sobie na zderzenie z Ziemią Mongolię? – spytał, masując skronie. – Dlaczego nie cholerne Iowa? Tracimy czas, latając wokół globu.

Palce Jady zamarły nad klawiaturą.

– Co jest? – spytał Duncan.

– Bingo! Właśnie to chodziło mi po głowie. Ależ jestem głupia! – Zamknęła oczy. – Od początku chodziło o przyciąganie.

– Czyli?

Wskazała na rysunek demonstrujący przyciąganie korony energii komety przez Ziemię.

– Fizyk z SMC wysunął teorię, że w naszej planecie istnieje coś, na co reaguje energia komety. I tak jest!

– Mówiłaś jakiś czas temu, że to może być krzyż. Ponieważ zrobiono go z fragmentu tej właśnie komety.

– Właśnie! Oba obiekty, kometa i krzyż, są prawdopodobnie splątane na poziomie kwantowym i przyciągają się, przynajmniej energetycznie. Miałam nadzieję, że jeśli odnajdzie się krzyż, to po zbadaniu jego energii, albo energii Oka, mogłabym znaleźć sposób na przerwanie tego splątania.

Duncan skinął głową. Teoretycznie było to logiczne.

– A gdybyś tego dokonała, energia komety przestałaby być przyciągana w kierunku kuli ziemskiej, dzięki czemu czasoprzestrzeń wokół niej by się nie fałdowała.

– I nie powstałby kanał mający wyzwolić uderzenie asteroid.

Znakomicie, doktor Shaw, pomyślał Duncan.

– Dwa pytania – powiedział. – Pierwsze: skąd pewność, że kometa i krzyż się przyciągają? Drugie: co możesz zrobić, aby przerwać splątanie?

– Odpowiedź na oba pytania jest taka sama. Ponownie cytując Einsteina: „Bóg nie gra w kości”. Przed chwilą zadałeś pytanie, dlaczego satelita spadł na ziemię w Mongolii. Lepszego pytania nie można było zadać.

– Dziękuję...

– Aby odpowiedzieć, zadam inne pytanie. Gdzie, naszym zdaniem, ukryty jest krzyż?

– Na wyspie na Bajkale, mniej więcej pięćset kilometrów na północ od... – Nagle Duncan zrozumiał. – Z globalnego punktu widzenia to rzut beretem od miejsca katastrofy satelity.

– Nie wydaje ci się to dziwne?

Skinął głową.

Bóg nie gra w kości.

Duncan wpatrywał się w Jadę jak urzeczoną. Miał ochotę ją pocałować – większą niż zwykle.

– Satelita spadł tam, ponieważ przyciągał go krzyż.

– Jakże mogłoby być inaczej? Jest naładowany tą samą energią co kometa.

Ponownie wbił wzrok w rysunek demonstrujący ściągana ku Ziemi chmurę energii. Wyobraził sobie satelitę jako bezcielesny kłęb tej energii, wyrwany z orbity przez siłę krzyża i pociągnięty ku powierzchni Ziemi.

Jeśli rzeczywiście tak było, mocno wspierało to teorię Jady o splątaniu, ale nie dawało odpowiedzi na drugie pytanie Duncana.

Odwrócił się do Jady.

– Powiedziałaś, że da to odpowiedź na pytanie, jak przerwać splątanie.

Uśmiechnęła się.

– Wydało mi się to oczywiste.

– Ale mnie nie.

– Musimy dokończyć to, co próbował osiągnąć satelita. Zjednoczyć energie Oka i krzyża. Potraktować oba obiekty jako dwie cząsteczki: jedną naładowaną ujemnie, drugą dodatnio.

Przeciwstawne ładunki spowodują przyciąganie...

– ...a po połączeniu ich ładunki się wyzerują.

– Tak jest. Energetyczny ekwiwalent połączenia się materii i antymaterii. Wybuchowa anihilacja powinna przerwać łączącą je nić.

Piękna teoria, ale...

– Dlaczego krzyż i Oko są swoimi przeciwieństwami? Czym się różnią?

– Pamiętaj, że czas to też wymiar – odparła Jada. – Choć i Oko, i krzyż są naładowane tym samym ładunkiem ciemnej energii, są nośnikami różnych i bardzo odległych charakterystyk czasowych. Dwóch krańców tej samej osi. Przeszłości i teraźniejszości. Splątanie kwantowe oznacza, że oba byty chcą stać się jednym.

– Czyli muszą się zanihilować.

Jada skinęła głową.

– Moim zdaniem rozerwie to związek i sprawi, że kometa przestanie być przyciągana.

– Zasadnicze pytanie ciągle pozostaje aktualne – rzekł Duncan. – Gdzie jest krzyż?

– Nie wiem, ale...

Komputer ponownie zabrzączał, oznajmiając koniec obliczeń. W okienku migąły cyfry.

5,68 h

– Tyle nam zostało, aby się dowiedzieć – powiedziała Jada. – Wiesz, co mamy robić.

Duncan wiedział.

Wstał, podszedł do Monka i potrząsnął go za ramię.

– Co się...? – zabełkotał Monk. – Jesteśmy na miejscu?

Duncan pochylił się nad nim.

– Musimy zawrócić samolot.

Wyspa Olchon, Rosja
20 listopada, godz. 6.42 czasu miejscowego letniego

Gdy Gray się obudził, było jeszcze ciemno. Ręce i nogi miał splecione z innymi rękami i nogami, na jego piersi opierał się ciepły policzek. W powietrzu w dalszym ciągu unosił się zapach ich ciał i namiętności. Ujął Seichan za bark, jakby się bał, że prześlizgnie mu się przez palce, zamieni w ducha, w wywołany gorączką sen.

Przeciągnęła się leniwie, pod miękką skórą czuć było jednak kryjącą się w głębi siłę. Gdy mruknęła zadowolona, Gray miał wrażenie, jakby ten dźwięk wnikł w niego do szpiku kości. Przechyliła głowę na bok i otworzyła oczy. Widząc, jak mało jest w pokoju światła, przesunęła nogę w dół i potrząsnęła Grayem, by go obudzić.

Wyciągnął dłoń i położył palec pod jej podbródkiem. Przyciągnął jej głowę. Ich wargi musnęły się z obietnicą...

Telefon Graya na stoliku nocnym zadzwonił, niszcząc czar i przypominając o świecie poza granicami płataniny prześcieradeł i maleńkiego łóżka. Nie odrywając ust od warg Seichan, Gray burknął coś cicho, na chwilę przyciągnął ją mocniej, po czym puścił i przetoczył się do telefonu. Lewej dłoni nie zdjął z jej biodra.

– Wylądowaliśmy w Irkucku – poinformował go Monk. – Mieliśmy dobry wiatr w ogon. Przylecieliśmy szybciej, niż się spodziewaliśmy.

Przyjaciół przerywał mu po raz drugi – przed dwiema godzinami Monk zadzwonił, by poinformować go, że dołączają do nich na Olchon.

– Rozumiem – rzucił Gray. – Czyli jesteście dwie godziny od nas.

Rachele i Seichan miały poczekać na grupę Monka w pensjonacie, a Gray z resztą sprawdzić, czego da się dowiedzieć od szamana, wrócić do pensjonatu i ustalić, co dalej.

Sprawdził zegarek. Jeśli chcieli zdążyć na zaplanowaną na ósmą ceremonię przed grotą, musieli opuścić pensjonat za czterdzieści pięć minut.

Szybko zakończył rozmowę i położył telefon na podłodze. Przesunął dłoń na dół pleców Seichan i przetoczył ją ku sobie.

– Na czym to stanęliśmy...?

Pół godziny później wyszedł z pokoju, a Seichan za nim – oboje świeżo wykąpani. Miała na sobie tylko długą koszulę. Jeśli chodziło o niego, nie potrzebowała wkładać nic więcej, ale chłód korytarza przypominał o panujących na zewnątrz minusowych temperaturach. Trzymając jej dłoń, przyciągnął ją i mocno pocałował.

Gdy ją puścił, w głębi korytarza otworzyły się drzwi i z pokoju wyszła Rachele, dokładnie w chwili, gdy on i Seichan się rozdzielili. Zaczerwieniła się lekko, zażenowana pochyliła głowę, nie zdążyła jednak ukryć uśmiechu. Wiedziała o ostrożnych próbach Graya zbliżenia się do Seichan, teraz jednak miała dowód, że wcale nie są aż tak bardzo ostrożne.

Mruknęła „dzień dobry” i ruszyła na dół, skąd dolatywał zachęcający zapach smażonego

boczkę i świeżo zaparzonej kawy.

Z pożegnalnym całusem Gray pchnął Seichan w kierunku jej pokoju, żeby się przebrała, i ruszył na dół. W salonie okazało się, że właściciele poważnie podchodzą do zawartej w ofercie obietnicy „ze śniadaniem”. Wszystkiego było pod dostatkiem: sery topione, tosty, jagody, jajka na twardo, grube platy boczku, tłuste kiełbaski, do tego porcja grillowanych i marynowanych ryb prosto z jeziora.

Vigor siedział przy stole, grzejąc dłonie filiżanką herbaty. Wyglądał na zmęczonego, był blady, ale emanował zadowoleniem. Rachele przeszła za jego plecami, pocałowała go w czubek głowy i wzięła talerz.

Gdy podszedł Gray, uniosła z rozbawieniem brew, jakby chciała powiedzieć: „Najwyższy czas”. Najwyraźniej pierwszy szok i zażenowanie zamieniły się w ochotę do życzliwego przekomarzenia się. Wydało mu się, że dostrzega u niej ślad żalu, prawdopodobnie jednak tylko jego ego widziało w spojrzeniu Rachele coś, czego tak naprawdę nie było.

Choć nikt nic nie powiedział, Gray zmienił temat.

– Gdzie Kowalski?

– Już zjadł. – Vigor skinął w kierunku drzwi. – Poszedł sprawdzić transport.

Przez okno widać było poruszającą się w mroku łysą głowę olbrzyma lustrującego stojące na podwórzu quady, którymi zamierzali pojechać do groty znajdującej się na skraju zatoki.

Gray zabrał się do jedzenia, Vigor zaczął sprawdzać torbę z relikwiami. Po chwili wrócił Kowalski, wnosząc do jadalni zimno. Sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać odjazdu.

– Gotowi? – spytał Gray, wkładając do ust kilka ostatnich jagód.

– Baki pełne – odparł Kowalski. – Można ruszać w każdej chwili.

Przed chwilą zeszła na dół Seichan. Przechodząc obok Vigora, lekko ścisnęła palcami jego ramię, jakby dzieliła się z nim tajemnicą. Gest był intymny, wyrażał nie tyle współczucie, ile ciche wsparcie – jakby wyrażała akceptację czegoś, o czym tylko ona wie.

Gray spojrzał pytająco, ale pokręciła lekko głową, dając do zrozumienia, że to sprawa między nią a Vigorem. Wstał, a Vigor za nim.

– Zostawiamy was obie do pilnowania zamku – zwrócił się do kobiet. – Monk i reszta powinni tu być przed dziewiątą, więc wyglądajcie ich. Nie mamy wiele czasu. Ze słów doktor Shaw wynika, że znowu skrócił się nam czas.

Opowiedział o zrewidowanych prognozach i planie połączenia krzyża i Oka.

– I wszystko musi się odbyć przed dziesiątą? – spytał Vigor. – Wschód słońca jest o ósmej. Zostawia nam to dwie godziny na dostarczenie krzyża do Oka.

– Więc musimy szybko skłonić czarodzieja do gadania – rzekł Kowalski.

– To prawda – odparł Gray. – Na szczęście wyspa nie jest duża. Jeżeli krzyż nie jest zbyt daleko, sprawa powinna być wykonalna.

Musi być, dodał w myśli.

Godz. 7.44

Ubrani w ciepłe parki jechali po piaszczystym trakcie prowadzącym przez nadmorski modrzewiowy las. Ziemia była pokryta brązowymi igłami, nagie gałęzie nad głowami przepuszczały pierwsze światło dnia. Choć słońce kryło się jeszcze pod horyzontem, na wschodzie świtało.

Ścieżka kończyła się na łukowatej plaży zasypanej śniegiem i obramowanej lodem, który sięgał dość daleko w głąb zatoki. Fale regularnie rozbijały go na kawałki, w efekcie czego powstały wysokie po kolana zwały wyglądające jak potłuczone błękitne szkło.

Za granicą zlodowacenia woda była ciemnogrnatowa. Według legendy pływanie w niej przedłuża życie o pięć lat, a jest tak czysta, że można ją bez najmniejszych obaw pić bez przegotowania.

Gdyby naprawdę była tak życiodajna, pomyślał Vigor, wskoczyłbym od razu mimo zimna. Cieszył się, że w końcu wyznał Rachele prawdę o chorobie. Zostało jeszcze kilka rzeczy do powiedzenia jej i miał nadzieję, że zdąży to zrobić. Śmierć była mniejszą stratą niż lata, których już nie spędzą razem: możliwość obserwowania, jak wychodzi za mąż, rodzi dzieci, jak wnuki dorastają.

Straci wiele.

Przynajmniej powiedział, ile siostrzenica dla niego znaczy.

Dzięki, Panie, za to drobne błogosławieństwo.

Jadący na czele Kowalski skręcił i zahamował bokiem z poślizgiem, najwyraźniej chcąc sprawdzić, na ile quad jest stabilny. Tylko młodzi są przekonani o swej nieśmiertelności, gotowi na każdym kroku rzucać wyzwania śmierci. Wiek pozbawia tej pewności, ale nawet najmądrzejsi z nas nie przestają walczyć z wiatrakami. Chcą się cieszyć każdym dniem, żyć w pełni, wiedząc, że wszystko się skończy.

Gdy wyjechali na plażę, Gray zwolnił, by jechać obok Vigora, wyrwać go z zadumy. Wskazał na wysoką skałę wystającą z lodu wysoko w niebo.

– Przylądek Burchan?

Miejsce nazywane także Skałą Szamanką, było ojczyzną buriackich bogów zwanych *tengrii*. Jest uważane za jedno z dziesięciu najświętszych miejsc w Azji.

Vigor skinął głową.

– Ceremonialna grota jest po drugiej stronie, od strony morza. Tam mamy spotkanie z szamanem. Na końcu plaży powinien być wąski przesmyk prowadzący do przylądka.

Gray skinął głową i przyspieszył. Dogonił Kowalskiego, razem wyjechali z zakrętu i znaleźli się na wąskim pasku ziemi biegnącym do poszarpanych białych skał, porośniętych czerwonym mchem.

Na końcu przesmyku stała niska postać, która broniła wstępu na przylądek: chudy młodzieniec w krótkim kożuchu, włożonym na niebieską szatę. Na ramieniu miał zawieszony skórzany bęben. Zamachał, aby się zatrzymali i zgasili silniki. Nie wyglądał na zachwyconego hałasem. Vigor wiedział z literatury, że w dawnych czasach odwiedzający przylądek owijali kopyta koni skórą, aby nie niepokoić bogów.

– Nazywam się Temur – powiedział młodzieniec kiepskim angielskim i lekko się uklonił. – Zabiorę was do Starszego Bojana. Czeka na was.

Kowalski wziął z quada Vigora torbę z relikwiami i ruszyli za młodzieńcem – najpierw wąską ścieżką, potem oblodzonymi schodkami wykutymi w skale. Po chwili ukazała się nad nimi duża grota z wejściem wychodzącym na jezioro.

Vigor zadyszał się, jeszcze zanim wspięli się na urwisko. Po obu stronach wejścia do grotty znajdowały się kamienne kopczyki, w które powplatano kolorowe szarfy i flagi łopoczące na wiejącym od jeziora wietrze. Między nimi klęczał pomarszczony starzec w nieokreślonym wieku. Mógł mieć równie dobrze sześćdziesiąt, jak i sto lat. Był ubrany podobnie jak młodzieniec – z wyjątkiem wysokiej spiczastej czapki. Przed nim paliło się ognisko, do którego

dorzucal gałęzie jałowca. Powstające kłęby dymu rozchodziły się po całej jaskini.

W głębi widać było wlot prowadzącego w głąb skalnej formacji tunelu, Vigor wątpił jednak, by nawet watykańskie rekomendacje dały mu tam możliwość wejścia.

– Starszy Bojan chce, byście uklękli po obu jego stronach i skierowali się twarzą ku jezioru. Gray dał znak, by jego towarzysze wykonali polecenie.

Vigor stanął po jednej stronie, Gray z Kowalskim po drugiej. Dym kłuł go w nos i oczy, ale pachniał dziwnie słodko. Temur zaczął powoli bębnić, a szaman recytować modlitwę, machając przy tym trzymaną w dłoni płonąca gałęzią.

Mrok na zewnątrz powoli jaśniał, zmieniając barwę wody z ciemnego indygo w błękit nieba. Lód migotał tysiącami odcieni kobaltu i szafiru. Nagle po lodzie i wodzie pomknął błysk pierwszych promieni słońca, które wyglądały jak płynne złoto.

Na ten widok Vigor cicho westchnął, czując się zaszczycony możliwością udziału w spektaklu. Nawet wiatr ucichł na chwilę, jakby z szacunku.

Temur ostatni raz, głośno, uderzył w bębenek i zwrócił się do przybyszy.

– Gotowe. Teraz możecie mówić do Starszego Bojana.

Szaman wstał i dał znak, by zrobili to samo.

Pobłogosławiony, Vigor wstał i skłonił się kapłanowi.

– Dziękuję, że zechciałeś się z nami spotkać. Mamy bardzo pilną sprawę i szukamy kogoś o dużej wiedzy o Olchon.

Temur tłumaczył, szepcząc szamanowi do ucha.

– Co chcecie wiedzieć? – spytał po chwili młodzieniec.

Vigor odwrócił się do Graya.

– Pokaż mu relikwie.

Gray wziął torbę od Kowalskiego, rozpiął ją, po czym ostrożnie wyjmował przedmioty i stawiał je obok siebie. Na koniec otworzył skrzynkę, ukazując statek.

Jedyną widoczną reakcją szamana było lekkie rozszerzenie się oczu.

– Co to jest? – spytał Temur, nie było to jednak tłumaczenie słów szamana, ale wyraz jego własnej ciekawości.

Szaman zrobił krok naprzód, unióśł ręce nad pierwszym przedmiotem z brzegu i zaczął mamrotać modlitwy. Potem to samo zrobił z pozostałymi.

Po chwili coś powiedział.

– Moc jest stara, ale nie nieznaną – przetłumaczył Temur.

Vigor wpatrywał się w pomarszczone dłonie Bojana. Czyżby szaman wyczuwał tę samą energię co Duncan?

Bojan zatrzymał dłoń nad czaszką.

– Wiemy, czego szukasz – przetłumaczył Temur. – Ale znalezienie tego wiąże się z wielkim niebezpieczeństwem.

– Będziemy szczęśliwi, mogąc rzucić mu wyzwanie – odparł Vigor.

Gdy Temur to przetłumaczył, Bojan zmarszczył czoło.

– Nie będziecie – zwrócił się do Vigora tłumacz. – Starszy Bojan mówi, że bardzo cierpisz, ale będziesz cierpieć więcej.

Vigor, którego ogarnęło złe przecucie, popatrzył na Graya.

– Zaprowadzę cię do tego, czego szukasz – oznajmił Temur.

Vigora powinno to ucieszyć, było jednak inaczej. Pod wzrokiem wpatrującego się w niego ze smutną miną szamana ogarniał go coraz przenikliwszy chłód.

Zaakceptował śmierć jako coś nieuniknionego, ale po raz pierwszy od wielu miesięcy zaczął się bać.

Godz. 8.07

Rachele chodziła po znajdującej się za budynkiem stajni. Postanowiła przespacerować się po śniadaniu – musiała spalić zżerającą nerwy energię, ale także podumać o wuju.

Walczyła z potrzebą kontrolowania go i robieniem w głowie list: do których lekarzy zadzwonić, z jakimi klinikami się skonsultować, w jakie próby kliniczne włączyć wuja. Rozsądek mówił jedno: powinna dać sobie z tym spokój. Vigor pogodził się z losem i musiała zrobić tak samo.

Mimo to nie mogła spokojnie wysiedzieć w cichym pensjonacie. Na dodatek nie wiedziała, jak rozmawiać z Seichan po tym, jak widziała ją opuszczającą pokój Graya. Czuła się dziwnie, poszła więc na spacer, ale wkrótce mróz przygonił ją z powrotem; nie czuła nosa, policzki zacerwieniły się z zimna.

Zamiast wrócić do domu, poszła do stajni, by schować się przed wiatrem. Gdy zakłóciła koniom spokój, cicho zarżały. W środku pachniało sianem, końskim nawozem i piżmowym potem. Rachele szła wzdłuż boksów, jednym koniom pocierając nos, innym dając garść obroku.

Gdy się rozgrzała, wróciła do wrót i je otworzyła. Uderzył ją zimny podmuch wiatru.

Skuliła się i ruszyła w stronę głównego budynku.

Słyszając echo głośnego trzasku, podniosła głowę. Jakby gdzieś stuknęła okiennica. Zaraz potem rozległy się kolejne trzaski.

Strzelanina.

Rachele zatrzymała się zdezorientowana – i w tym samym momencie ktoś złapał ją od tyłu za szyję.

Poczuła na skroni dotyk zimnej lufy.

Godz. 8.10

Seichan miała chwilę na reakcję.

Od razu wyczuła, że coś jest nie tak. Siedząc w pokoju, poznała odgłosy pensjonatu: mamrotanie właścicieli na dole, szcęk garnków i patelni, gwizd wiatru w załomach okapu. Kilka razy otwierały się i zamykały drzwi; najpierw któreś z właścicieli wynosiło śmieci, potem Rachele wyszła na spacer po wiosce.

Gdy niecałą minutę temu otworzyły się drzwi, Seichan uznała, że to ona wraca, hałasy na dole zaraz jednak przycichły. Wyraźnie słyszalny był jedynie klekot upuszczonego na drewnianą podłogę talerza.

Zamarła, jej mięśnie napięły się, zmysły wyostrzyły. Nawet unoszący się w powietrzu kurz jakby znieruchomiał w oczekiwaniu.

Potem skrzypnęły schody.

Skoczyła naprzód, po drodze łapiąc leżące na nocnym stoliku SIG sauera. Szybkim ruchem rzuciła kaburę i już była za drzwiami. Oddalając się od schodów, przemieszczała w kierunku okna na końcu korytarza. Spoglądając za siebie, ujrzała przy schodach cień, zbyt ostrożny, aby mógł oznaczać dobre zamiary. Cień zaraz zmienił się w człowieka w zimowym

stroju kamuflującym.

Seichan dwa razy strzeliła, po czym skoczyła w stronę okna i uderzyła w nie barkiem. Za jej plecami rozległ się krzyk. Jej pocisk jedynie musnął mężczyznę, ale spowolniło go to na tyle, by zdążyła wyskoczyć przez okno w deszczu szkła i drzazg. Wylądowała na okapie wystającym nad parterem, potoczyła się na dół i zeskoczyła.

Obróciła się w powietrzu, tak aby wylądować na nogach i przetoczyć się przez bark. Wstała i powiodła dookoła pistoletem. Była za domem. Za podwórzem zaczynał się las. Gdy rzuciła się w jego kierunku, pomiędzy drzew wyszli uzbrojeni mężczyźni w kamuflażu.

Odbiła w prawo, pamiętała bowiem, że biegnie tam wzdłuż drogi głęboki przepust. Potrzebowała schronienia i musiała się przebić przez kordon, który otoczył pensjonat.

Biegła, strzelając na ślepo w kierunku drzew. Kule rozorały zmarzniętą ziemię wokół niej, ale miała szansę się schować.

W tym momencie przez strzelaninę przebił się znajomy głos.

– Stój albo ją zabiję!

Nie posłuchała. Skoczyła ostatnie dwa metry i zsunęła się na brzuchu do przepustu. Gdy odwracała się do mężczyzny, który krzyczał, zachrząścił pod nią lód. Nie wysuwając nosa ponad skraj przepustu, wycelowała.

Rachele stała po drugiej stronie podwórza przy stajni, trzymana przez dwóch mężczyzn. Wyższy stał za nią i obejmował ją za szyję.

Ju-long Delgado i Hwan Pak!

Północnokoreański naukowiec przyciskał do ucha Rachele pistolet.

– Wychodź! Albo odstrzelę jej głowę!

Seichan nic nie rozumiała. Skąd oni się wzięli? Żołnierze w kamuflażu mieli azjatyckie rysy, wyglądali jak oddział sił specjalnych Korei Północnej, ale jak Pak je znalazł?

– Uciekaj! – zawołała Rachele. – Uciekaj!

Pak brutalnie uderzył Włoszkę w głowę, ale nie przestawała się szarpać.

Szansa powodzenia ucieczki wydawała się minimalna, a groźba wobec Rachele realna, więc Seichan podniosła rękę i wstała.

– Nie strzelajcie! – zawołała.

Z tyłu pojawili się kolejni żołnierze. Cicho jak duchy. Najwyraźniej koreański naukowiec sprowadził spory oddział szturmowy.

Po co?

Zabrano jej broń i zaprowadzono do Paka.

Gdy Seichan podeszła, Rachele spojrzała jej w oczy. Włoszka była nie tyle przestraszona, ile wściekła, jakby chciała przeprosić, że wpakowała ją w kłopoty.

Seichan nie mogła mieć do niej pretensji. To ona ponosiła odpowiedzialność, ona ściągnęła niebezpieczeństwo w to oblodzone miejsce.

Trzymający Rachele brutalnie musiał być dowódcą. Miał lustrzane okulary i opuszczony nisko kaptur. Widać było jedynie małe fragmenty jego twarzy, ale to, co dało się dostrzec, nie wyglądało miło: jedna wielka krzyżówka blizn. Czuć było od niego grozę. Nie był świeżym rekrutem, lecz zahartowanym w boju wojownikiem.

Gdy Seichan podeszła, Pak odwrócił się do niej i lodowato uśmiechnął, obiecując ból i cierpienie.

– A teraz nam powiesz, gdzie są Amerykanie.

Wyspa Olchon, Rosja

20 listopada, godz. 8.12 czasu miejscowego

Wsiedli na quady – do Graya dosiadł się pomocnik szamana, Temur – i ruszyli na północ od przylądka Burchan. Jechali wzdłuż linii wody po grubym przybrzeżnym lodzie.

Gray prowadził, Kowalski i Vigor trzymali się tuż za nim.

Dzień szybko jaśniał, przez co lód zaczynał wyglądać jak szkło. Niektóre miejsca były tak przejrzyste, że wyglądały jak niezamarznięta woda. Po powierzchni sunęły pasma śniegu i drobin lodu, przewiewane przez wiatr niczym grzywacze na falach.

– Za tamtymi skałami! – zawołał Temur. – Półtora kilometra, może dwa.

Jadąc we wskazanym kierunku, pokonywali odludne połącze wyspy, gdzie prosto z wody wyrastały pionowe skały zwieńczone jodłowym lasem. Temur kazał podjechać bliżej lądu. Osłaniał dłonią oczy i patrzył na linię brzegową.

– Tam! – zawołał w końcu. – Ten otwór. Wjeżdżamy do niego!

Gray dostrzegł wlot morskiej groty. Wyglądał na wystarczająco duży, aby w lecie dało się wjechać furgonetką, choć teraz mogłoby to być trudne, z górnej krawędzi bowiem zwisały potężne sople wyglądające jak zęby, które zaraz się zacisną i wygryzą dziury w lodzie. Otwór powinien pozwolić wjechać na quadach, choć tylko gęsiego.

Gray skręcił we wskazanym kierunku i maksymalnie zwolnił. Zapalił czołówkę i poświecił do wnętrza. Wszystkie powierzchnie były oszronione, odbijające się jak od lustra światło ukazywało biegnący w głąb tunel. Z łukowatego sklepienia zwieszały się gęsto stalaktyty. Na ścianach zamarzła woda, tworząc falujące połącze złożone z kryształów.

– Nie będziemy tu chyba wjeżdżać? – spytał Kowalski. – Jaskinie to jedno, ale lodowe jaskinie...

W odpowiedzi Gray schylił głowę pod pierwszy szereg sopli i wjechał powolutku do środka, podążając za światłem latarki na kasku.

Wnętrze było jeszcze bardziej niezwykle. Lód pod kołami był tak przejrzysty, że widać było omszałą skałę dna jeziora i pływające ryby.

– Chyba wchodzi daleko w głąb! – zawołał Gray.

Jechał zgodnie z instrukcjami Temura. Tunel poszerzał się, sklepienie robiło coraz wyższe. Po mniej więcej trzydziestu metrach dotarli do dużej jaskini, która zasługiwała na miano lodowej katedry. Z kopulastego sklepienia zwisały błyszczące „kandelabry” z błękitnego lodu, wszędzie wznosiły się kolumny, które wyglądały jak obsypane diamentami.

Pod ciężarem quadów lód zaskrzypiał i lekko spękał, co w zamkniętej przestrzeni zabrzmiało dość głośno. Kilka delikatniejszych ramion „kandelabrow” odpadło, poleciało z trzaskiem na lód, i rozprysło się na kawałki.

Na ścianie w głębi wisiała gruba warstwa lodu – tak pofałdowana, że wyglądała jak teatralna kurtyna. Spływały po niej strumyki wody, polerując lód do połysku kryształu.

Nieco bliżej, mniej więcej pośrodku dna jaskini, gładką powierzchnię psuł ciemniejszy ślad: dziura w lodzie, zejście do znajdującego się poniżej jeziora. Strome brzegi otworu były zabrudzone, w niektórych miejscach wytarte, tak że powstały małe rynny.

Przed chwilą, gdy wjechali do jaskini, Gray zauważył zsuwający się po jednej z rynien brązowy kształt. Najwyraźniej właśnie tutaj łapał powietrze najsławniejszy ssak tego jeziora – foka bajkalska.

Nie mając gdzie jechać dalej, Gray zatrzymał quada. Kowalski oraz Vigor dołączyli do niego i stanęli po obu stronach.

– Gdzie jesteśmy? – spytał Kowalski.

– To miejsce, gdzie rodzą się nasze foki bajkalskie, a ich młode są chronione w środku zimy – odparł Temur. – Miejsce jest uważane za szczególne dla naszych ludzi. Mówi się, że pochodzimy od ducha tych wytrzymałych, szlachetnych istot.

– Dlaczego nas tu przyprowadziłeś? – Gray rozejrzał się. Nie miał nastroju na wycieczkę krajoznawczą. Czas naglił.

– Ponieważ Starszy Bojan tak kazał. To wszystko. Nie wiem dlaczego.

Gray popatrzył na nie mniej zdumionego Vigora.

– Może staruszek lubi foki – skomentował Kowalski.

– Albo to sprawdzian – powiedział Vigor. – Wszystkie inne miejsca związane z Czyngischanem były dobrze ukryte, znajdowały się zwykle na styku lądu i wody. Tu jest tak samo. Okoliczności ułatwiły ich znalezienie: na Węgrzech susza, nad Jeziorem Aralskim katastrofa ekologiczna.

– No cóż, tutaj od milionów lat nic się nie zmieniło – rzekł Gray. – Nie ma przejść.

– Tak to wygląda.

Gray zaczął się rozglądać po oblodzonym pomieszczeniu. Tylko spokojnie... Po chwili coś sobie uświadomił. Szaman nie przysłał ich tu, ot tak. Gdy instruował przewodnika, dokąd ma zawieźć przybyszy, wystarczyło kilka słów, a Temur wiedział, dokąd ma się udać. Znaczenie mogło być tylko jedno.

– Temur, czy twoi ludzie mają nazwę na tę jaskinię?

Młodzieniec skinął głową.

– *Emegtei*, co w naszym języku oznacza „brzuch kobiety” – odparł, pokazując pantomimicznie wybrzuszenie pośrodku ciała.

– Łono – powiedział Gray.

– Zgadza się – odparł Temur, po czym uklonił się i zaczął cofać. – Mam nadzieję, że znajdziecie to, czego szukacie. Ja już muszę iść.

– Mój przyjaciel może cię odwiedzić na przylądek Burchan – zaproponował Gray, wskazując na Kowalskiego.

Przewodnik pokręcił głową.

– Nie trzeba. Mam tu niedaleko rodzinę.

Gdy młody człowiek wyszedł, Vigor zbliżył się do dziury w lodzie.

– Łono. Ma sens. Miejsce narodzin zwierzęcia będącego duchem wyspy.

Gray pokręcił głową, ale nie dlatego, że nie zgadzał się z *monsignore*. Po prostu myślał o czymś innym.

– Vigorze, nie mówiłeś, że z tej wyspy pochodzi matka Czyngis-chana?

– Tak jest!

– Więc to święte miejsce wybrano, aby symbolizowało miejsce pochodzenia Czyngis-

chana.

– Jego duchowe łono – uściślił Vigor.

Kowalski rozejrzał się po oblodzonych ścianach.

– Jeśli jest w tym choć trochę prawdy, to jego mamuśka musiała być oziębłą...

– To musi być tu – przerwał mu Gray.

– Co nam daje taka wiedza? – spytał Vigor.

Gray zamknął oczy. Wyobraził sobie jaskinię jako łono, z prowadzącym do morza tunelem jako kanałem rodnym, z którego wypływa życie.

Ale życie nie zaczyna się w łonie. Najpierw potrzebna jest iskra, źródło.

Z tego, co mówił Vigor, wynikało, że Czyngis-chan wyprzedzał swoje czasy w zakresie myśli technicznej, więc... choć raczej nie znał mechanizmu zapładniania, mędrcy z jego epoki musieli znać podstawy ludzkiej anatomii.

Gray zsiadł z quada, wyjął z plecaka latarkę i ruszył w głąb jaskini, obchodząc szerokim łukiem dziurę w lodzie. Zaczął wodzić światłem po ścianie w głąbi, podążając w górę zamrożonej „kurtyny”, po której cały czas spływały strumyki wody.

Mniej więcej osiem metrów nad dnem jaskini odkrył źródło wody. Ciemna dziura musiała być wlotem kolejnego tunelu – zapełnionego do połowy lodem.

– Symboliczny jajowód – rzekł Vigor, który od razu pojął intencję Graya.

Droga, którą życie dostaje się do łona.

– Mam w plecaku karabińczyki i sprzęt wspinaczkowy – powiedział Gray. – Powinno mi się udać wspiąć się po ścianie i dotrzeć do tunelu. – Gdy odwrócił się do Vigora i ujrzał pasję w jego oczach, uspokajająco poklepał go po ramieniu. – Nie martw się. Zamocuję linę i wciągnę cię. Pójdziemy razem.

Wrócili do quadów i Gray zaczął szykować sprzęt.

Włoch wzdrygnął się i tupnął z zimna, w oczach miał jednak podniecenie.

– Wejście na górę musi być okresowo niedostępne.

– Co masz na myśli?

– Wiosną i latem tunel prawdopodobnie jest zalany wodą, która wytryskuje z dziury, przez co nie da się ani tam dojść, ani stamtąd wejść. Tunel jest dostępny tylko zimą, gdy woda zamarźnie.

Gray zastanowił się nad tym.

– Mogli tak zrobić specjalnie? Z napisu na czaszce wynika, że apokalipsa ma nastąpić w listopadzie, czyli zimą.

Vigor pokiwał głową.

– Może ograniczyli dostęp, pozwalając zachować skarb do pory roku, gdy będzie najbardziej potrzebny.

Gray założył raki, zarzucił na ramię zwój liny. W rękę trzymał uprząż, czekan i haki.

Jest tylko jeden sposób, aby się tego dowiedzieć, pomyślał.

Godz. 8.32

Vigor patrzył, jak Gray wspina się po lodowej ścianie. Przyciskał dłoń do gardła i mimowolnie wstrzymywał oddech.

– Ostrożnie...

Gray nie ryzykował. Nie było czasu na upadki. Starannie i głęboko wbijał haki w szpary w lodzie. Cały czas utrzymywał trzy punkty podparcia, poruszał się spokojnie, nie zapominał o zabezpieczeniu liny.

Gdy dotarł do trzech czwartych wysokości, sprawdził czekaniem wgłębienie w lodzie. Odpadła cała połać. Oderwała się jak w pękającym lodowcu, runęła w dół i roztrzaskała się z hukiem. Kawały lodu potoczyły się po dnie jaskini aż do zaparkowanych quadów.

Gray stracił chwyt i spadł do ostatniego haka, zabujał się na nim, ale lina nie puściła. Wrócił stopami na lód i kontynuował wejście z jeszcze większą ostrożnością. Wreszcie dotarł na szczyt i używając czekana, wsunął się do zamrożonego tunelu.

Po chwili na górze zapaliło się światło, zamieniając zamrożony wodospad w pomarszczone błękitne szkło. Gray wysunął głowę i pomachał latarką.

– Jest przejście! Rzucam wam linę. Kowalski, pomóż Vigorowi założyć uprząż!

Szybko przeciągnął linę przez wkręcony w sklepienie tunelu pierścień. Kowalski przypiął Włocha do jednego jej końca i ciągnąc za drugi, sprawił, że *monsignore* podjechał w górę jak windą. Vigor pomagał, odpychając się od haków i podciągając na kolejnych.

Bez większego wysiłku znalazł się w tunelu obok Graya. Spojrzał w głąb. Tunel wyglądał jak wywiercony w bloku szafiru.

– Idziemy – rzucił Gray, pełnąc na czworakach. – Trzymaj się za mną.

Tunel lekko się wznosił, co czyniło poruszanie się niełatwym przedsięwzięciem. Powierzchnia lodu była śliska, pełna strużek zimnej wody. Jedna pomyłka, i można było zjechać w dół, a potem zostać wystrzelonym z wylotu tunelu jak z armaty.

Po kolejnych piętnastu metrach poziom lodu podniósł się na tyle, że musieli się czołgać. Vigor zatrzymał się przed zwężeniem. Nagle dopadła go klaustrofobia.

– Znowu się poszerza! – zawołał po chwili Gray. – Musisz to zobaczyć!

Zachęcony entuzjazmem w głosie Amerykanina Vigor podążył za nim i przecisnął się przez zwężenie jak robak. Pod sam koniec został złapany za nadgarstek i wyciągnięty jak korek z butelki.

Byli w kolejnej jaskini, poniżej której znajdowało się zamrożone jezioro. Jego brzeg z lewej strony wznosił się niemal pionowo na mniej więcej cztery metry. Gray poświecił latarką i światło ukazało wykute w skale schodki. Prowadziły na półkę u góry.

– Chodź – powiedział.

Zaczęli wspinać się ostrożnie, podpierając się rękami. Gray oczyścił czekaniem kilka stopni z grubszego lodu.

Gdy dotarli na szczyt, podał Vigorowi ramię, ten jednak zignorował pomoc, wstał i zapatrzył się w ścianę w głąbi. Pod cienką warstwą lodu widać było łukowato zwieńczone podwójne czarne drzwi.

Monsignore chwycił Graya za ramię. Potrzebował oparcia, by mieć pewność, że nie śni.

– Wejście do grobowca Czyngis-chana.

Godz. 8.48

Grayowi szkoda było czasu na delektowanie się odkryciem. Tyłem czekana rozbił pokrywający drzwi lód. Z każdym ciosem odpadały wielkie płyty, a powstający przy tym dźwięk wskazywał, że pod spodem jest metal. Nie minęła minuta, a drzwi były oczyszczone.

Ich łukowate zwieńczenie znajdowało się tuż powyżej głowy Graya.

Gdy oczyszczał zawiasy, Vigor z rewerencją obmacywał drzwi. Wyjął latarkę i oświetlił miejsce, gdzie czekają zadrapała powierzchnię.

– Pod patyną jest srebro! – zawołał. – Jak w przypadku pudełka z łodzią z kości. Tam, gdzie blacha wgięła się od uderzenia, widać jednak pod spodem spękane drewno. Srebro jest położone jedynie na powierzchni, choć mimo wszystko... – Oczy Vigora błyszcząły.

Po oczyszczeniu zawiasów Gray zdjął zapadkę, która zamykała drzwi. Honor otwarcia pozostawił Vigorowi.

Monsignore wstrzymał oddech, złapał uchwyt i mocno pociągnął. Drzwi uchyliły się ze zgrzytem jeszcze nieco oblodzonych zawiasów.

Widok sprawił, że Vigor cofnął się o krok.

Nie tego oczekiwali.

Choć niemal puste, pomieszczenie było niezwykle.

Okrągła komnata była złota. Podłogę, sklepienie, ściany... wszystko pokrywał zółtoróżowy metal. Nawet wewnętrzne powierzchnie drzwi pokrywało złoto, nie srebro.

Gray pozwolił, by Vigor wszedł pierwszy.

Każdy kawałek złota został obrobiony przez świetnych artystów. Na sklepieniu znajdowały się promieniste żebra, zbiegające się w mniej więcej metrowym kole. Ściany podpięrały złote kolumny. Idea była oczywista.

– Złota jurta – powiedział Gray. – Mongolski *ger*.

Vigor wpatrywał się w drzwi, którymi weszli.

– A po zamknięciu krypta. Znajdujemy się w trzeciej skrzynce relikwiarza świętego Tomasza.

Czaszkę i księgę ukryto w skrzynce z żelaza; statek – w srebrnej; teraz byli w ostatniej – złotej.

Monsignore przesunął się w prawo, jakby obawiał się wejść głębiej.

– Popatrz na ściany.

Do każdej złotej kolumny zamocowano coś, co wyglądało na wyłożony klejnotami uchwyt na pochodnie. Gdy Gray wyciągnął rękę do jednego z nich, uświadomił sobie, że to korona. Rozejrzał się. Każdy „uchwyt” był koroną.

– Z królestw, które podbił Czyngis-chan – stwierdził Vigor. – Ale to nie jest jego grobowiec.

Gray doszedł do takiego samego wniosku już w chwili, gdy otworzyli drzwi. Nie była to wielka nekropolia, pełna bogactw i skarbów starożytnego świata. Brakowało bogato zdobionych grobów Czyngis-chana i jego potomków. Grób wielkiego chana w dalszym ciągu czekał na odkrycie – prawdopodobnie schowany gdzieś głęboko w górach Mongolii.

– Korony umieszczono dla uczczenia tego, czyja to jest krypta.

Vigor szedł wzdłuż ściany, najwyraźniej zbierając odwagę, by wejść głębiej. Wskazywał na przestrzenie między kolumnami, pełne artystycznych rzeźbień. Jasne powierzchnie uformowano w gigantyczne dzieła. Styl był zdecydowanie chiński.

– W okresie dynastii Song często przedstawiano życie pochowanej w krypcie osoby – wyjaśnił Vigor. – Ta nie jest wyjątkiem.

Pierwsza płaskorzeźba z prawej strony od drzwi przedstawiała stylizowaną górę z trzema krzyżami na szczycie. Schodziły z niej płaczące postacie, wściekłe niebo szalało.

Następna ukazywała klęczącego mężczyznę wyciągającego ręce do pokrytego ranami boku

osobnika, który unosił się nad nim w powietrzu.

Na kolejnych płaskorzeźbach ten sam mężczyzna odbywał niezwykłą, przerażającą podróż, w trakcie której natykał się na smoki i inne potwory z mitologii chińskiej – aż dotarł nad brzeg wielkiego, pokrytego ogromnymi falami morza, gdzie witały go tłumy z flagami i symbolami radości oraz oświecenia.

– Życie świętego Tomasza – powiedział Vigor, gdy skończyli rundę. – Oto dowód, że dotarł do Chin i Morza Żółtego.

Nie był to jednak koniec opowieści o świętym.

Stali przed ostatnim panelem.

Płaskorzeźba ukazywała ogromnego chińskiego cesarza, podającego mu duży krzyż. Nad ramieniem cesarza widać było kometę unoszącą się na niebie pełnym gwiazd.

Dar dla świętego Tomasza.

Vigor w końcu odwrócił się ku środkowi pomieszczenia. Jedynym przedmiotem znajdującym się w złotej *ger* był kopczyk kamieni podobny do tych, jakie znajdowały się po obu stronach wejścia do groty szamana.

Z tym, że na tym kopcu stała czarna skrzynka. Prosta i zwyczajna.

Vigor popatrzył na swojego towarzysza, jakby pytał o pozwolenie.

Gray dostrzegł żółty odcień na twarzy *monsignore*. Brał się nie tylko od odbicia światła w złocie. Vigor miał żółtaczkę.

– Idź – powiedział cicho do *monsignore*.

Godz. 8.56

Vigor podszedł do kopca kamieni. Z trudem poruszał nogami. Drętwiały mu z trwogi – tak bardzo, że ledwie utrzymywał równowagę.

Może najlepiej byłoby zbliżyć się do tego na kolanach.

Doszedł do kamiennego kopca. Stojąca na nim skrzynka wyglądała na żelazną, ponieważ jednak mało zardzewiała, prawdopodobnie wykonano ją z jakiegoś amalgamatu. Na powierzchni wyryto chiński symbol.

DWA DRZEWA.

Tak jak opisała i spróbowała to odwzorować Ildiko.

Drżącymi dłońmi Vigor otworzył pokrywę. Lekko skrzypnęły zawiasy. W środku znajdowała się druga skrzynka. Była tak samo czarna, *monsignore* domyślał się jednak, że zrobiono ją ze srebra. Na niej także wyryto chiński symbol.

ROZKAZ.

Posłuchał go i otworzył wieko, odsłaniając ostatnią skrzynkę. Złotą. Świeciła się, jakby zrobiono ją wczoraj. Zdobił ją tylko jeden znak chińskiego alfabetu.

ZAKAZANE.

Vigor wstrzymał oddech. Opuszkami palców wskazujących uniósł wieko ostatniej skrzynki. Pomodlił się w milczeniu w podzięce, że właśnie jemu przypadł ten zaszczyt.

W środku, na małej złotej kolumnie, leżała żółtobrazowa czaszka. Na Vigora patrzyły puste oczodoły. Na sklepieniu czaszki wił się słabo widoczny, ale dostrzegalny napis po aramejsku.

Relikwia świętego Tomasza.

Mało brakowało, a Vigor osunąłby się na kolana. Gray musiał to zauważyć, podtrzymał go

bowiem, by *monsignore* mógł dokonać tego, co należało.

Ze łzami w oczach Vigor sięgnął po relikwię. Zawsze bardzo szanował świętego Tomasza, uważał go za najważniejszego apostoła Chrystusa. Zdaniem Vigora jego wątpliwości czyniły go bardziej ludzkim i pozwalały traktować go jako człowieka, z którym można się czuć związanym. Jego wątpliwości stanowiły wyraz walki między wiarą a rozsądkiem. Święty Tomasz wątpił, szukał dowodu, był uczonym swojej epoki, poszukiwaczem prawdy. Nawet jego ewangelia negowała zorganizowaną religię, deklarowała, że droga do zbawienia, do Boga, jest otwarta dla każdego, kto jest do tego gotów.

Szukajcie, a znajdziecie.

Nie to właśnie robili przez ostatnie dni?

– Znaleźliśmy grób świętego Tomasza – powiedział cicho Vigor. Głos wiązał mu w gardle z powodu wzruszenia i łez. – Nestorianie, a także Ildiko za pośrednictwem swojego testamentu musieli przekonać Czyngis-chana, aby go zbudował. Dlatego jego ewangelia powstała i została pozostawiona na Węgrzech. Była zaproszeniem do odnalezienia tej krypty. Pierwsze miejsce służyło zachowaniu słów Tomasza, a to – jego ciała i dziedzictwa.

Vigor dotknął świętej kości i zdjął czaszkę ze złotej kolumny.

Ujął w dłonie relikwię świętego Tomasza, a Gray, który stał u boku *monsignore*, poświecił latarką do wnętrza skrzynki.

W zagłębieniu w złocie leżał prosty czarny krzyż.

Miał długość mniej więcej ludzkiej dłoni i wyglądał na ciężki.

– Krzyż świętego Tomasza – mruknął Gray. – Możemy być pewni?

Vigor uśmiechnął się mimo powagi chwili. Nie miał wątpliwości, Gray potrzebował jednak dowodu.

– Duncan będzie wiedział – odparł Włoch.

Gray spojrział na zegarek.

– Została nam już tylko godzina. Sprawdź, co z nimi.

– Zrób to. Ja zaczekam tutaj.

Gray lekko ścisnął ramię przyjaciela i szybko wyszedł.

Dopiero wtedy Vigor osunął się na kolana. Trzymał relikwiarz świętego Tomasza przyciśnięty do podołka.

Dziękuję ci, Panie, że pozwoliłeś mi przeżyć tę chwilę.

Strach nie odszedł jednak całkowicie. Vigora cały czas prześladował widok oczu szamana – i jego ostrzeżenie.

Bardzo cierpisz, ale będziesz cierpieł więcej.

Godz. 9.04

Gray wyjechał z tunelu na jaskrawe poranne słońce. Zanim udało mu się zatrzymać, quad zakreślił na lodzie pełne koło. Spieszył się, bo chciał jak najszybciej znaleźć się w miejscu, gdzie zadziała telefon satelitarny.

Wystukał numer Monka. Połączenie zostało natychmiast odebrane.

– Gdzie jesteście?

– W autobusie. Jedziemy po lodzie. Zaraz dojedziemy do wyspy.

Gray zacisnął zęby. Zostało niewiele czasu.

– Potrzebuję was gdzie indziej. Zaraz zadzwonię do Seichan i też każę jej przyjechać. Jestem pięć kilometrów na północ od przylądka Burchan, przy samym brzegu, na łodzi przy wejściu do tunelu. Jako znak orientacyjny zostawię wam na zewnątrz quada.

– Znaleźliście krzyż?

Gray uświadomił sobie, że nawet o tym nie wspomniał.

– Tak, ale potrzebujemy Duncana do potwierdzenia autentyczności.

No i ktoś musi nam dostarczyć Oko.

– Powiedz mu, żeby nie przemierzali krzyża! – w słuchawce rozległ się kobiecy głos. To Jada, która nachylała się nad ramieniem Monka.

– Dlaczego?

– Dam ci Jadę – rzucił Monk. – Spróbujemy dojechać do was krótszą drogą.

O co chodzi? – zastanawiał się Gray.

Monk oddał już jednak słuchawkę.

– Nie przemieściliście krzyża? – spytała Jada głosem przepełnionym strachem.

– Nie.

Nie mając potwierdzenia autentyczności, Gray nawet by go nie dotknął.

– To dobrze. Uważam, że zerwanie kwantowego splątania krzyża i komety uda się najłatwiej, jeżeli krzyż pozostanie na aktualnych współrzędnych.

– Dlaczego?

– Ponieważ jest związany ze ściśle określonym punktem na ziemskiej krzywej czasoprzestrzeni. Chcę, aby jedyną zmienną był czas. Mogę ci pokazać obliczenia, ale...

– Wierzę na słowo. Dostarczcie tylko Oko na czas.

– Monk stara się...

– Więc taki masz plan! – rozległ się w słuchawce krzyk Duncana.

Po stronie Monka rozległy się odgłosy zamieszania, jakieś krzyki.

– Co się dzieje? – spytał Gray.

– Jedziemy do was – odparła Jada.

Połączenie zostało przerwane.

Gray musiał zaufać, że wiedzą, co robią. Zadzwonił do Seichan. Odebrała, ale znacznie później, niż się spodziewał.

– Gdzie jesteś? – spytała. Zabrzmiało to tak, jakby była rozzłoszczona.

Nie mając głowy do analizowania jej reakcji, Gray szybko opisał lokalizację.

– Przyjeżdżaj jak najszybciej – zakończył.

Przerwała połączenie nie mniej obcesowo, nawet się nie żegnając.

Gray pokręcił głową i ruszył pieszo do Vigora.

Musiał wierzyć, że Seichan zrobi, co należy.

Wyspa Olchon, Rosja
20 listopada, godz. 9.06 czasu miejscowego

Seichan nie miała pojęcia, co robić.

Pak niemal się o nią opierał. Jego oddech zalatywał papierosami, które odpalał jeden od drugiego, od chwili gdy się zjawił.

– Co powiedzieli?! – wrzasnął. – Gdzie są?!

Trzymał jej telefon w dłoni. Stojący za nim Rjung, dowódca północnokoreańskiego oddziału, człowiek o kamiennej twarzy, cały czas przystawiał pistolet do piersi Rachele. Pak zmusił Seichan, by dowiedziała się, gdzie jest Gray, po czym przerwał rozmowę, zanim zdążyła w jakikolwiek sposób go ostrzec.

Obaj Koreańczycy najwyraźniej tracili cierpliwość.

Pak maszerował wściekle po salonie, zaciągając się nerwowo papierosem. Ju-long stał przy kominku. Nie wyglądał na szczególnie zadowolonego z sytuacji. Seichan miała wrażenie, że działa pod presją. Napędzały go pieniądze, jakie mógł zarobić w Makau, i zajmowana tam pozycja, ale to, co działo się tutaj, nie mogło przynieść mu zysku. Co, oczywiście, nie oznaczało, że sentymenty mogłyby go skłonić do pomocy.

Rachele przywiązano do krzesła. Ludzie Rjunga fachowo unieruchomili zarówno ją, jak i Seichan. Nie było szansy na uwolnienie się. Nie miały ukrytego noża, możliwości złamania krzesła ani magicznego wyślizgnięcia się z krępujących je więzów.

Seichan zdawała sobie sprawę z realiów. Pozostawały na łasce i niełasce Paka – choć należało wątpić, by w jego słowniku znajdowało się słowo „łaska”.

Właśnie dlatego powiedziała mu, że Gray i reszta udali się na przylądek Burchan. Gdyby tego nie zrobiła, kazałyby zastrzelić Rachele. Nie miała co do tego wątpliwości. Wystarczająco dowód stanowiły wystające z kuchni stopy właściciela pensjonatu, leżące – jedna bez buta – w kałuży krwi.

Opowiedziała o spotkaniu o wschodzie słońca, na które udał się Gray. Próbowwała zyskać na czasie, w nadziei że zjawi się Monk i popsuje napastnikom szyki. Jeśli ich nawet nie uratuje, to stworzy jej szansę na uwolnienie w tym chaosie siebie i Rachele.

Rjung wysłał na przylądek Burchan kilku swoich ludzi. Wrócili pół godziny później, potwierdzając, że Seichan mówi prawdę. Gdy zaczęli przesłuchiwać szamana, starzec wyszedł z jaskini i rzucił się na skały w dole, nie zdradzając, dokąd Gray podążył dalej.

Koreańczycy, chcąc nie chcąc, pogodzili się z tym, że Seichan tego nie wie – co nie znaczy, że nie wykorzystali czasu, by potortuować kobiety. Rachele i Seichan miały na grzbietach dłoni ślady po przypaleniach papierosem.

Wtedy zadzwonił Gray.

Pak skrzętnie wykorzystał okazję, żeby uaktualnić swoją wiedzę.

– Nie mów im nic – szepnęła Rachele przez spuchnięte usta. – Wiesz, o co idzie gra.

Coraz bardziej sfrustrowany opóźniającą taktyką Seichan, Pak zduśli papierosa w popielniczkę i podszedł do niej. Zacierał dłonie, w oczach migotała mu mroczna satysfakcja.

Seichan zamarła.

– Dodajmy sprawie nieco pieprzu – rzucił. Rozsunął dłonie, ukazując srebrną koreańską monetę z wizerunkiem dyktatora Kim Dzong Ila. – Lubię hazard. Więc zagrajmy. Orzeł: zastrzelimy twoją przyjaciółkę. Reszka: przeżyje.

Nawet Seichan nie pojmowała tak bezsensownego okrucieństwa.

– Będę rzucał monetą, aż mi powiesz – dodał Pak. – Pierwszy orzeł i ona ginie.

Rjung mocniej przycisnęła pistolet do piersi Rachele.

Pak cofnął się o krok i rzucił monetę w górę. W świetle lampy zamigotało srebro.

Seichan ustąpiła.

– Dobrze, dobrze! Powiem ci!

– Nie mów... – syknęła Rachele.

Moneta spadła na podłogę i zaczęła podskakiwać, aż Pak przydeptał ją butem. Okrutny uśmiech świadczył, jak dobrze się bawi.

– Nie było to aż takie trudne – stwierdził. – Mów!

Musiała zmienić taktykę, powiedziała więc prawdę. Zwlekanie nie funkcjonowało, więc może coś osiągnie, gdy wyruszą w drogę. Gdy wszyscy będą w ruchu, prędzej znajdzie sposób na uwolnienie się.

– Doskonale... – rzekł Pak zadowolony z siebie.

Podniósł stopę.

Z podłogi uśmiechała się puciołowata twarz Kim Dzong Ila.

Orzeł.

– Wygląda na to, że przegrałaś – powiedział Pak i dał sygnał żołnierzowi.

Rjung cofnął się, wycelował i strzelił Rachele w pierś.

Przeżalenie i huk wystrzału sprawiły, że Seichan spróbowała wstać, o mało nie przewracając do tyłu krzesła.

Nie mniej zaskoczona Rachele popatrzyła na przesączającą się jej przez koszulę krew, potem na Seichan.

Gdy Seichan spojrzała na Paka, zdumiona jego oszustwem, obojętnie wzruszył ramionami.

– Standardowe zasady każdego kasyna – rzekł. – Gdy kości znajdują się w powietrzu, nie można więcej obstawiać.

Głowa Rachele opadła na pierś.

Co ja zrobiłam? – pomyślała z rozpaczą Seichan.

Godz. 9.20

Zaczęła ją ogarniać lodowata ciemność.

Siła i ciepło ciała uciekały przez dziurę w piersi, na szczęście zabierając przy tym przeraźliwy ból. Każdy słabnący oddech przynosił nowe cierpienie – nie tyle cielesne, ile psychiczne.

Nie chcę odchodzić...

Rachele spróbowała wstać, ale jej się nie udało. Zawiodły nie mięśnie, lecz siła woli. Słyszała, jak wszyscy wychodzą, zostawiając ją na pewną śmierć.

Zaraz zjawi się Monk...

Trzymała się tej nadziei. Wiedziała, że mimo umiejętności udzielania pierwszej pomocy nie uratuje jej, ale trzymała się życia z innego powodu.

Aby powiedzieć, dokąd poszli.

Pospiesz się...

Odpływała coraz głębiej w mrok, skrzypnięcie drzwi i szelest stóp zatrzymały ją jeszcze chwilę na tym świecie.

Czyjaś dłoń dotknęła jej uda.

Przez głęboką studnię doleciały do niej ciche słowa. Były ledwie słyszalne, ale dało się w nich wyczuć pragnienie wiedzy.

Dokąd?

Wzięła ostatni, najgłębszy w życiu wdech i powiedziała. W imię nadziei, choć nie dla siebie ani dla świata.

Przywołała obraz szarobłękitnych oczu.

I odeszła.

Wyspa Olchon, Rosja
20 listopada, godz. 9.22 czasu miejscowego

- Zwariowałeś! – wrzasnął Duncan.
- Tak będzie szybciej – odparł Monk.

Duncan patrzył osłupiały, jak partner ostro kręci kierownicą autobusu. Przy zawracaniu zarzuciło pojazdem na przybrzeżnym lodzie i mało brakowało, a wjechałoby w rybacką chatę.

Po telefonie Graya Monk przejął prowadzenie autobusu i wysadził wszystkich pasażerów oraz kierowcę. Ruszył na zachód, zostawiając na lodzie świeży ślad. Musiał to zaplanować wcześniej; większość drogi z wioski Sachjurma spędził na pogaduszkach z kierowcą, wypytując go o grubość pokrywy lodowej i jak daleko w tym roku sięga.

Duncan rozumiał jego logikę, bo po wylądowaniu w Irkucku mieli sporo czasu na przestudiowanie topograficznej mapy wyspy Olchon. Pokazywała ona, jak kręta jest droga z przystani promu do wioski. Wlekliby się Bóg wie jak długo.

Wyspa miała sierpowaty kształt i na północnym krańcu – dokąd musieli dotrzeć – wyginała się na zachód.

Jadąc w linii prostej po lodzie, mogli skrócić czas dotarcia do Graya o połowę.

Jednak...

Jada wbijała palce w siedzenie i obserwowała świat szeroko otwartymi z przerażenia oczami.

Pod kołami zgrzytał lód, tam, gdzie przejechali, tworzyły się pęknięcia. Ludzie obserwowali ich z brzegu, wskazywali palcami.

Tak daleko od brzegu grubość lodu była – mówiąc łagodnie – wątpliwa, więc Monk nie odważył się zwalniać. Siła pędu dawała nadzieję.

– To musi być Burchan! – zawołała Jada, wskazując na poszarpany skalny cypel z boku porośniętej lasem zatoki.

Duncan ujrzał drewniane domy wioski, która rozłożyła się nad zatoką. Chuzyr.

– Pięć kilometrów! – zawołał Monk i wskazał przez okno w prawo. – Gray mówił, że zostawi quada jako znak, gdzie zaczyna się tunel. Wyglądajcie go!

Duncan przesiadł się na prawo. Na szczęście Monk zaczął powoli zbliżać się do brzegu, gdzie lód z pewnością był grubszy. Po kolejnych pięciu minutach Jada wrzasnęła.

– Tam! – Wyciągała rękę przed siebie. – Przy wielkiej skale, która wygląda jak niedźwiedź! Skala miała „uszy” i „pysk”, przez co faktycznie wyglądała jak łeb grizzly. Czarny punkt za „ramionami” niedźwiedzia okazał się quadem, z małą flagą powiewającą z tyłu.

– To musi być tam – potwierdził Monk.

Gdy podjechali bliżej, w skalnej ścianie dało się dostrzec wlot tunelu ze zwisającymi z góry ogromnymi sopłami. Duncanowi wydało się, że między drzewami rosnącymi na szczycie skarpy dostrzega jakiś ruch, ale wschodzące zza wyspy słońce sprawiało, że las był skryty w głębokim

cieniu.

Jeżeli ktoś tam był, to prawdopodobnie zdziwieni gapie, którzy chcieli popatrzeć na autobus.

Zapiszczały hamulce, Monk próbował hamować.

Autobus obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni i pomknął poślizgiem po lodzie. Uderzyli w quada bokiem i zaczęli go spychać w kierunku wylotu tunelu.

Gdy skalna ściana zaczęła się gwałtownie zbliżać, Jada i Duncan przesiedli się na drugą stronę. Na szczęście autobus zwolnił i zatrzymał się z dygotem dziesięć metrów od tunelu.

Monk wytarł dłonie o uda.

– To się u mnie nazywa parkowanie równoległe.

– Tak ładnie na to mówisz? – Duncan wyszczerzył zęby.

Wyszli na zewnątrz, by przed wyładowaniem sprzętu upewnić się, że są tam, gdzie trzeba.

Z cienia tunelu wybiegł Gray. Popatrzył wielkimi oczami na transport, jakim przybyli. Musiał dobrze pamiętać, że sam przyjechał na wyspę tym właśnie autobusem.

– Co to ma być? – spytał. – Nie było taksówek?

Godz. 9.28

Gray objął Monka. Dobrze było widzieć najlepszego przyjaciela, nawet w tak niesamowitych okolicznościach, przybywającego niezwykle dziwnym środkiem transportu.

Ucisnął dłoń Jady, wskazał palcem na Duncana.

– Chcę, byś zaniósł Oko do krypty. Kowalski jest w środku, pokaże ci drogę. Znaleźliśmy krzyż, ale nie wiemy, czy jest naenergetyzowany.

– Pójdę z nim – zaproponowała Jada.

Gray skinął głową i rozejrzał się zdziwiony, dlaczego jeszcze nie ma Rachele i Seichan. Spodziewał się ich przybycia przed Monkiem.

Jada ruszyła w kierunku autobusu.

– Zostawiłam plecak...

Poranną ciszę przerwał głośny świst, po którym eksplodowały ogień i lód. Impet rzucił Jadę na Duncana. Mocno ją złapał, kiedy fala uderzeniowa wepchnęła wszystkich do tunelu. Zagrzechotały pękające sople.

Gray sunął na plecach, ze wzrokiem skierowanym ku wejściu do tunelu.

Autobus stanął dęba, okna eksplodowały. Wystrzeliła spod niego kula ognia, za którą wzniósł się ku niebu kłęb czarnego dymu. Lód pękł i autobus zaczął tonąć.

Rakieta.

Ale kto i... dlaczego?

Pozostawało inne pytanie – znacznie ważniejsze.

– Gdzie jest Oko? – wrzasnął ogłuszony Gray.

Duncan pomógł Jadzie wstać. Wskazała na tonący autobus.

– Mój plecak...

Oko było w autobusie.

– Wszyscy cofnąć się! – krzyknął Gray i wskazał w głąb tunelu.

Uciekli od dymu i płomieni w mroczny ziąb lodu i śniegu.

Gdy dotarli do zakrętu, Gray spojrzął za siebie. Tył autobusu wystawał krzywo z lodu,

dymiący i okopcony. Wraz z rozlewającym się paliwem i olejem promieniście rozchodziły się pasma ognia. Za płomieniami poruszały się cienie.

Kto to był? Rosjanie? Ktoś w Moskwie dowiedział się o ich obecności na wyspie?

– Monk, zostań tu. Daj znać, gdyby ktokolwiek próbował wejść do tunelu.

A na pewno spróbują, pomyślał.

Ktokolwiek zorganizował akcję, zaatakował autobus po to, aby uwięzić Graya i jego ludzi w tunelu. Nieważne, dlaczego i po co. Liczyło się tylko jedno: musieli odzyskać Oko i dostać się do krypty.

Zaprowadził Jadę i Duncana do pierwszej jaskini. Kowalski czekał cały w nerwach.

– Co się dzieje, człowieku? – spytał. – Co jest grane na zewnątrz?

– Nieważne. – Gray odwrócił się do Duncana. – Musimy odzyskać z autobusu plecak doktor Shaw.

– Jak?

Gray odwrócił się do Jady.

– Sądzisz, że będziesz mogła wspiąć się po tej linii?

Skinęła głową.

– Jaki jest plan? – spytała.

Gray wyjaśnił.

– Oszalałeś! – rzucił Duncan, patrząc na pozostałych w poszukiwaniu wsparcia.

Kowalski jedynie wzruszył ramionami.

– Robiliśmy głupsze rzeczy – powiedział.

Godz. 9.34

Zaczynał się z tego robić kiepski zwyczaj...

Duncan, w bokserkach, ponownie stał nad wodą – z tym, że teraz był to śliski skraj dziury w lodzie służącej fokom do oddychania, wygładzony przez ciała foczych mam wślizgujących się tu do wody i wychodzących tędy na powierzchnię. Wyobrażał sobie, jak zwierzęta płyną pod lodem na otwartą wodę.

Duncan nie musiał wypływać tak daleko jak one, jak na jeden oddech odcinek był jednak długi. Zwłaszcza że nie miał izolacji z grubej warstwy foczego tłuszczu.

Jada też nie. Stała rozebrana do majtek i biustonosza.

Gray i Kowalski szykowali quady i sprawdzali broń. Wyjeżdżając na zewnątrz, mieli zabrać Monka.

Duncan popatrzył na Jadę, która drżała na całym ciele, choć bardziej z nerwów niż z zimna.

– Gotowa?

Przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

– Trzymaj się tuż za mną – powiedział z uśmiechem. – Będzie dobrze.

– Bierzmy się do roboty. Myślenie tylko pogarsza sprawę.

Miała rację.

Dopiął mocniej kaburę, która opasywała mu nagą pierś, i lekko ścisnął ramię Jady. Usiadł na lodzie, po czym zsunął się po jednej z wyslizganych przez foki rynien. Przeleciał metr w powietrzu i plusnął do wody.

Zimno smagnęło jak biczem; było to znacznie gorsze, niż się spodziewał. Płuca

zaprotestowały, próbowały wymusić krztuszenie się i kasłanie. Duncan zmusił nogi i ramiona do ruchu i odpłynął od dziury. Ruszył w kierunku tunelu, trzymając głowę w przestrzeni między wodą a lodem. Musieli wypłynąć na zewnątrz i dotrzeć do autobusu niezauważeni.

Odwrócił się, by spojrzeć, co robi Jada. Gdy wślizgnęła się do wody, jej ciało się skurczyło, jakby chciało przybrać pozycję embrionalną, zwalczyła jednak ten impuls. Kilkoma potężnymi kopnięciami, co przypominało wybiegającego ze stajni ogiera, dopłynęła do Duncana.

Cholera, ale była szybka...

Tak twierdziła, gdy Gray przedstawiał plan.

Duncan odepchnął się od skały i zanurkował w tunel. Rozproszone światło zmieniło barwę lodu nad głową w głęboki lasur, na szczęście było wystarczająco jasno, by zachować orientację. Pracował mocno, aby Jada go nie wyprzedziła, ale także, żeby utrzymać ciepło.

Tunel miał jedynie trzydzieści metrów długości, więc w normalnych warunkach mógłby bez trudu pokonać go na jednym oddechu, ale w tak niskiej temperaturze, do tego pod lodem, wyzwanie było śmiertelnie groźne.

Śledził swoje postępy, obserwując zmianę światła. Z każdym ruchem ramion i nóg, zbliżającym go do porannego słońca, robiło się jaśniej.

Niestety, zimno wycieńczało. Płuca domagały się powietrza, kończyny drżały. Pod koniec tunelu Duncan miał mroczki przed oczami. Spojrzał za siebie – Jada też ciężko walczyła.

Płyniemy dalej, rozkazał w myśli zarówno jej, jak i sobie.

Z przodu pojawił się cel, co zmobilizowało Duncana do przyspieszenia ruchów.

W odległości dziesięciu metrów majaczyły kontury autobusu, który oparł się przodem o dno. Obły tył ciągle jeszcze wystawał ponad wodę.

W nadziei na świeże powietrze Duncan podpłynął do autobusu. Przednia szyba została wyrwana w chwili eksplozji rakiety, sięgnął więc do środka, złapał za kierownicę i wciągnął się do mrocznego wnętrza. Przemknął jak wystrzelony z rakiety między siedzeniami i wynurzył się w kieszeni powietrznej powstałej z tyłu pojazdu.

Jada była przy nim sekundę później.

Łykali powietrze, najciszej jak umieli, ciesząc się nie tylko tlenem, ale także ciepłem. Niedawny pożar ogrzał wnętrze i okazało się, że jest tu całkiem miło.

Na zewnątrz słychać było głosy; ci ludzie mówili po koreańsku, a może po chińsku. Jak na razie, było spokojnie, chyba więc nie zauważyli Duncana i Jady. Wróg nie spodziewał się, że uwięziona zwierzyna wypłynie na zewnątrz.

Oby tak dalej.

Duncan popatrzył na Jadę i wskazał na dół. Skinęła głową i zanurkowali. Trzymając się oparcie siedzeń, przesuwali się wzdłuż autobusu, szukając plecaka.

Wszystko, co nie było przymocowane, spadło na przód pojazdu albo wypadło przez dziurę po przedniej szybie. Ze świeżą porcją tlenu w płucach Jada poruszała się jak foka. Duncan czuł się przy niej jak wzdęty wieloryb. Szybko znalazła plecak i wrócili na powierzchnię.

Jada zajrzała do środka. Wyraz ulgi na jej twarzy mówił wszystko.

Duncan uniósł kciuk, ona odpowiedziała tym samym.

Mieli Oko.

Kierowany impulsem, wyciągnął rękę, przyciągnął dziewczynę i pocałował ją. Kto wie, może była to ostatnia okazja? Ten na pozór drobny gest wiele dla niego znaczył: włożył w niego życzenie, by Jadzie nic się nie stało, dziękował jej za wysiłek, ale przede wszystkim wyrażał nadzieję na więcej.

Zaskoczona, zeszywniała, zaraz jednak jej usta zmiękły, zrobiły się ciepłe i stopiły się z jego ustami.

Gdy się od siebie odsuwali, jej oczy błyszczały. Wyglądała na jeszcze bardziej zdeterminowaną, ale równocześnie na jeszcze bardziej przestraszoną. Dotknęła policzka Duncana i wślizgnęła się pod wodę.

Przysunął się do rozbitego bocznego okna, starał się jednak trzymać w cieniu. Rozejrzał się. Ze szczytu klifu zwisały liny. Po bokach wejścia do tunelu stał oddział żołnierzy w zimowych strojach kamuflujących. Przeliczył ich.

Niedobrze.

Wyjął z kabury SIG sauera i dotknął laryngofonu.

– Oko wraca – powiedział cicho do Graya. – Mam tu dwudziestu przeciwników. Po dziesięciu z każdej strony. Moim zdaniem to Koreańczycy.

Gray zaklął. Najwyraźniej rozumiał, o co chodzi.

– Trzymaj się planu – doleciało ze słuchawki. – Policz do trzydziestu i zacznij strzelać.

Duncan odwrócił się do okna.

Nie mieli szans wygrać.

Ale plan nie to zakładał.

Zyskać maksymalnie na czasie, nawet kosztem własnego życia.

Duncan popatrzył w ciemną wodę. Los świata zależał od tego, jak szybko Jada umie pływać.

Wyspa Olchon, Rosja
20 listopada, godz. 9.44 czasu miejscowego

Jada uświadomiła sobie, że nie dopłynie.

Strach, zimno i zmęczenie doprowadziły ją do granicy wytrzymałości. Poruszanie się utrudniał ciężki jak ołów plecak torpedujący ruchy. Nie to było jednak jej największym problemem.

Ciągnął się za nią krwawy ślad, rosnący z każdym ruchem ramion. Gdy wypływała z autobusu, kawał ostrego metalu przeciął jej prawą rękę aż do kości. Z każdym pokonywanym metrem z ciała uciekały ciepło i siła, tworząc falującą purpurową flagę. Jada starała się jak mogła i walczyła z bólem, ale zamieniał się on w odrętwienie.

Im bardziej słabła prawa ręka, tym mocniej musiała pracować nogami.

Płuca domagały się powietrza.

Robiło się coraz ciemniej, ale nie dlatego, że zagłębiała się w tunel – ze zmęczenia zaczynała gorzej widzieć.

Daleko w przodzie widać było jaśniejsze koło, gdzie przy dziurze w lodzie leżała latarka, która czekała wraz z ciepłym ubraniem.

Nigdy tam nie dopłynę, pomyślała Jada.

Zwolniła tempo, bezużyteczne ramię wlokło się przy tułowiu. Zrobiła kilka energiczniejszych ruchów nogami, rozpaczliwie, ale bez większego skutku.

Nagle do jej uszu doleciał dziwny łoskot.

Gdy uniosła głowę, ujrzała mijające ją nad półprzezroczystym lodem szerokie pasmo światła, kierujące się do wlotu tunelu za jej plecami.

Wyciągnęła rękę i przyłożyła dłoń do lodu.

Pomóżcie mi...

Światło przemknęło dalej, zostawiając ją samą.

Godz. 9.45

Gray pędził quadem ku słońcu. Monk siedział za nim, Kowalski jechał na drugim quadzie. Wylot tunelu robił się coraz większy. Po obu stronach widać było głowy ukrywających się postaci.

„Koreańcy”, powiedział Duncan, ale Gray wiedział, że są z Korei Północnej.

Jak ich znaleźli? Krew rozgrzewał mu strach o Seichan i Rachele. Dlatego kobiety się nie pojawiły? Zostały złapane? Przypomniał sobie, jak rozmawiała z nim Seichan.

Musieli ją trzymać na muszce. A to dawało nadzieję, że żyje.

Koreańcy najwyraźniej chcieli ich wziąć żywcem. Przynajmniej na razie.

Gray nie miał tego typu skrupułów.

Rozległy się pierwsze strzały z SIG sauera Duncana.

Ponieważ uwaga wroga skupiała się na wylocie tunelu i zbliżającym się ryku silników quadów, Duncan całkowicie zaskoczył Koreańczyków.

Rozległy się okrzyki zdumienia i przerażenia. Monk wyprostował się za plecami Graya i zaczął strzelać, zwiększając chaos.

Gray dodał gazu, by wpaść w szeregi wroga i jak najlepiej wykorzystać zaskoczenie zaatakowanego z dwóch stron oddziału.

Pojawił się przed nimi żołnierz i wycelował do nich z karabinu.

Wystarczył jeden strzał Monka, aby wyłączyć go z akcji.

Gray ominął ciało z prawej strony, Kowalski z lewej.

Wyjechali na otwartą przestrzeń, puścili kierownice, pozwalając quadom swobodnie się obracać, i zaczęli strzelać we wszystkie kierunki. Duncan otworzył tylne drzwi autobusu i strzelał z góry.

Żołnierze w zimowym kamuflażu padali na lód – jedni martwi, inni próbując się kryć.

Było jednak oczywiste, że to tylko chwilowe zwycięstwo oddziału Graya, który zarówno liczebnie, jak i pod względem uzbrojenia nie miał się co mierzyć z Koreańczykami. W każdej chwili szala musiała się przechylić na drugą stronę. Pierwsze serie przeciwnicy skierowali w quady; lód wokół pojazdów zaczął się rozpryskiwać.

Cel Graya i jego ludzi był jeden: zyskać na czasie.

Vigor miał czekać w krypcie na Jadę i w miarę możliwości jej pomóc. Chcąc nie chcąc, *monsignore* zgodził się, ale nie wyglądał najlepiej.

Gray strzelał, w myślach poganiając doktor Shaw.

Godz. 9.46

Jada parła w kierunku dalekiej plamy światła, pracując nogami i zdrową ręką. Słyszając kanonadę za swoimi plecami, domyśliła się, że mężczyźni rzucają na szalę swoje życie, aby ona mogła zrobić swoje. Świadomość tego poświęcenia zaciskała jej gardło i choć płuca płonęły, powstrzymywała się przed połykaniem wody.

Nagle coś ją trąciło i przepłynęło obok. Brązowa foka – smukła i gibka. Zawróciła i obróciła się na grzbiet, wróciła do Jady i opłynęła dziewczynę, muskając ją, po czym wysunęła się ponownie w przód i znieruchomiła, dając jednoznaczne zaproszenie.

Jada umierała w objęciach lodu i ognia, ale zrozumiała.

Wyciągnęła rękę i złapała ogon foki. Czując dotyk, zwierzę wystrzeliło do przodu – nie wiadomo, czy ze strachu, czy realizując swój zamiar. Pomknęła ku dziurze w lodzie, ciągnąc Jadę do źródła powietrza.

Wkładając całą pozostałą jej siłę w palce dłoni, Jada mocno się trzymała.

W kilka sekund dotarły do plamy światła i wystrzeliły nad powierzchnię. Jada zaczęła łapczywie chwytać powietrze. Foka podrygiwała na wodzie, obserwowała ją brązowymi ślepiami, jakby chciała sprawdzić, czy wszystko w porządku. Było to niezwykle. Czy zadziałał jedynie matczyzny instynkt samicy, każący pomóc rannemu ssakowi, czy też na ratunek przybył jej duch wyspy, jak Temur nazwał foki?

Tak czy owak, Jada w myślach podziękowała zwierzęciu. Foka kilka razy dźgnęła nosem powietrze, po czym zanurkowała.

Jada podpłynęła do krawędzi otworu, gdzie Gray przywiązał dla niej linę, i wspięła się na lód. Popęzła dalej na czworakach, zostawiając za sobą krwawe ślady dłoni.

Po dotarciu do koców szybko się wytarła. By oszczędzić na czasie, nie skorzystała z leżących obok ubrań. Zrzuciła z ramion plecak, włożyła parkę i zaciągnęła suwak pod samą szyję.

Dygocząc na całym ciele, ponownie zarzuciła na ramiona plecak i weszła w uprzęż wspinaczkową. Podciągnęła ją na gołe nogi, zapięła i walcząc z opornymi kończynami, poszła w kierunku zamrożonego wodospadu. Gdy stanęła u podnóża ściany lodu, popatrzyła na zwisającą linę.

Wystarczyło ją chwycić, by wiedzieć, że wysiłek będzie daremny. Ledwie czuła palce. Siły ją opuszczały.

Z oddali doleciało echo kolejnej salwy.

Jej przyjaciele nie poddawali się.

Też nie mogą się poddać.

Zdając sobie sprawę z tego, że zostało dziesięć minut, podciągnęła się do pierwszego haka, potem do następnego. Pchała ją w górę obudzona na nowo determinacja, niestety siła woli nie zawsze może zastąpić siłę ciała.

Wyciągnęła ranną rękę, spróbowała chwycić linę, wyslizgnęła jej się jednak z palców. Jada spadła na lód, do punktu wyjścia. Popatrzyła w górę, uświadamiając sobie prawdę. Łzy popłynęły jej po policzkach.

Nigdy tam nie wejść.

Godz. 9.48

Bitwa była przegrana.

Element zaskoczenia przestał działać, przeciwnik odzyskał inicjatywę. Pocisk z wizgiem zrykoszetował od quada, otarł się o udo Graya i przejechał mu po biodrze.

Gray dał znak Kowalskiemu, a ten ruszył na pełnym gazie w kierunku autobusu, podczas gdy Gray i Monk osłaniali go, waląc ze wszystkich luf.

Kowalski dojechał do krawędzi otworu w lodzie wokół autobusu, poślizgiem zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i zatrzymał się przy kruszącej się linii lodu.

Duncan wypełził przez tylne drzwi, przebiegł po karoserii i skoczył nad wodą, opalizującą od oleju i benzyny. Wylądował za plecami Kowalskiego, który natychmiast ruszył z powrotem.

Gdy uciekali, o boki autobusu zagrzechotały pociski, w powietrze strzeliły kawały lodu.

Monk zaczął strzelać w kierunku tunelu, Gray prowadził jedną ręką, drugą strzelał.

Kończyła im się amunicja i musieli zająć pozycję obronną.

Gray pędził pierwszy, Kowalski tuż za nim.

Monk trafił kolejnego napastnika w nogę i przewrócił go. Gdy skupili się na strzelaniu w otoczenie wlotu tunelu, Koreańczycy rozpierzchli się. Mając wolną drogę, dwa quady wjechały do środka, przejechały dziesięć metrów, po czym zahamowały i stanęły w poprzek.

Wszyscy czterej pasażerowie natychmiast zsunęli się za pojazdy.

Gray szybko ocenił straty. Kowalski krwawił z ramienia i boku. Duncan miał poważne rozcięcie na policzku. Monk trzymał się dłonią za udo, spomiędzy jego palców płynęła krew.

Wyglądali jednak na zdolnych do siania zniszczenia i zyskania czasu dla Jady i Vigora.

Niestety, mieli bardzo mało amunicji. Trzeba będzie liczyć każdy strzał.

Jakby zdając sobie z tego sprawę, wróg przegrupował się do ostatecznego ataku.

Gray przygotował pistolet do strzału.

Pojawiła się jedna postać, która niosła kogoś w objęciach.

Wielki Koreańczyk w pełnym rynsztunku trzymał Seichan. Obejmował ją ramieniem za gardło, przystawiał pistolet do skroni. Seichan wyglądała na pokonaną, jakby zgasł płonący w niej ogień.

– Rzućcie broń! – zawołał znajomy głos. – Wyjdźcie z rękami na głowach albo ona zginie.

Tak jak zginęła tamta.

Po tych słowach wszelkie plany krążące po głowie Graya rozwiały się jak dym.

Tak jak zginęła tamta.

Monk złapał go za ramię, Gray ledwo jednak to poczuł.

Rachele.

Przemknęły mu przed oczami obrazy: karmelowe oczy, ruch, jakim odrzucała głowę, gdy była zła, miękki kontur warg, uśmiechnięte usta, gdy coś ją zaskoczyło.

Nie, to niemożliwe...

– Gray... – szepnął Monk, ściągając go na ziemię słowami i żelaznym chwytem.

W piersi Graya zapłonęła wściekłość, która oślepiła.

We wlocie tunelu pojawił się Pak, który szybko schował się za potężnym żołnierzem.

– Wychodźcie! Wtedy przeżyjecie!

Triumfalny zaśpiew jego głosu przywrócił Graya do porządku, przypomniał mu o obowiązkach. Musieli zyskać na czasie, aby uratować świat, ale Gray miał nowy cel: pomścić Rachele.

– Co robimy? – spytał szeptem Duncan, ściskając w dłoni SIG sauera.

Gray zastanawiał się, czy nie odesłać go do pomocy Jadzie, Pak domyśliłby się jednak, że kogoś zabrakło, i ruszyłyby za nim, niweczając ich wysiłki.

– Rób, co każe – odparł, zmuszając usta do wypowiedzenia tych słów. – Pozwoli nam to zyskać na czasie.

Odrzucili broń. Pistolety potoczyły się po lodzie i wyleciały na zewnątrz.

Gray wstał z rękami nad głową.

Pozostali poszli za jego przykładem i wyłonili się zza barykady z quadów.

Gdy podchodzili, świadom zwycięstwa Pak wyszedł z ukrycia. Czuł się na tyle swobodnie, że triumfalnie zapalił papierosa i skierował żarzący się koniec w stronę Graya.

– Zabawimy się, ty i ja...

Gray ugryzł się w język, żeby nic nie powiedzieć. Wolał, aby Koreańczyk gadał, nim wejdzie w głąb tunelu.

Nie wiadomo, czy Jadzie udało się wejść na zamrznięty wodospad, ale gdy wróg zobaczy linę, będzie wiedział, gdzie się udać.

Tak więc, idąc, gapił się bez słowa przed siebie.

Gdy dotarli do wylotu tunelu, otoczyły ich lufy. Wszędzie leżały trupy. Wykończyli przynajmniej połowę ludzi Paka. Kilku było rannych.

Będą musieli się tym zadowolić.

Z lewej strony, w pewnej odległości, stała kolejna znajoma postać.

Ju-long Delgado.

Spojrzał na Graya, potem na własne buty – zdecydowanie zawstydzony swoją rolą w tym

zamieszaniu.

Okazało się to dla niego brzemiennie w skutkach.

Delgado nie zauważył zsuwającej się po jednej z lin szczupłej postaci, która bezgłośnie wylądowała za jego plecami, ani błysku stali, kiedy miecz przebił mu plecy.

Gdy Ju-long z pełnym zaskoczenia westchnieniem osunął się na kolana, stojąca za nim Guan-yin wyprostowała się. Smoczy tatuaż na jej twarzy błyszczał z furją. Uniosła drugą rękę i zaczęła strzelać.

Na spuszczonej przez północnokoreański oddział linach zjeżdżali kolejni ludzie. Wszyscy strzelali w locie.

Triada Guan-yin.

Jak nas tu znalazła? – zastanawiał się Gray, ale to pytanie musiało poczekać na później.

Wykorzystując wywołane przez matkę zamieszanie, Seichan obcasem uderzyła w stopę trzymającego ją żołnierza. Był zbyt dobrze wyszkolony i doświadczony, by po czymś takim ją puścić, ale poluzował chwyt i Seichan mogła nieco się osunąć. Zrobiła to, patrząc Grayowi w oczy.

A on już atakował. Koreański żołnierz strzelił do niego, lecz Gray zdążył upaść na lód i sunął ślizgiem na brzuchu. Gdy pociski leciały mu nad głową, złapał jedyną dostępną broń: długi sopel.

Na wysokości kolan przeciwnika podniósł się z soplem w rękę, machnął nim koło ucha Seichan i wbił go żołnierzowi w odsłonięte gardło.

Koreańczyk poleciał do tyłu, wypuścił z rąk broń i złapał się za szyję.

Gray odwrócił się do Duncana.

– Biegnij pomóc Jadzie! Już!

Zostało im tylko kilka minut.

Godz. 9.53

Duncan skoczył naprzód, jakby rozpalono pod nim ogień. Nie wsiadł na quada – przeskoczył go i ruszył jak sprinter długim krokiem, próbując utrzymać równowagę na lodzie.

Za jego plecami w dalszym ciągu trwała strzelanina, szybko jednak cichła, gdy ludzie triady pokonywali Koreańczyków.

Kiedy po kilku sekundach wpadł do jaskini, od razu ujrzał Jadę – była w połowie wysokości ściany i okrutnie się męczyła. Vigor wystawił głowę z tunelu nad nią, próbował ją wciągnąć, ale zdecydowanie brakowało mu sił.

Duncan, biegnąc, wyraźnie widział ślad krwi ciągnący się od dziury w lodzie do lodowatej ściany, na której też była krew.

– Trzymaj się! – wrzasnął.

– A co, twoim zdaniem, robię? – odrzyknęła, równocześnie zła i ucieszona.

Duncan podbiegł do luźnego końca liny.

– Trzymaj się mocno! Podciągnę cię!

Wystarczyło kilka energicznych ruchów i Jada była na górze. Vigor pomógł jej wczołgać się do tunelu. Oboje wyglądali na kompletnie wycieńczonych.

Gdy Jada rozpiniała uprząż, Duncan popatrzył w górę.

– Rób swoje! Jestem tuż za tobą!

Pomachała na znak, że usłyszała. Nie miała siły mówić.
Ona i Vigor zniknęli w tunelu, a Duncan zaczął się wspinać.

Godz. 9.54

Wreszcie wolna, Seichan odsunęła się od Koreańczyka, który ją trzymał. Gdy usłyszała, jak Gray wydaje polecenie Duncanowi, zwołała jedynie na tyle, aby podnieść broń Rjunga – tę, z której zastrzelił Rachele.

Przeszła nad jego ciałem i ruszyła za jedynym celem, który się liczył.

Wietrząc kłopoty, Pak zaczął uciekać, by schować się za autobusem. Strzelał na ślepo za siebie, przerażony chaosem i nagłym odwróceniem się sytuacji. Jako hazardzista powinien jednak wiedzieć, że dobra passa zawsze się kiedyś kończy.

Seichan szła za nim powoli, ale zdecydowanie.

Wycelował w jej kierunku i strzelił.

Nawet się nie uchyliła.

Podniosła rękę i pociągnęła za spust.

Trafiła go w kolano. Padł z krzykiem na twarz i zaczął sunąć po lodzie, wirując jak bąk. Dotarł do otworu w lodzie i wpadł do wody.

Seichan podeszła do dziury i poczekała, aż plując, wynurzył się na powierzchnię. Wiedziała, że każdy ruch postrzeloną nogą jest dla niego męczarnią.

Podpłynął z wysiłkiem do krawędzi i chwycił się w miejscu, gdzie tkwiła wbita część karoserii autobusu. Niestety, napierający lód sprawił, że autobus nagle się przesunął i palce Paka zostały zakleszczone. Wrzasnął i zaczął je wyrywać z pułapki.

– Pomóż mi! – wydukał, szcękając zębami.

Seichan pochyliła się. W oczach Koreańczyka zamigotała nadzieja.

Podniosła z lodu papierosa, który wcześniej wypadł mu z ust. Wyprostowała się i rozdmuchała czubek, aż jasno się rozżarzył.

Nadzieja w oczach Paka zamieniła się w przerażenie. Musiał czuć zapach benzyny i oleju, które tworzyły na wodzie gruby kożuch.

– Zimno, co? – spytała Seichan. – Pozwól, że cię rozgrzeję.

Pstryknęła niedopałek w wodę. Najpierw zapaliły się opary, potem płyn na powierzchni wody. Płomienie buchnęły w górę, błyskawicznie ogarniając Paka.

Odwróciła się i zostawiła go, aby upiekł się od góry, a od dołu zamarznął.

To za Rachele.

Wyspa Olchon, Rosja

20 listopada, godz. 9.55 czasu miejscowego

Ju-long leżał na lodzie, krew rozlewała się pod nim, tworząc wielką kałużę. Słyszał wrzaski Paka i jego błagania o życie. Nie żałował go.

Drań zasłużył na okrutny koniec.

Ja może też, pomyślał.

Jakby wezwana myślą, pojawiła się przed nim twarz – bezlitosna mimo łagodnego imienia osoby.

– Guan-yin... – wymamrotał. Uniósł dłoń, ale zadrżała i opadła. – Pak ma moją żonę... mojego nienarodzonego syna...

Jej mina pozostała obojętna, twarda jak łuski smoka na twarzy. Guan-yin nie przyjmowała wyjaśnienia.

– Przepraszam... – wydyszał, czując na ustach smak krwi. – Tak... tak bardzo ich kocham. Pomóż im...

– Dlaczego miałabym to zrobić? Po tym, jak się zachowałeś?

– Próbowałem... ile mogłem... pomóc...

Czoło Guan-yin przecięła pionowa zmarszczka.

– Jak, twoim zdaniem, nas znalazłaś? – Ból zacisnął mu usta. – Wytropiłaś mnie i Paka na tej wyspie?

– Tak jak ty, mam wszędzie uszy i oczy. Dowiedziałam się, że opuściliście Koreę Północną, ruszając w kierunku Mongolii. Więc podążyłam za wami. Wiedziałam, że w dalszym ciągu musicie szukać...

– A kto, twoim zdaniem, rozmawiał z twoimi uszami? To ja kazałem cię informować.

Mówił prawdę. Udawał lojalność wobec Paka, ale pod pretekstem, że sprawdza urządzenie namierzające Seichan, dzwonił do Makau i kierował sprawami na odległość. Aby nie ryzykować życia ciężarnej żony, nie mógł zmobilizować swojej armii, zmobilizował jednak inną. Na tyle pobudził nienawiść Guan-yin, aby zdecydowała się przybyć.

Czuł jej miecz przebijający mu ciało.

Najwyraźniej wzbudził w niej zbyt wiele nienawiści.

Drobny błąd w kalkulacji.

– Ściągnąłem cię, abys zabiła Paka i może mnie uwolniła – powiedział, lekko się uśmiechając ustami pełnymi krwi. – Może moglibyśmy się wreszcie pogodzić...

Teraz liczy się tylko moja piękna Natalia, pomyślał, i syn, którego nigdy nie ujrę.

Guan-yin wyprostowała się. Wierzyła mu. Czy jednak na tyle, by zechciała pomóc? Nie była znana ze wspaniałomyślności.

– Znajdę ich – obiecała. – I uwolnię.

Po policzku Ju-longa spłynęła łza ulgi. Wiedział, że może jej zaufać.

Dziękuję, powiedział w myślach.

Uwolniony od ciężaru, pozwolił sobie zamknąć oczy, zanim to jednak zrobił, obok twarzy Guan-yin pojawiła się inna twarz – pięknej zabójczyni, która narobiła tak wiele kłopotów.

Wtedy dostrzegł podobieństwo.

Gdy stały obok siebie.

Matka i córka.

Zrozumiał przyczynę swej pomyłki w kalkulacji. Nie chodziło ani o pieniądze, ani o strefę wpływów – powodem były więzy rodzinne.

Nic dziwnego, że przebiłaś mnie mieczem.

Dostrzegając błędy swego rozumowania, zaczął się bezgłośnie śmiać i tak opuścił świat.

Godz. 9.56

– A więc stąd wiedziałaś, jak nas znaleźć – powiedział Gray, który od jakiegoś czasu stał za Guan-yin i Seichan.

Trzymał w ręku pistolet i pilnował obu kobiet, podczas gdy Monk i Kowalski pomagali ludziom triady do końca opanować sytuację.

Guan-yin wstała.

– Tak, dzięki niemu dowiedzieliśmy się, że jesteście na wyspie, choć z ostatniej informacji wynikało, że Ju-long jest w pensjonacie w Chuzyr.

A więc Ju-long nie zdążył przekazać swoim szpiegom, że się przemieszcza.

– Więc skąd wiedziałaś, że masz się zjawić tutaj?

Guan-yin posmutniała.

– Znaleźliśmy tam kobietę, postrzeloną, ale jeszcze żywą. Ona nam powiedziała.

Rachele...

Guan-yin, niestety, zgasła nadzieję Graya.

– Nie przeżyła. Ale to dzięki jej ostatnim słowom znaleźliśmy się tutaj.

I ocaliły nas, uświadomił sobie Gray. Może także uratowały świat.

Guan-yin dotknęła jego ramienia.

– Wydaje mi się, że wytrzymała tylko po to, aby przekazać wiadomość.

Gray poczuł wielki żal, musiał jednak poczekać z żałobą na później.

Jeszcze nie skończyli.

Ruszył do tunelu.

Poza uratowaniem świata miał do wykonania jeszcze jedno zadanie, znacznie bliższe sercu. Choć mogło go to dobić, Vigor zasługiwał na wiedzę o losie siostrzenicy.

Godz. 9.57

– A Rachele? – spytał *monsignore*.

Gdy wchodzili do złotej komory, w oczach Vigora błyszczała nadzieja. Jada kuśtykała za nimi; też patrzyła na Duncana z nadzieją na dobre wieści.

Po wspięciu się na zamarznięty wodospad dogonił ich przy jeziorcu, służącym za sienią złotej *ger*.

Gdy wchodzili po schodach, Duncan spróbował w miarę jasno wyjaśnić im sytuację.

Opowiedział o trzymanej na muszce Seichan i pojawieniu się sojuszników – czego nie był w stanie zrozumieć.

Wiedział jednak jedno.

– Rachele została zastrzelona – powiedział, nie widząc powodu, by ukrywać prawdę.

Vigor gwałtownie się zatrzymał i popatrzył z niewiarą. Twarz zastygła mu w maskę.

– To niemoż...

Na szczęście gdy żal złamał *monsignore*, tak że starszy pan osunął się na kolana, Jada była blisko. Pchnęła Duncana w kierunku znajdującego się pośrodku pomieszczenia kamiennego kopca.

– Sprawdź krzyż – syknęła. Odstawiła plecak na ziemię i zaczęła szukać Oka. – Tylko go nie ruszaj.

Oczywiście. Potrzebowali potwierdzenia, że jest tym, czego szukają. Duncan podbiegł do potrójnej skrzynki: żelaznej, srebrnej i złotej. Na podłodze, tuż obok kopca kamieni, leżała czaszka.

Trzymając się jak najdalej relikwii, zajrzał do wewnętrznej skrzynki. Masywny czarny krzyż leżał w złotym gnieździe.

Duncan zaczął wsuwać dłoń do środka. Nie minął nawet warstwy żelaza, gdy zareagowały magnesy w opuszkach palców. Podobnie jak przedtem, odczuł parcie, jakby coś stawiało opór. Wsunął dłoń głębiej w pole, zbliżył palce do ciemnej powierzchni krzyża.

Ponownie rozpoznał oleistą, nienaturalną charakterystykę pola, gdy jednak opuszki znalazły się przy samym krzyżu, coś się zmieniło. Metal emanował nieskalaną energią, ale choć była taka sama jak poprzednio, miała inny zapach.

Inną barwę.

Nie umiałby inaczej tego opisać.

Gdy jakiś czas temu trzymał Oko, czuł czerń, głęboką jak czerń między gwiazdami, w specyficzny sposób piękną.

Tutaj czuł biel.

Jada mówiła, że oba obiekty – krzyż i Oko – są przeciwnościami, odmiennymi kwantowymi spinami na przeciwnych biegunach osi czasu.

Istniała między nimi jeszcze inna fundamentalna różnica.

Oko było w dotyku odpychające.

W przypadku krzyża Duncan musiał się powstrzymać przed chwyceniem go, co nie było łatwe. Mimo ostrzeżenia Jady musnął krzyż palcem.

Gdy nastąpił kontakt, otoczyła go biel, oślepiła.

Pamiętał z fizyki, że czarne dziury wsysają światło i – teoretycznie biorąc – białe powinny wyrzucać je z siebie.

Właśnie tak się poczuł: jakby został daleko wyrzucony, posłany w nieznane miejsce, może nawet w inny czas. W jasności pojawiła się spowita cieniem postać. Niczym jego odbicie, wyciągnęła rękę ku dłoni Duncana, jakby też zamierzała dotknąć krzyża.

Gdy ich palce się zetknęły, Duncan został odrzucony do tyłu.

Znowu był w złotej komnacie; dla odzyskania równowagi musiał cofnąć się dwa kroki. Zaciskał i rozluźniał dłoń.

– Co się stało? – spytała Jada.

Pokręcił głową.

– Coś z krzyżem?

– Ma... ma energię.

Duncan zrobił jeszcze dwa kroki do tyłu. Popatrzył na leżącą na podłodze czaszkę i ujrzał ponownie postać-cień, którą otaczało morze światła.

Czy to mógł być...?

Nie chcąc spekulować, podszedł do Jady.

– Co mamy robić?

– Chyba tylko dotknąć Okiem krzyża. Połączenie przeciwstawnych energii powinno wyzwolić proces anihilacji, czyli w efekcie zerwać splątanie kwantowe.

Duncan wyobraził sobie, jak pole energii gaśnie.

– No dobrze – rzucił, wyciągając rękę po Oko. – Załatwmy to.

Jada uniosła Oko, nie podała go jednak Duncanowi.

– Co jest?

– Gdy to nastąpi, komnata chyba powinna być zamknięta. Złoto to jeden z najmniej reagujących chemicznie metali. Czyste złoto nawet nie patynuje.

– W odróżnieniu od srebra i żelaza.

– Może starożytni o czymś wiedzieli. Uważali, że izolacja jest konieczna. – Jada wstała. – Tak czy inaczej, uważam, że przed zamknięciem komnaty wszyscy powinni wyjść. Gdy dojdzie do anihilacji, może się zrobić niebezpiecznie.

– Więc wyjdź z Vigorem i zamknijcie drzwi.

– Może ja powinnam przeprowadzić tę operację. Jestem mniej wrażliwa na energię niż ty.

Duncan nie mógł pozwolić, aby się narażała.

Rozstrzygnął za nich ktoś inny.

Vigor wstał i chwycił Oko. Ruszył do starożytnych skrzynek. Duncan poszedł za nim, ale *monsignore* uniosł rękę i wyciągnął ku niemu palec.

– Odejdź! – powiedział, a w jego głosie zabrzmiały zarówno władczość, jak i rozpacz.

Było jasne, że się nie podda.

Jada popatrzyła na zegarek i pociągnęła Duncana za rękaw.

– Ktoś musi to zrobić, a nie ma czasu.

Z ciężkim sercem uciekli do wyjścia. Gdy zaczęli zamykać drzwi, Vigor stanął przed kamiennym kopcem. Ramiona miał opuszczone, wyglądał na złamanego żalem.

Nieważne, jak to się skończy, dziękujemy ci, pomyślał. Duncan zamknął drzwi i zarygłował je.

Godz. 9.59

Vigor stał przed relikwią świętego Tomasza, obejmując dłońmi kryształową kulę kryjącą w sobie ogień, z którego powstał wszechświat. W potrójnej skrzynce leżał powstały wśród gwiazd krzyż, który kiedyś nosił święty. *Monsignore* powinien czuć radość i dumę z faktu, że pod koniec życia dane mu jest przeżyć tak wzniosłą chwilę.

Przepęniało go jednak poczucie straty.

Wydał wszelkie dyspozycje na wypadek swojej śmierci, szczęśliwy, że Rachele będzie kontynuować ciągłość dziedzictwa Veronich. Jego wewnętrzny spokój brał się po części z egoistycznej dumy, że nie zostanie zapomniany, a Rachele opowie swoim synom i córkom, może nawet wnukom, o wuju Vigorze i przygodach, jakie razem przeżyli.

Miał ochotę przekląć Boga, gdy jednak popatrzył na krzyż, poczuł spokój. Ujrzy Rachele ponownie. Był tego pewien.

– Nie wątpię – szepnął.

Zmówił w myślach krótką modlitwę.

Nie było czasu na nic więcej.

Czyż taki sam żal nie unosi się nad każdym łóżem śmierci? Smutek z powodu tego, co nigdy nie nastąpi, z powodu ostateczności śmierci, wielkiej niszczycielki możliwości?

Westchnął, myśląc o swoich przyjaciółach – starych i nowych.

O Grayu i Monku, Kat i Painterze, Duncanie i Jadzie.

Rachele poświęciła wszystko, aby zapewnić im bezpieczeństwo i pełnię życia – tracąc własne.

Czy on nie powinien postąpić tak samo?

Uniósł Oko i położył je tam, gdzie od stuleci spoczywała relikwia świętego Tomasza. Pasowało idealnie do miejsca, gdzie przedtem leżała czaszka... jakby Oko zawsze powinno tam być.

Gdy dotknęło krzyża...

Godz. 10.00

Duncan jęknął i zatoczył się do tyłu, jakby uderzył go w twarz potężny podmuch wiatru – tyle tylko, że w rzeczywistości nawet nie ruszył się z miejsca.

To świadomość wystrzeliła mu przez potylicę poza czaszkę. Przez chwilę widział samego siebie od tyłu: stał obok Jady i oboje obserwowali drzwi.

Potem świadomość wróciła na miejsce – z taką siłą, że zatoczył się i zderzył z drzwiami. Przytrzymał się ich dłonią.

Jada spojrzała zdumiona.

– Wszystko w porządku?

– Nagle ucieszył mnie fakt, że nie byłem w środku.

– Co się stało?

Opowiedział o poczuciu wyjścia poza ciało, a ona skinęła głową, jakby mówił o czymś oczywistym.

– Siła powstała w wyniku anihilacji prawdopodobnie wytworzyła kwantowy pęcherz, który eksplodował. Dla kogoś tak wrażliwego jak ty, wyczulonego na pola kwantowe, dało to efekt fizyczny.

– A co z kimś, kto był w środku? W epicentrum?

Godz. 10.01

Dobre pytanie, uznała Jada. Choć niepokojące. Zwłaszcza w obliczu tego, co przeżył Duncan.

– Nie mam pojęcia – przyznała. – Nic albo wszystko. Rzut monetą.

Uświadomiła sobie, że Vigor jest jak kot Schrödingera: dopóki drzwi pozostaną zamknięte, jest równocześnie żywy i martwy. Dopiero po ich otwarciu jego los przechylili się na jedną lub drugą stronę.

W zależności od odpowiedzi wszechświat mógł podążyć w różnych kierunkach.

Duncan sięgnął do drzwi, nim jednak zdążył to zrobić, za ich plecami zrobiło się zamieszanie. Z tunelu przy stawie wypełzał Gray. Gdy ich ujrzał, natychmiast wstał i podbiegł.

Szybko zorientował się w sytuacji. Zobaczył, kogo brakuje.

– Gdzie Vigor?

Jada odwróciła się w stronę zamkniętych drzwi.

– Zdecydował, że weźmie Oko i połączy je z krzyżem.

– Zrobił to?

– Tak.

Gray zmarszczył czoło i popatrzył na zamknięte drzwi.

– Skąd pewność? – spytał.

Duncan pomasażował potylicę, jakby sprawdzał, czy jest na miejscu.

– Jesteśmy pewni.

Gray podszedł do drzwi.

– No to wejdźmy do środka.

Jada położyła dłoń na ryglu. Poczuli się głupio, jakby powstrzymanie Graya naprawdę mogło sprawić, że los Vigora nie został przypieczętowany.

– Istnieje spore prawdopodobieństwo, że tego nie przeżył – powiedział Duncan, żeby przygotować Graya na najgorsze.

Jada skinęła głową i puściła rygiel.

Gray odsunął go i otworzył drzwi.

Godz. 10.02

Gdy Gray wszedł do złotej komnaty, stwierdził, że niewiele się w niej zmieniło. Wielkie płaskorzeźby, ukazujące sceny z życia świętego Tomasza były na swoich miejscach. Kamienny kopiec tkwił pośrodku. Potrójna skrzynka stała tam, gdzie widział ją poprzednio.

Vigor leżał na podłodze, jego głowa opierała się o relikwię świętego Tomasza.

Gray podszedł i obrócił go na plecy.

Klatka piersiowa nie poruszała się. Na szyi nie wyczuwało się pulsu.

Boże, nie, pomyślał, czując w gardle łyżę. Wbił wzrok w twarz przyjaciela. Oblicze Vigora wyrażało spokój i ulgę.

– Wiedział? O Rachele?

– Tak – chrapliwie odpowiedział Duncan.

Gray zamknął oczy, pomodlił się z nadzieją, że tych dwoje znowu jest razem. Ta myśl dawała pocieszenie. Chciał, aby była to prawda.

Bądźcie szczęśliwi, przyjaciele.

Długo stał nad Vigorem z nisko pochyloną głową.

Duncan podszedł do skrzynek, przesunął dłoń nad kulą, podniósł ją i sprawdził krzyż. Na koniec pokręcił głową i ogłosił werdykt:

– Energia zniknęła.

Czy to oznaczało, że odnieśli sukces?

Gray miał ważniejsze pytanie:

– Zdążyliśmy na czas?

Jada sprawdziła zegarek.

– Nie wiem. Wszystko odbyło się na styk. Może być tak albo tak.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii
21 listopada, godz. 1.08 czasu wschodniego

Painter czekał z resztą ludzi w pobliżu National Mall. Prezydent i kluczowi członkowie rządu zostali ewakuowani, tereny nadmorskie obłożono workami z piaskiem i oczyszczono z ludzi. Nawet Monk i Kat zabrali dziewczynki na krótkie „wakacje” do Pensylwanii, z dala od strefy potencjalnego wybuchu.

Choć jego prawdopodobieństwo nie było zbyt duże, nikt nie chciał ryzykować. Nawet narzeczona Paintera, Lisa, zasugerowała, że wróci wcześniej z Nowego Meksyku, ale nakłonił ją, by tego nie robiła.

W Waszyngtonie wydano rozporządzenie o dobrowolnej ewakuacji, jednak – podobnie jak Painter – nie wszyscy zdecydowali się opuścić stolicę. Wokół National Mall kłębił się tłum. Na trawnikach porozstawiano namioty, wszędzie paliły się świece, pito alkohol. Słychać było piosenki, modlitwy i zawody na wrzaski.

Painter stał na schodach zamku Instytutu Smithsona i obserwował kłębowisko wpatrzonych w niebo ludzi – przerażonych, ale przede wszystkim zaniepokojonych. Jeszcze nigdy w życiu tak bardzo nie cenił bliźnich. Ciekawość, trwoga i szacunek – najlepsze cechy ludzkości – skupiły się w jedno, czyniąc z każdej duszy drobinę na tle ogromu wydarzenia, które miało nastąpić. Cenił ich też za chęć uczestniczenia w tym wydarzeniu.

Odgłos kroków za plecami przywrócił go do rzeczywistości. Jada i Duncan biegli do niego przez ulicę. Trzymali się za ręce, choć gdy znaleźli się bliżej, rozdzielili się.

Painter tego nie skomentował.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że szacunki z SMC nagle się zmieniły? – spytał Jadę.

Uśmiechnęła się. W dłoni miała telefon komórkowy.

– Cały czas sprawdzam – odparła. – Na razie wygląda na to, że Apophis jest na kursie zderzeniowym z Ziemią, będzie to jednak najwyżej mała „obcierka”. Choć ze spektakularnym efektem.

Dobrze.

Painter przypomniał sobie obraz zniszczeń, które widział na zdjęciu satelitarnym. Przerwywając splątanie kwantowe, powodujące ściąganie korony energetycznej komety IKON ku Ziemi, powstrzymali potencjalne odkształcenie się czasoprzestrzeni wokół planety i zapobiegli katastrofalnemu zbombardowaniu jej przez asteroidy.

Dobrze pamiętał obrazy z Antarktydy, które dawały przedsmak tego, co mogło się wydarzyć na całym świecie. Incydent, który kosztował życie ośmiu żołnierzy piechoty morskiej, mógł zakończyć się znacznie tragiczniej, gdyby nie odwaga i pomysłowość porucznika Josha Leblanga, który bohatercko wyprowadził swoich ludzi w bezpieczne miejsce. Painter rozważał rekrutowanie go do Sigmy. Gość miał wielki potencjał.

Niebezpieczeństwo jeszcze nie do końca się oddaliło – nie można było zatrzymać tego, co

uruchomił przelot komety. Kilka meteoroidów spadło na odludne tereny Australii, niektóre uderzyły w powierzchnię Pacyfiku. Wielki kawał skały spadł niedaleko Johannesburga, na szczęście skończyło się to tylko popłochem zwierząt w pobliskim parku safari.

Główne niebezpieczeństwo niosła ze sobą asteroida Apophis. Została wytrącona ze zwykłej orbity i nic nie można było z tym zrobić. Sigmie udało się przerwać splątanie kwantowe, zostało to jednak dokonane ze zbyt małym odstępem czasowym do punktu bez powrotu. Nie powstrzymano Apophis przed uderzeniem w Ziemię, ale przynajmniej udaremiono komecie ściągnięcie asteroidy na orbitę, które oznaczałoby uderzenie prosto we Wschodnie Wybrzeże. Asteroida miała spaść gdzie indziej.

Jej obecna trajektoria wskazywała na skośne uderzenie w górne warstwy atmosfery, gdzie straci główną część energii kinetycznej. Pozostawało pewne prawdopodobieństwo, że asteroida eksploduje, ale wtedy jej szczątki nie spadną na Wschodnie Wybrzeże, lecz do Atlantyku.

Taką przynajmniej wszyscy mieli nadzieję.

Painter przyjrzał się Jadzie, aby sprawdzić, czy czegoś przed nim nie ukrywa – złego przeczucia albo wątpliwości co do prawidłowości obliczeń – dostrzegł jednak tylko radość.

W tym momencie Jada odwróciła wzrok od nieba.

Przez ulicę biegła, machając do nich, znajoma postać: wysoka Murzynka w tenisówkach, dzinsach i rozpiętej grubej kurtce, której poły łopotały za nią jak chorągwie.

Painter uśmiechnął się. Spóźnialska powinna wziąć udział w imprezie. Zasłużyła na to.

Godz. 1.11

– Mamo! – zawołała Jada, obejmując kobietę. – Zdążyłaś!

– Musiałam przy tym być! – odparła jej matka, ciężko dysząc. Biegła kawał drogi, aby dotrzeć na czas.

Jada ujęła dłoń matki i oparła się o nią.

Wbiły wzrok w niebo tak samo, jak robiły to tysiące razy w przeszłości, leżąc na kocu i obserwując deszcze Leonidów albo Perseidów. To wtedy Jada postanowiła, że będzie badać gwiazdy. Bez inspiracji matki nigdy nie stałaby się tym, kim była teraz.

Palce matki zacisnęły się na jej palcach, wyrażając dumę i radość.

– Zaczyna się – szepnęła Jada.

Matka i córka mocno się objęły.

Na wschodzie rozległ się głośny ryk i na niebie pojawiła się kula ognia. Mknęła, ciągnąc za sobą smugi światła i energii, gubiąc siłę, z której powstał wszechświat. Przemknęła nad głowami ludzi, którzy zamilkli, a gdy zaczęła znikać, rozległ się grom. Przelatujące z naddźwiękową prędkością obiekty huczały, tak jakby ziemia miała rozerwać się na pół. Ludzie byli przerażeni, w całym mieście pękały szyby, wszędzie wyły alarmy samochodowe.

Jada stała z matką. Uśmiechały się i obserwowały, jak asteroida mknie na wschód, by eksplodować po dotarciu do horyzontu oślepiającym ogniem, wystrzelić grad rakiet i zniknąć.

Po chwili doleciał do nich drugi grzmot.

Noc pociemniała, znowu dało się dostrzec wiszącą nad głowami komety. Po chwili na niebie rozbłysła chmura spadających gwiazd – ostatnia kosmiczna salwa.

Tłum wiwatował i zaczął klaskać.

Jada robiła to samo, jej matka krzyczała wniebogłosy, wszyscy płakali z radości.

Jada przypomniała sobie stwierdzenie Carla Sagana⁸.

„Jesteśmy z gwiazd. Kosmos dostrzega swoje istnienie za pośrednictwem naszej świadomości”.

Jeszcze nigdy nie wydało jej się to bardziej prawdziwe.

Waszyngton, Dystrykt Kolumbii
25 listopada, godz. 11.28 czasu wschodniego

Duncan siedział na stołku, koszulę położył na kolanach.

Igła maszynki do tatuażu sprawiała, że tył jego ramienia płonął. Gwałtowny ból był adekwatny, biorąc pod uwagę, co powstawało na jego skórze.

Była to mała kometa z długim, zakrzywionym ogonem, ciągnąca za sobą smugę ognia. Rysunek miał w sobie coś azjatyckiego, przypominał nieco złotą płaskorzeźbę z komnaty nad Bajkałem, ukazującą chińskiego cesarza wręczającego krzyż świętemu Tomaszowi.

Do jaskini na wyspie Olchon zjechały się chmary archeologów i religioznawców. Z powodu znajdującej się tam dużej ilości złota – nie wspominając o dwunastu wysadzanych klejnotami koronach pochodzących z podbojów Czyngis-chana – informacji o odkryciu nie podano do wiadomości publicznej. Należało się spodziewać, że krypta prędzej czy później stanie się mekką chrześcijan malabarskich być może nawet wszystkich chrześcijan, włącznie z tymi mongolskiego pochodzenia.

Vigor byłby dumny, pomyślał Duncan. Swoim poświęceniem nie tylko ocalił świat, ale u milionów ludzi odnowił wiarę w Boga i w cuda.

Clyde wyprostował się i przetarł zakrwawioną szmatką najnowszy element gobelinu, jakim było ciało Duncana.

– Wygląda nieźle – ocenił.

Duncan odwrócił się, by w lustrze sprawdzić efekt pracy. Przez chwilę przyglądał się wściekłemu, kolorowemu obrzmieniu.

– Wygląda fan-tas-tycz-nie!

Clyde skromnie wzruszył ramionami.

– Nabyłem doświadczenia przy pierwszej. – Wskazał dłonią na stołek obok, na którym siedziała Jada.

Przesunęła się, aby przyłożyć ramię do ramienia Duncana i porównać oba dzieła. Wyglądały niemal identycznie – w końcu były świadectwem przeżytej wspólnie przygody.

Z tą różnicą, że dla niej był to pierwszy tatuaż – pierwsze pociągnięcia pędzlem na czystym płótnie.

– Co sądzisz? – spytał Duncan.

Uśmiechnęła się.

– Już jestem zakochana.

Sądząc po błysku w jej oku, mogła mieć na myśli nie tylko tatuaż.

Upiększeni nową ozdobą, wyszli ze studia na południowe słońce. Stojący na parkingu czarny mustang cobra R błyszczał jak wypolerowany cień. Samochód był dla Duncana symbolem przeszłości, pełnym wspomnień związanych z bratem, mieszaniną smutku i radości – i odpowiedzialności.

Ja przeżyłem, on umarł.

Zawsze uważał, że jego obowiązkiem jest żyć za nich obu, za wszystkich przyjaciół, których życie zostało przedwcześnie przerwane.

Otworzył Jadzie drzwi, po czym usiadł za kierownicą. Gdy dotknął gałki zmiany biegów, jego dłoń lekko musnęły smukłe palce. Spojrzał na Jadę – jej oczy błyszczały tak wieloma obietnicami...

Pamiętał jej opowieść o splecionych losach, o tym, że śmierć to jedynie koniec życiowego potencjału w jednym strumieniu czasu, z możliwością otwarcia się innych drzwi, przez które świadomość może popłynąć w nowym kierunku.

Gdyby tak było, może nie musiałbym żyć naraz tylu żywotów...

Pochylił się i pocałował ją, co uświadomiło mu, że życie za kogoś uniemożliwia życie dla siebie.

– Ile ten wóz wyciąga? – spytała Jada, gdy ich usta się rozdzieliły. Uniosła szelmowsko brew.

Odpowiedział nie mniej szelmowskim uśmiechem.

Wrzucił bieg, wcisnął pedał gazu i samochód pomknął jak strzała. Popędzili jasnymi ulicami, już nie ścigani przez duchy przeszłości, lecz ku obietnicy przyszłości.

W tym świecie jedno życie wystarcza każdemu mężczyźnie.

Godz. 16.44

– Dzięki za podwiezienie – rzucił Gray, gdy wysiadł z SUV-a i zarzucił na ramię torbę podróżną.

Kowalski odpowiedział uniesieniem ręki. Wyjął z ust cygaro i pochylił się do przyjaciela.

– Była wspaniałą dziewczyną – powiedział, nietypowo dla siebie poważnie i szczerze. – Nie zostanie zapomniana. Ani jej wuj.

– Dzięki – odparł Gray i zamknął drzwi.

Kowalski zatrąbił na pożegnanie i włączył się do ruchu, o mało nie ocierając się bokiem o autobus.

Gray poszedł do swojego apartamentowca. Trawniki pokrył świeży śnieg – dzięki czemu wszystko wyglądało dziewiczo, jakby noga ludzka tu nie stała – ukrywając pod białym płaszczem okrucieństwo życia.

Przed godziną wrócił z pogrzebu we Włoszech, gdzie w Bazylice Świętego Piotra odprawiono nad ciałem Vigora ceremonię z wszelkimi honorami. W pogrzebie Rachele wzięły udział umundurowane i uzbrojone oddziały karabinierów. Jej trumnę okrywała flaga Włoch. Nad grobem pożegnano ją salwami z karabinów.

Gray nie mógł jednak odnaleźć spokoju.

Byli jego przyjaciółmi i będzie bardzo za nimi tęsknił.

Wszedł po schodach do pustego mieszkania. Seichan była w Hongkongu i starała się powoli zbudować jakie takie relacje z matką. Ciężarna żona Ju-longa została odnaleziona w więzieniu na jednej z wysp niedaleko Hongkongu – cała i zdrowa. Uwolniono ją i, zdaniem Seichan, wróciła do Portugalii.

W Makau Guan-yin z brutalną skutecznością zapełniła lukę, jaka powstała po śmierci Ju-longa. Była na najlepszej drodze do zostania nową szefową Makau. Wykorzystując swoją

pozycję, zaczęły wraz z Seichan podejmować kroki służące poprawie sytuacji kobiet na półwyspie i w Azji Południowo-Wschodniej. Zaczęły od gangów utrzymujących prostytutki – wywierały presję, by zaczęto bardziej humanitarnie się z nimi obchodzić.

Najprawdopodobniej miało to służyć zburzeniu muru między matką a córką. Zajmując się kobietami, które ciężko pracowały na codzienny chleb, pomagały sobie samym – jakby naprawianie terażniejszości mogło przytłumić ból brutalnej przeszłości i stworzyć przestrzeń, w której będą mogły odnaleźć się na nowo.

Nie był to jedyny sposób.

Seichan postanowiła pomóc zagubionym dzieciom Mongolii – bezdomnym dziewczętom i chłopcom, którzy wpadli w mroczne otchłanie miasta próbującego dołączyć do nowego świata. Zdawała sobie sprawę, że ratując je, ocali dziecko z przeszłości, które nie miało nikogo.

Przed wyjazdem z Mongolii sprawdziła, co się dzieje z Chajdu. Dziewczyna wyszła już ze szpitala, rana brzucha goiła się niezłe. Seichan znalazła ją w rodzinnej jurcie, trenującą z młodym sokołem – bardzo utalentowanym ptakiem o złotych piórach i czarnych ślepiach.

Chajdu dała mu na imię Sandżar.

Każdy z nas cierpi i wyraża szacunek na swój sposób, pomyślała Seichan.

Gdy Gray dotarł do mieszkania, stwierdził, że drzwi nie są zamknięte.

W napięciu powoli obrócił gałkę i pchnął drzwi. W środku było ciemno. Na pierwszy rzut oka niczego nie brakowało. Wszedł ostrożnie do środka.

Czyżbym przed wyjazdem zapomniał zamknąć drzwi?

Kiedy mijał kuchnię, poczuł lekki zapach jaśminu. Spod drzwi sypialni sączyło się światło. Podeszedł do nich i otworzył je.

Seichan porozstawiała świece. Musiała wrócić wcześniej z Hongkongu i domyślić się, że przyda mu się towarzystwo.

Leżała na łóżku, podparta na łokciu, długie nogi odcinały się wyraźnie na tle pościeli. Krągłości smukłego ciała układały się w znak zaproszenia. W jej postawie nie było jednak śladu droczenia się, a na ustach nawet cienia przebiegłego uśmiechu – jedynie subtelne przypomnienie, że żyją i nigdy nie wolno im tego uważać za oczywiste.

Opowiedziała mu, co podsłuchiwała w pensjonacie w Chużyr – o raku Vigora i ostatnich słowach, jakie wymienili między sobą wuj i siostrzenica. Gray dobrze zapamiętał najważniejszą lekcję Vigora o życiu.

...nie marnuj tego daru, nie odkładaj go na półkę do późniejszego użytku. Chwytaj okazję obiema rękami...

Podeszedł do łóżka, po drodze się rozbierając, zrywając to, co stawiało opór, aż stanął przed nią tak samo nagi jak ona.

W tym momencie każdą cząstką swojego ciała pojął podstawową prawdę o życiu.

Korzystaj z niego codziennie. Kto wie, co będzie jutro?

RESZKA

Teraz widzimy jakby w zwierciadle, niejasno.

1 List do Koryntian, 13,12

Rzym, 26 listopada

Godz. 10.17 czasu miejscowego

Rachele czekała przed gabinetem, aż lekarz skończy badanie. Vigor zgodził się na nie po długim naleganiu z jej strony – zwłaszcza że nie było powodu do robienia jakichkolwiek testów.

W końcu drzwi się otworzyły. Wuj zaśmiał się, uściskał lekarzowi dłoń i wyszedł.

– No cóż, Rachele, mam nadzieję, że cię to usatysfakcjonuje – powiedział. – Wszystko bez zarzutu.

– A tomografia?

– Poza artretyzmem w lewym biodrze i dolnej części kręgosłupa niczego nie znaleźli. – Objął siostrzenicę ramieniem i ruszyli ku wyjściu. – Doktor uważa, że tak dobry stan zdrowia po sześćdziesiątce sugeruje dożycie setki.

Wiedziała, że wuj żartuje, zauważyła jednak drgnięcie w kącikach jego oczu, jakby próbował sobie o czymś przypomnieć.

– Co jest? – spytała.

– Wiem, że nalegałaś na badanie pod kątem raka...

Westchnęła wystarczająco głośno, aby przerwał.

– Przepraszam, ale od twojego powrotu z wyspy Olchon miałam złe przeczucie, że możesz być chory czy coś takiego. – Pokręciła głową. – Może to głupie, ale...

– Nie. Kiedy leżałem, słuchając stukających dookoła maszyn, byłem niemal pewien, że masz rację.

– Zasugerowałam ci coś.

– Może. – Nie zabrzmiało to przekonująco. – Ale muszę ci coś powiedzieć. Gdy przykładałem Oko do krzyża świętego Tomasza, poczułem w środku darcie, jakby coś ze mnie wyrywano... albo coś pękło. Jakbym się znalazł w fontannie białego światła. Dałbym głowę, że umarłem. Potem, w ułamku sekundy, wróciłem, a Gray, Duncan i Jada wbiegli do środka, by sprawdzić, co ze mną.

Rachele ścisnęła mu dłoń.

– Cieszę się, że byłeś bezpieczny.

Popatrzył na nią.

– Potem, na krótką chwilę, ogarnął mnie wielki żal, jakbym cię stracił.

– Nic mi się nie stało. – W myśli dodała: no, prawie.

Ponownie ujrzała oczami wyobraźni srebrną monetę: jak wiruje w powietrzu, spada na podłogę, przydeptuje ją stopa Paka. Była wściekła na Seichan, że zdradziła, dokąd pojechał Gray.

Wtedy Pak podniósł stopę, ukazując monetę.

Reszka.

Miał tak rozczarowaną minę... Gdyby wypadł orzeł, na pewno kazałby ją zastrzelić.

– Przeżyłam.

– Wiem, bo wbiegłaś zaraz za nimi. – Vigor ruszył znowu do wyjścia. – Zastanawia mnie tylko, dlaczego oboje mieliśmy złe przeczucia co do siebie. W końcu mogłem mieć raka. Gdyby jakaś komórka w moim ciele przełączyła się nieodpowiednio... zamiast wcisnąć prawy przycisk, wcisnęłaby lewy... Wtedy moje ciało mógłby przeżerać rak.

– Orzeł lub reszka – powiedziała Rachele.

Vigor uśmiechnął się do niej.

– Tak bardzo przypadek decyduje o śmierci albo życiu.

– Zniechęcające.

– Chyba że ufa się temu, kto rzuca monetami.

Rachele przewróciła oczami.

– Istnieją tysiące ścieżek prowadzących w przyszłość, na drodze przed nami pojawia się rozwidlenie za rozwidleniem – nie odpuszczał Vigor. – Kto wie, może gdy jedna droga zostanie zamknięta, w innym wszechświecie otwiera się inna... a twoja dusza, świadomość przeskakuje, by kontynuować podróż i zawsze znajduje odpowiednią ścieżkę.

Rachele myślała o zostawionych za sobą ścieżkach, o możliwościach, które zniknęły na zawsze. Poczula ukłucie smutku, jakby straciła drogich przyjaciół.

– Zrozum – powiedział Vigor. – Zawsze istnieje droga przed nami.

– Dokąd prowadzi?

Pchnął drzwi i oślepiło ich światło nowego dnia.

– Dokąd zechcesz.

Nota od autora Prawda czy fikcja

Czas oddzielić ziarno od plew. Tak samo jak w poprzednich książkach, postanowiłem utrzymać także tę w czerni i bieli, ale muszę szczerze przyznać: jest w tej powieści równie wiele szarych stref, tak delikatnie oddzielających fakty od fikcji, rzeczywistość od spekulacji, że można argumentować zarówno za jednym, jak i za drugim. Pójdźmy po tej linii i sprawdźmy, dokąd prowadzi.

Po pierwsze, historia jest pełnym dziur zlepkiem prawd. Ale co jest raczej pewne?

Attyla: W roku 452 wódz Hunów Attyla miał iść na Rzym, który z pewnością by zdobył, lecz papież Leon Wielki wyruszył z niewielkim orszakiem, spotkał się z nim i jakimś sposobem odwiódł go od ataku. Jak tego dokonał? Jedna ze spekulacji zakłada, że wojsko Attyli ogarniały choroby i zagrażał im atak z innych frontów, wódz postanowił więc zachować twarz, zwinął obóz i oddalił się. Inna wersja mówi, że papież zagrał na przesądnych lękach Huna i – jak zostało to opisane w książce – wzbudził w nim lęk przed przekleństwem Alaryka. Jeszcze inni uważają, że papież wykupił Rzym, dając Attyli wielką ilość złota i skarbów.

Bez względu na powód Attyla zrezygnował ze swojego planu i zmarł rok później, planując powrót do Włoch i ponowny atak na Rzym. Powodem śmierci było krwawienie z nosa, a zmarł w noc poślubną, po zawarciu związku z młodą księżniczką o imieniu Ildiko. Istnieje teoria, że Ildiko otruła męża, a także taka, że zmarł, ponieważ jego wycieńczony alkoholizmem organizm nie wytrzymał poślubnych ekscesów seksualnych. Nikt tak naprawdę nie wie, co stało się z Ildiko po tym, jak znaleziono ją przy martwym mężu.

Jeśli chodzi o zaginiony grób Attyli, krążą pogłoski, że pochowano go w potrójnej trumnie – z żelaza, ze srebra i złota – wraz z większością ogromnego nagromadzonego majątku. Wszyscy obecni przy pochówku zostali zabici. Większość teorii sugeruje, że zmieniono brzeg rzeki (być może węgierskiej Cisy), umieszczono grobowiec w dnie, po czym przywrócono rzece bieg. Co doprowadza nas do Cisy, gdzie...

Węgierskie procesy czarownic: Opowieść o Boszorkánysziget, czyli Wyspie Czarownic, jest prawdziwa. Wyspa znajduje się w mieście Szeged, gdzie w lipcu 1728 roku spalono tuzin osób oskarżonych o praktykowanie czarów (kobiet i mężczyzn). W apogeum hysterii podobny los spotkał ponad czterysta osób. Za główny powód paniki uważa się suszę, po której doszło do głodu i epidemii, choć (jak opisano w książce) część ofiar zginęła z powodów politycznych i osobistych. Aby pozbyć się wroga, nie ma nic lepszego od stosu.

Czyngis-chan: Większość zawartych w książce szczegółów dotyczących mongolskiego władcy jest prawdziwa. Urodził się jako Temudżyn i rzeczywiście nazywał się Borgidzine, czyli Pan Błękitnego Wilka. Imię to jest obecnie w Mongolii bardzo popularne, podobnie jak Temudżyn.

Jeśli chodzi o aspekt genetyczny, zdumiewające, choć prawdziwe jest, że patrząc globalnie, dwóch mężczyzn na stu (jeżeli za punkt odniesienia weźmie się dwadzieścia pięć markerów haplogrupy C-M217) jest genetycznie spokrewnionych z Czyngis-chanem (w Mongolii jeden na dziesięciu). Wygląda na to, że liczne żony i podboje przyczyniły się do powstania wyraźnego śladu – przynajmniej genetycznego.

Jeśli chodzi o jego potomków, to w Archiwach Watykanu znajduje się list od wnuka Czyngis-chana (Wielkiego Chana Gujuka) z 1246 roku, kierowanego do papieża Innocentego IV, w którym ostrzega on, że jeżeli papież nie odwiedzi stolicy imperium mongolskiego, będzie to miało poważne konsekwencje.

Imperium mongolskie rzeczywiście w wielu zakresach wyprzedzało swoje czasy: odrzucało tortury, popierało papierowy pieniądz, tworzyło system pocztowy i kultywowało nieznaną dotychczas tolerancję religijną. Nestorianie mieli kościół w mongolskiej stolicy i twierdzi się, że wywarli znaczący wpływ na Czyngis-chana.

Co do jego grobowca, pozostaje on jednym z największych tajemnic świata. Większość uważa, że znajduje się gdzieś w górach Chentej, podlegających ścisłemu ograniczeniu dostępu ze względów środowiskowych i historycznych. W podobnej sytuacji znajduje się wiele innych miejsc (na przykład wyspa Olchon). Uważa się także, że grób Czyngis-chana przypomina nekropolię, w której znajdują się jego skarby oraz groby i skarby jego potomków, w tym najślawniejszego wnuka – Kubilaj-chana. Nie wiem jak wy, ale ja jestem gotów w każdej chwili chwycić łopatę i wyruszyć na wykopaliska.

Święty Tomasz i Chiny: Powszechnie uważa się, że apostoł, znany jako „niewierny Tomasz”, czy raczej „wątpiący”, podróżował na Wschód, i na pewno dotarł do Indii, gdzie do dziś istnieje odłam chrześcijan malabarskich (Nasrani). Uważa się także, że tam był też męczony – w pobliżu prastarego miasta Mylapore – więc postawiono tam bazylikę. Jeśli chodzi o związane z nim relikwie, ich historia jest jeszcze bardziej niejasna.

Kilku historyków uważa, że święty Tomasz mógł dotrzeć do Chin, może nawet do Japonii. Istnieje kilka nowszych odkryć archeologicznych, sugerujących, że chrześcijaństwo dotarło na Daleki Wschód znacznie wcześniej niż w VIII wieku (jak się dziś uważa).

Jeśli chodzi o sugestie, że w znakach chińskiego alfabetu może być zawarta znajomość Starego Testamentu, to przedstawione w książce symbole są prawdziwe, a w internecie można znaleźć wiele innych podobnych przykładów. Zresztą sami osądźcie, czy to wszystko jedynie życzeniowa spekulacja, czy wskazówka o utraconej wiedzy historycznej.

Żydowskie czaszki z zaklęciami... i inne makabryczne osobliwości: Archeologowie odkryli ponad dwa tysiące misek z zaklęciami, datowanych głównie na trzeci do siódmego wieku. Odkryto także kilka czaszek z napisami, które służyły do podobnych celów: ochrony przed demonami albo rzucania zaklęć. Dwie można oglądać w muzeum w Berlinie. No i „bibliopegia antropodermiczna”, czyli oprawianie książek w ludzką skórę, istniała naprawdę.

Zachowały się woluminy, na których oprawach widać ludzkie sutki albo fragmenty twarzy. Ozdabiano tak traktaty astronomiczne i teksty anatomiczne, nawet modlitewniki. Na tym jednak dziwactwa się nie kończą. W okresie wojen napoleońskich francuscy więźniowie zwykli robić modele łodzi z ludzkich kości i sprzedawać je Brytyjczykom. No cóż, każdy musi mieć jakieś hobby.

Jedną z największych przyjemności w trakcie pisania książek takich jak ta jest badanie fascynujących zakątków świata. Jak wiele prawdy jest w opisach tych miejsc? Najkrótsza odpowiedź brzmi, że niemal wszystko, ale zajmijmy się kilkoma miejscami dokładniej.

Makau/Hongkong: Kto lubi hazard, powinien koniecznie odwiedzić Makau – miejsce, gdzie miesza się portugalski kolonializm, chińska kultura i blichtr w stylu Las Vegas. Pod wieloma względami jest to miasto gorączki złota, gdzie ręka w rękę idą korupcja i komercja, a chińskie triady walczą z politykami i deweloperami. Opisy VIP-owskich pomieszczeń są zgodne z prawdą, firmy organizujące rozrywkę faktycznie działają i naprawdę pierze się tam brudne pieniądze. Tak – w znajdującym się w piwnicach Casino Lisboa pasażu handlowym jest „pasaż dziwek”.

Zgodny z realiami jest opisany przeze mnie Hongkong. Wygląd kwatery głównej triady *Duàn zhī* jest wzorowany na istniejącym kompleksie budynków Chungking Mansions.

Jezioro Aralskie: Jest to prawdopodobnie miejsce największej katastrofy ekologicznej, jaką spowodował człowiek. Zmiana kierunku dwóch rzek, jakiej dokonała sowiecka władza na początku lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku, spowodowała wyschnięcie wspaniałego śródlądowego jeziora, zamieniając je w śmiercionośne słone płaszczyny Pustyni Aral-kum, gdzie wieją „czarne zamiecie”, a średnia oczekiwana długość życia spadła z 65 do 51 lat. Tak, okolica jest pełna wraków statków, które tkwią w piasku.

Korea Północna: Wszystko, co zostało opisane w książce, jest, niestety, prawdą. W kraju rządzonym przez dynastię despotów, uważających się za półbogów, dekadentkie ekscesy przy równoczesnym skrajnym braku towarów codziennego użytku są powszechne – takie na przykład jak budowa podczas ogólnonarodowego głodu mauzoleum za miliard dolarów. System więzienny Korei Północnej jest do dziś uważany za najsurowszy na świecie – więźniowie walczą o prawo do pochowania zmarłych współtowarzyszy, aby dostać dodatkową porcję jedzenia, średnio nie przeżywa się pięciu lat pobytu w więzieniu, a tortury są codziennością. W miastach takich jak Pjongjang jest nieco lepiej, ale i tam mieszkańcy żyją w ciągłym strachu, że powiedzą albo zrobią coś złego, a żywność i prąd są racjonowane.

Mongolia: Ułan Bator jest uważane za najzimniejszą stolicę świata. Pod ziemią znajduje się system tuneli, przez które biegą rury ciepłownicze. Mieszka tam coraz więcej bezdomnych, zwłaszcza dzieci – ofiar przemian gospodarczych, alkoholizmu oraz zaniedbania. Równocześnie jest to miasto ze świetlaną przyszłością, którego rozwój gospodarczy należy do najszybszych na świecie. Kraj posiada ogromne zasoby naturalne i mnóstwo nietkniętej przyrody. Spora część ludności uważa Czyngis-chana za półboga. Dowodem na to są stawiane w stolicy ogromne

pomniki, w tym dwudziestopięcotonowa, błyszcząca stalowa postać Czyngis-chana na koniu. Z drugiej strony, jeśli jeden mężczyzna na dziesięciu jest jego potomkiem, to chyba tak trzeba.

Bajkał: Po pierwsze, foka bajkalska to jedyny na świecie gatunek foki słodkowodnej i jej naturalnym miejscem występowania jest Bajkał. Zwierzę to jest jednak tylko jednym z wielu unikatowych elementów tego najstarszego i największego jeziora na kuli ziemskiej. Na określenie dziedziny zajmującej się badaniami niezwyklej biosfery tego miejsca naukowcy stworzyli pojęcie „bajkałologia”. Tak jak zostało opisane w książce, jezioro faktycznie zamarza, a w zimie jedną z dróg dotarcia na wyspę Olchon jest przejazd autobusem po lodzie. Przylądek Burchan istnieje i naprawdę jest uważany za jedno z najświętszych miejsc w Azji. Wyspa ma wiele powiązań z legendą Czyngis-chana – rzekomo tu urodziła się jego matka, a wielu ludzi sądzi, że tu znajduje się jego grób.

Opisane w książce zagadnienia naukowe są w większości oparte na sprawdzonych faktach lub uznanych teoriach – z niedużą domieszką spekulacji i ekstrapolacji (choć nie aż tak dużą, jak moglibyście sądzić). Witam w dziwnym świecie ciemnej energii, fizyki kwantowej i rzeczy, które stukają po nocy.

Komety: Wzorem dla komety IKON był kawał lodowej skały, który przeleci w pobliżu Ziemi w listopadzie 2013 roku, a został nazwany kometa ISON. Ma ona świecić na niebie – miejmy nadzieję, że nie czyniąc wielu nieszczęść i nie sprowadzając masowej śmierci. Podobnie jak kometa w książce, ISON ma być jedną z najjaśniejszych komet w historii, widoczną nawet w ciągu dnia⁹.

Jeżeli chodzi o badanie komet, to obiekt IoG jest wzorowany na satelicie ICE, którego NASA wystrzeliła w 1986 roku, aby przeleciał przez ogon komety Halleya. Jeśli chodzi o problemy, jakie powodują komety, to w 1994 roku jedna z nich zderzyła się z Jowiszem, a kolejna zrobiła to w 2014 roku.

W przeszłości komety wielokrotnie zwiastowały zagładę – podobno zapowiadały zarazę morową w Europie, bitwę pod Hastings, nawet śmierć Marka Twaina. Uważa się, że pojawienie się komety Halleya w 1222 roku było głównym powodem podjęcia przez Czyngis-chana decyzji o wyruszeniu na zachód i podbiciu dużej części znanego wówczas świata.

Asteroidy: O eksplozji meteorytu czelabińskiego w lutym 2013 roku nad Rosją można przeczytać na wielu stronach serwisów informacyjnych. Jest ona doskonałym przykładem nieprzewidywalności zachowań obiektów bliskich Ziemi (NEO). NASA dotychczas zidentyfikowała ponad dziesięć tysięcy NEO, jest to jednak nieznaczny procent tego, co krąży w kosmosie. Asteroida czelabińska miała energię potencjalną około trzydziestu bomb atomowych, ponieważ jednak eksplodowała w górnych warstwach atmosfery, straciła większość energii, zanim szczątki uderzyły w Ziemię. Fala uderzeniowa wybuchu wybiła mnóstwo okien i zraniła ponad 1500 osób.

Opisana w powieści asteroida Apophis (oznakowana jako 99 942) istnieje naprawdę i stanowi istotne zagrożenie dla Ziemi, nie uderzy w nią jednak przed 2029 rokiem. Jak jednak pokazał rosyjski przykład, wokół nas czyha mnóstwo niedostrzeżonych zabójców planet.

Oko Boga: Istnieje naprawdę. A raczej: istnieją. Naukowcy stworzyli z topionego kwarcu cztery nieskazitelne kule, tak doskonałe, że wady nie przekraczają rozmiaru czterdziestu atomów. Są one żyroskopowymi sercami satelity Gravity Probe B NASA, który ma badać zakrzywienie czasoprzestrzeni wokół Ziemi. Miejmy nadzieję, że nie zostanie użyty do badania komety ISON, bo – jak wszyscy już wiemy – nie byłby to najlepszy pomysł.

Ciemna energia: Mógłbym zapełnić wiele stron spekulacjami dotyczącymi energii stanowiącej 70 procent wszechświata – choć jak na razie nikt naprawdę nie wie, czym jest. Trudno powiedzieć na jej temat cokolwiek, co mogłoby zostać uznane za niepodważalny fakt. Jeden z najlepszych opisów, jakie czytałem, został włączony w tej książce w teorię doktor Shaw: „Ciemna energia to efekt wzajemnej anihilacji wirtualnych cząstek w pianie kwantowej”. Istnieje wiele innych teorii.

Tworząc książkę, dane mi było odwiedzić Państwowe Laboratorium Przyspieszania Cząstek Elementarnych im. Enrica Fermiego (Fermilab) pod Chicago, gdzie miałem okazję przyjrzeć się pracy naukowców z nową kamerą ciemnej energii – skonstruowanym tam urządzeniem o rozdzielczości 570 megapikseli, zainstalowanym w górskim teleskopie w Chile. Doktor Shaw wykorzystwała do swoich badań, o których mowa w książce, dane zgromadzone przez tę właśnie DECam. Aparat jest tak potężny, że widzi na odległość trzech czwartych do Wielkiego Wybuchu¹⁰. Mam nadzieję, że aparat taki zostanie zainstalowany w najnowszej generacji iPhone'a.

Stan splątany: Zjawisko faktycznie istnieje, a polega na takim wejściu cząstek w związek, że po rozdzieleniu się mają te same sygnatury kwantowe – co oznacza, że zmiana dotycząca jednej spowoduje natychmiastową zmianę w obrębie drugiej. Początkowo uważano, że efekt ogranicza się do cząstek subatomowych, wykazano jednak, że dotyczy także większych obiektów – na przykład dwóch stworzonych przez naukowców w 2011 roku diamentów o wielkości widocznej gołym okiem.

Hologramy i wieloświat: Ponownie dzięki uprzejmości Fermilab dowiedziałem się, że wszechświat może być hologramem, trójwymiarowym konstruktem, opartym na równaniach napisanych wewnątrz kuli, w której się znajduje. Aby to sprawdzić, badacze w laboratorium konstruują obecnie holometr – najczulszy interferometr laserowy świata. Mocno mnie to niepokoi (choć raczej należy powiedzieć, że zaniepokojone jest równanie, które definiuje mój hologram).

Teorii o wszechświatach wielorakich jest w bród i każda nieco inaczej widzi sposób funkcjonowania innych wszechświatów, interakcje oraz relacje między nimi. Wśród fizyków teoretycznych istnieje jednak powszechna zgoda co do tego, że istnieją.

Jeszcze jedna drobna uwaga.

Magnetyczne opuszki palców: Po pierwsze, chcę, aby istniały, a po drugie... istnieją i są tak dziwne, jak opisałem. W świecie biohackingu istnieją tysiące ludzi z wszczepionymi w okolicy końcówek nerwów palców magnesami z metali ziem rzadkich. Pozwalają im one na

odczuwanie w niezwykle sposób pól elektrycznych. Osoby, z którymi rozmawiałem, opisują je jako byty posiadające strukturę, kształty, rytmy, nawet barwy. Otwiera to całkiem nowe możliwości doświadczania świata. Jeśli ktoś się do nich przyzwyczai, trudno mu z nich zrezygnować, bo bez magnesów czuje się „ślepy”. To zdecydowanie nowy świat.

Ostatnia rzecz na koniec: na stronach tej książki umieściłem własną teorię. Jeżeli ludzka świadomość naprawdę jest efektem kwantowym i może być splątana z wieloma wszechświatami, kto wie, czy w chwili gdy umieramy (na przykład wpadając pod autobus), świadomość nie przeżywa i nie przesuwa się w tę linię czasu wszechświata, w którym rozejrzeliśmy się na obie strony i nie wpadliśmy pod autobus? W życiu pełnym przypadku – gdzie o naszym losie tak często decyduje rzut monetą – wyobrażenie, że mogą się przed nami otworzyć inne ścieżki, dodaje spokoju ducha.

No to na razie i cieszcie się podróżą – nieważne, jaką podążycie ścieżką.

- ¹ Przełożył Władysław Witwicki.
- ² Tłumaczenie ks. Wincenty Myszor.
- ³ Rat Pack – powstała około 1955 roku nieformalna grupa amerykańskich piosenkarzy i aktorów skupionych początkowo wokół Humphreya Bogarta. Po jego śmierci reaktywowana około 1959 roku; najbardziej znanymi jej członkami stali się: Frank Sinatra, Dean Martin i Sammy Davis Jr.
- ⁴ Kometa krótkookresowa – kometa obiegająca Słońce w czasie poniżej 200 lat.
- ⁵ Biblia Tysiąclecia, Księga Rodzaju 2, 16-17.
- ⁶ Księga Rodzaju 3, 22.
- ⁷ Biblia Tysiąclecia, Księga Rodzaju 3, 6-7.
- ⁸ Carl Edward Sagan (1934–1996) – profesor astronomii i nauk kosmicznych, uczestnik wszystkich wielkich amerykańskich programów badań planetarnych NASA, popularyzator nauki, autor licznych książek i programów telewizyjnych.
- ⁹ Książka została napisana przed zbliżeniem się komety do Ziemi; 28.11.2013 roku uznano, że kometa nie przetrwała przelotu w pobliżu Słońca; 4.12.2013 roku NASA poinformowała, że na podstawie zebranych danych uważa się, iż kometa z 90% prawdopodobieństwem rozpadła się, a szczątki nie przekraczają średnicy 10 m.
- ¹⁰ Może zarejestrować światło obiektów, znajdujących się do 8 miliardów lat świetlnych od Ziemi.